

S P O T KANIA

**NIEZALEŻNE PISMO
MŁODYCH KATOLIKÓW**

ZBIORY OSRĘDKA KARTA

NR 23

**GRUDZIEŃ
1970**

SPIS TRESCI

	str.
Od redakcji	3
Wprowadzenie	4
Wybór źródeł	18
Kalendarium wydarzeń na Wybrzeżu i w Łodzi grudzień 1970 - luty 1971	30
Fragment wywiadu udzielonego przez pracowników Sekcji Historycznej ZR Gdańskiego NSZZ "Solidarność" tygodnikowi "Czas" w grudniu 1981 r.	121

GDANSK

Dokumenty

Protokół z ogólnego zebrania załogi Fabryki Urządzeń Okrętowych "Techmet" w Pruszczu Gdańskim z dnia 21.01.1971 r.	134
Zapis spotkania stoczniovców z tow. Gierkiem w dniu 25 stycznia 1971 r.	146

Relacje

Relacja Anny Walentynowicz, pracownicy Stoczni Gdańskiej im. Lenina, z czerwca 1981 r.	154
Relacja Henryka Jagielskiego, pracownika Stoczni Gdańskiej, z czerwca 1981 r.	163
Relacja "Edwarda" /pseudonim/, pracownika Stoczni Gdańskiej dostarczona anonimowo do ZR NSZZ "Solidarność" Gdańsk, sporządzona między wrześniem a grudniem 1981 r.	175
Relacja Bronisława Dudy, pracownika Stoczni Gdańskiej im. Lenina, z maja 1981 r.	186
Relacja Alfonsa Suszeka, pracownika Stoczni Gdańskiej im. Lenina, z października 1981 r...	191

Relacja Mieczysława Olszewskiego, pracownika Stoczni Gdańskiej im. Lenina, z lipca 1981 r...	201
Relacja Henryka Pietrzaka, studenta Politechniki Gdańskiej, z czerwca 1981 r.	203
Relacja Edmunda Kwasigrocha, palacza c.o. w Gdańsku, z czerwca 1981 r.	219
Relacja S.R., ucznia szkoły wieczorowej, z września 1981 r.	224
Relacje Romualda Micacha, pracownika Zarządu Portu Gdańsk, z września 1981 r.	229
Relacja Mariana Zielińskiego, pracownika Stoczni Gdańskiej im. Lenina, z czerwca 1981 r.	233
Relacja Jana Subdy, pracownika Stoczni Gdańskiej im. Lenina, z listopada 1981 r.	242
Relacja Włodzimierza Ostrowskiego, pracownika Stoczni Gdańskiej im. Lenina, z czerwca 1981 r.	252
Relacja Romana Detla, pracownika Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Gdańsku, z listopada 1981 r.	265
Relacja Czesława Siwka, pracownika radiowęzła zakładowego w Stoczni Gdańskiej, spisana pod koniec 1970 r. lub na początku 1971 r.	282
Relacja Edwarda Nowickiego, pracownika Stoczni Gdańskiej im. Lenina, z dnia 18.05.1981 r.....	295
Relacja Gontarczyk, pielęgniarki ze Szpitala Zakładowego Stoczni Gdańskiej im. Lenina, z września 1981 r.	301
Relacja Leszka Portycha, kierownika Chirurgii Urazowej Akademii Medycznej w Gdańsku, z lipca 1981 r.	304
Relacja Kazimierza Kuca, lekarza ze Szpitala Wojewódzkiego w Gdańsku, z dnia 28 września 1981 r.	313

str.

Relacja Anny Kowalczyk, sekretarki Chirurgii Urazowej Akademii Medycznej w Gdańsku, z września 1981 r.	316
Relacja lekarki z Zakładu Medycyny Sądowej, z października 1981 r.	320
Relacja lekarki z Zakładu Medycyny Sądowej, z października 1981 r.	322
Relacja Zdzisława Sikory, doc. Zakładu Politologii Politechniki Gdańskiej, z dnia 23.10.1981 r.	324
Relacja Tadeusza Mazowieckiego, redaktora naczelnego "Więzi" i posła na Sejm, z dnia 7.10.1981 r.	329
Relacja Zbigniewa Gryglewskiego, dyrektora Gdańskiej Stoczni Remontowej, z grudnia 1981 r.	332
Relacje NN, z października 1981 r.	342

Od redakcji:

W marcu 1981 r. powołano sekcję historyczną "Solidarności" w ramach Ośrodka Badań Społecznych MKZ w Gdańsku. Dwa miesiące później podobną placówkę utworzono w MKZ w Szczecinie. Sekcję gdańską tworzyli: Ewa Dering, Aleksander Klemp, Janusz Krupski /kierownik/, Wiesława Kwiatkowska i Jan Stepek. W Szczecinie na etacie historyka zatrudniono Krzysztofa Żurawskiego. Zadaniem tych historyków było zebranie, opracowanie i opublikowanie dokumentów i relacji dotyczących kryzysu zimowego 1970/71 w Polsce, potocznie określanego mianem "wydarzeń grudniowych na Wybrzeżu". W dalszej kolejności planowano opracowanie monografii tego kryzysu oraz innych kryzysów politycznych w Polsce Ludowej.

Sekcje historyczne nie zaczynały pracy od zera. Jeszcze przed sierpniem 1980 gromadzeniem materiałów "grudniowych" w Gdańsku zajmowali się a.in. członek KSS "KOR" Bogdan Borusewicz, działacze Ruchu Młodej Poleki oraz inne środowiska opozycji demokratycznej w Polsce. Od września 1980 r. w gdańskim MKZ zajmowali się tym Antoni Wręga i Joanna Wojciechowicz. Materiały przez nich zgromadzone trafiły następnie do Archiwum MKZ w Gdańsku i sekcji historycznej. Wspomnieć też wypada, że pracę etatowych pracowników sekcji z dużym poświęceniem wspierało kilkanaście osób z Gdańska i Szczecina, co było wyrazem dużego zainteresowania i poparcia społecznego dla tego przedsięwzięcia.

Wprowadzenie stanu wojennego w grudniu 1981 r. zakończyło działalność sekcji historycznych, materiały uległy rozproszению, a część z nich została przejęta przez SB. Materiały, które udało się uratować i zgromadzić, publikujemy poniżej. Jednocześnie wyrażamy podziękowanie wszystkim osobom, które materiały współtworzyły.

WPROWADZENIE

Przedmiotem niniejszej publikacji jest kryzys społeczno-polityczny, który miał miejsce w Polsce zimą 1970/71 r. Ramy chronologiczne tego kryzysu wyznaczają zasadniczo dwie daty: 13 grudnia 1970 - wprowadzenie w życie podwyżek cen żywności i 15 lutego 1971 - odwołanie tych podwyżek. Wypełniają je strajki i manifestacje robotników w miastach Wybrzeża - Gdańsku, Gdyni, Elblągu, Słupsku, Szczecinie, upadek ekipy W. Gomułki i przejęcie władzy przez E. Gierka, a następnie strajki styczniowe, głównie w Szczecinie i lutowe w Łodzi. Już te dane każą zrezygnować z ukutego przez oficjalną propagandę i znajdującego się w powszechnym obiegu, a pomniejszającego określenia "wydarzenia grudniowe na Wybrzeżu". Z kolei używając formuły "kryzys zimowy 1970/71" zastrzegamy, że 15 lutego nie jest ceszurą bezwzględną. Odwołanie podwyżek cen żywności kończy masowe wystąpienia protestujących robotników i oddala realną groźbę wybuchu strajku powszechnego w Polsce. Poza tą datą zostawiamy sporadyczne strajki i manifestacje ciągnące się do maja 1971 r., a także represje władz wobec robotniczych przywódców, które trwały jeszcze kilka lat.

Kryzys zimowy 1970/71 nie doczekał się, jak dotychczas, monografii historycznej ani w kraju, ani na emigracji. Zbyt krótki jest dystans czasowy i zbyt trudny dostęp do źródeł. W nielicznych publikacjach na ten temat przeważa podejście publicystyczne bądź dokumentacyjne. Opublikowana w 1982 r. w Instytucie Liobruckim w Paryżu książka Marka Tarniewskiego "13 dni Komitet" jest zarysem politycznej historii Polski w latach 1970-1981 i kryzysowi zimowemu 1970/71 poświęca jeden rozdział. Bardziej akcentuje polityczny wymiar kryzysu w aspekcie walki w łonie partii, mniej jego aspekt społeczny. Z kolei książka M.F. Bakowskiego "Przeailenie grudniowe", wydana w 1981 r., w całości poświęcona wydarzeniom

1970/71 r. jest książką polityczną i w takich kategoriach trzeba ją rozpatrywać i oceniać. Jak słusznie zauważa Andrzej Friszke w opublikowanej w nr 37/1981 "Tygodnika Solidarność" recenzji tej pracy "Rakowskiego interesuje /.../ przede wszystkim aparat władzy" i cały kryzys widzi w kategoriach atarć "na szczycie", a nie jako zjawisko społeczne. Wypada jeszcze zwrócić uwagę na dwa artykuły poświęcone wydarzeniom w Szczecinie. Pierwszy artykuł, Bolesława Sulika, był opublikowany w paryskiej "Kulturze" w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, powielony w 1976 r. w Lublinie, a w 1978 r. ukazał się jako pierwsza publikacja "Biblioteki Robotnika". B.Sulik nie miał ambicji naukowych, napisał tekst publicystyczny, w którym fakty zaistniałe w Szczecinie są tylko odskocznią do szerszych uogólnień natury politycznej. W numerze 3/1981 kwartalnika "Morze i Ziemia" ukazał się artykuł Andrzeja Głowackiego "Stanowisko władz wojewódzkich wobec wydarzeń grudniowo-styczniowych 1970/71 r. w Szczecinie". Ten krótki, oparty na niewielkiej liczbie źródeł - głównie prasy - szkic, jest godny wyróżnienia, ponieważ stanowi próbę historycznego, a nie publicystycznego podejścia do zagadnień.

Liczba publikacji zawierających wybory dokumentów i relacji jest znacznie większa. W 1971 roku w serii "Dokumenty" Instytutu Literackiego w Paryżu ukazała się książka Ewy Wacowskiej "Rewolta szczecińska i jej znaczenie". Najistotniejszą częścią tej pracy jest spisany z taśmy magnetofonowej zapis rozmów między przedstawicielami załogi "Warskiego" a przybyłymi do Stoczni przedstawicielami najwyższych władz z E.Gierkiem na czele, odbytej wieczorem i nocą z 24 na 25 stycznia 1971 r. Jest to źródło o kapitalnym znaczeniu dla badań kryzysu w Szczecinie oraz stoczków władza - społeczeństwo w PRL w ogóle. Zapis rozmów opatrzony jest komentarzami autorki, mającymi obecnie dla nas już mniejsze znaczenie. W 1981 r. w "Bibliotece Głosu" opublikowano dwie

książki poświęcone interesującemu nas zagadnieniu. Pierwsza, "Grudzień 70", zawiera wybór publicystyki z pism oficjalnych, m.in. Barbary Seidler z "Życia Literackiego" oraz kilka relacji: Edmunda Hulsza i "świadka szczecińskiego", a także kilka dokumentów, m.in. apel robotników gdyńskich "Do wszystkich krajów świata". Druga to "Relacja z drugiej strony" złożona przez żołnierza sił specjalnych. Zawiera ona jednak szereg faktów niewiarygodnych, więc i całość relacji należy traktować z ostrożnością. W tym samym roku w wydawnictwie "Gdańki Sierpień" ukazała się książka "Grudzień 1970. Wybór dokumentów Gdańsk - Gdynia - Elbląg". Zostały w niej opublikowane materiały pochodzące z archiwum sekcji historycznej MKZ w Gdańsku. Najciekawszym dokumentem tu zamieszczonym są Postulaty Pracowników ZZ Metalowców z grudnia 1970 r. Nieznana jest data spisania tych postulatów, prawdopodobnie już po świętach Bożego Narodzenia, niszczony jest też zespół autorów - można przypuszczać, że pochodzący z zakładów pracy Elbląga. Dobrze jest pamiętać o tych 82 postulatach, rozważając charakter roszczeń oraz świadomość polityczną i społeczną robotników. Kilka-naście z tych postulatów posiada charakter polityczny. Ponadto omawiana publikacja zawiera oświadczenia, skargi, wnioski o odszkodowanie dla ofiar Grudnia. Większość tych materiałów pochodzi z byłego archiwum WRZZ w Gdańsku. Wartościowe dokumenty relacyjne zawiera wspomniany numer "Ziemia i Morze", m.in. zapis dyskusji redakcyjnej z udziałem uczestników struktur strajkowych w Szczecinie, naukowców i publicystów. Interesujące materiały zawiera też numer 3/1981 "Samorządności" oraz grudniowe /1981/ numery "Tygodnika Solidarność" i "Jedności". Pozostała prasa związkowa i wydawnictwa przedrukowały wymienione wyżej materiały.

Okres istnienia "Solidarności" pozwolił zgromadzić znaczną liczbę źródeł do kryzysu zimowego 1970/71, które nie były dotąd publikowane.

W głównej mierze stanowiły one zasób archiwów MKZ w Gdańsku i Szczecinie, gromadzony i tworzony przez sekcje historyczne tych instytucji.

Przejdźmy z kolei do omówienia stworzonej tam bazy źródłowej i jej charakteru. Problem podstawowy, jaki się w tej mierze wyłonił, to oczywiście dostępność źródeł. Te, które kompetentnie mogły informować o mechanizmach podejmowania decyzji przez władze są skrzętnie ukrywane w archiwach MSW i PZPR. Osiągalny okazał się tylko nikły ich procent. Te źródła, które są dostępne dla historyka, mogą być przede wszystkim materiałem do badań nad świadomością społeczną w tym okresie, pozwalają jednak ustalić pewien zakres faktografii. Przeważają wśród nich źródła pisane. Podzielić je możemy na cztery grupy:

1. Dokumenty,
2. Relacje,
3. Prasa,
4. Źródła literackie.

Wszystkie typy źródeł /poza ostatnim/ należy podzielić ze względu na ich pochodzenie; tzn. bądź ze strony społeczeństwa, szczególnie grup bezpośrednio zaangażowanych w protest, bądź ze strony władz, różnej resztą szczebli. Źródeł pochodzących ze strony ówczesnych władz jest niewiele i prawie wszystkie były przeznaczone do szerokiego rozpowszechniania, głównie za pośrednictwem prasy lokalnej. W związku z tym ich wartość polega na możliwości ustalenia ówczesnej linii propagandowej władzy wobec zaistniałego kryzysu.

Dostępne źródła pochodzące od robotników są znacznie liczniejsze i różnorodniejsze. Obejmują one dokumenty wystawiane przez komitety strajkowe, relacje uczestników i świadków wydarzeń, petycje i skargi osób poszkodowanych.

Każy z wymienionych typów źródeł wymaga innej metody badawczej, postawienia różnych pytań. 1. Dokumenty, których autorem /zbiorowym/ jest szeroko rozumiany aparat władzy, mogą mieć dwójakie przeznaczenie: do użytku wewnętrznego lub do

ezerokiego rozpowszechnienia. Pierwszy z tych rodzajów jest bardzo trudno dostępny. Dokumenty wewnętrzne różnych instancji partyjnych czy resortów /głównie MSW i MON/ są w zasadzie niedostępne dla badaczy. Do tej kategorii należą różnego rodzaju rozporządzenia czy rozkazy sił porządkowych, jak również raporty czy informacje o przebiegu wydarzeń, przeznaczone dla wyższych instancji partyjnych. W naszym posiadaniu znalazły się cztery źródła tego typu. Dwa pierwsze to nagrania na taśmie magnetofonowej. Jedno nagranie, zrobione przez gdyńskiego krótkofalowca 17 grudnia w Gdyni, obejmuje nasłuch stanowisk obserwacji i dowodzenia. Trwa ono 6 godzin i obejmuje prawie cały "gdyński" czwartek. Drugie nagranie zostało zrobione przez krótkofalowca z Gdańska, stanowi zapis rozmów prowadzonych przez milicjantów, przebywających w Elblągu, z rodzinami w Gdańsku. Jest to interesujące ze względu na możliwość poznania świadomości ludzi, z dotarciem do których mieliśmy duże trudności. Dwa następne to teksty pisane: Protokół z posiedzenia Egzekutywy KM PZPR w Gdyni w dniu 23.01.1971; nieocensurowany tekst wystąpienia A.Karkoszki na VIII Plenum KC PZPR-- 6 lutego 1971 r.

Dokumenty szeroko rozpowszechnione przez oficjalne środki masowego przekazu /prasa, radio, tv/ są oczywiście łatwiej dostępne, ale i te, publikowane w radiu czy tv, stały się po 13 grudnia 1981 r. nieosiągalne dla badaczy spoza kręgu władzy. Łatwo dostępna została jedynie prasa, w której te dokumenty były publikowane. Przy analizie źródeł dokumentowo-aktowych, przeznaczonych do publikacji należy brać pod uwagę dwa zagadnienia, ujmujące podwójny cel, jaki mają do osiągnięcia:

- cel deklarowany przez autorów dokumentu,
- cel rzeczywisty, jaki wyznaczono im dzięki ezerokieму rozpowszechnieniu propagandowemu.

Dokumentem innym, nie mieszczącym się w dwóch omówionych wyżej grupach, jest "Postanowienie o umorzeniu dochodzenia w sprawie przeciwko Sta-

nisławowi Słodkowskiemu i in. podejrzanym o udział w okresie 11-13 stycznia 1971 r. w związku, którego istnienie, ustrój i cel miały pozostać tajemnicą wobec organów państwowych".

Dokumentów pochodzących ze strony robotników jest znacznie więcej i są one bardziej różnorodne. Po sierpniu 1980 r. uzyskaliśmy m.in. kilka zespołów dokumentów. Były to dokumenty "Grudzień 1970", przechowywane w archiwum WRZZ. Zawierały one kilkakaset skarg i próśb o zapomogi, kierowanych przez osoby poszkodowane w zajściach do WRZZ i innych instytucji. Stanowią one cenną faktografię, szczególnie w odniesieniu do Elbląga. Ponadto zespół ten zawiera niewielką liczbę postulatów zakładów pracy Wybrzeża, m.in. wspomniane już postulaty ZZ Metalowców. W Archiwum Zakładowym Gdańskiej Stoczni Remontowej zachował się zespół dokumentów strajkowych, głównie postulatów.

Gorszej natomiast przedstawia się sprawa z dokumentami pochodzącym ze Stoczni im.Lenina. W momencie opuszczania Stoczni, w nocy ze środy na czwartek 16/17 grudnia, za radą dyrektora S.Żaczka zniszczono większość materiałów. Uratowało się tylko kilka. Zniszczeniu uległa większość dokumentów Głównego Komitetu Strajkowego dla miasta Gdyni. W momencie pacyfikowania przez milicję Zakładowego Domu Kultury - siedziby Komitetu - robotnicy zniszczyli stworzone przez siebie dokumenty; część z nich została jednak przejęta przez SB. Kilka z nich dotarło później okreśną drogą do archiwum MKZ w Gdańsku. Są to m.in. "Protokół ustaleń" delegatów gdyńskich zakładów pracy z przewodniczącym MKN Janem Mariańskim. Ponadto "Ulotka" ze Stoczni im Komuny Paryskiej i "Odezwą Głównego Komitetu Strajkowego dla miasta Gdyni".

Bogaty zespół materiałów strajkowych znajduje się w Szczecinie. Najwięcej z nich pochodzi z "archiwum" zbranego przez osłonków KS Stoczni im.A.Warskiego. Zbiór ten obejmuje szeroki pod względem liczby i tematyki wachlarz dokumentów

stworzonych podczas strajku grudniowego w Stoczni w dniach 18-22 XII 1970 r. Znajdują się tam komunikaty informacyjno-porządkowe przeznaczone do wygłoszenia przez radiowęzeł stoczniowy, odezwy, ulotki, wykazy przedsiębiorstw uczestniczących w strajku i postulaty tychże przedsiębiorstw, przekazane do KS Stoczni przez delegatów przysłanych do Stoczni. Dokumenty te stanowią materiał o kapitalnym znaczeniu dla poznania mechanizmów podejmowania decyzji przez robotników oraz ówczesnego stanu świadomości społecznej autorów dokumentów i pośrednio całej załogi Stoczni. Wymagają one krytycznego opracowania, gdyż przeważnie nie są one ani datowane, ani podpisane. W przeważającej części są to rękopisy pisane ołówkiem lub długopisem na kartkach papieru różnego formatu i gatunku. Niewielka tylko ich część /głównie żądania i postulaty strajkowe/ pisana jest na maszynie, datowana czy podpisana. Dlatego też wykorzystanie tych dokumentów wymaga dużego nakładu pracy stricte źródłoznawczej.

Niewielka część dokumentów sygnowana jest przez obie strony grudniowo-styczniowego konfliktu. Należą do nich wspólne komunikaty, protokoły z zebrań, a przede wszystkim wspólne ustalenia dotyczące postulatów strajkowych, podpisane i przyjęte przez obie strony w dniu 20 grudnia 1970 r.

Ponadto dotarło do nas kilka dokumentów, które wychodziły poza przyjęty przez nas podział na strony konfliktu. Są to:

- /1/ Dwa teksty przekazane przez komandora porucznika dra Adama Kunerta:
 - a/ "Notatka z przebiegu pracy w punkcie pomocy lekarskiej w Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Gdyni w dniach 15-20.12.1970" /sporządzona w dniu zakończenia służby - - informacja od autora, w tekście brak daty/.
 - b/ List polemizujący z "Obrazem wydarzeń" ogłoszonym w "Głonie Wybrzeża".

/2/ Dwa dokumenty pochodzące z Archiwum Parafii NSPJ w Gdyni:

- a/ Informacja o nabożeństwie żałobnym odprawionym 21 grudnia 1970 r. przez ks. prałata Hilarego Jastaka w kościele NSPJ w Gdyni wraz ze szkicem kazania.
- b/ List Prymasa Polski, Stefana kardynała Wyszyńskiego do ks. prałata H. Jastaka z 15 lutego 1971 r. /otrzymało Archiwum MKZ w Gdańsku/.

Sekcja historyczna MKZ w Gdańsku otrzymała taśmę nagraną 17 grudnia około godziny 6 rano z okna przy ulicy Czerwonych Kosynierów w Gdyni. Po wysłuchaniu jej można się zorientować, jakie było nasilenie ognia. W pewnym momencie zaczyna się strzelanina ciągła, serie zasębiają się, strzela ciągle kilka pistoletów maszynowych. Słychać krzyki "Gestapo" i wycie karetek pogotowia. Nagranie trwa 10 minut. Tej taśmy w druku nie da się zaprezentować.

Ostatnią grupę dokumentów stanowią zdjęcia. Archiwa MKZ w Gdańsku i Szczecinie zgromadziły ich około 80. Są to zdjęcia z archiwów domowych, albumów rodzinnych. Robili je amatorzy. Uzyskano także zdjęcia od fotoreporterów i fotografików, część pochodzi z GAF. Większość z nich była już publikowana. Ciekawy jest niepublikowany dotąd zestaw kilkunastu zdjęć z demonstracji przed Politechniką Gdańską. Pokazuje on np. niezwykle spokojnych demonstrujących - starannie omijane przez tłum trawniki.

2. Relacje stanowiły największy zespół materiałów archiwum MKZ w Gdańsku i Szczecinie. Dysponujemy około 200 relacjami z Gdyni, Gdańska, Elbląga, Słupska, Szczecina i Łodzi. Zdecydowana ich większość powstała na zamówienie, po sierpniu 1960 r. W Szczecinie tylko jedna, nie publikowana dotąd, jest relacją autorską, napisaną wcześniej z potrzeby własnej, z wewnętrznej potrzeby świadczenia na rzecz historii. Więcej takich relacji po-

chodzi z Gdyni i Gdańska. Są to relacje: P.Prangi, T.Jaroszyńskiego, T.Drogosza, S.Budzyńskiego; oraz zespół pięciu relacji lekarskich: dwie zbiorowe - lekarzy ze Szpitala Miejskiego w Gdyni i Jorskiego w Redłowie oraz lekarza ze Szpitala Akademii Medycznej w Gdańsku, lekarza anestezjologa z Kliniki Ortopedycznej Szpitala Wojewódzkiego w Gdańsku, lekarza ortopedy ze Szpitala Wojewódzkiego w Gdańsku. Ponadto w grudniu 1979 r. nagrano rozmowę z udziałem Lecha Wałęsy i Andrzeja Gwiazdy na temat ich udziału w wydarzeniach grudnia 1970 roku. L.Wałęsa złożył wówczas obszerną relację.

Intencją osób zbierających relacje było dotarcie do świadków znajdujących się po obu stronach barykady. Udało się to w niewielkim stopniu, i to głównie w Gdyni. Złożyli tam relacje m.in. Michał Tymiński - dyrektor Stoczni im. Komuny Paryskiej, Jan Marjański - przewodniczący PWRM, Hugon Malinowski - I sekretarz KM PZPR w Gdyni, Zygmunt Hosiak - dyrektor Zarządu Portu Gdynia, Władysław Porzycki - I sekretarz KZ PZPR Stoczni im. Komuny Paryskiej i Ludwik Janczyszyn - dowódca Marynarki Wojennej. Jest też niewielka liczba relacji prokuratorów, milicjantów i żołnierzy. Niewiele relacji pochodzi od osób nie zaangażowanych bezpośrednio w konflikt - lekarzy, pielęgniarek, księży. Olbrzymia większość relacji pochodzi od robotników, często pełniących znaczące funkcje w strajkowych strukturach organizacyjnych.

Wszystkie nagrywane były na taśmę magnetofonową przez zamawiającego, a następnie przepisywane. Taki typ źródła wymaga wnikliwej i wielopłaszczyznowej analizy.

Powstawanie relacji na zamówienie sprawia, że pojawiają się zastrzeżenia do ich wiarygodności. Często bardzo trudno jest ustalić, jaka była wówczas, tzn. w grudniu 1970 r., rzeczywista rola autora w wydarzeniach, jakimi intencjami się wówczas kierował. Mimo to relacje są nieodzowną częścią materiału źródłowego potrzebnego do badań nad kryzysem zimowym i nie jest w stanie ich zas-

tąpić. Są one bowiem najlepszym i, mimo wszystko, najbardziej wiarygodnym źródłem do badań nad ówczesną świadomością uczestników wydarzeń, motywów ich postępowania. Zapełniają też, choć częściowo, lukę po niedostępnych źródłach archiwalnych, które byłyby pomocne w ustalaniu faktografii wydarzeń.

Jak już wspomniano, większość relacji była sporządzana po sierpniu 1980 r. Ma to duży wpływ na ich treść, ponieważ Sierpień zrewolucjonizował świadomość społeczeństwa, a co za tym idzie - także autorów relacji. Stanowił dla nich punkt odniesienia do oceny postaw czy działań z grudnia 1970 roku. Każdy z autorów, mniej czy bardziej świadomie, porównuje obie sytuacje, oba protesty, których był uczestnikiem czy świadkiem. Często nawet posługuje się mimowolnie słownictwem charakterystycznym dla Sierpnia czy dla okresu "Solidarności" przy nazywaniu faktów czy sytuacji grudniowych, np. w wypadku mówienia o doradcach komitetu strajkowego.

Pozm terminologią, doświadczenia Sierpnia zasadniczo wpływają na oceny samego sposobu prowadzenia strajku i rozmów z władzami oraz na ocenę postępowania najwyższych władz, a szczególnie Edwarda Gierka. Mają także spory wpływ na interpretację grudniowych postulatów strajkowych. Organizacja strajków sierpniowych stanowi dla autorów relacji pewien wzór. I tak np. szczecińscy stoczniowcy uważają za błędne takie decyzje grudniowe, jak zgoda na rozmowy z władzami poza terenem Stoczni czy brak zorganizowanego międzyzakładowego komitetu strajkowego. Co do oceny Gierka, to łatwo, jak się wydaje, i chętnie poddają jego osobę bardzo ostrej krytyce, interpretując już pierwsze jego decyzje czy słowa jako nieuczciwą grę polityczną. Krytycznie oceniają swe ówczesne "pomożemy", choć ton wypowiedzi świeżo postyczniowych, nawet tych publikowanych na emigracji, był dla Gierka znacznie przychylniejszy.

Podobnie w Szczecinie ma się rzecz z oceną postulatów grudniowych, zwłaszcza tych najwa-

niejszych, wspólnych dla Stoczni im. A. Warskiego i Stoczni Remontowej "Gryfia". Jak już wspomniano, pierwsze dwa żądania odnosiły się do CKZZ i utworzenia niezależnych związków zawodowych. Jest to dla wielu autorów, szczególnie członków komitetów strajkowych obu stoczni dowód, że już w grudniu 1970 r. idea NSZZ w Szczecinie funkcjonowała. Powszechna jest opinia, że były to postulaty najważniejsze wówczas, choć strajk styczniowy, jak się wydaje, udowodnił, że robotnikom chodziło przede wszystkim o odwołanie podwyżki cen.

Dając te przykłady nie mamy zamiaru oceniać autorów relacji, wyrokować, czy słusznie oceniają oni strajk grudniowy czy nie. Chodzi jedynie o wykazanie, że punktem odniesienia dla wielu z nich są doświadczenia Sierpnia.

3. Prasa została tu wydzielona jako osobny zespół źródeł, choć zawiera ona często także dokumenty, których autorami są organa władzy. Należy ją jednak traktować jako całość, a nie zbiór pojedynczych tekstów mówiących, mniej czy więcej, o interesujących nas wydarzeniach. Spełniała ona bowiem swą rolę propagandową właśnie jako całość. Szczególną rolę odgrywały dzienniki, które poza radiem i tv są najczęstszym i najszerzej oddziaływającym kanałem przekazywania treści propagandowych. Propaganda uprawiana za pośrednictwem dzienników spełnia zadania bieżące, instruktażowe i wynika z naturalnych potrzeb walki politycznej. W tego rodzaju oddziaływaniu "na krótką metę" większą rolę odgrywa ocena aktualnych wydarzeń, mniejszą zaś sama informacja o faktach. Stąd też w dziennikach ówczesnych mało podawano informacji o faktach, a często oceniano i interpretowano fakty skądinąd powszechnie znane społeczeństwu.

Dla Wybrzeża Gdańskiego i Słupska zasadniczą rolę odgrywa analiza dzienników lokalnych: "Głos Wybrzeża" - organu KW PZPR i "Dziennika Bałtyckiego" - wychodzących rano, oraz popołudniówki

"Wieczór Wybrzeża". Dla Szczecina "Głosu Szczecińskiego" organu KW PZPR wychodzącego rano, oraz "Kurieru Szczecińskiego" - wychodzącego po południu. Gazety te mają do spełnienia konkretne zadania propagandowe, a całość propagandowych zamierzeń można zrekonstruować dopiero na podstawie analizy łącznej wszystkich dzienników wychodzących w danym mieście.

Istotną rolę odgrywały też czasopisma zakładowe wydawane przy niektórych większych zakładach pracy, tygodniki lokalne /"Litera", "7-my Głos Tygodnia"/ czy gazety centralnie kolportowane w całym kraju - głównie "Trybuna Ludu" i "Życie Warszawy".

Każdy z wymienionych gatunków piśmiennictwa spełnia określone, właściwe dla swego charakteru i kręgu odbiorców funkcje.

Stąd wynika zakres przydatności prasy do badań nad Grudniem 70. Możemy na jej podstawie wysunąć wnioski co do ówczesnej linii propagandowej władz, co do tego, jaki obraz wydarzeń chciały one społeczeństwu narzucić, jakie postawy i zachowania wywołać. W tym kontekście szczególną uwagę zwraca "Obraz Wydarzeń", opublikowany w "Głosie Wybrzeża" z 28 XII 1970 r. Ponieważ, jak dotąd, był jedynym "obrazem wydarzeń", przytaczano go często w źródłach niezależnych. Przypadałoby zatem, że tekst ten pod względem dziennikarskim jest zrobiony dobrze. Poprawny na ogół, jeżeli chodzi o chronologię, w sposób tendencyjny zestawia fakty i oświetla je. Jego głównym zadaniem jest wykazanie anarchizacji ruchu robotniczego, wypłbrzenia ról i udział ludzi z marginesu społecznego oraz mitycznych "inpiratorów". Oczywiście jest, że artykuł w całej pełni broni postępowania przedstawicieli władz, milicji i wojska, jest więc obrazem czarno-białym.

4. Źródła literackie. Do tego typu źródeł zaliczyć należy przede wszystkim wiersze i piosenki grudniowe. Są to najczęściej utwory anonimowe, powstałe "na ulicy" jako odbicie ówczesnych nastrojów

i emocji charakterystycznych dla świadomości masowej. Do tej pory dwie osoby podnosiły wagę tzw. poezji grudniowej dla badania świadomości społecznej mieszkańców miast objętych strajkami. Pierwszą z nich jest Leszek Budrewicz, który m.in. zamieścił na ten temat artykuł "Nasza kultura naszą własnością" w "Solidarności Dolnośląskiej", drugą - Beata Kubiszyn-Puka, autorka artykułu "Pora przyływu, gniewu pora..." opublikowanego w tygodniku "Czas". Oboje zwracają uwagę na walory tego typu źródeł literackich i widzą konieczność ich naukowego opracowania.

Utworów tych udało się zebrać około 60. Siemdem z nich powstało w Szczecinie, pozostałe na Wybrzeżu Gdańskim. W praktyce, wszystkie znane nam teksty krążyły po całym Wybrzeżu. W Szczecinie krążyły przeróbki tekstów gdyńskich czy gdańskich, a w Trójmieście przyjmowały się "importowane" ze Szczecina i były uważane za własne.

Teksty piosenek dorobione są najczęściej do bardzo znanych i popularnych melodii ówczesnych przebojów /np. "Jadą wozy kolorowe" czy "Wszystkich dziś oiekawość budzi"/, do melodii kolęd, z racji zbliżających się świąt /np. "Chrystus się rodzi"/ czy piosenek z okupacji /"Dziś do ciebie przyjść nie mogę", "Siekiera, motyka" czy "Dnia 1 września roku pamiętnego"/.

Melodie, wywołując odpowiednie skojarzenia, nadawały swoisty klimat tym utworom.

Większość wierszy i piosenek grudniowych zaliczyć można do utworów satyrycznych. Nie pierwszy to wówczas - i nie ostatni - raz społeczeństwo polskie w obliczu gwałtu i przemocy ratowało swą równowagę psychiczną śmiechem, ironią i szyderstwem. Tylko kilka utworów zawiera w sobie patos i grozę. Zaliczyć do nich można znaną "Balladę o Janku Wiéniswskim".

Robotnicze relacje, wiersze, piosenki czy postulaty stanowią też odbicie wielu stereotypów i mitów funkcjonujących w społeczeństwie polskim.

W źródłach możemy wyróżnić dwa rodzaje stereotypów:

1. Powstałe przed Grudniem '70 i odnoszące się do całego okresu PRL - np. stereotyp władzy, partii, wojska itp.
2. Powstałe w Grudniu '70 i odnoszące się jedynie do ówczesnej sytuacji i późniejszych dziejów PRL - np. stereotyp milicjanta, stocznio-wca, Wybrzeża itp.

Ze stereotypami łączą się powszechnie przyjęte sposoby interpretowania wydarzeń czy zjawisk społecznych. Mogą na nie wpływać różne, często sprzeczne ze sobą czynniki, np. nieufność wobec władz i podatność na propagandę władzy. Oto kilka przykładów:

- A. Personifikacja decyzji politycznych - wszelkie decyzje podejmowane przez organa władzy przypisywane są konkretnej, jednej osobie, najczęściej formalnemu zwierzchnikowi. Przykłady: wydanie decyzji o użyciu broni, jako że zawarte jest w Uchwale Rady Ministrów, opinia społeczna przypisywała Cyrankiewiczowi i on w świadomości masowej jest za nią odpowiedzialny; zmiana kursu po VII Plenum KC, szczególnie w piosenkach przypisywana jest Gierkowi itd. Jest to, jak się wydaje, sposób myślenia charakterystyczny dla społeczeństw rządzonych niedemokratycznie.
- B. Różnica w ocenie działalności milicji i wojska - konsekwentnie występuje rozróżnienie między postawą milicji, która oceniana jest bardzo negatywnie, a postawą wojska ocenianego pozytywnie. Rozróżnienie to jest właściwe także dla innych wypadków starć ulicznych w PRL, w których wojsko brało udział, np. w 1956 r. w Poznaniu. Wiąże się to z tradycyjnym przywiązaniem Polaków do munduru wojskowego. Stereotyp wojska, jako sojusznika ludu był zresztą i wówczas, i potem wykorzystywany, a nawet lansowany przez władze /szczególnie przez MON/.

Przykłady: powszechne przeświadczenie, że w starciach z robotnikami brała udział tylko milicja, która przebierała się w mundury wojskowe; powszechne mniemanie, że wojsko nie użyło broni przeciwko demonstrantom.

C. Opinie na temat bardzo wysokiego poziomu życia władzy /aparatu partyjnego i funkcjonariuszy MO/ - spowodowane są przeświadczeniem o wysysku społeczeństwa przez władzę oraz ukrywaniem rzeczywistych dochodów jej funkcjonariuszy. Przykłady: liczne postulaty strajkowe domagające się ujawnienia dochodów funkcjonariuszy aparatu władzy lub zrównania tych dochodów ze średnimi dochodami pracowniczymi.

D. Podział uczestników zajęć ulicznych na robotników - nie mających nic wspólnego z zniszczeniami, oraz na chuliganów - sprawców tych zniszczeń. Mechanizm powstania tego stereotypu był, jak się wydaje, dwojaki. Z jednej strony jest on wynikiem wprowadzenia tego rozróżnienia przez propagandę władzy, co było podyktowane względami ideologicznymi. Z drugiej strony miał na to wpływ powszechny pogląd, że akty niszczycielskie były prowokowane przez władzę w celu uzasadnienia siłowego rozwiązania konfliktu.

Przykłady: występujące w wielu rezolucjach i postulatach odcinanie się robotników od "aktów wandalizmu", żądania nie nazywania robotników chuliganami przez środki masowego przekazu.

Wybór źródeł

Żadne z przedstawionych niżej źródeł nie było do tej pory publikowane. Jest to zasadnicze kryterium ich doboru przy obecnej publikacji. Wyjątek stanowi lista postulatów grudniowych wspólnych dla Stoczni im. A. Warskiego i Stoczni Remontowej "Cryfia". Odejście od reguły podyktowane jest w tym wypadku znaczeniem dokumentu oraz fak-

tem, że wiele innych źródeł powołuje się na jego treść, nawiązuje do niego. Odnosi się to przede wszystkim do wspólnych ustaleń kończących negocjacje nad tymi właśnie postulatami.

Staraliśmy się przytoczyć źródła reprezentatywne dla większych zespołów, a jednocześnie oddające ówczesny nastrój ulicy i okupowanych przez załogi zakładów pracy. Nie wybieraliśmy źródeł "najlepszych" pod względem stopnia ich opracowania. W naszym zamierzeniu publikacja ta ma służyć ich krytyce. Badaczy czeka jeszcze ogrom pracy przy ich analizie i wykorzystaniu do badań.

Prezentowane niżej dokumenty i relacje stanowią większą część zespołu źródeł, które ocalały po 13 grudnia 1981 r. Przy tej okazji odnotować należy utratę następujących materiałów:

1. **D o k u m e n t y** : nagranie rozmów milicjantów przebywających w Elblągu z rodzinami w Gdańsku, materiały ze Stoczni Gdańskiej oraz "Pozostawienie o umorzeniu dochodzenia w sprawie przeciwko Stanisławowi Słodkowskiemu i in. podszytym o udział w okresie 11-13 stycznia 1971 r. w związku, którego istnienie, ustrój i cel miały pozostać tajemnicą wobec organów państwowych".
2. **R e l a c j e** : m.in. L.Wałęsy, A.Gwiazdy, autoryzowane wypowiedzi Michała Tymińskiego - dyrektora Stoczni im. Komuny Paryskiej i Jana Mariańskiego - przewodniczącego PMRN w Gdyni, nieautoryzowaną wypowiedź adm. Ludwika Jannyszyna - dowódcy Marynarki Wojennej, zespołowe relacje lekarzy Szpitala Miejskiego w Gdyni i Morskiego w Redłowie, relacje ze Słupska i Elbląga. Relacja ze Szpitala Miejskiego w Gdyni zawierała m.in. informacje o 12-13-letnim chłopcu, który zmarł dnia 22 grudnia, w pięć dni po odniesieniu ran postrzałowych na ulicach Gdyni. Nazwiska chłopca nie udało się ustalić. Dzisiaj jest to z oczywistych względów jeszcze trudniejsze niż przed 13 XII 1981 r.

Zaginęła również lista zawierająca dane osobiste osób składających relacje /imię, nazwisko, zawód lub funkcja wykonywana w grudniu 1970, ew. inne/. Brak ten udało się tylko w pewnym stopniu odtworzyć /głównie nazwiska/ i jest to zauważalne w tej publikacji.

Część relacji była anonimowa. Większość dokumentów została wcześniej krytycznie opracowana i opatrzona przypisami - w takiej formie je publikujemy. Pozostałe dokumenty i relacje stanowią zbyt duży materiał, by w dzisiejszych warunkach możliwe było jego krytyczne opracowanie i wydanie.

Dokumenty publikujemy według układu terytorialnego, a w jego ramach zaznaczamy podział na strony konfliktu: władza, robotnicy i inne /kościół, lekarze/. Według podobnego układu publikujemy relacje.

Z Wybrzeża Gdańskiego zachowały się głównie dokumenty gdyniackie. Stanowią one materiał bardzo niejednorodny.

I. Ze strony władzy pochodzą dwa dokumenty:

1. Spisane z taśmy magnetofonowej nagrania rozmów prowadzonych przez ludzi będących na stanowiskach obserwacyjnych i w punktach dowodzenia w dniu 17 grudnia w Gdyni. To nagranie trwa około 6 godzin i obejmuje w zasadzie cały czwartek w Gdyni. Rejestruje ono meldunki o posuwaniu się demonstrantów, ich reakcjach, o zachowaniu się sił porządkowych i natężeniu strzelaniny. Zawiera też rozkazy i instrukcje dla sił porządkowych. Jest to materiał niezwykle wartościowy. Pozwala m.in. ustalić dokładną chronologię wydarzeń w Gdyni, faktografię zajść. Na podstawie tego nagrania wiele można powiedzieć o mentalności ludzi znajdujących się w punktach dowodzenia i na stanowiskach obserwacyjnych. Rozmowy przepisane z taśmy zajmują 150 stron tekstu w układzie dialogowym. Przedrukować w cało-

ści nie jesteśmy w stanie. Dlatego publikujemy wybór fragmentów, naszym zdaniem najbardziej interesujących.

2. Protokół z posiedzenia Egzekutywy Komitetu Miejskiego PZPR w Gdyni w dniu 23.03.1971 r. Posiedzenie poświęcono przeprowadzeniu zmian personalnych w KM, a głównie ustąpieniu dotychczasowego I sekretarza Hugona Malinowskiego. Decyzją nadrzędnych, a anonimowych władz partyjnych zcetał on "rzucony na pożarcie" społeczeństwu, nadal niespokojnemu i buntującemu się oraz domagającemu się wskazania i ukarania winnych masakry grudniowej. Komitet Miejski tę decyzję ma zatwierdzić. Kwestia faktycznej odpowiedzialności H.Malinowskiego staje się problemem drugorzędny, który może niepokoić niektórych jego towarzyszy, ale i tak realnego wpływu na tę decyzję nie ma.

II. Ze strony robotników pochodzą 3 dokumenty:

1. "Protokół ustaleń..." między delegatami robotniczymi i Janem Mariańskim podpisany w Gdyni 15 XII 1970 r.
2. Ulotka ze Stoczni im.Komuny Paryskiej.
3. "Odezwa Głównego Komitetu Strajkowego dla Miasta Gdyni".

III. Dokumenty kościelne:

1. List Prymasa Polski, Stefana kardynała Wyszyńskiego do ks. prałata H.Jastaka z 15 lutego 1971 r. Jest to odpowiedź ks.Prymasa na list ks. H.Jastaka, dotyczący strajków i ich pacyfikacji przez władze. Odpowiedź ks. Prymasa zawiera wyrazy poparcia wobec robotników oraz zdecydowane, ohcchiał utrzymane w tonie wetrzeźliwym, potępienie metod stosowanych przez władze i ideologii, którą się kierują.

Z Gdańska zachowały się tylko dwa dokumenty: "Protokół z ogólnego zebrania załogi Fabryki Urządzeń Okrętowych "Techmet" w Pruszczu Gdańskim

z dnia 21.01.1971 r." i "Zapis spotkania atocznio-
wców z tow. Gierkiem w dniu 25 stycznia 1971 r."

W wypadku Szczecina mamy do czynienia ze zbior-
em dokumentów bardziej ujednoczonym i kompletnym.
Dokumenty te dzielimy na trzy grupy:

1. Apelle ze strony władz /wyjątkowo zamieściliśmy
tutaj dokumenty publikowane w prasie, po to,
by prześledzić tok propagandy władz w ciągu obu
miesiący strajkowych - grudnia i stycznia -
w Szczecinie/.
2. Dokumenty ze strony robotników.
3. Wspólne dla obu stron konfliktu - ustalenie
między przedstawicielami władz i strajkujących
z 20 grudnia.

A p e l e z e s t r o n y w ł a d z

Wybraliśmy tu osiem apeli rozpowszechnionych
w formie ulotek. Momentem decydującym dla propa-
gandy władz w tym czasie jest VII Plenum KC, któ-
re odbyło się 20 grudnia 1970 r. Możemy wyróżnić
dwa zasadnicze sposoby argumentowania: pierwszy
przed Plenum, drugi po nim. Ekipa W.Gomułki kła-
dzie nacisk przede wszystkim na dwa zagadnienia -
- konieczność potępienia chuliganów, będących
aprawcami zniszczeń, jako atanowiących zagrożenie
dla życia społecznego w ogóle oraz na czujność
wobec "wrogów ojczyzny", którzy wypadki w Szczę-
cinie wykorzystują w celu podważania polskości
miasta. Kładąc nacisk na ogrom zniszczeń w mie-
ście, rysując groźne i odrażające sylwetki "roz-
wydrzonych wyromtków", a jednocześnie ostrzega-
jąc przed "wrogami polskiego Szczecina" kryjący-
mi się za plecami nieświadomych robotników, pro-
pagandyści chcą wykazać, że jedynie odpowiedzial-
ną i patriotyczną może być postawa posłuszeństwa
władzom, ich nakazom i wezwaniom. Charakterysty-
czne w tym okresie jest sugerowanie, że przyczy-
ną wystąpień robotniczych była prowokacja tajem-
niczych, bliżej nie sprecyzowanych sił, którym
dają naiwnie poełuch "zdezorientowani, ale ucz-

ciwi ludzie”.

Po 20 grudnia argumentacja ulega pewnym zmianom. "Prowokacyjna" teoria genezy protestu ustępuje miejsca deklaracji zrozumienia motywów, które ekłoniły robotników do przzerwiania pracy. E.Gierek w swoim przemówieniu na VII Plenum daje, choć bardzo ostrożnie, nową wykładnię interpretacyjną wydarzeń, wskazując jako ich przyczyny błędy poprzedniego kierownictwa. Strajki są usprawiedliwione, ale tylko te sprzed zmiany ekipy. Po Plenum i po zmianach personalnych przyczyny, dla których robotnicy rozpoczęli protest znikły.

Strajki trwające po 20 grudnia zostały wówczas potępione jako noszące charakter polityczny, "przeciwko polityce nowego kierownictwa Partii i Władzy Ludowej".

Argumentem nowych władz przemawiającym za przzerwianiem atrajków jest konieczność poparcia nowego kierownictwa. Uczestników trwających nadal protestów oskarża się o wrogą działalność polityczną, czego przecież komitety strajkowe tak bardzo chciały uniknąć.

Konieczność poparcia Gierka i jego "nowej linii" jest również naczelnym argumentem w apelach kierowanych do robotników podczas strajku styczniowego. Dochodzi do tego oskarżenie strajkujących o uniemożliwienie wprowadzenia w życie postulatów robotniczych przyjętych wcześniej przez władze.

5 apeli odnosi się do strajku grudniowego, 3 do styczniowego. Trzy pierwsze z podanych niżej były publikowane także w pranie lokalnej w dniach 18-19 grudnia 1970 r. Dwa dalsze, adresowane do pracowników portu szczecińskiego, zostały jedynie powielone w nakładzie około 500 egzemplarzy i rozpowszechnione w czasie strajku wśród załóg ZPS. Odszwa ministra J.Szopy pod tytułem "Robotnicy Portu Szczecińskiego" sporządzona tuż przed jego spotkaniem z komitetem strajkowym przyczyniła się do zakończenia strajku w Porcie w nocy z 21 na 22 grudnia /por. relację J.Piłasiewicza/. Trzy oeta-

tnie apele pochodzą ze stycznia 1971 r. i związane są z zakrojonymi na szeroką skalę działaniami propagandowymi kierowanymi przez wicepremiera F.Kaima.

Dokumenty pochodzące ze strony robotników

Zachowało się stosunkowo dużo dokumentów pochodzących od komitetów strajkowych. Stwierdzenie to odnosi się jednak głównie do Komitetu Strajkowego Stoczni im. A.Warskiego, skąd pochodzi ponad 80% dostępnych źródeł tego typu. W związku z tym takie proporcje zostaną zachowane w publikowanym wyborze.

Dokumenty zostały przedstawione w pewnym porządku tematyczno-chronologicznym. Wyróżniliśmy następujące typy tych dokumentów:

1. Komunikaty informacyjne - nadawane przez KS Stoczni im. A.Warskiego za pośrednictwem radiowęzła zakładowego.
Odnoszą się one do następujących zagadnień:
 - a/ organizacji życia załogi w okupowanym zakładzie /wyżywienia, organizacji władz strajkowych, formułowania postulatów, zaleceń porządkowych itp./,
 - b/ zagrożeń ze strony sił porządkowych /są to komunikaty przeznaczone przede wszystkim dla służb porządkowych/,
 - c/ rozmów delegacji robotniczych z władzami, w tym z komisją władz wojewódzkich w dniach 19 i 20 XII oraz z dyrektorem Stoczni i dyrektorem Zjednoczenia Przemysłu Okrętowego w dniach 21 i 22 XII,
 - d/ stosunków wzajemnych strajkującej stoczni i miasta /są to podziękowania za poparcie i informacje o sytuacji w mieście/,
 - e/ zakończenia strajku grudniowego /komunikaty z dni 21 i 22 XII/.
2. Odezwy i apele Komitetów Strajkowych Stoczni im. A.Warskiego i "Cryfia" do mieszkańców mias-

- ta, do milicji i wojska. Stanowią one próbę odpowiedzi na propagandę partyjną, mają wyjaśnić cele strajku.
3. Postulaty i rezolucje niektórych zakładów pracy Szczecina pochodzące z okresu strajku grudniowego.
 4. Ustalenia kończące negocjacje między przedstawicielami atrajkujących robotników z delegacją władz wojewódzkich z 20 XII wraz z protokołem posiedzenia. Punktem wyjścia w negocjacjach były wspólne żądania Stoczni im. A. Warakiego i "Gryfii".

Dokumenty niżej przedstawię wymagają ustalenia podatawowych danych co do czasu i autorstwa. W olbrzymiej większości są to rękopisy nie datowane i nie podpisane imiennie. Wiadomo jedynie, że zbiorowym ich autorem jest krąg osób tworzących Komitet Strajkowy Stoczni im. A. Warakiego, i że powstały w czasie strajku grudniowego. Osobnym zagadnieniem jest to, czy zostały one wygłoszone przez radiowęzeł i tym samym były znane sąłodze, czy też z jakichś powodów ich ogłoszenie zostało wstrzymane. Wiadomo na pewno, że w kilku przypadkach komunikaty przeznaczone do ogłoszenia nie wyszły spoza kręgu autorów. Pewną wskazówką może być tu fakt dopisywania na większości komunikatów godziny. Dopiski te uczynione inną ręką niż tekst właściwy mogą wskazywać godzinę nadania przez radiowęzeł. Kwestia datacji dziennej w tych wypadkach, kiedy nie sposób jej określić na podstawie treści źródła, pozostaje jednak nadal otwarta. W miarę obecnej wiedzy autorzy starali się przedstawić poszczególne typy dokumentów w kolejności chronologicznej.

1. Komunikaty informacyjne

Źródła tego typu stanowią zdecydowaną większość dokumentów powstałych w Stoczni im. A. Warskiego w czasie atrajku grudniowego. Takie w niniejszym wyborze będą one dominowały liczbowo. Wygłaszanie ich za pośrednictwem radiowęzła zakładowego, którego głośniki rozstawione były na całym, olbrzymim

terenie Stoczni, było podstawowym sposobem przekazywania informacji załodze przez przywódców strajku obok konsultacji z trójkami /piątkami/ wydziałowymi. Odbiorcami komunikatów byli też zgromadzeni przy bramach i płotach w ciągu dnia mieszkańcy miasta.

Fakt ten, biorąc w dodatku pod uwagę izolację miasta od zakładu przez milicję i wojsko oraz próżnię informacyjną w środkach masowego przekazu na temat aktualnej sytuacji na Wybrzeżu, świadczy o roli, jaką w sytuacji strajku odgrywał radiowęzeł jako kanał masowego komunikowania. Rozwinięcie tego problemu jest możliwe po szczegółowych badaniach w tym zakresie. Tu pozwolimy sobie tylko zwrócić nań uwagę czytelników zapoznających się z poszczególnymi komunikatami.

Różnorodność tematyczna komunikatów jest olbrzymia. Poruszają wszystkie aspekty życia załogi w okupowanym zakładzie. Podział, jaki został wyżej zaproponowany z pewnością nie jest jedynym możliwym. Wyróżnia on głównie problemy przewijające się przez cały zbiór udostępnionych dokumentów od początku strajku okupacyjnego, tj. jego fazy organizacyjnej, poprzez okres prowadzenia negocjacji aż po zakończenie. Sporo miejsca zajmują komunikaty mówiące o zagrożeniach ze strony sił porządkowych, przeznaczone głównie dla służb wartowniczych w Stoczni. Pozwalają one wczuć się niejako w pełną niepewność atmosferę tamtych dni.

2. Odezwy i apele

Ten typ środków dotyczących protestu robotników da się najbardziej porównać do apeli pochodzących ze strony władzy. Podobna jest ich struktura oraz cel: wezwanie adresata do pożądaných przez nadawcę /przywódców strajkowych/ działań czy zachowań. Podobnie jak apele ze strony władz można je rozpatrywać jako komunikaty propagandowe, w których wyróżniamy: informację /fakty i oceny/ oraz apel /argumenty i wezwania/.

Przytoczymy poniżej 3 zachowane odezwy wydane przez oba komitety strajkowe wiodących stoczni. Każda z nich kierowana jest do innego odbiorcy: do mieszkańców Szczecina, do żołnierzy oraz do Komendy MO. Każda z odezwy została przekazana odbiorcy w inny sposób. Różny był też zapewne ich rezonans społeczny w środowiskach, do których były adresowane.

Najszerzej rozpowszechniona została odezwa do obywateli Szczecina, która - jako chyba jedyny tekst strajkowy - wydrukowana została w formie ulotki i rozrzucona na ulicach miasta. Brak jednak dokładnej informacji o zakładzie, w którym ta ulotka została powielona. O sposobie jej rozpowszechniania mówi relacja ze Stoczni "Warekiego".

Odezwa do Komendy MO została sporządzona jedynie w rękopisie i przekazana telefonicznie milicji. Prawdopodobnie mógł ją odebrać oficer dyżurny. Pragmatyka służbowa MO dowodzi, że mogło być z nią zaznajomione co najwyżej dowództwo Komendy Wojewódzkiej.

Ostatni apel adresowany jest do żołnierzy LWP. Zachował się w maszynopiśmie. O wytoczeniu go i formie rozpowszechniania wspomina także relacja z "Warskiego". Jak z niej wynika, zasięg jego znajomości wśród żołnierzy nie mógł być duży.

Wszystkie teksty miały być, w intencji nadawcy, odpowiedzią na obraz sytuacji w Stoczni lansowany przez propagandę władzy. Można więc nazwać ich rozpowszechnianie kontrpropagandą. Ich zadaniem było przede wszystkim przedstawienie prawdziwej sytuacji w strajkujących zakładach, celów strajku oraz wezwanie nie tyle do poparcia, ile do nie szkodzenia strajkującym robotnikom.

Analizując treść przytoczonych poniżej apeli zauważamy, że ten, który został skierowany do mieszkańców miasta różni się zasadniczo od pozostałych. Inna jest zaobserwowana w nim selekcja

podanych faktów, inne wezwania i argumenty. Społeczeństwo miasta to przecież, w przeciwieństwie do milicji i wojska, tworzących siły porządkowe, potencjalny, a nawet często efektywny sojusznik strajkujących. Tekst ulotki do obywateli Szczecina nie zawiera wyjaśnienia celów strajku ani deklaracji politycznych. Te musiały być widocznie odbiorcom znane bądź w każdym razie niepotrzebne. Intencją tekstu jest uspokojenie nastrojów społecznych, aby nie dopuścić do ponownych i, jak się okazało, zbyt kosztownych rozruchów.

Dwa pozostałe apele są do siebie podobne, choć widoczna jest w nich różnica stosunku robotników do milicji - z którą można się ułożyć, zawrzeć rozejm jak z przeciwnikiem, oraz do żołnierzy, z którymi można się porozumieć, oś im wyjaśnić, traktować jako swoich.

3. Postulaty i rezolucje

Postulaty są podstawowymi i najczęściej spotykanymi dokumentami strajkowymi. Stanowią też główne źródło do poznania celów strajku i najważniejszych dążeń strajkujących. W grudniu 1970 r. postulaty episywane były przez ogromną część załóg Szczecina i regionu, tak strajkujących, jak i solidaryzujących się z akcją strajkową bez przerwania pracy.

Mamy dostęp do około 100 dokumentów tego typu z okresu strajku grudniowego. Wybraliśmy tu jedynie kilka najbardziej typowych i charakterystycznych. Najwcześniejsza chronologicznie lista żądań pochodzi z obu szczecińskich stoczni. Powstała już 18 grudnia lub najpóźniej w nocy z 18 na 19 grudnia i stała się pierwowzorem przeważającej części podobnych dokumentów powstających w innych zakładach miasta i województwa. W związku z tym możemy wyróżnić dwa zasadnicze sposoby redagowania postulatów na podstawie liaty żądań stoczniowych. Spotykamy wyliczenie tych samych czy też bardzo podobnych żądań bądź też postulaty własne opatrzone zastrzeżeniem na początku tekstu o poparciu żądań stoczniowych.

Żądania obu stoczni, jak już stwierdzono, były podstawowym materiałem w negocjacjach z władzami wojewódzkimi z 19 i 20 grudnia. Dzięki temu łatwo możemy porównać oba teksty - materiał wyjściowy i końcowy - i zauważyć, jak niewiele z tego, co żądano zostało zaakceptowane.

W powstających w wielu zakładach pracy Szczecina postulatach i rezolucjach, wyrażających poparcie dla strajkujących stoczniowców, można dostrzec jeszcze jedno - bardzo istotne wówczas - przeświadczenie ich autorów. Jest nim pewność, że stoczniowcy są wyrazicielami interesów całej klasy robotniczej Szczecina i całego społeczeństwa.

4. Ustalenia

Ustalenia są wspólnym dokumentem dla obu stron konfliktu. Dla szczecińskiego Grudnia istnieje, jak się wydaje, jeden taki dokument, który wraz z dołączonym doń protokołem przytaczamy niżej. Jest on wynikiem negocjacji robotniczo-partyjnych z 19 i 20 grudnia i powstał na podstawie żądań obu wiodących stoczni.

Ustalenia te były próbą kompromisu między władzą a robotnikami, tak jak to było w wypadku "Protokołu ustaleń" w Gdyni, kompromisu - jak się okazało - nieudanego. Mimo ich podpisania nie zakończył się strajk; nie polepszyła się także atmosfera społeczno-polityczna w Szczecinie. O przyczynie takiego stanu rzeczy była mowa powyżej. Faktem jest, że zostały martwą literą. Na temat ich powstawania i dalszych losów mówią w swych relacjach z SSR "Gryfia" - Gadomski, z "Warskiego" - Kasprzycki i Dopierała.

Ponadto publikujemy Kalendarium wydarzeń na Wybrzeżu i w Łodzi grudzień 1970 - luty 1971 oraz fragment wywiadu, udzielonego tygodnikowi "Czas" w grudniu 1981 r., przez pracowników Sekcji Historycznej MKZ w Gdańsku.

KALENDARIUM WYDARZEŃ NA WYBRZEŻU I W ŁODZI grudzień 1970 – luty 1971

11 grudnia - piątek

Warszawa

Biuro Polityczne KC PZPR zatwierdziło uchwałę Rady Ministrów o zmianie cen detalicznych i skierowało w tej sprawie list do podetatowych organizacji partyjnych w całym kraju. Wątpliwości co do słuszności uchwały zgłosił jedynie Stefan Jędrychowski. Projekt Gomułki mieli poprzeć E.Gierek i J.Cyrankiewicz. Ten ostatni zaproponował wprowadzenie podwyżki cen przed świętami Bożego Narodzenia. Zapowiedziana podwyżka cen miała objąć 45 grup towarów o podstawowym znaczeniu. Podniesione zostały ceny mięsa i przetworów mięsnych /średnio o 17,6%/, mąki żytniej i pszennej /o 16,6%/, ryb i przetworów rybnych /średnio o 11,7%/, powideł, marmolady i dżemów /o 36,2%/, kaszy jęczmiennej /o 31%/, kaszy manny /o 23%/, makaronu /o 15,3%/, a także niektórych innych produktów spożywczych. Jednocześnie drożały niektóre materiały budowlane /cegła o 36,6%, dachówka o 17,8%, tarcica o 20,1%, węgiel /o 10%/ i koks /o 20%/.
Poza tym drożały: niektóre tkaniny i wyroby bawełniane, obuwie skórzane, naczynia kuchenne, wyroby metalowe, motorowery i motocykle, niektóre wyroby papiernicze, niektóre meble, niektóre kosmetyki, zwłaszcza niezbędne do pielęgnacji niemowląt. Obniżono ceny

40 grup towarów: sprzętu RIV, pralek, lodówek, maszyn do szycia, niektórych tkanin /głównie syntetycznych/, wyrobów farmaceutycznych, żarówek, farb i lakierów, zapalek i kilku innych grup towarowych. Zmiana cen oznaczała znaczne obniżenie poziomu stopy życiowej, zwłaszcza w grupach najuboższych. /wzrost cen artykułów podstawowych, obniżka luksusowych/. Decyzja o podwyżce została podjęta w niekorzystnym kontekście społeczno-ekonomicznym. Od kilku lat dochody realne społeczeństwa pozostawały na niezmiennym poziomie. Jednocześnie z podwyżką cen zapowiedziano reformę płac - robotnicy uważali, że sprowadzi się ona do obniżki zarobków. Duże znaczenie dla natężenia społecznej reakcji na podwyżkę miał fakt, że ogłoszono ją bez uprzedzenia, na 10 dni przed świętami Bożego Narodzenia.

12 grudnia - sobota

Gdańsk

16.00

W Stoczni im. Lenina - podobnie jak we wszystkich zakładach pracy całego kraju - odbywały się zebrania podstawowych organizacji partyjnych. Na spotkaniach odczytano list Biura Politycznego KC PZPR. W otwartym zebraniu dla wydziału K-3 wziął udział członek Biura Politycznego i wicepremier Stanisław Kociołek, członek POP tego wydziału. W spotkaniu uczestniczyło około 3 tys. robotników. Na wiadomość o podwyżce cen, przekazaną przez Kociołka, sala zareagowała protestami. W trakcie burzliwej dyskusji wicepremier oświadczył: "Ja do was po pomoc nie przyjechałem, macie robić swoje, pomocy nie potrzebujecie". Powiedział, że pretensje stoczniowców są niezasadne tym bardziej, że zarobki w tej grupie są stosunkowo

wysokie. Zarzucił łamanie dyscypliny partyjnej tym, którzy zgłaszali wątpliwości. Spotkanie skończyło się ogólnym zamieszaniem. Do Warszawy przekazano meldunek o nastrojach w Gdańsku: "Generalnie rzecz biorąc podstawowe organizacje partyjne odrzucają list Biura Politycznego".

W zakładach pracy w całym kraju list Biura Politycznego wywołał bardzo różne reakcje - od milczenia poprzez płacz, aż do wybuchu śmiechu włącznie. Takie członkowie partii przyjęli krytycznie list Biura Politycznego. Szczególnie ostro zareagowały kobiety /np. w Łodzi/.

Warszawa
20.00

Za pośrednictwem radia i telewizji Władysław Gomułka poinformował społeczeństwo o podwyżkach cen.

13 grudnia - niedziela

Prasa codzienna opublikowała komunikat o podwyżce cen. Ze względu na okres przedświąteczny sklepy były otwarte. Opublikowano również stanowisko Prezydium Komitetu Wykonawczego CRZZ popierającego wprowadzenie podwyżki. CRZZ uznała, że jej wprowadzenie jest uzasadnione złymi zbiorami i niełatwą sytuacją w handlu zagranicznym. Były przypadki zwrotu legitymacji partyjnych. Wśród ludzi widoczne było duże zaniepokojenie.

14 grudnia - poniedziałek

Gdańsk
5.00

Na terenie Stoczni im. Lenina odbyła się narada aktywu partyjnego i gospodarczego, na której omówiono zadania członków PZPR wobec narastającego niezadowolenia. Członkom PZPR polecono

dążyć do rozładowania nastrojów przez prowadzenie rozmów z robotnikami. Stanowisko PZPR miało być zdecydowane: zmiany cen są konieczne, a protesty bezzasadne.

- 6.00-7.00 Pracownicy Stoczni Gdańskiej, z wydziałów S-4 i S-3 nie przystąpili do pracy. Żądali cofnięcia podwyżek cen oraz zmian norm pracy. Pracownicy wydziału W-3 udali się przed gmach dyrekcji stoczni.
- 7.00-9.00 Strajk rozszerzył się. Pracę przerwały m.in. wydziały S-1, K-3, P-1, W-4. Na wydziale P-1 dokonano wyboru siedmioosobowej komisji strajkowej. Kierownicy nakłaniali robotników do podjęcia pracy. Stoczniowcy utworzyli pochód i pomaszzerowali pod gmach dyrekcji.
- 9.10 O rozwoju sytuacji w SG powiadomiono KC PZPR.
- 9.15 Na wydział S-4 przybył dyrektor naczelny stoczni, S.Żaczek, który robotnikom obiecywał podwyżkę premii o 10% oraz rewizję norm. Zebranie zostało przerwane na wiadomość, że przed budynkiem dyrekcji zebrało się około 1 tys. stoczniowców.
- 9.30 Kolejny meldunek do KC PZPR o rozwoju sytuacji w Stoczni Gdańskiej.
- 9.45 Przed gmachem dyrekcji Stoczni im. Lenina zgromadziło się około 3 tys. stoczniowców. Zebrani żądali rozmowy z dyrektorem naczelnym S.Żaczkim. Domagali się cofnięcia podwyżek i zmian w kierownictwie PZPR i władzach państwowych, w tym usunięcia W.Gomułki, J.Cyrankiewicza, M.Moczara i S.Kociołka. Uzykali wyjaśnienie, że dyrektor nie jest w stanie odwołać podwyżki cen, ani ustosunkować się do innych żądań. S.Żaczek apelował o podjęcie pracy.

Załoga zażądała przybycia przedstawiciela KW PZPR. Nikt z władz partyjnych nie przyjechał do stoczni.

Elbląg
11.00

Przeprowadzono naradę sekretarzy POP większych zakładów pracy. Sekretarzom polecono rozładować napięcia w rozmowach z pracownikami.

Gdańsk
11.05

Z bramy nr 2 stoczni wyszedł do miasta pochód liczący około tysiąca robotników, którzy zgromadzili się następnie przed gmachem KW. Na okolicznych skwerach zbierał się coraz większy tłum gapiów.

Manifestanci śpiewali "Jeszcze Polska nie zginęła", "Międzynarodówkę", "Rotę", "Hymn Gwardii Ludowej" i "Boże coś Polskę". Uczestnicy demonstracji skandowali okrzyki domagające się powrotu do starych cen oraz zmian na najwyższych stanowiskach w partii i rządzie.

Wobec nieobecności I sekretarza KW PZPR Alojzego Karkoetzki, który znajdował się w Warszawie na VI Plenum KC PZPR, przy wejściu do gmachu pojawił się sekretarz do spraw organizacyjnych KW Zenon Jundziłł.

Próbował przemawiać, ale jego głos słychać było tylko w najbliższych szeregach. Kontynuował przemówienie przez megafon zainstalowany na samochodzie "Łączności". Wystąpienie sekretarza wywołało gniew i zniecierpliwienie demonstrantów. Z.Jundziłła usunięto z samochodu.

Delegacja stoczniovców weszła do gmachu KW. Napięcie wzrosło, kiedy do demonstrantów dotarła niesprawdzona wiadomość o aresztowaniu delegacji.

O przerwaniu pracy na wydziałach S-4 i S-3 powiadomiono sekretarza KW A.Karkoetzkę nadal przebywającego w Warszawie.

- 12.00 Z Warszawy odlatują samolotem do Gdańska Stanisław Kociołek, I sekretarz KW PZPR w Gdańsku Alojzy Karkoszka, minister przemysłu ciężkiego Franciszek Kaim, I sekretarz KZ Stoczni Gdańskiej Jerzy Pieńkowski i sekretarz KW w Gdańsku Stażewski. W czasie lotu ustalono, że F.Kaim i J.Pieńkowski prosto z lotniska udadzą się do stoczni, natomiast S.Kociołek, A.Karkoszka i Stażewski do gmachu KW PZPR.
- 12.20 Demonstranci opanowali radiowóz. Pchany przez demonstrantów samochód skierował się w stronę SG. Za nim ruszył pochód. Dalej droga wiodła ulicą Jana z Kolna do Stoczni Północnej. Przez megafon wezwano do nowego wiecu przed gmachem KW wyznaczonego w tym samym dniu na godzinę 16.00 oraz do ogólnomiejskiego strajku i manifestacji we wtorek o godz. 7.00. Mówcy odcinali się od wystąpień o charakterze chuligańskim i wezwali do zachowania porządku oraz spokoju w pochodzie.
- 13.00-14.00 Do Stoczni Gdańskiej przybyli F.Kaim oraz J.Pieńkowski. Natychmiast spotkali się w gmachu dyrekcji z dyrektorami, sekretarzami KZ, przewodniczącymi Rady Robotniczej, Rady Zakładowej i ZMS. Ustalono kontynuowanie dotychczasowej linii postępowania /rozmowy z ludźmi/. W tym samym czasie, z inicjatywy dyrektora, wybrano "Radę Delegatów" - rodzaj komitetu strajkowego SG. Składał się on z ludzi, którzy co prawda uznawali słuszność postulatów strajkujących, ale nie opuszczali terenu własnego wydziału i nie przyłączali się do manifestacji. Ze względu na liczny udział partyjnych, Rada Delegatów nie miała zaufania ani autorytetu wśród robotników.

13.15 Liczna grupa demonstrujących weszła na teren Stoczni Północnej. Z radiowozu padają apele o przerwanie pracy i przyłączenie się do manifestacji.

13.45 Ulicą Marynarki Polskiej i Klinikarską część demonstrantów skierowała się do Politechniki Gdańskiej.

Szczecin

14.00 W komitetach dzielnicowych odbyły się spotkania z I sekretarzami KZ z dużych zakładów pracy. Temat: rola PZPR w obecnej sytuacji. W zakładach pracy rośnie napięcie. Do Szczecina są ściągane posiłki milicji z całego województwa.

Gdańsk

14.10 Około 300 demonstrantów weszło na dziedziniec Politechniki Gdańskiej. Wezwano studentów do przyłączenia się do demonstracji i przeproszano za obojętność robotników w 1968 roku. Na spotkanie wyszedł rektor Janusz Staliński. Usiłował przedstawić postępowanie strajkujących jako nieodpowiedzialne. Został wygwizdany. Część demonstrantów weszła do gmachu PG i bezskutecznie nawoływała studentów do przyłączenia się do demonstrujących.

14.50 Demonstranci opuścili teren Politechniki. Część z nich udała się pod Rozgłośnie Polskiego Radia, a pozostali do akademików przy ulicy Wyspiańskiego. Do Gdańska przybył generał Henryk Słabczyk i objął dowództwo sił MSW.

około 15.00 W Stoczni im. Lenina w sali BHP zebrały się tzw. kolektywy wydziałowe, w skład których wchodziły kierownicy wydziałów, przewodniczący rad wydział-

łowych i sekretarze POP. Zebranie pro-
wadził I sekretarz KZ Jerzy Pieńkowski,
który nakazał "aktywowi" przeciwstawić
się strajkowi i zorganizować normalną
pracę we wtorek.

Manifestanci, którzy przybyli pod bu-
dynek rozgłośni, żądali uruchomienia
nadajników. Pragnęli przekazać infor-
mację o strajku w stoczni oraz apel do
pracujących w całym kraju, aby przyłą-
czyli się do strajku. Zagrozili zdemo-
lowaniem rozgłośni, jeśli ich żądania
nie będą spełnione w ciągu 15 minut.
Demonstrantów poinformowano jednak, że
aktualnie radiostacja w Chwaszczynie
nie zasila gdańskiej rozgłośni. Pochód
ruszył dalej.

15.30

Uczestnicy demonstracji skierowali się
do centrum miasta. Pochód rozrósł się
do kilku tysięcy ludzi. Dołączyły gru-
py przechodniów, zwłaszcza młodzieży.

15.55

W pobliżu mostu Błędnik nastąpiło pier-
wsze starcie demonstrujących z ZOMO.
Tyraliera ZOMO była zbyt słaba, by pow-
strzymać 3-tysięczny tłum. Przeciwko
demonstrantom użyto gazów łzawiących.
Część manifestantów przedarła się
w kierunku KW. Pozostali zostali zep-
chnięci na perony dworca kolejowego.

16.20

Ponad 200 robotników w rejonie I Portu
Gdańskiego opuściło stanowiska pracy
i udało się w kierunku Gdańska. U zbie-
gu ulic Grunwaldzkiej i Zwycięstwa,
przy Operze, pochód idący z Portu połą-
czył się z innymi demonstrantami.

17.15

Manifestacja na Targu Drzewnym. Wzno-
szono okrzyki: "Prasa kłamie", "My
chcemy chleba". Wybijano szyby w oknach
Domu Prasy. Milicja uzbrojona w długie
pałki i tarcze wyparła tłum pod gmach

KW PZPR. Przez megafon w radiowozie padło m.in. hasło: "Chcemy chleba, chcemy prawdy". Nikt z pracowników KW nie próbował przemawiać do demonstrantów, których od strony teatru "Wybrzeże" i Hali Targowej zablokowała milicja. Tłum wycofał się w stronę ulicy Rajskiej i Heweliusza. Budynek Domu Prasy obsadzili żołnierze Wojsk Ochrony Wewnętrznej stacjonujący dotąd na ulicy Łąkowej. Doszło do pierwszych grabieży sklepów.

18.15

Demonstranci ponownie zgromadzili się przed budynkiem Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Mówcy w radiowozie potępili politykę partii i rządu. Dwukrotnie grupa młodych ludzi usiłowała podpalić budynek. W końcu udało im się spalić urządzenia w drukarni. Demonstranci rozbici uderzeniem milicji rozproszyli się od mostu Błędnik do Bramy Wyżynnej. Większość została zepchnięta na dworzec kolejowy. Milicja użyła pałek i petard; demonstranci odpowiedzieli kamieniami. Na dworcu PKP milicja wyciągała ludzi z kolejki elektrycznej.

Na skrzyżowaniu ulic Heweliusza i Rajskiej demonstranci rozpalili wielki stos złożony m.in. z wydawnictw propagandowych PZPR. Od strony stoczni nadjechał wóz straży pożarnej. Demonstranci opanowali samochód i skierowali go na płonący stos.

W wyniku użycia gazów łzawiących i petard szereg osób odniosło rany. Od godzin popołudniowych w Instytucie Chirurgii Akademii Medycznej opatrzone 13 rannych, w tym jedną kobietę. Przeważały rany tłuczone głowy, twarzy, kończyn oraz złamania, zatrucia i porażenia gazem łzawiącym.

- 19.00 Grupa około 200 demonstrantów pojawiła się na dziedzińcu Politechniki Gdańskiej. W czasie krótkiego wiecu nawoływano studentów do poparcia strajku generalnego wyznaczonego na dzień następny, wtorek 15 grudnia, a nawet objęcia przywództwa. Po kilku minutach tłum ruszył w kierunku Gdańska. Na ulicy Grunwaldzkiej dołączyła do pochodu grupa studentów z Domów Akademickich przy ul. Wyspiańskiego.
Dla ochrony gmachu KW PZPR wprowadzono 160 żołnierzy miejscowej jednostki Wojsk Obrony Wewnętrznej.
- 20.00 Przed kamrami gdańskiej telewizji wystąpił przewodniczący Prezydium WRN Tadasusz Bejma. Apelował o rozsądek, rozwagę, zwrócił się do robotników, którzy odbudowywali Gdańsk, o ochronę mienia wytworzonego własnym trudem. Apelował o pomoc społeczeństwa w wyizolowaniu grupy niszczycieli.
- Szczecin
20.00 Odbyło się posiedzenie Egzekutywy KW PZPR. Zwrócono uwagę m.in. na zabezpieczenie zakładów pracy przed sabotażem.
- Gdańsk
21.00 Trwały walki na dworcu PKP w Gdańsku.
- około 22.00 Milicja i SOK wyparły tłum z dworca PKP.
- 22.05 Przybyli do Gdańska - Z.Klisko, I.Loga-Sowiński i generał G.Korozyński. W godzinach wieczornych odbyły się narady w KD i KW, w których brali udział sekretarze KZ oraz aktywni partyjni zakładów pracy.

około

22.00-8.00

Milicja i ORMO zatrzymywały uczestników demonstacji, przypadkowych przechodniów oraz osoby powracające z pracy. Zatrzymanych przewożono do gmachów KM MO przy ul. Świsrczewskiego. Tutaj przechodzili przez szpaler milicjantów, którzy bili ich pałkami. Następnie przewożono ich do więzień w Pruszczu Gdańskim, Gdańsku /przy ulicy Kurkowej/ lub Wejherowie.

Komenda MO informowała, że dnia 14 grudnia zatrzymano w Gdańsku 16 osób, które dopuściły się dewastacji sklepów lub kradzieży. W rzeczywistości liczba zatrzymanych była o wiele wyższa.

15 grudnia - wtorek

Gdańsk

0.45

W Porcie Gdańskim strajkowała część załogi. Nie pracowały rejony I i II, do pracy nie wyszła również część robotników rejonu III. Natomiast na nabrzeżu przeładunkowym węgla i rudy trwała normalna praca. Zgromadzeni w świetlicach portowcy zapowiedzieli strajk generalny na godzinę 7.00.

4.20

W porcie strajk. W rozmowach z robotnikami wzięli udział dyrektorzy Zarządu Portu Gdańsk /ZPG/. Dokerzy odmówili podjęcia pracy solidaryzując się ze strajkującymi stoczniowcami. Pracujących - głównie dźwigowych i brygadzystów - zmuszono do przerywania pracy.

6.00

Robotnicy Stoczni Remontowej nie podjęli pracy.

Gdynia
6.30

Około 90% załogi Stoczni im. Komuny Paryskiej udało się na swoje stanowiska pracy. Pracę podjęło tylko 60% robotników. Na wydziale "N" pracy w ogóle nie podjęto.

Gdańsk
6.40

Strajkowały: Zakład nr 1 Gdańskiej Fabryki Mebli oraz Fabryka Konserw Rybnych /Błaszanka/. Pracownicy wydziałów: K-3, K-2 oraz zakładu "C" Stoczni im. Lenina zgromadzili się przed gmachem dyrekcji. Do robotników próbował przemawiać I sekretarz KZ J.Pienkowski. Przerywano mu okrzykami i gwizdami. Stoczniowcy domagali się uwolnienia zatrzymanych w dniu wczorajszym. Grozili, że odbiją ich sami.

Załoga Stoczni Remontowej zebrała się przed budynkiem dyrekcji. Dyrektor Z.Gryglewski bezskutecznie namawiał robotników, aby nie opuszczali terenu stoczni. Większość pracowników stoczni utworzyła pochód i udała się w kierunku Stoczni im. Lenina.

6.50.

Przed bramą Stoczni Północnej przybyła grupa robotników. Agitowali na rzecz strajku powszechnego. W ZNTK wiec części załogi. Wiec w zakładzie nr 1 "Hydroferu". Nie podjęto pracy w Zarządzie Portu Gdańsk.

7.00

W Stoczni Gdańskiej liczba manifestujących wzrosła do 3 tys. osób. Ruszył pochód w kierunku miasta. Dołączyli manifestanci ze Stoczni Remontowej. Przed Dworcem Głównym do pochodu dołączyli przechodnie, przeważnie młodzież.

W Fabryce Kąbli we Wreszczu na dzień dzisiejszy wyszło ponad 500 pracowników. Zapowiadaliśmy maraz pod KM. Z Zakładów Futrzarskich przy ul. Łąkowskiej wyszło około 200 pracowników. Skierowali się pod gmach Komitetu Wojewódzkiego. Przeważając część pochodu stanowią młodsi robotnicy.

Starsi robotnicy zajęli postawę wyważoną. Część zajęli Stocznia Gdańską i kująca. Część zajęli Stocznia Gdańską i kująca. Część zajęli Stocznia Gdańską i kująca.

Gdyż

7.20

Przy suchym doku Stocznia i w Komuny Państwowej zgromadzili się pracownicy Wydziału Kadłubowych. Kierujący wiedzieli o rozruchach poprzedniego dnia w Gdańsku, informowali o tym kolegów. Wnioskowali o "chcemy chleba", "chcemy starych oen", "chcemy podwyżki zarobków", "chodźcie z nami", wyruszyli w kierunku bramy. Dotarli do pracowni z innych wydziałów. Gdy pochód dochodził do bramy liczył około 1,5 tys. osób.

W "Pracowni" pracownicy zbrali się na wydział mechaniczny. Wiedząc, że nie będą mogli wejść do fabryki, postanowili rozstrzelać się w kierunku kłosa.

Pracownicy Stocznia i w Komuny Państwowej zajęli postawę wyważoną. Część zajęli Stocznia Gdańską i kująca. Część zajęli Stocznia Gdańską i kująca.

W Fabryce Kąbli we Wreszczu na dzień dzisiejszy wyszło ponad 500 pracowników. Zapowiadaliśmy maraz pod KM. Z Zakładów Futrzarskich przy ul. Łąkowskiej wyszło około 200 pracowników. Skierowali się pod gmach Komitetu Wojewódzkiego. Przeważając część pochodu stanowią młodsi robotnicy.

Starsi robotnicy zajęli postawę wyważoną. Część zajęli Stocznia Gdańską i kująca. Część zajęli Stocznia Gdańską i kująca.

oklaskiwany przez mieszkańców, śpiewając "Międzynarodówkę" i "Jeszcze Polska nie zginęła". Po krótkim postoju przed Miejską Radą Narodową skręcił w ulicę Władysława IV - siedł do Komitetu Miejskiego PZPR.

Gdańsk
7.15

Czołówka pochodząca ze Stoczni Gdańskiej i Stoczni Remontowej /na czele siedzi m.in. Lech Wałęsa/ dotarła do gmachu Komitetu Wojewódzkiego. Robotnicy zastali zamknięte drzwi. Skisrowali się pod budynek Komendy Miejskiej MO ulicą Świerczewskiego, aby odbić osoby uwięzione w poniedziałek.

7.30

Milicja zaatakowała demonstrantów na ulicy Świerczewskiego. Robotnicy za pomocą wyrwanych z bruku kamieni zmusili siły porządkowe do wycofania się pod gmach Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Raniono kilku milicjantów. Demonstranci opanowali park Komendy MO. Od budynku aresztu dzielił ich tylko wewnętrzny dziedziniec Komendy. Z I piętra przemówił do tłumu Lech Wałęsa, który sugerował zaniechanie dalszych aktów i opuszczenie Komendy. Impet demonstrantów wyczerpał się. Wzrosł opór sił MO, które szybko wyparły tłum z budynku Komendy. ZOMO używało gazów łzawiących, petard i pałek. Użyto broni palnej.

W czasie wycofywania się sił porządkowych jeden z oficerów MO nie zdążył uciec przed tłumem. Drogę zastąpił mu młody robotnik. Oficer wyjął z kabury pistolet i zastrzelił robotnika. Tłum błyskawicznie rozszarpał milicjanta. Były to pierwsze śmiertelne ofiary w Gdańsku.

8.00

Do szpitala wojewódzkiego w Gdańsku przywieźli pierwszych rannych robotników.

Gdynia

8.00

Pracownicy, którzy pozostali w Stoczni im. Komuny Paryskiej zgromadzili się przed budynkiem dyrekcji. Przybyli dyrektorzy: Michał Tymiński i Władysław Szajewski, sekretarz Komitetu Zakładowego Władysław Porzycki. Usiłowali rozładować napięcie, apelowali o powrót na stanowiska pracy i przedstawienie dyskcji swoich żądań przez delegatów.

8.30

Następny pochód opuścił stocznię. Pochód ten szedł taką samą trasą jak poprzedni, ominął tylko ulicę Świętojańską, a od razu skręcił pod Komitet Miejski PZPR.

Część robotników pozostała w stoczni, ale nie podjęła pracy. Nadal trwał wiec pod budynkiem dyrekcji.

Gdańsk

8.45

Milicja wyparła demonstrantów z ulicy Świerczewskiego za wiadukt kolejowy. Starcia przeniosły się na węzeł komunikacyjny Hucisko i ul. Kalinowskiego. Młodzi ludzie zatrzymywali samochody ciężarowe. Kierowcom nakazywano opuszczenie wozu, a następnie uruchamiano je i kierowano ku szpalerowi milicji. Ta forma ataku była wykorzystywana jeszcze przed gmachem Komitetu Wojewódzkiego, gdzie m.in. użyto samochodu załadowanego ciężkimi elementami budowlanymi. Tłum liczący ponad 10 tys. osób /według innych źródeł 20 tys. osób/ podniecony walką, wzburzony pierwszymi

ofiarami atakował gmach Komitetu Wojewódzkiego. W okolicach Dworca Głównego wybuchły liczne pożary, m.in. na placu przed ekspedycją towarową płonęło 5 samochodów milicyjnych i wojskowych oraz pocztowa wózka akumulatorowa. Z kolskiej elektrycznej i od strony mostu Błędnik nadciągały nowe grupy demonstrantów.

Warszawa
9.00

W gabinecie Władysława Gomułka odbyło się posiedzenie kierownictwa partyjno-rządowego, w którym uczestniczyli: W.Gomułka, M.Spychalski, J.Cyrankiewicz, R.Strzalecki, B.Jaszczyk, M.Moczar oraz wzwani na posiedzenie: S. Kania, W.Jaruzelski, K.Światała, T.Pistrzak. Na posiedzeniu tym Gomułka podjął decyzję ogłoszenia wprowadzenia stanu wyjątkowego w Gdańsku i godziny milicyjnej od 18.00 do 6.00, a także przegrupowania niektórych związków taktycznych do rejonu Trójmiasta i użycia broni przez jednostki MO, SB i wojska w wypadku podpalania lub niszczenia obiektów, atakowania milicjantów i żołnierzy. Spryszczowano zasady użycia broni palnej. Decyzje miały być realizowane od godz. 12.00 dnia 15 grudnia 1970 r. Ponadto polecił wydać odpowiednie materiały drukowane /ulotki/ oraz przedstawić w telewizji obraz zniszczeń i rannych funkcjonariuszy MO.

Szczecin
9.00

Odbyło się posiedzenie Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego, na którym przekazano informację o sytuacji w kraju, głównie o wydarzeniach z 14 grudnia w Gdańsku.

Gdynia

9.15

Pochód po przejściu ulicami Czołgi-
tów i Władysława IV zatrzymał się przed
siedzibą Komitetu Miejskiego PZPR. De-
monetranci domagali się rozmów z sek-
retarzem Komitetu Wojewódzkiego Hugo-
nem Malinowskim. Sekretarza nie było
w gmachu Komitetu Miejskiego.

9.30

Po otrzymaniu informacji, że stoczniow-
cy z "Komuny Paryskiej" wyszli do
miasta, robotnicy "Unimoru" postanowi-
li do nich dołączyć.

Pochód liczący około 1,5-2 tys. osób
przeszedł ulicą Czerwonych Kosynierów
pod Komitet Miejski PZPR. W zakładzie
pozostało niewielu pracowników.

Pod Komitetem Miejskim nastąpiło spot-
kanie ze stoczniowcami. Spośród mani-
festantów wyłonili się przywódcy /Ed-
mund Hulez, Stanisław Słodkowski/.

Wzywali robotników do utrzymania po-
rządku, a następnie weszli do budynku
celem sprawdzenia, czy rzeczywiście
nikogo z władz nie ma. Potem podjęli
decyzję marszu do Prezydium Miejskiej
Rady Narodowej.

Warszawa

9.50

J.Cyrankiewicz przekazał telefonicz-
nie gen. G.Korczyńskiemu, przebywają-
cemu w Gdańsku, decyzję podjętą przez
Gomułkę w sprawie zaangażowania wojska
i zasad użycia broni.

Gdańsk

około 9.00

Do szpitala wojewódzkiego przywiezio-
no rannych milicjantów, głównie słu-
żaków szkoły MO w Słupsku. Przeważały
stosunkowo nie duże kontuzje, stłucza-
nia. Było kilka przypadków złamań

i ran spowodowanych uderzeniem kamienia. Służba zdrowia nie wyklucza, że milicjanci zażywali środki odurzające. W głównej izbie przyjęć szpitala wojewódzkiego milicja zorganizowała punkt dowodzenia.

W godzinach rannych w Akademii Medycznej w Gdańsku powołano Główny Sztab Służby Sanitarnej Trójmiasta. Na jego czele stanął dyrektor Instytutu Chirurgii Gdańskiej Akademii Medycznej prof. Mlekodaj.

W ciągu całego dnia w Instytucie Chirurgii Akademii Gdańskiej opatrzone 61 rannych cywilów, w tym trzy kobisty. Przeważały rany postrzałowe, złamania czaszki, kończyn, potłuczenia, zniekształcenia oraz oparzenia gazem łzawiącym. Ponadto przyjęto 19 funkcjonariuszy MO i 5 żołnierzy WP. W środę część z nich została zabrana do szpitala MSW w Gdańsku.

około 9.20

Po wyparciu demonstrantów przez milicję w rejon Huciska i ulicy Kalinowskiego walki przeniosły się pod gmach Komitetu Wojewódzkiego. Po drodze uczestnicy demonstracji zaatakowali i opanowali gmach WRZZ przy ul. Kalinowskiego. Budynek ademolowano - na ulicę wyrzucono meble i wyposażenie pomieszczeń. Budynek podpalamo. Demonstranci próbowali podpalić gmach Komitetu Wojewódzkiego od strony kościoła św. Elżbiety. Próba nie powiodła się. Pożar ogarnął tylko budynek NOT-u przylegający do gmachu Komitetu Wojewódzkiego.

9.50-13.00

Demonstrantom udało się podpalić gmach Komitetu Wojewódzkiego. Stopniowo opuszczali go pracownicy Komitetu, mili-

cjanci i żołnierze. Budynek spłonął. Zatrzymanych milicjantów zawieziono do Stoczni im. Lenina, skąd zwolniono ich do domów.

Gdynia

10.30-13.00

Tłum liczący 5-6 tysięcy osób dotarł do gmachu Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Na spotkanie robotników wyszedł przewodniczący Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, Jan Mariański. Zaproponował, aby robotnicy wyłonili delegację do przeprowadzenia rozmów, co też nastąpiło. Delegacja liczyła 7 osób. W sali konferencyjnej spisali oni listę postulatów. Zawiszały one m.in. żądania podwyższenia najniższych zarobków, wyrównania zarobków pracowników fizycznych i umysłowych, podwyższenia wysokości zasiłku rodzinnego. Jan Mariański zobowiązał się, że postulaty robotników przekaże wiceprzewodniczącemu Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku T. Bejma. Przyjęcie postulatów, wspólne zasady postępowania oraz uznanie legalności strajku zawarte zostało w tzw. Protokole ustaleń, który podpisał J. Mariański i delegaci robotników.

Tekst protokołu odczytał z balkonu E. Hulez. Poinformował demonstrantów, że do czasu uzyskania odpowiedzi od władz, zapowiedziansj na czwartek, w zakładach pracy trwać będzie strajk. Uczestników demonstracji zaprosił na wiec do "Dalmoru".

11.00

Pododdziały Marynarki Wojennej obsadziły i zorganizowały wewnątrzną obronę gmachów: Komitstu Miejskiego PZPR, Prezydium Miejskiej Rady Narodowej,

Komendy Miejskiej MO, Prokuratury, arestetu śledczego i poczty.

13.00-14.00 Kierownictwo Stoczni Komuny Paryskiej zorganizowało ochronę zakładu. Na wydziałach utworzono grupy aktywu zabezpieczającego maszyny i urządzenia, zamknięto warsztaty, wyłączono dopływ gazów technicznych. Około godziny 13.00 praca poza ruchem ciągłym w zasadzie ustała. Dyrekcja odwołała pracę na II i III zmianie. Część pracowników, szczególnie kobiety, została zwolniona do domów. Po godz. 14.00 większość pozostających w stoczni pracowników wyszła również z zakładu.

Gdańsk

13.00

Budynek Komitetu Wojewódzkiego płonął. Zatrzymano, a następnie spalono spiszący z pomocą samochod Straży Pożarnej. Nie udały się próby ewakuacji pozostałych w gmachu ludzi przy pomocy helikoptera, ponieważ wiatr znosił linę ewakuacyjną.

13.30

Od strony Pruszcza Gdańskiego przybyło około 20 transporterów TOPAS, które obsadzone wojskiem i funkcjonariuszami MO ruszyły spod Komendy Wojewódzkiej MO w kierunku budynku Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Wyparły manifestantów spod płonącego budynku i rozproszyli ich na boczne ulice. Z płonącego budynku ewakuowano ostatnich ludzi. Jeden z transporterów został uprowadzony przez robotników w kierunku Stoczni Gdańskiej i podpalony.

Gdynia

13.30-14.30

Wisła w "Dalmorze". Wybór delegatów do Komitetu Strajkowego. W porozumieniu

z Zarządem Portu Gdynia delegaci wybrali na siedzibę Komitetu Strajkowego budynek Portowego Domu Kultury na ulicy Polskiej.

Warszawa
13.30

Na posiedzeniu z udziałem części członków Biura Politycznego /skład jak o godz. 9.00 plus A.Starewicz, gen. Chochla oraz przedstawiciele MSW i MON/ Władysław Gomułka podjął decyzję o utworzeniu w Gdańsku Sztabu Lokalnego. W jego skład weszło trzech znajdujących się na Wybrzeżu członków Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR /Z.Kliszko, S.Kociołek, I.Loga-Sowiński/, wiceminister obrony narodowej Grzegorz Korczyński, wiceminister spraw wewnętrznych gen. Henryk Słabczyk, Komendant Komendy Wojewódzkiej MO płk Roman Kolczyński. O godz. 14.00 dołączył do nich wiceminister spraw wewnętrznych gen. Franciszek Szlachcic, z zadaniem zorganizowania dodatkowego stanowiska dowodzenia MSW. Sztab Lokalny tworzył samodzielne kierownictwo partyjno-wojskowo-policyjne. Sztab ten miał kolegialnie dokonywać oceny sytuacji i podejmować decyzje, z tym, że niektóre dyspozycje przekazywali Sztabowi bezpośrednio I sekretarz Komitetu Centralnego PZPR i premier Rządu PRL. Nie jest pewne kto formalnie stał na czele Sztabu. Jedne źródła mówią o S.Kociołku, a inne o gen. G.Korczyńskim, Ale jak się przypuszcza, głos decydujący należał i tak do Z.Kliszki - zaufanego człowieka Gomułki.

Wojskami lądowymi dowodził wydzielony Sztab Pomorskiego Okręgu Wojskowego -

kierowany przez generałów Baryłę i Kamińskiego - podlegający bezpośrednio MON. Marynarką Wojenną - kmdr L. Janeczyszyn, podlegający również bezpośrednio MON i gen. W. Jaruzelskiemu. Powstała w ten sposób struktura politycznego dowodzenia siłami milicyjnymi i wojskowymi na terenie Trójmiasta. Informacje na temat przebiegu wydarzeń, na podstawie których Sztab podejmował decyzje, pochodziły z dwóch źródeł: od organizacji partyjnych /zakładowych, dzielnicowych, miejskich/ i ze źródeł milicyjnych, z przewagą informacji pochodzących z SB i MO. Członkowie Sztabu tylko okazjonalnie przebywali razem w jednym miejscu. Najczęściej byli rozdzieleni, a kontakt utrzymywali telefonicznie. Można sądzić, że nie wszyscy byli jednakowo dokładnie informowani o przebiegu wydarzeń. Szybko zmieniająca się sytuacja, wymagająca natychmiastowej reakcji Sztabu, sprawiła, że decyzje poszczególnych jego członków nie były dostatecznie uzgodnione. Trudno mówić o istnieniu jednej linii postępowania, był to raczej zespół nagle podejmowanych, niespójnych i nieprzenyślanych decyzji, często powodujących zamieszanie wśród osób i instytucji, które je wykonywały. Uwaga ta dotyczy szczególnie administracji terenowej, dyrekcji zakładów i, w pewnej mierze, organizacji partyjnych od szczebla zakładowego do miejskiego.

Elbląg
14.00

W Spółdzielni "Metal" druga zmiana nie przystąpiła do pracy.

Gdańsk

około 15.00

Nasilił się rabunek sklepów i dewastacja urządzeń komunalnych przez część demonstrujących, prowokatorów i chuliganów. Robotnicy utworzyli grupy porządkowe, które zatrzymywały rabujących, odbierały im skradzione rzeczy, spisowały ich dane personalne z dowodów osobistych. Grabieże i dewastacje skłoniły znaczną część stoczniovców do powrotu do swoich zakładów pracy. W misioie władze wprowadziły do akcji oszołgi i transportery opancerzone.

15.00

Duże grupy pracowników Stoczni Gdańskiej, Stoczni Północnej i Gdańskiej Stoczni Remontowej powróciły na teren zakładu i ogłosiły strajk okupacyjny. W Stoczni Gdańskiej robotnicy po powrocie z manifestacji zostali trójki wydziałowe. Nie misli jednak do nich zaufania, gdyż sądzili, że ci, którzy odmówili udziału w manifestacji, stchórzili. Wybrano nowe trójki wydziałowe; spośród nich wyłoniło się prezydium, które pozostało na noc w stoczni. W Gdańskiej Stoczni Remontowej zaczęły tworzyć się wydziałowe komitety strajkowe.

15.40

Do jednostek MO w województwie dotarło zarządzenie nr 0108 ministra spraw wewnętrznych określające warunki używania broni w wytworzonej sytuacji. Demonstranci zmusili żołnierzy do opuszczenia trzech pojazdów. Pod gąsienicami jednego z transporterów w okolicy dworca PKP zginął młody robotnik. Według relacji został on przypadkowo przejechany przez wojskową załogę transportera; natomiast oficjalna, prasowa

wersja utrzymuje, że stratował go po-
jazd z demonstrantami.
Ludzie przenieśli ofiarę do holu Dwor-
ca Głównego; składali kwiaty. Podeks-
yotowany tłum podpalił kiosk "kuchu",
ogień rozprzestrzenił się błyskawicz-
nie do pomieszczeń przechowalni бага-
żu i placówki pocztowej.
Podobnie jak w poniedziałek milicja
zatrzymywała uczestników demonstracji
i przypadkowych przechodniów, m.in.
w rejonie ulicy Rajskiej, dworca PKP,
ul. Świerczewskiego i ul. Toruńskiej.
W czasie przesłuchań zatrzymanych ok-
rutnie bito. Następnie znaczną grupę
osób wywieziono do więzienia w Elblą-
gu.
Według oficjalnych, niewątpliwie zani-
żonych danych służby porządkowe za-
trzymały 128 osób pod zarzutem dewas-
tacji i grabieży 54 sklepów. Zniszczo-
no 19 pojazdów wojskowych.

Gdynia

16.00-19.00

W Zakładowym Domu Kultury Zarządu Por-
tu Gdynia obradował komitet strajkowy.
Przyjął on nazwę: Główny Komitet Straj-
kowy dla miasta Gdyni. W wyniku wyborów
przewodniczącym Komitetu został Stani-
sław Słodkowski /ze Stoczni im. Komuny
Paryskiej/, a jego zastępcą Kazimierz
Mizerski. Komitet zajął się analizowa-
niem postulatów przedstawionych przez
delegatów i opracował plan działania.
O godz. 16.20 obradujący Komitet od-
wiedził dyrektor portu Z.Rosiak.

Szczecin

17.00

Na odbytej naradzie pracowników Kom-
itetu Wojewódzkiego PZPR dokonano oceny
sytuacji politycznej w kraju i woje-

Gdańsk
22.00

Odbyło się posiedzenie Egzekutywy Komii

Białog
20.00

Budynek Komitetu Powiatowego PZPR ob-
rzucono butelkami z benzyną wzniesając
pożar. Podpalono również kioski. Poza-
ry zlikwidowano.

Gdynia
19.30-22.00

Przewodniczący Prezydium Miejskiej Ra-
dy Narodowej, Jan Martiniński, udał się
do Portowego Domu Kultury. Hoznawiał
z Komitetem Strajkowym Gdyniakich zak-
ładów pracy. / Delegaci - 31 osób - byli
ludźmi młodymi i wiek ich mieścił się
w granicach 20-30 lat/. J. Martiniński
jęszcze raz potwierdził, że postulaty
przekazal przewodniczącemu Wojewódz-
kiej Rady Narodowej, T. Bejnowi, z pro-
śbą o przekazanie ich S. Kociotkowi.

Białog
około 18.30

W mieście na ogół było spokojnie. Je-
dyne pod gwałtem Komitetu Powiatowe-
go PZPR pojawiły się niezbyt liczne
grupy nieszkanców. Przeważała mto-
dziel.

Gdańsk
18.00

Decyzją Prezydium Wojewódzkiej Rady
Narodowej w Gdańsku, na terenie Trój-
miasta została wprowadzona godzina
milicyjna od godziny 18.00 do 5.00
rano.

wództwie. Podjęto decyzję, by cały spa-
rat Komitetu Wojewódzkiego przebywał
ciągłe w zakładach pracy. Do miasta do-
tarły pierwsze informacje o zaślach
w Trójmieście.

tetu Wojewódzkiego w Gdańsku w gmachu Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Uczestniczyli w nim: A.Karkosska, Stawiecki, Z.Jundziłł, Krupa-Wojciechowska, J.Hajer, S.Celchowski, H.Malinowski, T.Bejma, Mikołajew, S.Kociołek, Beresniowicz, Tkaczyk, F.Kaim, Z.Pieńkawa, z władz stoczni - J.Pieńkowski i Hajduga.

Na posiedzenie przybyli członkowie Biura Politycznego - Z.Klisko, I.Loga-Sowiński oraz sekretarz Centralnej Rady Związków Zawodowych - Pośpieszynski. Z.Klisko powiedział: "Wśród was jest taki nastrój, że sami nie rozumiecie tego. Główna przyczyna tego co się stało, leży w was, bo sami nie jesteście przekonani o konieczności ostatecznej decyzji w sprawie cen. Jutro ostatecznie powinna nastąpić całkowita likwidacja zamieszek i przywrócenie spokoju. Należy przyjąć trzy linie działania na rzecz ładu społecznego i zaprowadzenia porządku. Pierwsze dwie zabezpieczają milicja i wojsko, trzecią działanie partyjno-polityczne./.../ W sprawie podwyżki płac żadnego postulatu nie spełni się i to trzeba wyraźnie mówić". Następnie oceniając charakter wydarzeń powiedział: "/.../ mamy do czynienia z kontrrewolucją, a z kontrrewolucją trzeba walczyć za pomocą siły. Jeżeli zginie nawet 300 robotników, to bunt zostanie zdławiony".

Zapowiedział również wkroczenie do akcji dwóch dodatkowych dywizji pancernych.

Stanisław Kociołek na posiedzeniu Egzekutywy postulował, ażeby nie pozwolić stoczniowcom wyjść na ulicę; na-

tomiasz I. Loga-Sowiński orzekł, że załoga stoczni ponosi odpowiedzialność za zajęcia w Gdańsku. W innych zaistniałej sytuacji szukano także pośród dyrektorów przedsiębiorstw. W specjalnym programie gdańskiej telewizji wystąpił S. Kociołek. Omawiając akcję milicji i wojska wicepremier stwierdził, że podjęto ją w imię normalnego życia, pracy i rozwoju społeczeństwa.

około 24.00 Sztab mieszczący się w gmachu Komendy Wojewódzkiej MO zastanawiał się nad wprowadzeniem wojska na teren Stoczni im. Lenina. Dla konsultacji zaproszono sekretarza Komitetu Zakładowego, J. Pieńkowskiego i dyrektora naczelnego tej stoczni - S. Żaczka. Przedstawiciele stoczni wyrazili opinię, że w żadnym wypadku nie należy tego czynić, gdyż mogłoby to spowodować nieobliczalne skutki ze względu na nastroje panujące wśród robotników.

Gdynia

22.00-24.00 Komitet Strajkowy sporządził "Odezwę Głównego Komitetu Strajkowego dla miasta Gdyni" oraz apel do pracowników stoczni Marynarki Wojennej, wzywający ich, by nie przerywali pracy i nie wychodzili na ulicę. Niespodziewanie, punktualnie o północy oddział milicji i SB zaatakował gmach. Napastnicy wyłamali drzwi i uzbrojeni w pistolety i długie pałki wdarli się do środka demolując pomieszczenia. Członków Komitetu Strajkowego, w liczbie 31, brutalnie pobito i poddano rzywizji osobistej stawiając ich twarzami do ściany, z rękami podniesionymi do góry. W trakcie

tej rewizji delegatom udało się zniszczyć część posiadanych materiałów, pozostałe zaś wpadły w ręce milicji. Następnie delegatów skutych kajdankami po dwóch, przepędzono przez "ścieżkę zdrowia" do samochodów. Odwieziono ich do więzienia w Wejherowie.

W tym czasie przeprowadzono aresztowania w miejscach zamieszkania wśród bardziej aktywnych robotników Stoczni im. Komuny Paryskiej.

Tego dnia formowano specjalne oddziały wojskowe do użycia przeciw demonstrantom. Żołnierzy wyposażono w broń osobistą, granaty, petardy, ręczne karabiny maszynowe. Oddziały formowano m.in. w jednostkach wojskowych w Wicku Morskim, Elku, Orzyszu. Żołnierzom wydano rozkaz użycia broni, jeśli to będzie potrzebne. Za utracenie broni grożono sądem polowym.

16 grudnia - środa

Gdańsk

4.00

Do miasta wkroczyły oddziały wojska, czołgi, transportery opancerzone i, na mocy decyzji obecnych w Gdańsku członków Biura Politycznego, przystąpiły do zewnętrznej ochrony obiektów państwowych. Cztery okręty Marynarki Wojennej zajęły miejsca na redzie Nowego Portu.

5.00

Załogi Stoczni im. Lenina, Remontowej i Północnej w całości przystąpiły do strajku okupacyjnego. Strajki solidarnościowe ogłosiły również ZNTK, "Unimor" i Port w Gdańsku. Podobnie było w większości zakładów Trójmiasta.

Gdynia

5.00

Nie podjęły pracy: Stocznia im. Komuny Paryskiej, Zarząd Portu i "Dalmor" na znak solidarności ze strajkującymi w Stoczni Gdańskiej.

Elbląg

6.00

I zmiana Spółdzielni "Metal" nie przystąpiła do pracy. W "Zamechu" /Zakłady Mechaniczne im. Karola Świerczewskiego/ rozpoczęła strajk załoga hali 14 i częściowo W-3.

Gdynia

6.30

W Stoczni im. Komuny Paryskiej - atmosfera wiecowania i wzburzenia spowodowana aresztowaniami członków Komitetu Strajkowego i wieściami o zajściach w Gdańsku.

Gwałtowną reakcję wywołały patrole milicji i wojska pojawiające się w okolicach ronda, na skrzyżowaniu ulic: Polskiej, Marchlewskiego i Czechosłowackiej.

Pojawiły się ulotki nawołujące do strajku. Atakowano w nich władze centralne - rząd i Komitet Centralny.

Gdańsk

7.00

W Stoczni Gdańskiej przed budynkiem dyrekcji zebrał się blisko pięcioletni tłum, żądając odpowiedzi na postulaty zgłaszane w rezolucjach z poprzedniego dnia /głównie podwyżki zarobków i cofnięcia podwyżki cen na artykuły żywnościowe/.

Na terenie Stoczni znajdowało się 75% zatrudnionych. Stocznia została obstawiona wojskiem.

6.00-8.00

Pomiędzy robotnikami, a otaczającymi Stocznię Gdańską oddziałami wojskowymi toczyła się wojna psychologiczna. Głośniki stoczniowe nadawały apele strajkujących do wojska, by nie występowało przeciwko swoim braciom i poparło robotnicze żądania. Duża grupa robotników siedząca na ogrodzeniu stoczni wznosiła okrzyki: "Wojsko z nami" i podejmowała różne próby zbratania się z żołnierzami.

Wojsko również rozstawiło urządzenia nagłaśniające i przekazywało stoczniovcóm apele wzywające ich do podjęcia pracy, odcięcia się od wichrycieli oraz zakazujące im opuszczania stoczni i zbliżania się do pojazdów wojskowych.

Wśród żołnierzy rosło zdenerwowanie, zdarzały się wypadki załamania. Dla podniesienia morale starsi oficerowie obchodzili pododdziały i informowali żołnierzy, że w stoczni ukryły się wszystkie szumowiny społeczne Gdańska. W grupie oficerów pojawił się w wojskowym mundurze polowym wiceminister Spraw Wewnętrznych gen. Franciszek Szlachcic. Jednocześnie cofnięto spod ogrodzenia najbardziej wysunięte oddziały i transportery wojskowe.

Według danych oficjalnych uczyniono to dlatego, żeby uchronić żołnierzy i sprzęt wojskowy przed kamieniami i butelkami z benzyną rzuconymi przez stoczniovców. Robotnicy natomiast twierdzą, że decyzję tę spowodowała obawa dowódców o zdyscyplinowanie żołnierzy.

O godz. 8.00 grupa młodych stoczni-

wców przeskoczyła ogrodzenie w pobliżu bramy nr 2 i zbliżyła się do żołnierzy. Robotnicy twierdzą, że pragnęli udać się do swoich domów, inni, że chcieli porozmawiać z żołnierzami. Według danych oficjalnych - mniej wiarygodnych - grupa ta uzbrojona w łomy i pręty żelazne zaatakowała żołnierzy. Żołnierze oddali salwę ostrzegawczą do góry, a następnie strzelano z ręcznej broni maszynowej w jezdnię pod nogi biegnących. Poległy 2 osoby, 11 odniosło rany. Powstało zamieszanie wśród stoczniowców, którzy w popłochu schronili się na teren zakładu. Stocznię ostrzelano też z helikoptera i z ciężkiego karabinu maszynowego zamontowanego na czołgu - pociski trafiły w budynek ambulatorium stoczniowego. Robotnicy zaczęli skandować okrzyk "mordercy". Na wszystkich bramach, halach i dźwigach pojawiły się flagi narodowe, opuszczona do pół masztu i przepasane krepą.

8.15 W ZNTK odbył się wiec. Robotnicy żądali rozmów z przedstawicielami władz, którym chcieli przedstawić swoje postulaty. Grozili, że w wypadku odmowy spełnienia żądań nastąpi dewastacja urządzeń.

8.20 Pracownicy portu w Gdańsku odmówili podjęcia pracy, żądając podwyżki płac o 30% i uregulowania spraw mieszkaniowych.

9.00-15.00 Zorganizowano komitet strajkowy Stocznia im. Lenina /uainięto z jego składu osoby partyjne i związane z dyrekcją/, tj. Radę Delegatów Robotników

Z wydziałów kadłubowych Stoczni im. Komuny Partyjkiej wyruszyło około 200-osobowa grupa robotników w kierunku bramy, przechodząc obok dyrekcji, bu-

Gdynia
9.50

W Olszynie grupa stoczniowców agitowała budowlanych do podjęcia strajku.

9.50

- z nową załogą".
 a na gruzach starej zbudujemy nową - /.../ Zostanie zburzona stocznia, zginie 200 lub więcej stoczniowców. z kontrrewolucją i nieważne jest, że Stocznia Gdańska: "Namy do czynienia Kliszko powiedział przedstawicielom kę, I. Loga-Sowiński i S. Kociński. Mojeóddzkiej MO. Rozmawiali z Z. Kisz- wago, mieszczącego się w Komandzie stoczni udając się do sztabu wojsko- wydziałów kadłubowych opuścili teren Komitetu Zakładowego i szef produkcji Dyrektor Stoczni Gdańskiej, sekretarz

po 9.00

ako przed stocznia.
 na artykuli spozycze i wycolat woj- Najważniejsze postulaty: cofnąć ceny stawie dyrekcji postulaty załogi.
 danien delegatów było zebrać i przed- ży wybrały delegatów, tzw. trójki. Za- dyktem dyrekcji, poszczególne wydzia- w Stoczni Północnej po wstępu przed bu- około 9.00

Strajkujących. Wyłoniono Prezydium, w skład którego weszli: Jerzy Górecki, Zbigniew Jaros, Stanisław Dziwobó, Ryszard Podhajski, Lech Wałęsa. Orga- szone strajk okupacyjny. Stoczniowcom polecono pozostać na stanowiskach pra- cy, wyznaczono milicję robotniczą oraz ustalono zasady aprowizacji. Zabitych stoczniowców uroczyście pochowano

dynku Rady Zakładowej i straży pożarnej. Do grupy tej dołączyli robotnicy z pozostałych wydziałów. Rozeszły się informacje o zatrzymaniu przez organa MO członków Ogólnogdańskiego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego.

Słupsk
10.00

W Słupskiej Fabryce Sprzętu Okrętowego około 150 robotników rozpoczęło strajk, żądając spotkania z dyrektorem zakładu, a następnie z I sekretarzem Komitetu Miejskiego PZPR. Na ulicach miasta pojawiły się napisy: "Popieramy Gdańsk", "Chcemy chleba", "Precz z PZPR".

Gdańsk
10.30

W gmachu Wojewódzkiej Rady Narodowej odbyła się narada, podczas której Z. Kliszko poddał krytyce działania sił porządkowych na terenie Gdyni, wyrażając niezadowolenie, iż sytuacja nie jest tam jeszcze opanowana, a milicja nie używa wszystkich dostępnych jej środków. Jednocześnie polecił on gen. Słabczykowski opracować plan pacyfikacji Stoczni im. Lenina.

10.45

W rejonie II Portu Gdańskiego kończy się wiec dokerów. Uchwalono rezolucję domagającą się m.in. podwyżki płac i obniżenia podatków.

Gdynia
11.00

Odbywa się wiec na placu naprzeciwko budynku wydziału K-4. Przemawiający nawołują, by pójść do dyrekcji z konkretnymi żądaniami, a zwłaszcza z żądaniem usunięcia wojska z okolic ron-

da przy ul. Polskiej oraz wypuszczenia zatrzymanych członków komitetu strajkowego.

11.50

Zgromadzenie przed budynkiem dyrekcji liczy już około 4 tys. osób. Rozlegają się okrzyki wzywające przedstawicieli Komitetu Zakładowego i dyrektora stoczni.

Do zebranych wychodzą dyrektorzy Tyński i Szajewski oraz członek Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego; proponują wytypowanie delegatów /2 lub 3 z każdego wydziału/, z którymi przeprowadzone zostaną rozmowy.

Zgromadzeni przed budynkiem wybierają kilkanaście osób, kilku rozmówców zgłosiło się samorzutnie. Zebrani nie zgadzają się jednak na przeprowadzenie rozmów w budynku dyrekcji. Dyrektor Tyński proponuje przejście do miejsca dowolnie wybranego przez zgromadzonych.

Rozmowy odbywały się w sali konferencyjnej. Uczestniczyło w nich 16 przedstawicieli robotników oraz dyrektorzy - Tyński i Szajewski, sekretarze Komitetu Zakładowego - Porzycki i Misiewicz.

Przedstawiciele strajkujących kategorycznie zażądali przywiezienia zatrzymanych członków Ogólnogdyńskiego Komitetu Strajkowego, wyznaczając czas do 13.30, a następnie do 14.00 godziny. Przed przywiezieniem zatrzymanych nie zgadzają się na żadne pertraktacje.

Tczew

około 12.00

Część pracowników Fabryki Gazomierzy i "Polmo" nie podjęła pracy. W Pruszczu nie pracowała Fabryka Aparatury Mleczarskiej i "Technet".

Gdańsk

12.00-13.00 Stoczniovcy Stoczni Północnej porozumieili się z Komitetem Strajkowym Stoczni im. Lenina.

Gdynia

12.00-13.00 Delegaci Stoczni im. Komuny Paryskiej pojechali do sztabu Marynarki Wojennej, rozmawiają z kmdrem L.Janczyszy-nem i jego zastępcą do spraw politycznych kmdrem Szczerkowskim. Ci kierują ich do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Delegaci jadą do Prezydium. Zarówno w sztabie Marynarki Wojennej, jak i w Prezydium, delegatów straszono i nie udzielono informacji o losie aresztowanych.

Zebrani przed budynkiem dyrekcji zostali powiadomieni o wyjeździe delegacji oraz o terminie jej powrotu. Uspokaja to na pewien czas zebranych; większość robotników rozeszła się do wydziałów.

Po wyjeździe delegacji pozostali przedstawiciele strajkujących dyskutowali w sali konferencyjnej z kierownictwem stoczni. Ze strony stoczniovców padło m.in. oświadczenie, że do czasu powrotu delegacji członkowie kierownictwa będą traktowani jako zakładnicy. Wywiązała się ogólna rozmowa dotycząca sytuacji gospodarczej w kraju, gospodarki i zarobków w stoczni.

14.00

Przed budynkiem dyrekcji ponownie zebrał się tłum. Ponieważ delegacja nie powracała, przeto strajkujący opanowali ten budynek. Padały pogróżki podpalenia i zdevastowania pomieszczeń dyrekcji. Ponieważ nadeszła jednak te-

lefoniczna wiadomość, że delegacja powróci na pewno o 14.15, sytuacja uległa więc pewnej poprawie.

14.18

Powrócił sekretarz Komitetu Zakładowego Porzycki razem z częścią delegacji. Nie wrócili jednak członkowie Ogólnogdyńskiego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, zatrzymani poprzedniego dnia. Wrzenie zebranego tłumu wzrosło. Złagodził je komunikat, że będą czynione dalsze starania w celu wyjaśnienia sytuacji zatrzymanych. O ich wynikach strajkujący powiadomieni zostaną w dniu 17 grudnia o godz. 7.00 rano.

Delegaci strajkujących skierowali do zebranych apel o rozejście się do domów i podjęcie akcji dopiero w dniu następnym - co odniosło skutek. Od 14.24 do 15.00 strajkujący rozeszli się do domów.

Gdańsk

14.40

W Gdańskiej Stoczni Remontowej wybrano Komitet Robotniczy. Ogłoszono 24-godzinny strajk okupacyjny. Załoga nie opuściła zakładu. Komitet postanowił zabezpieczyć zakład przed dewastacją i elementami chuligańskimi. Domagał się ukarania winnych stanu gospodarki kraju, podwyżki płac i stabilizacji cen oraz usunięcia wojska z miasta.

15.15

W Stoczni Północnej odbyło się spotkanie władz zakładu z delegatami wydziałów. Delegaci stwierdzili, że do momentu uwzględnienia wszystkich postulatów załoga nie przystąpi do pracy. W postulatach wydziałowych domagano się m.in. wycofania wojska

sprzed bram stoczni, podwyżki płac o 40%, wyciągnięcia konsekwencji w stosunku do osób z władz centralnych, uwolnienia aresztowanych oraz opublikowania w środkach masowego przekazu - petycji. Robotnicy zastanawiali się również, komu w Warszawie zależy na przelewaniu krwi polskiej i kogo reprezentują związki zawodowe. Zwołano naradę delegatów wydziałów Stoczni Gdańskiej. Wziął w niej udział dyrektor naczelny i I sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR. Na naradę przybyli również delegaci Stoczni Północnej i Stoczni Remontowej. W godzinach popołudniowych sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Jerzy Hajer i Włodzimierz Staśewski przyjęli delegację Komitetu Robotniczego Gdańskiej Stoczni Remontowej, która przedstawiła postulaty podwyżki płac, jak również obniżki i zamrożenia cen. Sekretarze Komitetu Wojewódzkiego poinformowali przybyłych, że odpowiedź na zgłoszone postulaty zostanie udzielona w terminie późniejszym, tymczasem zaś apelowali o podjęcie wysiłków na rzecz zapewnienia porządku i spokoju.

po 16.00

Po powrocie ze Stoczni im. Lenina delegaci Stoczni Północnej zorganizowali 14-osobowy komitet strajkowy. Powołano milicję robotniczą. Nadal utrzymywano łączność ze Stoczną im. Lenina.

Gdynia
16.30

Przybyłym na telefoniczne wezwanie przedstawicielom władz miasta i stoczni /dyrektor Stoczni im. Kozuny

Paryskiej - M.Tymiński, Sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej - - W.Porzycki, przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej - J.Mariański, I sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR - H.Malinowski/ Zenon Kliszko przekazał wiadomość o blokadzie Stoczni im. Komuny Paryskiej. Nie zgodził się, by informacja o tej decyzji została nadana przez środki masowego przekazu i odmówił wydania polecenia wstrzymania komunikacji w godzinach rannych.

Z.Kliszko poinformował również o blokadzie wojskowej przy przystanku Gdynia-Stocznia za wiaduktem, w miejscu gdzie rozwidlają się ulice Marchlewskiego, Czechosłowacka i Polska.

/Zatarasowana została w ten sposób nie tylko droga do Stoczni im. Komuny Paryskiej, ale i do Zarządu Portu Gdynia oraz kilkudziesięciu przedsiębiorstw zlokalizowanych na terenach portowych. Kolejki z kierunków Gdańska i Wejherowa przywożą tłumy spieszących się do pracy. Przejęcie jest tylko jedno: przez wąski, drewniany pomost, po schodach w dół i dalej kilkudziesięciometrowym odcinkiem ograniczonym z dwóch stron płotem, do wiaduktu. Takie ustawienie blokady stanowi dla robotników pułapkę nie dającą im możliwości ucieczki./ Kliszko nie zgodził się także na przeniesienie blokady na bardziej bezpieczne miejsce. Nie zgodził się też na wydanie polecenia, aby kolejka elektryczna nie zatrzymywała się na stacji Gdynia-Stocznia.

nogram Zjednoczenia Przemysłu Okrętowego, w którym przekazano decyzję o zawieszeniu pracy w etoczni aż do odwołania.

Gdynia
17.30

Port ostatecznie przestaje pracować /wcześniej w niektórych rejonach pracowało kilkudziesięciu robotników/. Dokerzy zapowiedzieli, że będą domagać się swoich praw, nie dopuszczają jednak do sabotażu i niszczenia portu.

Elbląg
17.30

W rejonie Placu Wolności zgromadziły się grupy manifestantów. Zaczęły się starcia z milicją oraz demolowanie i rabunek sklepów. Radiowozy MO zostały obrzucone kamieniami. Na terenie niesta zdemolowano ponad 50 placówek handlowych. Na prośbę I sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR Lokalny Sztab wydał polecenie, aby pododdziały wojskowe przejęły wewnętrzną obronę następujących obiektów: Komitetu Miejskiego i Komitetu Powiatowego PZPR, Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, Sądu, Prokuratury oraz więzienia.

19.15

Grupy liczące po 5-10 osób skierowały się w pobliże Komitetu Miejskiego i Powiatowego PZPR. Przed budynkiem zebrało się około 400 osób. Demonstranci rzucali w jego stronę kamienie i próbowali go podpalić. Siły MO rozprosiły tłum. Straż pożarna interweniowała pięciokrotnie. Grupa robotników z "Zamechu", zorganizowana w drużyny ochrony mienia, starała się izolować grupy chuliganów od manifestujących.

Szczecin

19.30

Radio i telewizja podały informację o wydarzeniach w Gdańsku. Wywołała ona duże wrażenie wśród załóg szczeecińskich zakładów pracy, głównie w Stoczni "Warskiego". W stan pogotowia postawiono MO w Szczecinie.

Gdynia

Późnym popołudniem Z.Kliszko podjął decyzję o zwolnieniu z pracy wszystkich pracowników stoczni oraz przeprowadzeniu weryfikacji załogi.

19.30

Narada w Stoczni im. Komuny Paryskiej. Zapadła decyzja natychmiastowego zawiadomienia pracowników stoczni o zawieszeniu pracy w zakładzie. Do osiedli stoczniowców w Trójmieście wyjeżdżał samochodami "aktyw", by przekazać pracownikom komunikat o przerwaniu pracy. Jednocześnie odblokowywano prywatne telefony i zawiadamiano stoczniowców o tej decyzji. Dyrekcja Stoczni im. Komuny Paryskiej zwróciła się do PKP z prośbą o nadanie na peronach kolejki elektrycznej odpowiednich komunikatów o zawieszeniu pracy w stoczni.

Dyrekcji stoczni udało się też załatwić wstrzymanie dojazdu porannych autobusów do przystanków w pobliżu zakładu.

20.00

Zjednoczenie Przemysłu Okrętowego przekazało do Stoczni im. Komuny Paryskiej i pozostałych stoczni telefonogram o przerwaniu pracy w dniu 17 grudnia. Treść komunikatu przekazano również władzom kolejowym, aby przez megafony na stacjach podać informację tym, którzy rano będą chcieli dojechać do pracy.

Przed kamerami gdańskiej telewizji wystąpił Stanisław Kociołek, żądania robotników nazwał demagogicznymi i nieodpowiedzialnymi. Wytknął stoczniovcóm niską jakość i wydajność pracy. Na końcu powiedział: "Jeszcze raz ponawiam, stoczniovcy, adresowane do was wezwanie - przystąpcie do normalnej pracy! Są do tego wszystkie warunki". W przemówieniu tym nie było ani jednego zdania o zawieszeniu pracy w Stoczni im. Komuny Paryskiej. Przez całą noc wypisywano przepustki dla "aktywu" i pracowników niezbędnych w stoczni. Był one rozwożone po mieście przez tych samych ludzi, którzy zawiadamiali resztę pracowników o zawieszeniu pracy w stoczni. Na trasach dojazdowych PKP podjęto również działanie informujące o zamknięciu Stoczni im. Komuny Paryskiej i nawołujące do powrotu do domów. Powstał zorganizowany bałagan: wicepremier nawoływał do pracy, a gońcy i megafony na przystankach kolejowych - do niepodejmowania pracy. Ci stoczniovcy, do których dotarli gońcy, przyjmowali ich na ogół z nieufnością, uważając, że informacja o zamknięciu Stoczni im. Komuny Paryskiej jest prowokacją. 16 XII, podobnie jak i 15 XII, dzienniki w całym kraju nie zamieściły żadnej informacji o wydarzeniach na Wybrzeżu; inne środki masowego przekazu do połowy tygodnia ani słowem nie wspomniały o zajściach na Wybrzeżu.

Po wysłuchaniu zapowiadanego wystąpienia Kociołka w gdańskiej TV, Rada

Delegatów Stoczni Gdańskiej postanowiła wydać komunikat, że opierając się na zapowiedzi i apelu do robotników Trójmiasta, nie będzie czynić przeszkód w opuszczeniu przez załogę zakładu.

Dyrekcja stoczni nawiązała w sprawie kontakt z T. Bejmem, którego poinformowano o decyzji Komitetu Strajkowego. Przedstawiciele Komitetu Strajkowego Gdańskiej Stoczni Remontowej odbyli rozmowę z sekretarzami KW PZPR. Przedstawili żądania zwolnienia aresztowanych, cofnięcia podwyżki cen i podwyżki płac. Funkcjonariusze KW uznali, że żądania te są nierealne. Nie osiągnięto także porozumienia w sprawach: dostarczenia żywności do stoczni i poinformowania przez TV o strajkach i postulatach. Spotkanie odbyło się w budynku WRN. Delegację przyjął także przewodniczący WRN Tadeusz Bejm. Gwarantem pozostania na wolności delegatów robotniczych, był dyrektor stoczni Gryglewicz - cały czas obecny na spotkaniu.

Słupsk
21.00

Na ulicach miasta zaczęły tworzyć się duże grupy manifestantów. Doszło do starć z milicją. Podpalono budynek Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Pożar ugaszono,

Gdańsk
22.00-24.00

I sekretarz Komitetu Zakładowego Piętkowski i dyrektor Gniech przeprowadzili rozmowy z Radą Delegatów Stoczni Gdańskiej i eprecyzowali warunki wydania przez nich komunikatu wzywającego

jącego załogę do opuszczenia zakładu. Rada Delegatów SG została wcześniej poinformowana, że jeżeli strajk będzie kontynuowany, stocznia będzie zbombardowana i wzięta szturmem. Dyrektor Żaczek ostrzegł, że wojsko dało 4 godziny na opuszczenie stoczni. Jeżeli to nie nastąpi, wojsko rozpocznie ostrzał i bombardowanie. Obiecał, że postulaty Komitetu będą zrealizowane, ale po zakończeniu strajku.

Część stoczniowców usiłowała porozumieć się ze światem zewnętrznym za pomocą zamontowanych na statkach radiostacji. Statki wyprowadzono w tym celu na redę.

Pieńkowski powiadomił I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego Karkoszkę o możliwości wyjścia załogi, gdy zapewni się jej bezpieczny dojazd do domów /godzina milicyjna/ i to, że nie będzie aresztowań za udział w strajku. W tym czasie odbywało się posiedzenie Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Kierownictwo stoczni usilnie, ale bezskutecznie, zabiegało o wydanie przez Radę Delegatów komuniaktu o zakończeniu strajku.

Gdynia
22.00

Jednostki wojskowe znajdujące się w Gdańsku, na mocy decyzji obecnych w Gdańsku członków Biura Politycznego, przegrupowały się i przystąpiły do obsadzenia oraz zewnętrznej blokady wyznaczonych obiektów w Gdyni, m.in. Stoczni im. Komuny Paryskiej i portu.

Warto zauważyć, że na ulicach Gdyni w tym dniu, tak jak w poprzednim, panował spokój. Nie było zniszczeń ani grabieży sklepów.

Gdańsk

23.00

W Stoczni Północnej i Stoczni Remontowej toczyły się dyskusje na temat ewentualnego opuszczenia zakładów pracy przez strajkujących. Radio powtórzyło przemówienie telewizyjne S.Kociołka.

Gdynia

24.00

Do Stoczni im. Komuny Paryskiej wkroczyło wojsko.

17 grudnia - czwartek

Gdańsk

1.00

Na polecenie przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej, Tadeusza Bejma, uruchomiono komunikację autobusową i powiadomiono o uruchomieniu dodatkowych pociągów, które miały rozwieźć pracowników stoczni do miejsc zamieszkania.

2.00

Stocznia Gdańską opuściło około 3 tys. robotników.

2.20

Na stacjach kolejki elektrycznej od stacji Sopot do Wejherowa podawane były komunikaty Zjednoczenia Przemysłu Okrętowego i Stoczni im. Komuny Paryskiej o przerwaniu pracy w stoczniach. Wzywały one pracowników Stoczni im. Komuny Paryskiej do powrotu do domu.

2.30

Zwołano naradę delegatów, na której podjęto decyzję o przerwaniu strajku okupacyjnego i opuszczeniu zakładu pracy.

3.00-5.00

Pracownicy opuścili Stocznia Gdańską. Przerwano także strajki okupacyjne w Stoczni Północnej i Remontowej. Do gdańskich stoczni również wkroczyło wojsko.

Szczecin

5.00

Na naradzie aktywu partyjno-gospodarczego postanowiono, że po rozpoczęciu pracy "aktyw" zakładowy zorganizuje "masówki", na których omówi szkodliwość strajków. Do pomocy aktywowi stoczni skierowano pracowników Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Prasa szczecińska zamieściła informacje o strajkach w Trójmieście. Do Komitetów PZPR od rana wzywano osoby, które w opinii władz, mogły zorganizować strajk. Próbowano je przesłuchiwać i grożono represjami w przypadku udziału w strajku.

Gdynia

5.00-5.20

Kolejkami PKP przybywają na przystanek Gdynia-Stocznia pierwsze grupy pracowników z okolicznych zakładów pracy. Przez megafon podawane jest ogłoszenie o przerywaniu pracy w Stoczni im. Komuny Paryskiej. Apeluje się o powrót do domów. Na peronach gromadzi się coraz więcej ludzi. Droga w kierunku Zarządu Portu i stoczni była zablokowana przez oddziały wojska.

5.30-5.55

Niewielki teren przystanku Gdynia-Stocznia zapalniający jest tłumem pracowników. Każda następująca kolejka PKP przywozi grupę pracowników. Tłum liczy już ponad 3 tys. osób.

5.55-6.15

Z wypełnionego do granic możliwości przystanku Gdynia-Stocznia zdezonizowani stoczniowcy ruszyli w kierunku Stoczni im. Komuny Paryskiej i tyraliery czołgów, żołnierzy i MO. W stronę tłumu wystrzelił z działa czołg /ponad głowami/, potem oddano

- również w górę - salwą ostrzegawczą. Pierwsze szeregi nie miały się gdzie cofnąć z powodu zatłoczenia peronów i przejścia nad torami. Następne salwy skierowane były w bruk ulicy i w zaszokowany tłum cofających się i zwracających stoczniovców. Padli ranni i zabici /4 osoby - według oficjalnych danych/.

6.15-6.45

Na przystanek Gdynia-Stocznia przybują następne kolejki. Wsiadający stoczniovcy jeszcze nic nie wiedzą o sytuacji na przystanku. Wojsko i milicja jeszcze kilkakrotnie strzelały w kierunku tłumu. Stoczniovcy przebywający na przystanku i w jego okolicach atakowali wojsko i MO kamieniami. Próbowali podpalić pomost nad torami - próba nie powiodła się. Do akcji włączyły się helikoptery, z których rzucano petardy, gazy łzawiące i strzelano do demonstrantów. Przygodne samochody rozwoziły rannych i zabitych do szpitali.

6.45

Przerwano kursowanie kolejki elektrycznej. Ustał dopływ nowych pracowników. Od strony Wejherowa kolejki zatrzymywano na stacji Gdynia-Chylonia, a od strony Gdańska na stacji Sopot. Ulicami po drugiej - w stosunku do Stoczni im. Komuny Paryskiej - stronie torów, część tłumu przeszła w kierunku Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Niesiono ciało ofiary zastrzelonej przy przystanku Gdynia-Stocznia.

7.00-8.30

W okolicy przystanku Gdynia-Stocznia trwały walki między robotnikami a milicją i wojskiem. Nadal do atakowania tłumu używano helikopterów. Demons-

tranci stopniowo opuścili teren przystanku, odchodząc do centrum miasta. Pochód, który wyruszył z Gdyni-Stoczni około godz. 6.45 przybył pod gmach Prezydium Miejskiej Rady Narodowej około 7.20. Jego uczestnicy domagali się rozmów z J.Mariańskim. Demonstrację przed Prezydium Miejskiej Rady Narodowej usiłowała rozprędzić MO. Około godz. 8.30 demonstranci pod Prezydium Miejskiej Rady Narodowej rozbili kordony milicji i wojska ochraniające czołgi i wozy pancerne. Wogęko otworzyło ogień do tłumu. Zabite zostały 4 osoby, a wiele innych raniono.

9.00

Z centrum miasta przybył na przystanek Gdynia-Stocznia ogromny pochód mieszkańców, przywiedzionych pogłoską, że w Wyższej Szkole Morskiej odbędą się rozmowy z przedstawicielami władz. Na wysokości pomostu pochód został ostrzelany z broni maszynowej.

Szczecin

9.00-9.30

W czasie przerwy ęniadaniowej na wydziale W-4 Stoczni Szczecińskiej im. A.Warskiego uformował się pochód. Robotnicy przeszli pod gmach dyrekcji stoczni. Dołączyli się pracownicy z innych wydziałów. Robotnicy zażądali rozmowy z władzami wojewódzkimi na temat podwyżki cen.

Gdynia

9.20-10.00

W kierunku centrum miasta wyruszyły z przystanku Gdynia-Stocznia dwa ogromne pochody, w których niesiono następne ofiary. Demonstranci z pierwszego pochodu przeszli: ulicą Czer-

wonych Kosynierów, pod wiaduktem, ul. 10 lutego i ul. Świętojańską. Po godzinie 10.00 w okolicy przystanku Gdynia-Stocznia nie było już większych grup demonstrantów.

Pierwszy pochód został rozpedzony przez MO na wysokości apteki przy ul. Świętojańskiej. Około 9.30 dr Kunert badał zabitego uczestnika demonstracji. Drugi pochód rozpedziły siły MO przy Poczcie /róg Świętojańskiej i Traugutta/.

Uwaga: W godzinach od 7.00 do 15.00 ulicami Gdyni przechodziły liczne pochody w kierunku Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Zarówno ich liczby, jak i składu nie sposób ustalić.

10.00-13.00

Trwały walki uliczne. Tłum złożony z uczestników rozpedzonych pochodów, pasażerów kolejek elektrycznych /wstrzymanych okresowo i uruchamianych znowu/, przygodnych widzów zlokalizował się w trzech miejscach:

- na placach naprzeciw Prezydium Miejskiej Rady Narodowej /po atakach uciekali do kościoła OO.Franciszkanów - bardzo dużo młodzieży/;
- na ulicy Władysława IV w odległości kilkudziesięciu metrów przed strzeżoną stacją CPN /stąd manifestanci uciekali w kierunku szkoły i pogotowia ratunkowego/;
- wokół dworca kolejki elektrycznej Wzgórze Nowotki.

Milicjanci i żołnierze kilkakrotnie oddali salwę z broni maszynowej do tłumu /pod Prezydium Miejskiej Rady Narodowej i w innych punktach Gdyni/.

Oficjalnie podano, że zginęło jeszcze 17 osób, w tym 4 osoby zmarły w szpitalach w jakiś czas później.

Szczecin

11.00

Po nieudanej próbie skłonienia robotników "Warskiego" do powrotu do pracy, podjętej przez dyrektora stoczni T.Cenkiera i I sekretarza KZ PZPR E.Muszyńskiego, pochód pracowników stoczni opuścił zakład. Cel marszu nie był sprecyzowany.

Rozpoczął się wiec robotników w Szczecińskiej Stoczni Remontowej "Gryfia".

Gdańsk

12.00

Zawieszono wykłady we wszystkich uczelniach Trójmiasta. Około 90% studentów zamieszkałych w akademiach opuściło Trójmiasto.

Szczecin

12.00

Na ulicy Malczewskiego przed placem Grunwaldzkim, stoczniovcóm "Warskiego" zastąpił drogę kordon MO. Milicjanci używając gazu łzawiącego rozbili pochód na kilka grup: część stoczniovców przeszła nad Odrę w kierunku Portu Szczecińskiego i Fabryki Maszyn Budowlanych "Fambud", reszta wycofała się najkrótszą drogą do stoczni. Obie grupy przez cały czas były atakowane przez MO. Najbardziej zacięte walki toczyły się w rejonach ulic: Parkowej, Dubois, Szarotki, Sławomira oraz na Wałach Chrobrego i na Jana z Kolna. Spłonęło kilka milicyjnych samochodów.

Gdynia

13.30

Zgromadzeni wokół dworca na Wzgórzu Nowotki zostali ostrzelani przez milicję. Strzelano do nich również z helikopterów.

około 15.00

Zarządzenie porządkowe dla miasta: godzina milicyjna została przesunięta z godziny 18.00 na 17.00.

Szczecin

13.00-23.00

Luźne grupy stoczniowców z "Warskiego", spychane przez MO do stoczni napotykają zorganizowany pochód pracowników z "Gryfii". Około 13.00 wyrusza ponownie zorganizowany pochód z wyraźnym zamiarem dotarcia do KW PZPR w celu przedstawienia swych żądań. Przełamując słabnący opór MO pochód dotarł około godz. 14.00 przed KW PZPR. Na placu Żołnierza, przy którym znajduje się KW, od godz. 13.00 gromadził się tłum mieszkańców miasta. W budynku KW nie było nikogo z władz; I sekretarz A. Walaszek przebywał w sztabie 12 dywizji zmechanizowanej. Rozpoczęła się dewastacja pomieszczeń. Z budynku przez okna wyrzucano wyposażenie oraz zaopatrzenie z miejscowego barku. Budynek podpalono. Tymczasem oddziały 12 dywizji zmechanizowanej obstały plac Żołnierza wozami bojowymi. Wojsko biernie przyglądało się podpaleniu. Straży pożarnej uniemożliwiono akcję gaśniczą. Na placu Żołnierza zgromadziło się kilkadziesiąt tysięcy osób. Po spaleniu KW PZPR tłum częściowo przeszedł pod pobliskie budynki: Komendy Wojewódzkiej MO i WRZZ. Zaatakowano gmach Komendy z powodu pogłoszek

o aresztowaniu niektórych uczestników strajku, którzy mieli być przetrzymywani w KW. Zniszczono parter budynku WRZZ oraz częściowo budynki MO. Grupa demonstrantów próbowała staranować szalupą /przyniesioną z pobliskiego ogródka jordanowskiego/ drzwi do KW MO. Około 17.00 z okien KW MO padły pierwsze strzały do tłumu. Strzelano z broni ręcznej i maszynowej. Wśród tłumu byli zabici i ranni. Obratżenia odnieśli także mieszkańcy okolicznych domów.

Rozkaz użycia broni mógł być wydany przez wiceministra obrony narodowej, gen. T.Tuczapskiego lub wiceministra spraw wewnętrznych, gen. R.Matejewskiego.

Duże grupy demonstrantów skierowały się pod inne obiekty: więzienie przy ul. Kaszubskiej /niektóre źródła podają, że tutaj padły pierwsze strzały i były pierwsze ofiary/, pod budynek MHN na placu Dzierżyńskiego, pod budynek Prokuratury Wojewódzkiej przy ul. Stoiskawa. Każdy z tych budynków był atakowany i podpalany. Nie przyniosło to większych efektów.

W godzinach popołudniowych Prezydium WRN podjęło uchwałę wprowadzającą Zarządzenie porządkowe w/s zapewnienia spokoju i porządku publicznego w Szczecinie. Zarządzenie zawierało: zakaz przebywania na ulicach /godzina milicyjna/ od 18.00 do 6.00 rano, sposób egzekwowania godziny milicyjnej oraz przypomnienie o obowiązku uzyskiwania zezwoleń na odbywanie zgromadzeń. Zarządzenie podano do wiadomości publicznej przez radio przed godz. 18.00.

W godzinach popołudniowych rozpoczęły się rabunki sklepów. Największe nasilenie osiągnęły one w godzinach wieczornych. Istnieją poszlaki, że początek aktom grabieży dały zorganizowane grupy prowokatorów. W czasie zajęć MO aresztowała znaczną liczbę ich uczestników, a także zwykłych przechodniów. Dowództwo nad jednostkami MON sprawował gen. Tadeusz Tuczapski /wice-minister obrony narodowej/, a siłami MSW dowodził wiceminister spraw wewnętrznych gen. Ryszard Matajewski.

Elbląg

około 15.00 Około 300 osób z Zakładów Przemysłu Drzewnego im. Wielkiego Proletariatu opuściło zakład, kiszując się pod siedzibę KMiP PZPR. Przypadkowi przechodnie dołączali do demonstrantów. Około 2,5 tys. osób znalazło się pod gmachem KMiP PZPR i zaatakowało go. Siły porządkowe odparły atak. Część demonstrantów ruszyła spod Komitetu w kierunku Śródmieścia, rozbijając po drodze sklepy i punkty usługowe. Wniecono 11 pożarów. Robotnicy z "Zamechu" powołali grupę, która miała strzec porządku w mieście i zakładzie oraz uniemożliwić dalsze grabieże.

Gdynia

godziny

popołudniowe

Gen. G.Korczyński zażądał od adm. L.Janyszyszyna, by oddziały Marynarki Wojennej przeprowadziły pacyfikację hoteli robotniczych na ulicy Śląskiej, które określił jako siedlisko kontrrewolucji i anarchii.

Żądał, aby zamieszkujących w nich robotników wyprowadzić z rękami założonymi na karku i umieścić na okrętach Marynarki Wojennej. Dowództwo MW odmówiło wykonania tego rozkazu, powołując się na decyzję ministra obrony narodowej, i wysłało do hoteli grupę oficerów. Po przeprowadzeniu rozmów w burzliwej atmosferze, robotnicy zgodzili się rozjechać do domów.

Słupsk
16.30

Rozpoczęła się manifestacja uliczna. Tłum zaatakował Szkołę Milicyjną i siedzibę ZMS. Doszło do grabieży sklepów.

Elbląg
17.00

Milicja i wojsko, używając m.in. czołgów, rozproszyły tłum w rejonie MRN.

Słupsk
18.00

Demonstracja przed KMiP PZPR. Tłum zaatakował budynek częściowo go niszcząc.

Gdynia
17.00
i później

W mieście pojawiły się liczne patrole MO i wojska, wyposażone w broń. Po ulicach krążyły transportery i czołgi. Przechodniów prawie nie było. Według oficjalnych danych śmierć poniosło 18 osób.

Warszawa
19.30

Ogłoszono uchwałę Rady Ministrów w sprawie zapewnienia bezpieczeństwa i porządku publicznego w związku z wydarzeniami na Wybrzeżu.

Uchwała zobowiązywała "organa ścigania i porządku publicznego /.../ do bezwłocznego podjęcia odpowiednich środków zmierzających do przywrócenia porządku i ładu publicznego oraz zapobieżenia próbom jego naruszenia".

Szczecin
noc z 17
na 18
grudnia

Późnym wieczorem przerwano łączność telefoniczną Szczecina z resztą kraju.

W nocy do miasta wjechały czołgi. Ustawiono je we wszystkich ważnych punktach miasta.

18 grudnia - piątek

Gdynia

Od rana ulice są puste - nie ma przechodniów. Miasto jest nadal patrolowane przez MO i wojsko.

Szczecin
6.00

Przybywający do pracy stoczniowcy napotykali czołgi stojące przy bramach stoczni. Stoczniowcy zgromadzili się przed gmachem dyrekcji. Rozpoczął się wiec. Ostatnie szeregi strajkujących stały w bezpośredniej bliskości czołgów. Doszło do starć z żołnierzami. Robotnicy próbowali podpalać czołgi. Wojsko otworzyło ogień. Zginęły dwie osoby: pracownik "Warskiego" i uczeń przystoczniowej szkoły. Delegacja robotników podjęła rozmowy z żołnierzami na temat wycofania czołgów dalej od stoczni i odwołania ozołgowych działań w innym kierunku. W skład delegacji wchodził m.in. I sekretarz E. Muszyński i S. Wądołowaki. Przed godziną 10.00 żołnierze cofnęli się.

Począwszy od godzin porannych w różnych punktach miasta trwały walki między niezorganizowanymi grupami demonstrantów a oddziałami i patrolami MO. MO atakowała grupy ludzi głównie gazem, ale także pałkami, a w kilku przypadkach użyła broni palnej. Zdarzały się nadal wypadki rabowania sklepów. Walki ustały około godziny 18.00, tj. od rozpoczęcia godziny milicyjnej.

Milicja masowo zatrzymywała uczestników demonstracji, osoby uczestniczące w rabunkach oraz przypadkowych przechodniów.

12.00

Po burzliwej i nieuporządkowanej dyskusji zdecydowano nie opuszczać stoczni, lecz rozpocząć strajk okupacyjny. Za takim rozwiązaniem opowiedział się m.in. Mieczysław Dopierała z W-6. Postanowiono rozjechać się na wydziały i wybrać z każdego z nich po 3 osoby, które następnie miały wyłonić Komitet Strajkowy stoczni.

Równocześnie, niezależnie od przebiegu wydarzeń w Stoczni "Warskiego", zawiązuje się w ten sam sposób Komitet Strajkowy w Stoczni "Gryfia". Przez cały dzień trwa proces organizacji strajku w obu stoczniach. Zorganizowano służby porządkowe. Komitet Strajkowy informował załogę przez radiowęzeł o rozwoju wydarzeń. Do stoczni przybywają delegacje z innych zakładów pracy.

14.00

Na czele Komitetu Strajkowego w "Warskim" stanął M. Dopierała /ozłonek PZPR, technik, około 30 lat/. Komitet liczył 10 osób, w tym kilku członków PZPR, którzy cieszyli się znacznym autorytetem i zaufaniem wśród kolegów.

Elbląg
15.00

Duża grupa demonstrantów próbowała podpalić KM PZPR, a w centrum trwały demonstracje. Doszło do starć z milicją i wojskiem. Zginęła jedna osoba, a 36 raniono.

Szczecin
wieczór

Wieczorem spotykały się Komitety Strajkowe z obu stoczni i uzgadniały wspólną listę 21 postulatów, w tym m.in. żądania: utworzenia niezależnych związków zawodowych, obniżki cen do poziomu sprzed 13 grudnia, podwyżki płac o 30%, wypuszczenia zatrzymanych w czasie zajęć robotników, ukarania winnych masakry i kryzysu gospodarczego, zwiększenia budownictwa mieszkaniowego itd.

W różnych zakładach pracy Szczecina organizowano strajki okupacyjne. Komitety strajkowe wysyłały swoich przedstawicieli do Stoczni "Warskiego".

Stocznia "Warskiego" stała się uznawanym centrum strajku. W nocy na kanale oddzielającym Stocznie "Warskiego" od Stoczni Remontowej pojawiły się okręty Marynarki Wojennej. Stoczniońcy, obawiając się ataku, oświetlali okręty reflektorami, śledząc je pilnie. Panowało olbrzymie napięcie.

Prezydium WRN wprowadziło tryb przyspieszony w postępowaniu karno-administracyjnym na terenie województwa szczecińskiego. Trybowi przyspieszonemu podlegały wykroczenia polegające na zwoływaniu i kierowaniu zgromadzeniem, zakłóceniu porządku publicznego, umyślnym wprowadzeniu w błąd

funkcjonariuszy służb porządkowych. Tryb przyspieszony w postępowaniu wprowadzono na okres 3 miesięcy. W godzinach wieczornych przewodniczący WRN M. Łepicki wygłosił radiowo-telewizyjne przemówienie. Apelował o spokój. W przemówieniu zawarta była sugestia rozpoczęcia rozmów ze stoczniovcami.

W sumie 17 i 18 grudnia w Szczecinie zginęło według danych oficjalnych 16 osób. Bani odniosło 117 osób cywilnych, 71 milicjantów i 24 strażaków. Rozbito i splądrowano 76 sklepów, zniszczono 1 czołg, 2 transportery opancerzone, uszkodzono 1 transporter i 1 samochód wojskowy. Straty oszacowano na 300 mln. złotych. Zatrzymano 498 osób, wobec 69 z nich prokurator zastosował areszt tymczasowy, w tym wobec 59 pod zarzutem grabieży. Sześciu stoczniovców aresztowano pod zarzutem podpalenia KW PZPR. Według powszechnej opinii podana w komunikacie liczba ofiar śmiertelnych jest zaniżona.

Wałbrzych

Dozło do zajęć ulicznych. Tłum zaatakował KM PZPR.

Warszawa

Według informacji posiadanych przez władze centralne, strajk objął 100 zakładów w 7 województwach. Biuro Polityczns KC PZPR otrzymało list od KC KPZR. Tekst listu jest nieznany. Jego sens eprowadzał się do żądania politycznego rozwiązania kryzysu, co zostało odczytane jako votum nieufności dla ekipy Gomułki.

19 grudnia - sobota

- Elbląg** Od rana trwał strajk we wszystkich większych zakładach pracy. Na ulicy gromadziły się grupy demonstrantów.
- Warszawa** Na pierwszej stronie "Trybuny Ludu" ukazała się notatka o spokojnej pracy i unormowanej sytuacji w Trójmieście. Nie wspomniano o Szczecinie.
- Wrocław** Zastrajkowały załogi WSK i ZNTK.
- Szczecin**
6.00 Do strajku przyłączyły się następne zakłady, w tym Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne, Zarząd Portu Szczecin, Zakłady Mechanizmów Samochodowych "Polmo", Zakłady Chemiczne "Police" /w Policach poza Szczecinem/, Fabryka Kabli w Załomiu, Fabryka Kontenerów "Unikom" pod Szczecinem /członkiem Komitetu Strajkowego został dyrektor zakładu, nie było to zresztą zjawisko odosobnione/, Zakłady Włókien Sztucznych "Wiskord", Huta Szczecin, PPDiUR "Gryf", ZPO "Dana". W mieście praktycznie trwał strajk generalny. W Stoczni "Warskiego" przebywali przedstawiciele co najmniej 27 strajkujących bądź solidaryzujących się ze strajkiem zakładów pracy. Motywacją nie przerywania pracy w wielu zakładach była konieczność obsługi strajkujących i ich rodzin.
- 13.00 Odbyła się pierwsza tura rozmów między delegacją strajkujących a przedstawicielami władz. Techniczne warunki prowadzenia negocjacji ustalono telefonicznie. O miejscu pierwszej tury rozmów nie byli poinformowani uczestnicy strajku. Rozmowy toczyły

się w budynku Technikum Budowy Okry-
tów.

O przebiegu pertraktacji załoga do-
wiadywała się z komunikatów nadawa-
nych przez radiowęzeł. Delegaci co
30 minut kontaktowali się ze Stocz-
nią "Warskiego" telefonicznie. Roz-
mowy prowadzili: ze strony władz -
- sekretarz ekonomiczny KW PZPR
S.Rychlik, przewodniczący MRN F.Ucie-
chowski, przewodniczący WRN i członek
Egzekutywy KW PZPR M.Łępicki, sekre-
tary WKZZ /Wojewódzka Komisja Związ-
ków Zawodowych/ Z.Siadak, a ze stro-
ny strajkujących: z "Warskiego" - M.
Dopierała, J.Jakimowicz, J.Podzielny,
J.Kasprzycki, K.Szurło, L.Kietniow-
ski; z "Gryfii" - T.Gadomski, L.Czuj-
kowski, Z.Jakubiec, J.Krajewski, W.
Targoński i K.Nowak.

Delegacja strajkujących przedstawiła
listę 21 postulatów. Postulaty te by-
ły traktowane przez obecnych w stocz-
ni jako postulaty wszystkich strajku-
jących zakładów. Przedstawiciele
władz udzielili wstępnych odpowiedzi
na żądania strajkujących. Usgodniono,
że rozmowy będą kontynuowane. Dele-
gacja wróciła do stoczni. Zwołano
zebranie trójek wydziałowych, na któ-
rym poinformowano o wynikach rozmów.
Po kanale oddzielającym Stocznię "War-
skiego" od "Gryfii" bezustannie krą-
żyły łódzie wojskowe. Wojsko próbowa-
ło utrudniać komunikację między stocz-
niami oraz przez zbliżanie się do
stoczniowych wybrzeży wzmagало napię-
cie wśród strajkujących.

Warszawa Po południu odbyło się posiedzenie
po południu Biura Politycznego KC PZPR. Według

wersji oficjalnej nie uczestniczył w nim I sekretarz KC PZPr W.Gomułka, który podobno zachorował. Postanowiono zwołać na dzień następny posiedzenie KC i postawić kandydaturę E.Gierka na stanowisko I sekretarza. Koncepcja zmiany na tym stanowisku rzekomo została wysunięta dwa dni wcześniej przez członka BP J.Tejsmę, który 20 XII rano zakomunikował o niej W. Gomułce. Szczególnie aktywny w forsowaniu kandydatury Edwarda Gierka miał być wiceminister spraw wewnętrznych F.Szlachcic.

Szczecin

20.00

O godz. 20.00 rozpoczęła się druga tura rozmów. Skład delegacji robotniczej uległ niewielkim zmianom. Dyskutowano nad porozumieniem. Przedstawiciele władz kontaktowali się z Warszawą. Na posiedzeniu zadecydowano o kształcie protokołu ustaleń. Po powrocie delegacji robotniczej do stoczni zwołano posiedzenie trójek wydziałowych. Przedstawiciele wydziałów upoważnili delegatów stoczni do podpisania protokołu ustaleń. Jeden z paragrafów protokołu przewidywał, że zostanie "rozpowszechniony uzgodniony komunikat o wynikach rozmów". Komitety Strajkowe obu stoczni wydały oświadczenie, kolportowane w formie ulotki, na temat celów strajku. Ulotka zawierała apel o zachowanie spokoju i zapewniała, że sytuacja rozwija się zgodnie z oczekiwaniami strajkujących. Najprawdopodobniej tego dnia wystosowano odezwy do KW MO i do żołnierzy. Do milicjantów Komitety Strajkowe pisały o tym, że strajkujący nie

mają nic wspólnego z działaniami antypaństwowymi i grabieżami. Oczekiwano od milicji, że nie będzie atakowała stoczni. Odezwa do żołnierzy podkreślała wspólny dla całego społeczeństwa, a więc także dla żołnierzy, cel akcji strajkowych.

Gdynia

około 24.00

Na cmentarzu Witomińskim odbyły się pogrzeby ofiar w asyście MO. Najbliżsi krewni zmarłych byli dowożeni przez MO. Rodzinom nie pozwolono obejrzeć zwłok. Według relacji administracji cmentarza pochowano w ten sposób 7 osób.

20 grudnia - niedziela

Warszawa

"Trybuna Ludu" doniosła, że w Trójmieście panuje spokój, a w Szczecinie utrzymuje się napięcie po wydarzeniach z 17 XII.

Szczecin

od rana

W dalszym ciągu trwa strajk okupacyjny w wielu zakładach pracy. Do strajku przyłączyły się pozostałe duże zakłady Szczecina, m.in. Zakłady Przemysłu Papierniczego "Skolwin". Niedzielne wydanie gazety "Kurier Szczeciński" ukazało się z informacją, że załoga Szczecińskich Zakładów Graficznych solidaryzuje się ze strajkującymi. Pozostałe wydziały poza gazetowymi przystąpiły do strajku. Na polecenie Komitetu Strajkowego wznowiła pracę komunikacja miejska.

13.30

O 13.30 rozpoczęła się trzecia tura rozmów, znów w budynku WdN przy Wałach Chrobrego. Podczas tej tury pod-

pisano uzgodniony wcześniej tekst protokołu ustaleń. Sprzeciw strajkujących wzbudziło to, że "Kurier Szczeciński" nie opublikował uzgodnionego komunikatu. Ustalenia zawarto w 16 punktach. Z kilku żądań delegacja strajkujących zrezygnowała, inne zostały znacznie złagodzone. Najistotniejsze żądania zostały przekazane władzom centralnym, bez rozpatrywania ich zasadności.

Po południu Egzekutywa KW PZPR dokonała oceny sytuacji społeczno-politycznej w Szczecinie.

około 16.00 Po powrocie delegacji do stoczni zwołano zebranie trójek wydziałowych i delegatów z innych zakładów. Po burzliwej dyskusji zgromadzeni uznali osiągnięte porozumienie za niewystarczające. Dodatkowym argumentem za kontynuowaniem strajku było nie opublikowanie komunikatu z rozmów w prasie, radiu i TV. Za kontynuowaniem strajku opowiedzieli się zdecydowanie delegaci z innych zakładów znajdujący się w stoczni. Strajk nie został przerwany.

Warszawa
16.00

O 16.00 rozpoczęło się VII Plenum KC PZPR. S.Kociołek złożył informację o przebiegu wydarzeń na Wybrzeżu Gdańskim. Plenum przyjęło rezygnację W.Gomułki. Zwolniono z funkcji członków BP: B.Jaszczuka, Z.Kliszkę i R. Strzeleckiego. Z BP odwołano M.Spychalskiego. Do BP wybrano E.Babiucha, P.Jaroszewicza, M.Moczara, S.Olszowskiego, J.Szydłaka. Zastępcami członków zostali W.Jaruzeleki, H.Jabłoński i J.Kępa. Sekretarzami KC zostali E. Babiuch, K.Barcikowski i S.Kociołek.

20.00

O 20.00 E.Gierek wygłosił radiowo-
-telewizyjne przemówienie. Przyznał,
że popełniono błędy w polityce ekono-
micznej. Obiecał je usunąć. Obiecał
także poprawić sytuację najgorzej sy-
tuowanych. Apelowal o spokój i pracę,
które mogą umożliwić wyjście z impasu.

Szczecin
wieczorem

Wieczorem do Komitetu Strajkowego do-
kooptowano pięciu nowych członków,
w tym E.Bażukę, który objął faktyczne
kierownictwo akcją strajkową. Znaczn-
ie zmniejszyła się rola dotychczasowe-
go kierownictwa KS, w tym rola M.
Dopierały.

Wieczorem KZ PZPR, wykorzystując fakt
podpisania porozumienia oraz informa-
cje o zmianach personalnych w KC, pod-
jął akcję zmierzającą do storpedowania
decyzji o kontynuowaniu strajku. W jej
wyniku opuściła stocznię duża grupa
członków PZPR, którzy do tej pory
uczestniczyli w strajku /600-1000 osób/.
W nocy przeprowadzono zmiany organi-
zacyjne, zastępując dotychczasowe
3-osobowe reprezentacje wydziałów
zespołami 5-osobowymi.

Oficjalny bilans strat tygodnia: na
Wybrzeżu śmierć poniosło 44 osoby,
rannych było 1165. Podpalono i całko-
wicie lub częściowo zniszczono 19
obiektów o charakterze publicznym,
wśród nich gmachy Komitetów Wojewódz-
kich Partii w Gdańsku i w Szczecinie.
Straty spowodowane zniszczeniami na
Wybrzeżu Gdańskim wyniosły 105 milio-
nów, a w Szczecinie - około 300 mln.
złotych. Zniszczono lub uszkodzono
47 cywilnych pojazdów samochodowych
oraz kilkadziesiąt pojazdów i sprzęt

milicyjno-wojskowy. Podpalono i zniszczono 220 sklepów. Zatrzymano łącznie 2989 osób.

21 grudnia - poniedziałek

Szczecin Nadal trwa strajk okupacyjny. Wśród strajkujących wystąpiły oznaki dezorientacji i pewnego kryzysu. Nie-wielka jest aktywność Komitetu Strajkowego. Pustkę organizacyjną próbowali wypełnić delegaci z innych przedsiębiorstw /już ponad 70/ powołując nad ranem Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Komitet nie miał jednak realnego znaczenia, ponieważ nie uzyskał akceptacji Komitetu Strajkowego Stoczni "Warskiego".

W godzinach przedpołudniowych do Stoczni "Warskiego" przyjechał dyrektor ZPO Stanisław Skrobot i minister przemysłu maszynowego F.Kaim. Ze strony strajkujących rozmowy prowadził E.Bałuka. Rozmowy odbywały się w budynku dyrekcji stoczni i były transmitowane przez radiowęzeł zakładowy. Rozmowy nie dały żadnych rezultatów. Strajkujący ograniczyli się właściwie do jednego postulatu - obniżki cen do poziomu sprzed 13 grudnia.

14.00 Odbyło się krótkie Plenum KW PZPR. Prawdopodobnie wzięli w nim udział przebywający tego dnia w Szczecinie P.Jaroszewicz i J.Szydłak, i kilku innych członków KC PZPR.

21.00 Zakończył się strajk w Porcie Szczecińskim. Powracających do domów portowców nie obowiązywała godzina milicyjna.

22 grudnia - wtorek

Szczecin
rano

W godzinach rannych stocznia została otoczona kordonem MO. Helikoptery zrzucały na teren stoczni dużą liczbę ulotek, które wzywały do zakończenia strajku.

10.00

Wyczerpani fizycznie i psychicznie pracownicy stoczni przerwali strajk. Uzykali wcześniej ogólnikowe zapewnienie o spełnieniu niektórych postulatów.

11.00

Komitet Strajkowy ogłosił zakończenie strajku, wcześniej więkzość pracowników opuściła stocznię. Strajk przerwano także we wszystkich innych zakładach pracy Szczecina. W opinii jego uczestników zakończył się klęską.

23 grudnia - środa

Szczecin

Pierwszy dzień bez strajków. Uchyłono Uchwałę RM z 17 grudnia. Zniesiono godzinę milicyjną.

Warszawa

Odbyło się posiedzenie Sejmu. Z funkcji przewodniczącego Rady Państwa zrezygnował M.Spychalski. Na jego miejsce Sejm powołał J.Cyrankiewicza, który zrezygnował z pełnienia obowiązków Prezesa RM /J.Cyrankiewicz uzasadniając rezygnację wspominał o swojej odpowiedzialności za przebieg tragicznych dni na Wybrzeżu/. Premierem mianowano P.Jaroszewicza. Funkcje wicepremierów powierzono F.Kaimowi i J.Mitrzędze. Ministrem przemysłu maszynowego został

T.Wrzaszczyk, ministrem przemysłu ciężkiego W.Lejczak. Zmiany personalne uzasadnił E.Gierek. Przemówienie wygłosił także P.Jaroszewicz. Zapowiedział zmiany w planie gospodarczym na rok 1971. Podkreślił, że istnieje możliwość odwołania podwyżki cen.

28 grudnia - poniedziałek

Gdańsk "Głos Wybrzeża" opublikował obszerny tekst pt. "Obraz wydarzeń" na temat przebiegu wydarzeń w dniach 14-19 grudnia w Trójmieście i Elblągu. W całym kraju, przy ogromnej kampanii prasowej, rozpoczęło się podejmowanie zobowiązań produkcyjnych dla poparcia nowego kierownictwa.

29 grudnia - wtorek

Warszawa Rada Główna Episkopatu Polski na posiedzeniu plenarnym wystosowała list pasterski "Do wszystkich rodaków wspólnej ojczyzny". Na wstępie przytoczono treść telegramu Ojca Świętego Pawła VI nadesłanego na ręce Prymasa Polski, a będącego wyrazem ojcowskiej miłości do narodu polskiego oraz wzywający do epokowego rozwoju i pojednania. W liście czytamy następująco: "Słowa współczucia i pociechy Ojca Świętego przyjmujemy z głęboką wdzięcznością. Są one dla nas znakiem czujnej i życzliwej obecności Kościoła w świecie współczesnym. Wskazanie to Kościół i Episkopat Polski rozumie jako znak Chrystusa, któremu starał się być zawsze wierny, a w bolesnych doświadczeniach naszych czasów

tym bardziej wierny pozostać pragnie. Nad wyraz bolesna jest wymowa tych doświadczeń, w czasie których byliśmy świadkami walk nie oszczędzających własnych rodaków.

Wraz z Ojcem Świętym pełni jesteście współczucia dla rodzin i wszystkich ludzi, którzy ponieśli ciężkie straty i z przejęciem polecamy Bogu w modlitwach tych, którzy zginęli. Po tych straszliwych stratach jedno tylko żywimy pragnienie, jedno podnosimy wołanie: nie przysparzać dalszych cierpień! Uczynić należy wszystko, aby w Ojczyźnie każdy czuł się bezpieczny i uszanowany".

W dalszym tekście Episkopat zwrócił uwagę, że ietnienie i samodzielność narodu musi być obramowane następującymi prawami: do wolności sumienia i religii, do swobodnego kształtowania własnej kultury, do sprawiedliwości społecznej, do prawdy w życiu społecznym, do warunków materialnych, które zapewnią godny byt rodzinie i każdemu obywatelowi, do takiego traktowania obywateli, które nie jest połączone ze znieważaniem, krzywdzeniem i prześladowaniami.

List został odczytany we wszystkich polskich kościołach.

Pierwsza dekada etyczna

W całym kraju trwała dyskusja nad przyczynami, przebiegiem i skutkami wydarzeń grudniowych. Najważniejszymi wątkami w tej dyskusji były: problem zabezpieczenia instytucjonalnego przed powtórzeniem się wypaczeń, demokratyzacja życia wewnątrzpartyj-

nego, rozdzielenie funkcji partyjnych i państwowych, ograniczenie pełnienia funkcji kierowniczych w rządzie i KC. Drugim ważnym nurtem była dyskusja nad problemami ekonomicznymi, zwłaszcza nad poziomem życia ludności. Szczególnie dramatyczny przebieg miały zebrania na Wybrzeżu, gdzie problem odpowiedzialności za tragedię grudniową był bardzo ostro podnoszony.

Komitety PZPR starały się sprowadzać dyskusję na tory poparcia dla nowego kierownictwa. Trwała kampania prasowa, która miała wykazać, jak szerokim poparciem cieszy się nowe kierownictwo w społeczeństwie. Informowano o licznych czynach produkcyjnych podejmowanych dla poparcia ekipy Gierka.

Jednocześnie PZPR starała się nie dopuszczać do zebrań, nad którymi nie miała pełnej kontroli. Wzmagało to napięcie. Zarówno na Wybrzeżu, jak i w innych częściach kraju dochodziło do krótkich strajków, których chronologia i przyczyny są trudne do ustalenia.

Szczecin

Z pracownikami szczecińskich zakładów produkcyjnych spotkali się przedstawiciele władz partyjnych i państwowych, m.in. J.Szydłak, J.Tomaszewski /z wydz. ekonom. KC/, min. J.Szopa /z pracownikami Zarządu Portu/ oraz przedstawiciele KW PZPR - A.Walaszek, M.Łępicki, H.Huber, Ostrzyżek. Po zebraniach w Zarządzie Portu i Stoczni "Gryfia" pracownicy podjęli zobowiązania produkcyjne.

8 stycznia - piątek

Gdańsk

Odbyła się narada gdańskiego aktywu partyjnego, na której obzerne przemówienie wygłosił S.Kociołek. Mówca nie wspominał o swojej roli w wydarzeniach w Trójmieście. Uznał, że "siłą porządkowym jesteśmy winni szacunek i uznanie" oraz, że "stały się one przedmiotem brutalnego ataku wszystkich wrogich Polsce Ludowej ośrodków dywersyjnych". Wystąpienie Kociołka zostało wrogo przyjęte nawet w aparacie partyjnym. Pojawiły się głosy domagające się jego ustąpienia z zajmowanych stanowisk.

11 stycznia - poniedziałek

Szczecin

Odbyło się plenium KW PZPR, w którym uczestniczył J.Szydlak. Ze stanowiska I sekretarza ustąpił A.Walaszek. Zastąpił go B.Ołubek. Zmieniono także sekretarza do spraw propagandy.

9.30

W czasie przerwy śniadaniowej zespół załogi Stoczni "Warskiego" podjął próbę zorganizowania strajku. Powodem strajku było niezadowolenie z braku realizacji postulatów, głównie utrzymywanie grudniowej podwyżki cen. Próba nie powiodła się, ponieważ zabrakło dostatecznego poparcia robotników. Ze stoczniowcami spotkał się F.Kaim.

Gdynia

Kilku członków gdyńskiego Komitetu Strajkowego m.in. S.Śłodkowski, utworzyło nielegalną organizację nazywaną się Komunistyczna Partia Poleki Komitetu Strajkowego. Partia miała

opierać się na zasadach marksizmu-leninizmu /których sami założyciele nie znali/ i dążyć do poprawy losu pracujących.

13 stycznia - środa

Barlinek Załoga Zakładów Urządzeń Okrętowych
/pow. Myślibórz/ ogłosiła 24-godzinny strajk

Gdynia SB aresztowała założycieli Komunistycznej Partii Polski Komitetu Strajkowego. /Postępowanie przeciwko nim umorzyła Prokuratura Wojewódzka 25 lutego z powodu "małej szkodliwości społecznej czynu"/.

14 stycznia - czwartek

Barlinek Załoga ZUO wysłała delegację do Stoczni "Warskiego" do Szczecina na wieść, że stoczniowcy strajkują.

16.00 Delegaci powrócili z informacją, że stocznia pracuje. Strajk przerwano.

15 stycznia - piątek

Łódź W przetwórni wędlin /Oddział Łódzkich Zakładów Mięsnych/ przez 3 godziny strajkowało 70 osób.

Karsznice W 3-godzinnym strajku uczestniczyło 700 kolejarzy. Rozmowy z komisją DOKP nie usatysfakcjonowały strajkujących.

Warszawa Odbyło się plenarne posiedzenie CRZZ. Przyjęto rezygnację dotychczasowego przewodniczącego I. Logi-Sowińskiego. Na jego miejsce powołano W. Kruczka - - członka Biura Politycznego KC PZPR. Na plenum sekretarz KC E. Babiuch wze-

wał CRZZ do włączenia się w zainicjowaną przez górników i hutników akcję popierania nowego kierownictwa czynami produkcyjnymi.

16 stycznia - sobota

Gdańsk

W Stoczni im. Lenina ogłoszono listę postulatów pod adresem władz centralnych. Robotnicy żądali m.in. aby "władze związków zawodowych na wszystkich szczeblach składały się z ludzi bezpartyjnych", zwolnienia aresztowanych robotników, odwołania twierdzeń o chuligańskim charakterze zajęć, przyznania rent rodzinom zabitych, podania do wiadomości publicznej nazwisk osób odpowiedzialnych za grudniową tragedię i prawdziwego przebiegu wydarzeń, podwyższenia płac do 3500 złotych, zmian w administracji wydziałowej stoczni itp. Domagali się także, aby do Gdańska przyjechał E. Gierek i rozmawiał "z robotnikami, a nie z aktywem". To ostatnie żądanie było reakcją na często organizowane wyjazdy delegacji z gdańskich zakładów pracy do Gierka. Delegacje te nikogo poza sobą nie reprezentowały, ale prasa tworzyła wrażenie, że chodzi o wybranych przedstawicieli, m.in. stoczniowców.

Stargard

Żałoga ZNTK na wiecu zorganizowanym w czasie przerwy śniadaniowej domagała się ustąpienia dyrektora i I sekretarza KZ oraz zmian w składzie Rady Robotniczej.

18 stycznia - poniedziałek

Szczecin Prasa lokalna opublikowała komunikat Prokuratury Wojewódzkiej zawierający listę śmiertelnych ofiar wydarzeń 17 i 18 grudnia. Na liście figuruje 16 nazwisk. Było to sukcesem załóg pracowników, które domagały się tego na zebraniach w styczniu.

Stargard Podobnie jak w sobotę załoga ZNTK ogłosiła swoje żądania na wiecu po pracy. Żądania zostały spełnione.

Karsznice Strajkowało 200 kolejarzy.

19 stycznia - wtorek

Szczecin Na wydziale W-4 /rurownia/ odbyła się masówka, w której uczestniczyła część załogi. Z inicjatywy kierownika wydziału, nadmistrzów i mistrzów zostały odczytane zobowiązania produkcyjne, m.in. zobowiązanie do pracy całego wydziału w niedzielę 24 stycznia. W imieniu rurowni wezwano całą stocznię do podjęcia czynu produkcyjnego. Środki masowego przekazu przekazały informację o masówce na rurowni. Podały, że wzięła w niej udział cała załoga tego wydziału. Telewizja posłużyła się w tym celu spreparowanym filmem, co ohurzyło wszystkich pracowników stoczni.

20 stycznia - środa

Szczecin Do Warszawy udała się delegacja przedstawicieli załóg stoczni i portu. Delegacja odbyła dwa spotkania. W czasie pierwszego, z kierownictwem resortów, rozmawiano o realizacji postulatów strajkowych. Przedstawiciele władz oczekiwali, że delegaci złożą

w imieniu swoich załóg zobowiązania produkcyjne. Drugie spotkanie, z E. Gierkiem i P. Jaroszewiczem, miało kurtuazyjny charakter i zostało wykorzystane propagandowo. Efekty wizyty w Warszawie były żadne. Do Gdańska udały się, za wiedzą i zgodą władz, delegacje z kilku zakładów pracy, m.in. ze Stoczni "Warskiego", Zarządu Portu, Stoczni "Parnica" i Stoczni "Gryfia", po to, żeby naocznie sprawdzić, czy stocznie w Gdańsku pracują normalnie. Jedna z delegacji została zatrzymana przez MO, druga dojechała co prawda do Gdańska, ale mogła zobaczyć Stocznnię Gdańską tylko z okien autobusu.

Łódź
10.00-12.00
14.00-15.00

W Centralnym Laboratorium Przemysłu Odzieżowego strajkowało po 65 robotnic zatrudnionych w szwalni na I i II zmianie. Załoga żądała zwołania zebrań związkowych w sprawie płac

21 stycznia - czwartek

Szczecin

W czasie pierwszej zmiany rozpoczął się strajk w Stoczni "Parnica". Bezpośrednią przyczyną strajku było upłygnięcie ustalonego wcześniej terminu realizacji postulatów. Strajk przybrał charakter okupacyjny.

Gdańsk

Telewizja lokalna nadała przemówienie S. Skrobota, w którym apłował o dobrą pracę i nadrabianie zaległości.

22 stycznia - piątek

Szczecin

9.00

Z W-4 wychodzą grupy robotników,

aby poinformować pracowników innych wydziałów, że rozpoczęli strajk. Bezpośrednią przyczyną były nieprawdziwe informacje o zobowiązaniach produkcyjnych z 19 stycznia.

- 10.00 Do strajku przyłączyły się W-6 i wydziały kadłubowe.
- 12.00 Rozpoczął się wiec przed bramą stoczni. Pracownicy rozeszli się na wydziały, aby dokonać wyboru pięciu przedstawicieli z każdego wydziału.
- 14.00 Powołano 38-osobowy Komitet Strajkowy z E.Bałuką na czele. W skład Komitetu weszli przedstawiciele wszystkich wydziałów /po jednym z każdego/ oraz po jednym przedstawicielu dwóch firm pracujących na terenie stoczni. Byli to m.in. A.Uflik, E.Szerkus, E.Zielińska, J.Jakimowicz i M.Jurczyk. Doradcami Komitetu byli L.Adamczuk /socjolog ze stoczni/, F.Wilamowski /elektromonter ze stoczni/, E.Wysoczkański /ekonomista z Zakładów Chemicznych Police/. W Komitecie działały sekcje /m.in. zaopatrzenia, obrony i informacji/. Komitet Strajkowy opanował radiowęzeł. Komitet Strajkowy sformułował pierwszą listę postulatów. Miały one charakter polityczny. Dotyczyły m.in. nowych, demokratycznych wyborów do władz partyjnych i związkowych. Jednym z postulatów było przybycie do Szczecina E.Gierka.
- po południu Do stoczni przybył dyrektor ZPO S. Skrobot. Wygłosił bardzo zdecydowane przemówienie i odmówił dyskusji nad przedstawioną listą postulatów. Stwierdził, że mają one charakter polityczny.

Szczecińskie władze administracyjno-partyjne dokonały oceny sytuacji. Uznały, że strajk został wywołany przez garstkę kryminalistów o nastawieniu kontrrewolucyjnym, którzy zastosowali terror fizyczny wobec załogi stoczni. Postanowiono złamać strajk siłą: otoczyć stocznię kordonem milicji, przerwać łączność telefoniczną, odciąć dopływ energii elektrycznej, uniemożliwić zaopatrywanie stoczni w żywność. Zaplanowano olbrzymią akcję propagandową, usprawiedliwiającą siłowe zlikwidowanie strajku: zrzuć na teren stoczni ulotek, których celem miało być zdyskredytowanie przywódców strajku, wystąpienie Gierka w TV w sobotę 23 stycznia /zrezygnowano z niego na godzinę przed planowaną emisją/, sprowadzenie do Szczecina aktywów partyjnego z całej Polski, po to, aby umożliwić opanowanie sytuacji poza stoczną.

Strajk rozszerzył się w błyskawicznym tempie na inne zakłady pracy Szczecina. Strajkowały m.in. Stocznia "Gryfia" i "Parnica" /strajk od 21 stycznia/, Port, MPK, węzeł PKP, Fabryka Maszyn Budowlanych. Solidarność zgłosiły m.in. elektrownia, Fabryka Farb i Lakierów, Fabryka Czekolady "Gryf", PTHW. W zakładach, które przyłączyły się do strajku powoływano Komitety Strajkowe.

ok. 19.00 Do stoczni przybyło dwoje dziennikarzy /Więckowska i Pachłowski/, od których Komitet Strajkowy dowiedział się o postawie władz.

23.00 Władze rozpoczęły realizację opraco-

wanego wcześniej planu. Stocznię otoczył kordon MO. Na kanale portowym pojawiły się jednostki Marynarki Wojennej. Uniemożliwiono w ten sposób kontakty strajkujących ze światem zewnętrznym i dostarczanie do stoczni żywności. Ograniczono łączność telefoniczną. Na pewien czas odcięto dopływ prądu do stoczni. Po kilku godzinach przywrócono go jednak, ponieważ Komitet Strajkowy poinformował władzę, że zniszczeniu ulegną urządzenia pracujące w ruchu ciągłym, wymagające stałego dopływu prądu.

21 stycznia - sobota

Szczecin

Trwał strajk generalny. Stocznia "Warskiego" była blokowana przez MO i wojsko. Prasa lokalna, szczególnie "Głos Szczeciński", zamieściły materiały propagandowe, których celem było zdykredytowanie przywódców i celów strajku. Na teren stoczni zrzucono z helikoptera ulotki, w których próbowano poróżnić przywódców strajku z resztą załogi oraz wykazywano polityczną szkodliwość strajku. Z treścią ulotek przez radiowęzeł polemizowali strajkujący. Poprawiło to nastrój w stoczni.

Przed południem Komitet Strajkowy zatwierdził tekst listu otwartego do Edwarda Gierka. Pomysł wysłania listu otwartego i jego treść były autortwa L. Adamczuka. List zawierał wyrazy poparcia dla nowego kierownictwa, oskarżał władze wojewódzkie, że swoimi działaniami sprowokowały strajk i uniemożliwiają jego szybkie zakończenie. Zawierał także

postulat ukarania osób odpowiedzialnych za ten stan rzeczy. Treść listu telefonicznie przekazano do Warszawy, a także jeden egzemplarz wzięła ze sobą wyjeżdżająca do Warszawy Więckowska. Tekst listu wydrukowano w stoczniowej drukarni i rozpowszechniono.

Komitet Strajkowy wydał odezwę do mieszkańców miasta, w której informowano o sytuacji w stoczni oraz podawano motywy i cele akcji strajkowej. Apelowano do rodzin stoczniowców o dostarczanie żywności. Ulotka była odpowiedzią na oszczerczą kampanię prasową.

24 stycznia - niedziela

Szczecin Nadal trwał strajk generalny. Trwała także blokada stoczni i akcja propagandowa skierowana przeciwko strajkującym. Około 500-osobowa grupa aktywu partyjnego roznosiła po domach i rozdawała na ulicach ulotkę dowodzącą szkodliwości akcji strajkowej.

8.00 Komitet Strajkowy otrzymał potwierdzenie, że list dotarł do Gierka. Spodziewano się przyjazdu Gierka do Szczecina. Stopniowo uległa zahamowaniu akcja propagandowa przeciw strajkującym, co było spowodowane zmianą koncepcji i decyzją rozpoczęcia rozmów ze strajkującymi.

15.00 Do stoczni przybył minister spraw wewnętrznych F.Szlachcic. Miał za zadanie zbadać sytuację i uzgodnić warunki podjęcia rozmów.

około 16.00 Do stoczni przybyła delegacja władz partyjnych i państwowych w składzie:

E.Gierek - I sekretarz KC PZPr,
P.Jaroszewicz - prezes RM, K.Bar-
cikowski /przebywający od jakiegoś
czasu w Szczecinie i współdecydujący
o dotychczasowych działaniach władz/,
F.Kaim - wicepremier /dotychczas kie-
rujący akcją przeciw strajkującym/,
M.Jaruzelski - minister obrony naro-
dowej, E.Ołubek - I sekretarz KM PZPr
w Szczecinie. Dołączył do nich F.Szla-
chcic.

Delegacja partyjno-rządowa udała się
do świetlicy głównej, którą wkrótce
zapełnili przypadkowi stocznioicy.
Komitet Strajkowy nie był jeszcze go-
towy do rozmów.

Do godziny 18.00 trwało ostateczne
redagowanie listy postulatów, którą
wówczas uzupełniono o żądania ekono-
miczne zgłoszone w czasie strajku
grudniowego.

około 16.00

Sala została opróżniona i zajęli
w niej miejsca wybrani delegaci
z wydziałów /piątki wydziałowe/.
Spotkanie rozpoczęło się od odczy-
tania listy postulatów. Odpowiadali
przedstawiciele władz /Gierek, Jar-
szewicz, Szlachcic, Jaruzelski/.
Potem wywiązała się dyskusja. Władze
przyjęły część postulatów:

1. Nowe wybory do zakładowych ogniw
partyjnych i związkowych. Wybory do
władz partyjnych miały się odbyć
w ciągu 3 dni, a do związkowych
w ciągu tygodnia. Kontrolę nad wy-
borami miała sprawować Komisja ko-
botnicza utworzona z osób, które
tworzyły Komitet Strajkowy; 2. Za-
niechanie szykan i karania dyscypli-
narnego za udział w strajku, wypła-
cenie odszkodowań, udzielenie satys-

fakcji moralnej. Zdecydowanie natomiast odrzuciły władze żądanie opublikowania postulatów w prasie. Po zakończeniu dyskusji członkowie Komitetu Strajkowego rozeszli się na wydziały po to, aby uzyskać opinię załogi na temat zakończenia strajku. Na zebraniu Komitetu Strajkowego wszyscy z wyjątkiem przedstawiciela jednego wydziału wypowiedzieli się w imieniu swoich wydziałów za zakończeniem strajku. W ten sposób strajk dobiegł końca.

25 stycznia - poniedziałek

Szczecin
3.00 nad
ranem

Kończy się spotkanie delegacji partyjno-rządowej w Stoczni "Warskiego".

Gdańsk
6.00

Od rana zastrajkowali pracownicy Stoczni im. Lenina. Powodem strajku był brak odpowiedzi na postulaty zgłoszone 16 stycznia.

po południu

W świetlicy WRN odbyło się spotkanie delegatów załóg przemysłu okrętowego i zakładów z nim kooperujących z delegacją partyjno-rządową przybyłą ze Szczecina samolotem. Uczestniczyli w nim wszyscy przedstawiciele władz centralnych, którzy poprzedniego dnia byli w Szczecinie. Spotkanie trwało 8 godzin. Wystąpiło 23 przedstawicieli robotników. Podejmowano tematy podobne do wymienionych w szczecińskich postulatach; mówiono o braku swobód demokratycznych, rozroście biurokracji, braku możliwości wpływania robotników na decyzje. Domagano się cofnięcia podwyżki cen.

Władze ekładały ogólnikowe obietnice, za pomocą których udało się rozładować napięcie. Gierek prosił o pomoc, z sa-
li odpowiedział mu chóralny okrzyk:
"Pomożemy". Jaroszewicz mówił o prob-
lemach ekonomicznych, a Szlachcio oce-
niał działanie sił porządkowych. Pray-
znał, że można było uniknąć użycia
broni palnej. Wieczorem E.Gierek, P.
Jaroszewicz i F.Szlachcio słożyli wi-
zyty w stocznjach.

26 stycznia - wtorek

Gdańsk Robotnicy powrócili do pracy.

Warszawa "Trybuna Ludu" opublikowała obszerny
artykuł na temat gdańskiego spotka-
nia. Wynika z niego, że poparcie dla
nowego kierownictwa jest bardzo ase-
rokie.

3 lutego - środa

Szczecin Odbyło się posiedzenie plenum KW
PZPR. Z funkcji sekretarzy KW zre-
zygnowali Ostrzytek, Rogowski i Ło-
chowicz, a wigo osoby odpowiedzialne
za działanie władz do 24 stycznia.
Na ich miejsce weszli: K.Cypraniak,
A.Grabski i J.Łasarz /przełany
a Warszawy/.

Złoczeniec /miasto położone nad rzeką Drawą/

22.00 Pracownicy III zmiany Zakładu Prze-
mysłu Wełnianego "Złoczeniec" przer-
wali pracę. Domagali się wyjaśnienia
przyczyn sanizacji zarobków w osta-
tnich miesiącach, zmiany systemu wy-
nagrodzeń, poprawy warunków pracy,
zmiany wygórowanych norm /aby im

aprostać, robotnicy musieli pracować
i po 10 godzin/.

4 lutego - czwartek

Złocieńec Do zakładu przybył dyrektor Zjedno-
czenia z obietnicą rozpatrzenia po-
stulatów.

5 lutego - piątek

Złocieńec Dopiero trzecia - nocna - zmiana
przystąpiła do pracy.

Bielsko-
Biała

W lutym miały tu miejsce strajki
w zakładach włókienniczych.

6-7 lutego - sobota-niedziela

Warszawa Odbyły się obrady VIII Plenum KC
PZPR. Członkowie KC otrzymali do-
kument /opracowany przez komisję -
- pod kierownictwem J.Szydłaka -
- powołaną na VII Plenum/ pt. "Oce-
na wydarzeń grudniowych i wynikające
z niej wnioski". W trakcie obrad wy-
stąpiło 40 mówców, a do protokołu
złożyło swoje wystąpienia 54 osoby.
Dyskusja koncentrowała się wokół
problemu odpowiedzialności za tra-
gedię grudniową /w prawach członka
KC zawieszono W.Gomułkę, uawnięto
z KC: B.Jaaszuka i Z.Kliskę,
z członkostwa BP zrezygnowali: S.
Kociołek i I.Loga-Sowiński, a z człon-
kostwa KC A.Walaszek/, spraw ekono-
micznych /omówił je P.Jaroszewicz/,
wprowadzenia demokracji wewnątrz-
partyjnej i zabezpieczenia przed
powtórzeniem się wypaczeń w życiu
partii i państwa. Przemówienie koń-
cowe wygłosił E.Gierek. Stało się
ono podstawą uchwały programowej.

około 10.45

W Łódzkiej Zakładach Obuwia Gumowego "Stomil" na Wydziale Obuwia Kontekcyjnego prowadzicy pierwszą zmianę /około 180 osób/ przetrwali pracę i zędzeli od dyrekcji zakładu wyjątkiem przyczyn spadku zarobków w styczniu br. w stosunku do grudnia roku 1970.

13.30

Druga zmiana tegoż zakładu również nie podjęła pracy. Wywniósł zdanie podwyżki płac od 400 do 500 zł miesięcznie, powołując się na to, że w Trójmieście stocznicy otrzymał 25% podwyżki płac.

Strajk rozpoznał robotnicy I i II zmiany /około 400 osób/ na Oddziale Przędzalniodradkowej Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Karłowickiego /najbardziej wówczas zakład przemyślowy Łodzi/. Kontynuowano jedyną nie niezręczną pracę. Już na początku strajku wyłonili się samorzutnie przywódcy, zorganizowano dyktury, zadbano o zabezpieczenie mieszkań. Zażądano 20% podwyżki płac, uzasadniając to spadkiem zarobków i podwyżką cen na artykuły żywnościowe w grudniu 1970 r.

Próbę przemiana strajku bezskutecznie podejmowały dyrekcja, Zjednoczenie, KZ PZP, wojewódzka Huda Związków Zawodowych.

11 lutego - czwartek

Na Wydziale Obuwia Przemowego w Zakładach "Stomil" zaczęli pierwszą zmianę, nie przystąpiły do pracy. i trzeciej zmiany, pomimo nacisków dyrekcji, nie przystąpiły do pracy.

Oddział Przędzalni Odpadkowej w Zakładach im. J. Marchlewskiego kontynuował strajk. Tego dnia ukonstytuowała się kilkusobowa komisja o kompetencjach komitetu strajkowego. Próby dotarcia przedstawicieli strajkujących do innych wydziałów były ograniczane przez kierownictwo wszelkimi sposobami. Mimo izolacji pracownicy popołudniowych zmian ze wszystkich wydziałów porozumieli się i poprosili o przyspieszenie wypłat z 15 II na 12 II br.

Po południu odbył się kolejny spotkanie strajkujących z kierownictwem zakładu. Robotnicy przedstawili dodatkowe żądania dotyczące PEP i spraw socjalnych.

21.45 Delegacja strajkujących udała się do KZ PZPR na rozmowy z sekretarzem KD PZPR.

23.00 Do rozmów włączył się przybyły do zakładu I sekretarz KW Józef Spychalski. Przedstawiciele władz przypominali o trudnej sytuacji kraju, apelowali do uczuć patriotycznych robotników, a zarazem odrzucili wszystkie postulaty.

12 lutego - piątek

Łódź W Zakładach "Stomil" nie pracował Oddział Obuwia Prasowanego i Wydział Obuwia Konfekcyjnego.

10.00 Pertraktacje ze strajkującymi osobno na każdym oddziale prowadzili: I sekretarz KD, dyrektor Zjednoczenia i kierownictwo zakładu. Obietnice rozpatrzenia postulatów do 15 II 71 r. spowodowały ograniczenie strajku do części zakładu.

- 13.00 Do strajku w Zakładach im. J. Marchlewskiego dołączył Oddział Przygotowawczy Przędzalni Średnioprzędnej.
- 14.00 Do Zakładów im. J. Marchlewskiego przybył minister przemysłu lekkiego, Tadeusz Kunicki i udał się na rozmowy ze strajkującymi; osobno z robotnikami z Oddziału Przędzalni Odpadkowej i osobno z robotnikami z Oddziału Przygotowawczego Przędzalni Średnioprzędnej. Robotnicy domagali się już nie 20%, ale 10% podwyżki płac, korekty systemu płac, poprawy warunków BHP, np. naprawy dachu czy też piętnastominutowej przerwy na śniadanie, której włókniarze byli pozbawieni. Minister odrzucił postulaty. Strajk trwał.
- 22.30 Na rozmowy z załogą Zakładów im. J. Marchlewskiego przybyła kolejna ekipa partyjno-rządowo-związkowa: przewodniczący CAZZ W. Kruczek, wicepremier J. Mitrega, minister T. Kunicki, przewodnicząca Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego Barbara Natorska, I sekretarz KW Józef Sychalski, przewodniczący Rady Narodowej J. Lorens. Strajkujący zgodzili się z opinią ekipy partyjno-rządowej o niemożliwości podwyżki płac.

13 lutego - sobota

Szczecin Do tego dnia odbyły się wybory do organizacji partyjnej, związkowej i do Rady Robotniczej w Stoczni "Warskiego". Sekretarzem KZ PZPR został M. Dopierała /potem był delegatem na VI Zjazd PZPR, po zjeździe zrezygno-

wał ze wszystkich funkcji partyjnych/, przewodniczącym Rady Zakładowej został Jeruzal, przewodniczącym Rady Robotniczej E. Bałuka.

Łódź
0.50

Strajk objął całe Zakłady im. J. Marchlewskiego z wyjątkiem Wydziału Wykańczalni. Oprócz postulatów ogólnych /podwyżka płac, cofnięcie podwyżki cen na mięso/ poszczególne wydziały wysuwały własne żądania.

W nocy również zaczęły strajk inne wielkie zakłady Łodzi: Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju, Zakłady Przemysłu Wełnianego im. H. Sawickiej, Zakłady Przemysłu Wełnianego im. Karola Świerczewskiego, Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Armii Ludowej, Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. W. Kunickiego.

Przed południem do strajku dołączyły Zakłady Przemysłu Wełnianego im. Gwardii Ludowej, Łódzkie Zakłady Spirytusowe, ponownie "Stomil" i inne mniejsze zakłady.

W Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju /drugi co do wielkości zakład przemysłowy Łodzi/ pracownicy warsztatów pomocniczych przy tkalniach utworzyli komisję, której powierzono pertraktacje z władzą, prawo podejmowania decyzji, utrzymywanie porządku w zakładzie, zabezpieczenie mienia. Komisja składała się z 30 delegatów ze wszystkich zmian i wydziałów. W zakładzie nazywana była Radą Rządzącą. Od dyrekcji otrzymała do dyspozycji salę obrad /sala BHP/.

Postulaty wysuwali pracownicy posz-

czególnych wydziałów osobno, np. pracownicy tkalni żądali stołków do krosien.

Zakład odwiedzał m.in. minister Tadeusz Kunicki i próbował - bezskutecznie - odwieść od kontynuowania strajku. Usiłował sam włączyć krośna.

Pozostali osłonkowie dyżurującej ekipy partyjno-rządowo-związkowej odwiedzali inne strajkujące zakłady Łodzi.

Szczecin

Rozwiązała się Komisja Robotnicza utworzona ze składu Komitetu Strajkowego dla nadzorowania prawidłowego przeprowadzenia wyborów w organizacjach partyjnych, związkowych i do Rady Robotniczej w Stoczni "Warskiego".

14 lutego - niedziela

Łódź

Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. J. Marchlewskiego i Zakłady im. Obrońców Pokoju kontynuowały strajk okupacyjny.

Do Łodzi przybył premier P. Jaroszewicz oraz sekretarz KC J. Szydłak.

15.00-16.00

W Teatrze Wielkim odbyło się spotkanie P. Jaroszewicza z łódzkim aktywnym partyjnym i związkowym. Celem tego spotkania było podniesienie morale aparatu partyjnego i związkowego, gdyż ludźmi inicjującymi strajki często byli osłonkowie partii, działacze związkowi i osłonkowie organizacji młodzieżowych. Spotkanie nie dało zamierzonych efektów. Na zadane przez przedstawicieli władz pytanie "Pomożecie?" obecni chóralnie odpowiedzieli "Nie!".

Ekipa partyjno-rządowa z P.Jaroszewiczem na czele przybyła do Zakładów im. J.Marchlewskiego. Przybyłych powitano pieśnią: "O cześć wam panowie magnaci!". W spotkaniu tym uczestniczyło 3 tysięcy pracowników /tj. 1/4 zatrudnionych/. Odczytano wszystkie postulaty pracowników. P.Jaroszewicz obiecał, że rząd będzie starał się je realizować. Jak zwykle zwracał uwagę na trudności kraju. Pracownicy nie przerwali strajku.

15 lutego - poniedziałek

Łódź

W nocy do strajkujących w Zakładach im. Obrońców Pokoju przybyła ekipa rządowa. Na wstępie powstał spór o miejsce, w którym premier spotka się z pracownikami. Spotkanie przebiegało w atmosferze nieufności. P.Jaroszewicz uchylił się od odpowiedzi na postawione postulaty. Spotkanie skończyło się we wczesnych godzinach rannych. Pracownicy nie przerwali strajku, panował nastrój determinacji. Rano do strajków przyłączyli się pracownicy innych zakładów przemysłu bawełnianego: im. Dzierżyńskiego, im. Harnama, im. Dubois, pracownicy Zakładów Przemysłu Wełnianego im. Andrzeja Struga oraz około 20 innych breni. Nie pracowali robotnicy zarówno z rannych, jak i popołudniowych zmian więkscści dużych zakładów łódzkich. Wszędzie wysuwano postulaty ekonomiczne /średnia zarobków w Łodzi wynosiła niewiele ponad 2 tys. złotych/. Strajki miały solidarnościowy charakter. W wielu wypadkach zorganizowano łączność ze strajkującymi w Zakładach im. Mar-

chlewskiego. Panował porządek. Troszczono się o ochronę mienia, co miało szczególne znaczenie, gdyż magazyny pełne były łatwopalnej bawełny i innych surowców włókienniczych. W strajkach brało udział wiele kobiet /w zakładach włókienniczych kobiety stanowiły 70-80% zatrudnionych/. Mogły one brać udział w strajkach dzięki pomocy najbliższych, którzy wyręczali je w obowiązkach domowych.

Według oficjalnych danych rozwój strajku w tym dniu w Łodzi przedstawiał się następująco:

przed godz.	5.00	- strajkowały 2 zakłady /około 1200 osób/;
przed godz.	7.00	- strajkowało 11 zakładów /ponad 10 tys. osób/;
przed godz.	9.00	- strajkowało 20 zakładów /14 700 osób/;
przed godz.	11.00	- strajkowało 26 zakładów /19 400 osób/;
przed godz.	17.00	- strajkowało 27 zakładów /około 20 tys. osób/;
przed godz.	19.00	- strajkowały 32 zakłady /ponad 20 tys. osób/.

Pabianice Rozpoczął się strajk w Pabianickich Zakładach Przemysłu Bawełnianego.

Łódź W godzinach popołudniowych i wieczornych koło Zakładów im. J. Marchlewskiego zebrał się niespokojny tłum.

około 20.00 Ogłoszono komunikat rządu o przywróceniu cen mięsa sprzed 13 grudnia.

Wpłynęło to na uspokojenie ludzi zarówno w fabrykach, jak i na ulicy.

około 23.00 Po uzyskaniu od P.Jaroszewicza gwarancji o niestosowaniu represji w stosunku do strajkujących, Komitet Strajkowy ZPB im. Marchlewskiego ogłosił zakończenie strajku. Do tych Zakładów przybywali delegaci innych zakładów, aby dowiedzieć się, jakie spadły decyzje.

24.00 We wszystkich oddziałach Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. J. Marchlewskiego rozpoczęto pracę.

16 lutego - wtorek

Łódź Pracownicy rannej zmiany w prawie wszystkich strajkujących poprzedniego dnia zakładach rozpoczęli pracę. W Zakładach im. Obrońców Pokoju do pracy przystąpiły tylko niektóre oddziały.

17 lutego - środa

Łódź Tkalnia Mechaniczna i Przędzalnia Średnioprzędna w Zakładach im. Obrońców Pokoju zakończyły strajk we wczesnych godzinach rannych. Podjęto także pracę w Zakładach im. Dzierżyńskiego. Przedłużenie strajku było spowodowane brakiem zaufania do oświadczeń rządowych.

4 marca - czwartek

Zelów Strajk w Zelowskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego. Załoga wysunęła postulaty głównie o charakterze ekonomicznym.

W ramach represji rozwiązano stosunek pracy z całą strajkującą zmianą.

11-12 marca - czwartek-piątek

Andrychów Strajk w Zakładach Bawełnianych.

Przypisy:

1. Liczba ofiar na pewno nie jest pełna. Potwierdziło to w rozmowach z członkami sekcji historycznej kilka osób, związanych w grudniu 1970 r. z aparatem władzy. Odmówili oni jednak podania bliższych szczegółów i ujawnienia swoich nazwisk. Istnieje również wiele dowodów na to /por. relacje/, że władze podejmowały działania zmierzające do ukrycia rzeczywistej liczby ofiar. Miały na to cały miesiąc. Wymienić tutaj należy chociażby naciski stosowane wobec rodzin ofiar, by zgodziły się uznać inną przyczynę śmierci swego bliskiego i zachować w tej sprawie milczenie. Proponowano im za to pieniądze albo starano się ich zastraszyć. Zwrócić też należy uwagę na to, że osoby pochodzące spoza Wybrzeża - mieszkańców hoteli robotniczych czy też ludzi tzw. marginesu społecznego - łatwiej jest "zgubić" w statystyce jako osoby zaginione. Ale te fakty nie pozwalają nawet w przybliżeniu ocenić rzeczywistej liczby ofiar. Dzieciak możemy powiedzieć jedynie o dwóch osobach, które uzupełniają oficjalną listę. Pierwszą jest chłopiec 12-13 - letni, który na skutek ran postrzałowych zmarł w Szpitalu Miejskim w Gdyni 22 grudnia 1970 r. Podali tę informację lekarze pracujący w tym szpitalu - w zbiorowej relacji. Drugą osobą był mężczyzna, który w maju 1971 r. zmarł na skutek odniesionych ran i obrażeń. Pisała o tym jego córka w liście do MKZ "Solidarność" w Gdańsku, w 1981 r.

2. Symptomatyczne są dalsze losy przywódców strajku w Szczecinie. Wielu z nich przez pewien czas uczestniczyło w pracach instancji partyjnych, związkowych czy radach robotniczych. Jeśli próbowali kontynuować walkę o realizację grudniowych postulatów, byli ezykanowani. Zwalniano ich z pracy, przenoszono na inne wydziały, karano dyscyplinarnie. Kilku z nich zmarło w tajemniczych okolicznościach. Zygmunt Gołaszewski - organizator strajku w rurowni - zmarł w wyniku zatrucia gazem 10 VIII 1971 r. Podobnemu wypadkowi uległ Andrzej Uflik - wiceprzewodniczący stoczniowego KS. Po wypadku przeszedł na rentę inwalidską. Jednocześnie zakazano mu wstępu na teren stoczni. Zmarł nagle, także w niejasnych okolicznościach 2 lutego 1976 roku. E. Bałuka początkowo awansował. Stał się statowym pracownikiem ZZ Metalowców. W 1975 r., gdy - jak to sam określa - atmosfera wokół niego zgęstniała, zbiegł na Zachód.

Podobne były losy gdańskich i gdyńskich przywódców strajków.

Fragment wywiadu udzielonego
przez pracowników
Sekcji Historycznej
ZR Gdańskiego NSZZ Solidarność
tygodnikowi "Czas" w grudniu 1981 r.

Bogdan Borusewicz: Dotychczas Grudzień kojarzy się głównie z wydarzeniami na ulicach. W badaniach starszy mnie odsłonić to, co działo się niejako pod wierzchem, w zakładach pracy. A działy się tam ciekawe rzeczy, zwłaszcza w stoczniach. Zakładanie komitetów, ich fluktuacja, przechodzenie jednych w drugie, przyjmowanie różnych kształtów, zawiązywanie struktur, które w Sierpniu zrodziły się, z innych powodów bardzo szybko, ale wówczas także się tworzyły. Tragedią Grudnia był brak takich grup, które w momencie początkowym kryzysu, mogły robotników powstrzymać przed wyjściem na ulice. Partia się rozplynęła, związki zawodowe również. Okazało się, że były to struktury nie mające żadnego poparcia społecznego. W Sierpniu było tak samo, z tym, że robotnicy przeszli przez uniwersytet grudniowy i istniały grupy, które świadomie prowadziły w pewnym kierunku, świadomie założyły, że nie należy wychodzić na ulicę. Nie znaczy to, że Grudzień to był wyłącznie żywioł, że nie zawiązywały się struktury strajkowe.

Aleksander Klemp: Zebraliśmy relacje osób, które pozostały w zakładach, zabezpieczały je. To nieprawda, że robotnicy wyszli na ulice pozostawiając zakłady bez opieki. Część została, żeby ich pilnować. Interesujące jest też prześledzenie, jak powstawały komitety strajkowe, jak działały. Może posłużę się przykładem Stoczni Gdańskiej.

Początkowo inicjatywę usiłowałam przejąć administracja zakładowa. Odwołano się do kolektywów zakładowych, z którymi chciano rozmawiać, traktując je jako reprezentację pracowników. To jednak nie wyszło, gdyż te kolektywy nie cieszyły się zaufaniem robotników. Próbowano więc inaczej: powołano tak zwane trójki wydziałowe, złożone przeważnie z tych, którzy pozostali na terenie zakładów, gdyż w tym czasie znaczna część załogi była w mieście. Robotnicy zorientowali się, że taka forma protestu nie ma sensu, prowadzi do starć. Wracają i postanawiają się zorganizować. W zakładzie dowiadują się, że powołano już trójki wydziałowe. Ci, którzy wracają, nie mają do tych delegatów zaufania. Uważają, że to tchórze, że za dużo wśród nich partyjnych. Postanawiają wybrać nowych, oni z kolei wyłaniają prezydium, które pozostaje na noc w atocznii. W tym prezydium jest m.in. Wałęsa. W środę rano okazało się, że ten komitet właściwie się rozpadł. Dopiero po strzałach przed drugą zmianą zawiązuje się ostateczny komitet, który przejmuje władzę w zakładzie. Widać z tego, jak z braku doświadczenia atopniowo dochodzono do struktury, która w Sierpniu powstała od razu.

Kim byli ludzie, którzy znaleźli się w komitetach strajkowych? W pierwszej fazie robotnicy. Pracownicy umysłowi początkowo z rezerwą odnosili się nie tylko do wytapień ulicznych, ale także do samych strajków. W miarę rozwoju sytuacji, w zasadzie dopiero w środę, przyłączają się aktywnie, wchodzi do komitetów strajkowych, a w niektórych nawet zaczynają nadawać ton czy wręcz im przewodzą, jak to było w Gdańskiej Stoczni Remontowej lub Północnej.

Co się dzieje z komitetami po zakończeniu strajku? Niektóre przejawiają tendencję do przedłużenia działalności. Prezydium Komitetu Strajkowego Stoczni Gdańskiej, już po zakończeniu strajku, odbyło jeszcze dwa spotkania. Powstało pytanie, co robić dalej? W końcu nie wiedzieli, więc się rozeszli.

Bogdan Borusewicz: Dlaczego oni tak szybko się rozeszli? Bo oni wcześniej mię nie znali. Stało się to, co często występuje, gdy działa się pod prenją policji, niebezpieczeństwa. Zaczęli wzajemnie się podejrzewać - o współpracę z władzą, działalność agenturalną. To także ich rozsadziło od środka, a nie tylko brak koncepcji, co robić dalej.

Aleksander Klemp: Strajk zakończył się właściwie klęską, kapitulacją. Ci ludzie potem obwiniali się, że strajk upadł. A on upadł, bo sami stoczniowcy nie chcieli dalej strajkować. W Stoczni Gdańskiej, według danych, które uzyskałem, 2 tysiące osób opuściło zakład przed zakończeniem strajku.

Wiesława Kwiatkowska: W Gdyni niektóre osoby z Komitetu Strajkowego po wyjściu z aresztu postanowiły przedłużyć działalność w ten sposób, że zawiązały partię polityczną. Zawiązali ją 11 stycznia 1971 r., a 13 stycznia zostali zdemaskowani. Była to partia, która przybrała nazwę Polska Partia Komunistyczna. Jaki był program? Znamy go tylko z postanowienia sądu, który orzekł umorzenie sprawy z powodu niewielkiej azkodliwości czynu. W uzasadnieniu zarzuca się zawiązanie nielegalnej organizacji, która miała kierować się ideologią marksistowsko-leninowską, ale w trakcie przesłuchań stwierdzono, że zakładający

partię nie mieli zbyt dużego pojęcia o tej ideologii. Program był prościutki: żeby w Polsce było lepiej.

Jarosław Dutkowski: W Grudniu mieliśmy do czynienia z odwołaniem się do tradycji robotniczej. W pochodach śpiewano pieśni robotnicze, śpiewano "Międzynarodówkę". Ci ludzie wierzyli w te symbole i budowali na tej tradycji swoje wyjście. Zresztą sama forma protestu była z nią zgodna: pochody, wiece, manifestacje. Dopiero gdy padli zabici, odrzucono te symbole. Sparzyli się w Grudniu i potem już do tych symboli nie wracali. W Sierpniu nikt już nie śpiewał "Międzynarodówki"...

Henryk Majewski: I używanie tych symboli w Grudniu to nie była wcale - jak sądzą niektórzy - proteza.

Aleksander Klemp: Ciekawe jest także prześledzenie losów tych ludzi, którzy byli w komitetach strajkowych. To trwało przecież krótko, dwa dni, czasem jeden. Na ile okazało się znaczące dla nich, dla ich dalszej aktywności? Zaraz po Grudniu część z tych osób wybrano do nowo formujących się rad związkowych - oddziałowych i zakładowych. Ich działalność trwała mniej więcej do roku 1973. Potem odeszli, bo albo byli prześladowani, jako nie pasujący do roli, którą związkom wyznaczono, albo sami zrezygnowali.

Bogdan Borusewicz: Najaktywniejszych starano się jednak wyeliminować z zakładów, odciąć od bazy. Była grupa osób, którym wręcz umożliwiono wyjazd na Zachód. Otrzymali książeczki żeglarskie. Wyjechali, bo bali się pozostać w kraju. Zaczęło to dla nich być niebezpieczne.

Wiesława Kwiatkowska: Edmund Hulsz z Gdyni był straszony, wywieziono go...

Tadeusz Nowak: Słodkowskiego wywieziono do Głubczyc i zabroniono powrotu do Gdyni.

Bogdan Borusewicz: Straszono wszystkich, którzy byli aktywni w Grudniu. Znajdowali się cały czas pod presją, obserwacją. Zbierano dane, wypytywano się o nich. Dowiadywali się od znajomych, sąsiadów, w zakładzie, że przychodził jakiś cywil, dopytywał się. Różnie to robiono. Część - jest to grupa najliczniejsza - zwolniono po prostu z pracy, pod różnymi pretekstami. Klasycznym przykładem jest Edward Nowicki ze Stoczni Gdańskiej, którego zwolniono, mimo że był przewodniczącym rady oddziałowej: chciano go wysunąć na przewodniczącego rady zakładowej i wtedy został zwolniony. Ważęse zwolniono dopiero w 1976 roku, gdy na wydziale wybrano go delegatem na konferencję zakładową. Zwolniono wielu - Subdę, Szolocha i wielu innych. Represje ograniczyły działalność osób aktywnych, a jednocześnie oddziaływały zastraszająco na otoczenie. Nie było wówczas nikogo, kto wystąpiłby w obronie tych ludzi. Znam tylko jeden przykład, gdy represja wywołała akcję pomocy, wspomnienia psychicznego i finansowego. To przykład Nowickiego. Zbierano przez dłuższy czas pieniądze, chodzono na sprawy sądowe. W innych przypadkach wyrzucony zostawał na lodzie, sam ze swoim nierzadko strachem. Tak było do roku 1976. Później już trudniej było człowieka złamać, powstały grupy, które w wypadku represji podejmowały kontrakcję.

Część pozostała w zakładach. Zostali uznani, jak myślę, za mniej groźnych. Ale i ich nie ominęły przykrości: przesunięcia do gorszej pracy, zamknięcie dróg awansu, nękanie nieustającymi kontrolami.

I jest jeszcze jedna grupa: ci, którzy zaczęli robić karierę, w tym partyjną. Bardzo nieliczna to grupa, ale dwaj działacze strajkowi stali się nawet pracownikami aparatu partyjnego na szczeblu wojewódzkim.

Aleksander Klemp: Często spotygam się z pytaniem, czy komitety strajkowe w Sierpniu stanowiły kontynuację w sensie personalnym komitetów grudniowych. Z dotychczasowych ustaleń rysuje się to tak: około jedna trzecia ludzi bardzo aktywnych wówczas, brała również aktywny udział w Sierpniu. Uważam, że to dużo, jeśli zważyć, że dzieli te wydarzenia okres niemal 10 lat, że tamte komitety działały krótko, że niektóre osoby znalazły się w komitetach strajkowych przypadkowo.

Tadeusz Nowak: W końcu Grudnia wyszli tacy ludzie, jak Wałęsa. Niektórzy przestraszyli się, dali spokój, ale w wielu przypadkach im bardziej ich szykanowano, tym bardziej nasilali działalność.

Bogdan Borusewicz: Interesujemy się ich losami, żeby prześledzić wpływ, jaki Grudzień miał na Sierpień. Z jednej strony był to wpływ oczywisty - inaczej ukształtowała się świadomość przez sam fakt zaistnienia Grudnia. Ale była też kontynuacja w sensie personalnym.

Aleksander Klemp: Przyjrzenie się komitetom strajkowym pozwoli nam również określić, jakie grupy uaktywniły się w Grudniu najbardziej. Występują tu ludzie, których poniosła fala wydarzeń, ale jeśli badamy w skali makro, całego ruchu strajkowego, to otrzymujemy środowiska, z których oni się wywodzą, nie tylko zawodowe, ale społeczne, regionalne.

Wiesława Kwiatkowska: Jest taka teoria, że wszelkie ruchy rewolucyjne rozpoczynają ludzie, którzy nie są zbyt zakorzenieni w środowisku, którzy przybyli z zewnątrz, jako ci najbardziej dynamiczni, obrotni, odważni, gdyż tacy z reguły decydują się opuścić miejsce swego zamieszkania, atryny rodzinne. W Gdyni to się potwierdza.

Bogdan Borusewicz: Oprócz analizy pochodzenia społecznego warto przeprowadzić także analizę demograficzną. Wśród aktywnych w komitetach strajkowych byli ludzie w wieku 25-35 lat, mniej więcej ta grupa wiekowa. Natomiast ci, którzy szli na czele pochodów, nadawali ton demonstracjom, byli młodsi, w wieku 18-22 lata. Ci po drugiej stronie, ci którzy tłumili demonstracje byli ich rówieśnikami.

Aleksander Klemp: Milicję ściągnięto z całego kraju, ale głównie - wynika to z informacji o rannych - ze Słupaka i Szczytna, ze szkoły podoficerskiej i oficerskiej.

Bogdan Borusewicz: Milicja zachowywała się o wiele bardziej brutalnie niż wojsko, ale też była szczególnym obiektem ataków. Wojska raczej nie atakowano.

Wiesława Kwiatkowska: Na taśmie jest nagrane polecenie: wycofać milicję, dać wojsko, bo wojska nie atakują. Wojsko to też były z reguły młode roczniki. Opowiadał mi żołnierz ze starszego rocznika, który znalazł się w Gdyni, że młodzi żołnierze byli potwornie przerażeni, mieli białe z przerażenia oczy i rozlatane ręce.

Bogdan Borusewicz: Wojsko na ogół stało za milicją.

Stanowiło słabszy element, mniej pewny.

Aleksander Klemp: Niewiele wiemy o tym, k'o kierował akcjami, co działo się w ośrodkach dowodzenia. W uzyskaniu tych informacji napotykamy na poważne przeszkody. Często zadawane jest pytanie, kto wydał rozkaz strzelania? Wypowiedział się na ten temat Mieczysław F. Rakowski, na spotkaniu ze studentami Politechniki Śląskiej w styczniu bieżącego roku. Relacja ze spotkania ukazała się w piśmie tej uczelni "Kurierze Akademickim". Zapis jest autoryzowany, więc można się na tę wypowiedź powołać. Na pytanie: "Kto wydał wówczas rozkaz o użyciu broni przeciwko robotnikom?" Rakowski odpowiedział: "Rozkaz taki - w odniesieniu do wydarzeń w Gdańsku - wydał Władysław Gomułka około godziny 10 rano we wtorek, 15 grudnia 1970 roku /.../. Około godz. 9 rano doszło wtedy do rozmowy telefonicznej Gomułki z generałem Korczyńskim, szefem tzw. sztabu lokalnego na Wybrzeżu".

Wiesława Kwiatkowska: Jedno z takich głównych pytań wiąże mnie z Gdynią. Dlaczego właśnie tutaj miała miejsce największa masakra, mimo że demonstracje w tym mieście przebiegały najspokojniej? Może kilka zdań o przebiegu wydarzeń w Gdyni, ze względu na ich wyjątkowość. Wtorek, 15 grudnia - robotnicy wychodzą na miasto w spokojnym, pełnym godności pochodzie. Pozostał on w pamięci gdynian jako coś wzniosłego. Szli w ubraniach roboczych, w kaskach, w rękach nieśli narzędzia pracy - insygnia robotnicze. Oto je mieli robotnikami... Nie wybito ani jednej szyby, padały hasła "nie deptać trawników". Ten pochód udał się najpierw pod Prezydium MRN. To jest także pewna specyfika Gdyni. Dla gdynian władza mieściła się w magistracie. Władze miasta przychyliły się do rozmów,

podpisano protokół porozumienia. Uzgodniono, że do czwartku otrzymają odpowiedź na postulaty. Pochód wraca do zakładów, do stoczni, tak samo godnie i epokojnie. Wracają, przebierają się i idą do domów. Pozostają tylko delegaci, którzy zbierają się w Zakładowym Domu Kultury, grupa około trzydziestu osób. Powstaje komitet strajkowy, który obraduje na piętrze. Co robią pozostali? Idą do domów. A co robi komitet? Piszę odezwę do Stoczni Marynarki Wojennej, żeby nie wychodzić na ulice. Wieczorem przyjeżdża milicja, rozbija komitet, jego członkowie zostają aresztowani.

W środę rano robotnicy wracają do stoczni, dowiadują się, że ich przedstawiciele aresztowano i wywieziono w niewiadomym kierunku. Mimo to nie reagują nerwowo. Trwają rozmowy na wydziałach. Dopiero w południe gromadzą się przed budynkiem dyrekcji, organizują coś w rodzaju wiecu. Nie wychodzą na ulicę, postanawiają wysłać delegację, która upomni się o aresztowanych. Zgłasza się pięciu odważnych. Biorą ze sobą sekretarza Komitetu Zakładowego partii, Porzyckiego i jadą do sztabu Marynarki Wojennej. Tam zostają postraszeni. Admirał Janczyszyn oświadcza, że nic nie wie, gdzie znajdują się aresztowani. Jadą do Prezydium MRN. W budynku jest pełno milicji. Andrzej Niećko, który był w tej delegacji, zapamiętał milicjantów z psami. W Prezydium delegację postraszono jeszcze bardziej. Wracają do stoczni pełni obaw, że nic nie załatwili. Robotnicy nadal nie reagują nerwowo, rozchodzą się do domów.

I właśnie wtedy, w środę wieczorem jest to przemówienie Kociołka w telewizji wzywające do pracy, a jednocześnie zostaje zarządzona blokada stoczni. I to w miejscu nie pozwalającym ludziom na ucieczkę. Zarządza się ją w dniu, gdy w Trójmieście

cie jest już spokój, po spacyfikowaniu Gdańska. W czwartek strajkujący w Gdyni mieli otrzymać odpowiedź na postulaty. Trzeba powiedzieć, że były to skromniutkie postulaty. Ani słowem nie wspomniano w nich o konieczności cofnięcia podwyżki cen. Najpoważniejszy to ten, że pracownicy wybiorą nowe władze związków zawodowych. Z całego przebiegu wydarzeń w Gdyni wynikało, że nie dojdzie tutaj do wystąpień niszczycielskich. Po co więc wprowadza się do Gdyni tak potężne siły milicyjne, ciężkie wojsko? Gdy się wszystkie elementy słoży, powstaje dość wyraźny obraz: władzy była potrzebna masakra w Gdyni. Wszystko wskazuje na wielką prowokację. Musi zrodzić się pytanie, czy nowa ekipa nie przygotowała sobie w ten sposób dojścia do władzy?

Bogdan Borusewicz: Kliszko robi tę prowokację, żeby przegrać?

Wiesław Kwiatkowska: Kliszko otrzymał takie informacje, które potwierdzały jego tezę o kontrrewolucji. A otrzymał wiadomo od kogo. Od SB, od tych, którzy kręcili się po stoczni, po innych zakładach. Informacje, że robotnicy mają zamiar niszczyć urządzenia, majątek społeczny. Wiadomo, co ten roztrzęsiony facet z nimi robi, jaki użytek. I zrobił - kazał uderzyć. Gdynia - nawet nie sądziłam, że to jeszcze funkcjonuje, ale zwrócili mi uwagę osoby z władz gdańskich - była na dodatek nie lubiana, jako ta wizytówka sanacji, ten bękart lat międzywojennych.

Aleksander Klemp: Koncentracja sił i to właśnie w miejscu, gdzie musieli się skupić ludzie, świadczy o zamiarze siłowego rozwiązania. Musimy jednak uwzględnić, że w tym czasie narastała sytuacja

kryzysowa w kraju. Być może przykład Gdyni miał odstraszyć. Mogły też istnieć obawy, że robotnicy we czwartek wejdą do stoczni i ogłoszą strajk okupacyjny. Wówczas całe wydarzenia mogły przybrać inny obrót, taki jak 10 lat później.

Bogdan Borusewicz: Ja jestem przeciwny teorii prowokacji.

Wiesława Kwistkowska: Podobnie jak nie wierzysz, że były inne ofiary niż te, które podaje się oficjalnie?

Bogdan Borusewicz: Tak, dlatego, że nie mamy wystarczających dowodów, że było ich więcej. Ale wracając do czwartku gdyńskiego. Uważam, że przyczyną główną był olbrzymi bałagan decyzyjny, ścieranie się różnych koncepcji rozładowania konfliktu. Mogły być dwie możliwości: jedna to taks, żeby dopuścić do zakładów i próbować zachęcić do pracy, a w każdym razie stworzyć pozory funkcjonowania zakładów. Druga - nie dopuścić, bo będzie strajk okupacyjny. Myślę, że zdecydowało o wyborze koncepcji zadufanie władzy we własną siłę i te narzędzia, którymi dysponowała. Pamiętajmy, że ta ekipa rządziła już czternasty rok, że w marcu 1968 roku poradziła sobie ze studentami, że wcześniej rozpętała wojnę z Kościołem i chociaż trudno mówić w tym przypadku o zwycięstwie, jednak nie upadła. Partia po roku 1968 była ubezwłasnowolniona. Ekipa Gomułki uważała, że jest na tyle silna, iż poradzi sobie i tym razem. Gomułka był faktycznie dyktatorem, miś pałąk władzę nad partią i państwem. I on i jego ekipa zareagowali w taki sposób, w jaki reaguje każda dyktatura. Co oznaczałoby

podjęcie rozmów ze strajkującymi? Z punktu widzenia politycznego - dopuszczenie do systemu władzy nowych sił.

Aleksander Klemp: Sama rozmowa, negocjacje, to już w jakimś sensie dzielenie się władzą.

Bogdan Borusewicz: Jak się rozmawia, to dochodzi się do kompromisów. W przypadku rządów dyktatorskich jest to nie do przyjęcia, wręcz nie do pomyślenia. Tu zadziałał mechanizm, jaki z reguły wytwarza się w państwach dyktatorskich, totalitarnych zwłaszcza.

Aleksander Klemp: Jesteśmy historykami, a nie tylko kronikarzami wydarzeń, więc chodzi nam o ukazanie kryzysu grudniowego, jako jednego z przejawów kryzysu, który narastał w latach 1966 - 1971. Ten kryzys nie zakończył się wraz ze zmianą ekipy rządzącej, trwał gdzieś do maja, czerwca 1971 roku. Styczeń był, o czym nie wszyscy pamiętają, miesiącem bardzo burzliwym, wybuchały strajki. Pewne rozładowanie spowodowały spotkania Gierka i Jaroszewicza z robotnikami w Szczecinie i Gdańsku. Potem było jednak wystąpienie włóknieniczków, których strajki miały potężny zasięg, nasza koleżanka Ewa Dering zbierała na ten temat również dokumentację. Właściwie kryzyse trwały do połowy roku 1971 i my ten okres również badamy.

Bogdan Borusewicz: Koncepcja naszego kolegi, Janusza Krupskiego, który kieruje sekcją, jest taka, że powinniśmy ukazać Grudzień nie jako historię jednorazowego zrywu, ale w perspektywie powojennych ruchów robotniczych. Grudzień był dla tego ruchu znaczącym, chociaż bardzo dramatycznym doświadczeniem.

Wiesława Kwiatkowska: W końcu Grudnia powstały
zalążki struktur, które z powodzeniem zostały
rozwinęte w Sierpniu.

Zanotował
Edmund Szczesiak

Dokumenty

Protokół
z ogólnego zebrania załogi
Fabryki Urządzeń Okrętowych
"Techmet"
w Pruszczu Gdańskim
z dnia 21.01.1971 r.

Zebranie zagał Ob.Babacz, wprowadzając zebranych w sprawy, które mają być poruszone na obecnym zebraniu i prosi o zabranie głosu przewodn. Rady Zakładowej, Ob.Swiatłowskiego. Ob.Swiatłowski odczytał następujący porządek obrad, który cała załoga przyjęła jednogłośnie:

1. Wypowiedź I Sekretarzs Komitetu Powiatowego PZPR odnośnie przedstawionych postulatów, które załącza się do niniejszego protokołu,
2. Odpowiedź Dyrektora Zakładu na postulaty dotyczące załogi zakładu,
3. Odpowiedź Przew. Rady Zakładowej, Ob.Swiatłowskiego na stawiane zarzuty,
4. Dyskusja.

Po przegłosowaniu Ob.Swiatłowski udziela głosu brygadziście, Ob.Malcowi, który proponuje uczcić 1 min. ciszy śmierć kolegi Kazimierza Zastawnego, zabitego w wypadkach grudniowych w Gdańsku.

Cała załoga uczciła 1 minutową ciszą tragiczną śmierć swego kolegi. Następnie Ob.Swiatłowski

*Materiał pogrupowany jest według następującej zasady: najpierw drukujemy dokumenty, potem relacje uczestników, dalej relacje osób niezwiązanych, a na końcu relacje przedstawicieli władz. Wewnątrz poszczególnych grup zastosowaliśmy, o ile było to możliwe, kolejność chronologiczną.

prosi o zabranie głosu I Sekretarza KP PZPR tow. Migasińskiego.

Na wstępie Ob.Migasiński podziękował całej załodze "Techmetu" za wzorową postawę i zachowanie w czasie zsjść grudniowych.

Następnie omawia wstępne rozmowy z członkami KC na tematy bolączek ludzkich ludzi pracy, przeprowadzone już w grudniu w czasie zająć. Dalej omawia sprawy personalne wynikające z postulatów załogi. Podkreśla, że niektóre postulaty i zmiany personalne doczekają się wkrótce rozwiązania, bo już na VIII Plenum PZPR. Odnosnie zmian personalnych na naszym zakładzie referujący apeluje do rozsądku wszystkich pracowników, żeby wziąć pod uwagę pracę i wieloletni trud tych osób, do których są zastrzeżenia. Dalej Ob.Migasiński stwierdza, że nie będzie mógł odpowiedzieć na wszystkie problemy ze swego stanowiska, nie może zabierać głosu na temat płaszczyzny KW. Zmiana na stanowisku Przewodniczącego Rady Zakładowej należy do wewnętrznych spraw Zakłdsu. Również zmiana na stanowisku I Sekretarza Komitetu Zakładowego, należy do członków egzekutywy Komitetu POP, który winien zdecydować o zmianie. Zmianę na stanowisku dyrektora naczelnego Zakłdsu winno rozpatrzyć ZPO. Mówca zapewnia, że jeśli nie nastąpi jakaś klęska żywiołowa, jeżeli nie ucierpią zbiory w rolnictwie, to na pewno poprawi się zaopstrzenie ludności w artykuły spożywcze.

Przyznść trzeba, etwierdza dalej mówca, że Partia oderwała się od nas, od ludzi pracy i to jest wina czynników odgórných Partii. Dalej wyjaśnia, że dowiadywał się o przyczynie śmierci pracownika zakładu, Kazimierza Zastawnego, który prswdopodobnie zginął przypadkowo. Wyjaśnia dalej, że nikt z manifestantów zająć grudniowych nie siedzi w więzieniu, że wszyscy zostali zwolnieni,

poza tymi, którzy zostali ujęci na grabieży. Jeżeli ktoś zna przypadki śmierci znajomych, które nie są ujęte w wykazie w gazecie, powinien to zgłosić, a sprawa natychmiast będzie wyjaśniona.

Mówca stwierdza, że nie jest w stanie wyjaśnić przyczyny podwyższenia cen na: ryby, dżemy i węgiel. Odnośnie zarobków pracowników Komitetu Powiatowego Ob.Migasiński stwierdza, że zawsze udostępni listy płac w/w pracowników w celu naocznego przekonania się, jak wysokie są te zarobki. Zmiany na stanowiskach w KC na pewno będą załatwione na VIII Plenum Partii. Dalej omawia przyczyny wypadków grudniowych, ich źródła narastania, niezadowolenie ludzi pracy, zbywanie ich ogólnikami, wywieranie nacisku, zastraszanie w zakładach pracy, co w efekcie doprowadziło do tragicznego finału.

Pada w tym momencie pytanie od załogi: dlaczego bezpartyjni nie mieli możliwości brać udziału, chociaż biernie, w zebraniach partyjnych? Ob.Migasiński odpowiada, że to jest słuszne żądanie, które w przyszłym czasie winno być zawsze brane pod uwagę Komitetów Zakładowych i dalszych. Przew. Ob.Swiatłowski prosi następnie o zabranie głosu dyrektora d/s produkcji ZPO, Ob.Pieńkawę.

Dyrektor Pieńkawa omawia kolejno wysunięte przez załogę postulaty, zaznaczając, że poprawa bytu winna systematycznie objąć wszystkie zakłady należące do Zjednoczenia Przemysłu Okrętowego. Na rok 1971 nie ma barier ograniczających fundusz socjalno-bytowy. Sprawą zasadniczą dla poprawienia warunków socjalno-bytowych jest konieczność posiadania własnych wykonawców na roboty budowlane. ZPO ma otrzymać własnych wykonawców na te roboty i wówczas nastąpi w tym kierunku radykalna poprawa. Suma 2,4 miliona złotych, przyznana "Techmetowi" na budownictwo mieszkaniowe, jest zawsze do wykorzy-

atania, nie została zaprzepaszczone.

Jeżeli chodzi o szatnie i umywalnie, to dyrektor ZPO atwierdza, że w innych zakładach są dużo gorazie i trzeba jak najprędzej te sprawy załatwić. Sprawdza się akrupulatnie czasokreay używania odzieży ochronnej i poddaje się je wnikliwej analizie. Sprawa Funduszu Zakładowego zależy od nas samych. Jak go sobie wypracujemy, tak wielki będziemy mieli.

Wzrost zarobów poprzedzony musi być wzrostem wydajności pracy. Normy pracy nie powinny być zmieniane. Podstawą do zmiany normy może być tylko zmiana procesu technologicznego lub też wprowadzenie nowego oprzyrządowania. Zmiana nie może odbywać się kosztem wyalku pracownika.

Rozpatruje się obecnie możliwości wprowadzenia skordu złotówkowego. Pieniądze przeznaczone na godziny nadliczbowe, a nie wykorzystane, mogą być wypłacone robotnikom w formie premii. Podstawą fundamentalną do podniesienia zarobków jest wykonanie założonych zadań planu.

Drugie źródło zwiększenia zarobków to przekroczenie wykonania zadań planowych. Z tytułu wypracowania zysku "A" można będzie podnieść zarobki o 4-5% w skali rocznej. Ważne tu jest zwrócenie uwagi na oszczędność materiału. Czym więcej oszczędzimy materiału tym większy będziemy mieli zysk "A". Ważny jest również sam handel atatkami. Musimy tanio produkować atatki i drogo sprzedawać. Tu dużą rolę do spełnienia ma "Centromor", który od 1.01.1971 r. podlega ZPO. Dużo tu zależy od naazych handlowców, którzy będą sprzedawać naaze atatki. ZPO postanowiło podległe zakłady zaopatrzyć w lepsze obrabiarki i urządzenia. Nie ma w żadnym zakładzie ograniczenia zatrudnienia pracowników fizycznych. Te ograniczenia mogą dotyczyć pracowników umysłowych, ale tu należy brać pod uwagę ataż, praktykę, a dyplomy nie są najważniejsze.

Oceniamy ich zaangażowanie dla spraw zakładu, bo kto nie będzie mógł podołać zadaniom będzie musiał odejść.

Następnie przewodniczący zebrania udziela głosu dyrektorowi Sankiewiczowi. Dyr. Sankiewicz omawia w chronologicznej kolejności postulaty dotyczące spraw zakładu.

W sprawie sprawiedliwego podziału premii i nagród dyr. Sankiewicz prosi o zabranie głosu inż. Rasza.

Inż. Rasz stwierdza, że suma nagród za rok 1970 zamyka się kwotą 23.400 zł, a inne nagrody wynikły za roboty pozaplanowe wykonane dla stoczni, od której otrzymaliśmy dodatkowe sumy. Te sumy bezpośrednio szły dla robotników wykonujących te pozaplanowe roboty. Wykonanie tych prac odbywało się poza normalnymi godzinami pracy.

Ogólnie z nagród skorzystało 48 pracowników fizycznych, 15 umysłowych i 3 osoby z dyrekcji: dyr. Sankiewicz - 5.800 zł, inż. Rasz - 5.300 zł i główny księgowy - 1.900 zł. Zdarzało się tak, że za pracę w godzinach nadliczbowych płacono z tych pieniędzy, które otrzymaliśmy za wykonanie zadań ponadplanowych. Nie wiadomo, czy na obecny rok umowy na wykonanie zadań pozaplanowych będą dalej zawierane. Na żądanie mogę dokładnie podać, kto ile otrzymał z tych nagród.

Dalej dyr. Sankiewicz omawia polepszenie warunków pracy, które z roku na rok będą się poprawiały, zgodnie ze zmianą profilu produkcji. Na ten punkt winna również zwrócić uwagę Rada Robotnicza i poszczególne komitety pracujące przy R.R.

Na pytanie, czy słusznie długa strajkowała odpowiedział I Sekretarz KP PZPR. Za te dni wypłacono załozce średnią z trzech miesięcy. Wystąpienie robotników było słuszne, a zadania

rzeczowe zostały wykonane, więc nie było mowy o niezapłaceniu za czas atrajku.

Na pytanie: "dlaczego wydaje się duże sumy na kupno dywanów?" odpowiedzi udzielił Główny księgowy, Ob.Pankowski. Dywany i chodniki nie były zakupione z funduszu zakładowego, a z funduszu przedsiębiorstwa. Postanowiono wymienić zniszczone na nowe, aby podnieść estetykę zakładu. Na obniżenie funduszu zakładowego wpłynęła budowa drogi. Dalej Ob.Pankowski wyjaśnia, że ze względu na ograniczające przepisy zakład nie może dopłacać do biletów PKS.

W prawie talonów na węgiel ob.Sawicki wyjaśnia, że obojętnie, czy węgiel będzie wydawany w postaci talonów, czy też gotówki, to ta wartość podlega opodatkowaniu. Samo wydawanie talonów można przeprowadzić w naszym zakładzie, chociaż za tym kryją się pewne trudności. W związku z podwyżką ceny za węgiel, będzie zwiększony ekwiwalent za węgiel.

Sprawy przeszerogowań pracowników wyglądają następująco. Do grupy V można przeszerogować raz na rok, od VI do IX raz na dwa lata. Dalej Ob.Sawicki wyjaśnia, że o ile nie nastąpią zmiany w systemie bodźców ekonomicznych, to nie widać możliwości przeszerogowań do wyższych grup. To ogranicza założony do wypracowania fundusz. Nie można również przekroczyć funduszu dla pracowników fizycznych, który wynosi 30% i jest w całości wypłacany. Jeżeli chodzi o pracowników unysłowych, to poza trzema przypadkami, stawki tych pracowników są zgodne z taryfikatorem kwalifikacyjnym. Te trzy osoby pracują w organizacjach społecznych i nie można było dać im wypowiedzenia.

Co do uprawnień spawaczy, to nie ma obawy, aby były im te uprawnienia zabrane. Dalej referujący

wylicza pracowników, którzy awansowali od grupy III do II i dalej nikt nie zamyka nikomu drogi do podnoszenia kwalifikacji - do awansu.

Następnie głos zabiera dyrektor Stankiewicz, omawiając kolejne postulaty zlikwidowania świadczeń na szkoły i Wietnam, wyjaśnia, że zależy to od nas samych i można będzie to załatwić.

Zmniejszenie pracowników umysłowych można będzie przeprowadzić, gdy powołana przez załogę komisja uzna za zbędne niektóre etaty.

Przedstawiciel młodzieży zawsze ma do dyrektora drogę otwartą, by omówić różne bolączki i usuwać je na bieżąco.

Dozór techniczny winien być do pomocy robotnikom, winien służyć im swoim doświadczeniem oraz pomocą przy pracy.

Upiynnienie zbędnych maszyn będzie w najbliższym czasie załatwione.

Zebrań załogi winny odbywać się raz w miesiącu i na nich powinny być omawiane wszystkie trudności i bolączki dotyczące produkcji i spraw bytowych załogi.

"Dlaczego zatrudnia się ludzi na kierowniczych stanowiskach nie posiadających odpowiedniego wykształcenia?"

Tu powinno się brać pod uwagę przede wszystkim tych ludzi, ich staż i znajomość zawodu. Nie powinny tu decydować dyplomy, ale możemy te sprawy załatwić przez czynniki społeczne, jak Rady Zakładowa i Robotnicza, można te sprawy zbadać dokładnie i po wyciągnięciu odpowiednich wniosków - załatwić. Co do osoby Ob. Spychalskiego, to uważam, że jego kwalifikacje w zupełności odpowiadają potrzebom zakładu. Co do mojej osoby mam uwagę: Rada Robotnicza ma prawo wystąpić z wnioskiem o zmianę dyrektora ZPO odpowiednio go motywując. Na pytanie załogi,

kto zaprosił redaktora "Głosu Wybrzeża" w dniu poprzednim, a nie dzisiaj i to po godzinach pracy, odpowiada red.Jaworski, że przewodniczący Rady Zakładowej.

Na pytanie do red.Jaworskiego, dlaczego tak się stało, że ludzie pracy zmuszeni byli wyjść na ulice i płacić krwią w zajściach grudniowych, odpowiedział Ob.Jaworski, że zawiniły odgórne czynniki partyjne. Tow.Gomułka i tow.Jaszczuk mogli sami podejmować różne decyzje bez zgody rządu. Na temat wypadków zainicjowanych w Gdyni nie może zabrać głosu, gdyż nie jest w stanie. Dalej cała załoga domaga się postawienia winnych zajęć grudniowych pod sąd, drukowania na łamach gazet prawdziwych wiadomości, do informowania na bieżąco o sytuacji wewnętrznej kraju. Sytuacji gospodarczej i politycznej, a nie będzie potrzeby słuchania "Wolnej Europy".

Padają pytania, kto dał redaktorowi dane do artykułu z dnia 20.01.71 r. Tam przecież nie pytano o dane żadnego robotnika. Dlaczego w wielu artykułach nazywało się robotników złodziejami, rabusiami, podpalaczami, jeżeli tego robotnicy nie robili?

Padają gorzkie słowa załogi pod adresem MO, która powinna stać na straży spokoju i porządku, a zaczęła spokojnie demonstrujących robotników tłuc pałkami i obrzucać granatami z gazem.

Do czego służą milicji na wzór krajów kapitalistycznych te wyrzutnie granatów na samochodach, te wszelkie specjalne zabezpieczenia? Czy do walki z przestępcami, czy do tłumienia ałuszných żądań robotników? Dalej poruszane są sprawy odszkodowań dla rodzin ofiar zajęć grudniowych i dla samych poturbowanych i rannych przebywających w szpitalach. Padają pytania, jak byli traktowani

zatrzymani przez MO robotnicy w zajęciach grudniowych? Dlaczego wracali zwolnieni do domu z poobijanym ciałem? Czy tak powinni obchodzić się stróże bezpieczeństwa z tymi, którzy ich karmią?

Robotnicy słusznie zarzucają dalej redakcji, że pomimo 34 redaktorów "Głosu Wybrzeża" żaden z redaktorów nie znalazł się między manifestantami, aby na bieżąco napisać prawdę o zajęciskach. Padają głosy, że redaktorzy na pewno wiedzieli wiele z prawdziwych zajęć, lecz nie pozwolono im na pewno o tej prawdzie pisać.

Na zapytanie robotników o odszkodowanie dla zamordowanego kolegi Zastawnego Ob. Migasińskiego proponuje wysłać dwóch robotników w delegacji do rodziny zamordowanego w celu zainteresowania się o sytuacji materialnej jego rodziny i wówczas można będzie podjąć decyzję co do odszkodowania.

Dalej Ob. Migasiński stwierdza, że sam osobiście zaangażuje się w sprawę budownictwa mieszkaniowego, dopilnuje, aby przebiegało sprawnie i aby najbardziej potrzebujący otrzymali mieszkania najwcześniej.

Co do postulatów odnośnie dóbr materialnych stanowiących własność tow. Cyrankiewicza, prosi o podawanie konkretnych danych, gdzie się takie znajdują w celu interwencji u odnośnych władz nadrzędnych.

Co do zarzutów pod adresem Rady Zakładowej odpowiada przewodniczący, że na wczasy do Ninyka mógł jechać kto się zgłosił. Ogłoszenia takie były wywieszane wcześniej. Pojechali ci, co się zgłosili. Działalność Rady była ograniczona przez wiele zarządzeń, a osobiście doszedł do wniosku, że jeśli stanie w opozycji do dyrekcji zakładu, to nie wyjdzie to na dobre ani załodze, ani dyrekcji czy też jemu osobiście.

Zapomogi bezzwrotne z funduszu Rady Zakładowej na zakup leków i odzieży otrzymali następujący najbardziej potrzebujący pracownicy:

1. Jawna Janina - 500 zł
2. Kościel Czesław - 500 zł
3. Makowski Józef - 500 zł
4. Blok Zofia - 800 zł
5. Kwaśniewski Antoni - 800 zł
6. Osypiuk Zofia - 300 zł
7. Astrambowicz Antoni - 600 zł
8. Gubkin Gabriel - 500 zł
9. Olifierko Anna - 500 zł

Na pytania robotników "dlaczego składki na Związek Zawodowy Metalowców były potrącane często bez zgody pracowników?" Przewodniczący Rady odpowiada, że to nie powinno mieć miejsca. Jeśli chodzi o sprzęt turystyczny, to ze względu na jego szczupłą ilość nie mogli z niego korzystać wszyscy.

Na pytanie załogi "Czy pracownicy "Techmetu" będą mogli korzystać z przywilejów Karty Stoczniowca?" odpowiada dyr. Pieńkawa, że przywileje zawarte w Karcie Stoczniowca obejmują tylko pracujących na statkach, tak że nie wszyscy stoczniowcy mogą z tych wszystkich przywilejów korzystać. Jeżeli chodzi o dopłaty do biletów miesięcznych PKS dla pracowników to nie ma przeszkód, aby mogły być atosowane w "Techmecie".

Ob. Diak zapytuje dlaczego obniżono mu zarobki po doznany wypadku w zakładzie, tj. stracie jednego oka. Inż. Rasz wyjaśnia, że o ile przepisy nie stoją na przeszkodzie, to sprawa ta będzie załatwiona bezzwłocznie.

Dalej padają od robotników głosy goryczy pod adresem przywódców ZZM - "dlaczego nie stanęli w zajęciach grudniowych na czele manifestujących robotników? Dlaczego nie pokierowali robotnikami?"

Nie byłoby wtedy ekscesów chuligańskich jednostek, nie mających nic wspólnego z robotnikami, nie byłoby zniszczeń i przelanej krwi".

Padają zarzuty odnośnie dyrektora "Techmetu", który bez uzasadnienia dał wypowiedzenie z pracy pracownicy Zofii Osypiuk za to, że jej mąż nie mając widoków na poprawę zarobków w swojej grupie zaszerogowania nie chciał dłużej pracować i złożył wypowiedzenie z pracy. To na pewno nie było dobre załatwienie sprawy, to był szantaż w stosunku do robotników.

Pytają robotnicy, dlaczego atale podaje się, ile to ludzi mają oszczędności w PKO, ale nigdy prasa nie podaje ile wynoszą zadłużenia w PKO i w bankach? Inż. Rasz stwierdza, że współczynniki będą tokarzom przywrócone.

Poruszana sprawa obniżenia wieku emerytalnego do 60 lat mężczyzn i 55 dla kobiet jest bardzo ważna i na pewno będzie poruszona na VIII Plenum atwierdził Ob. Migasiński. Również sprawa zaopatrzenia może być poprawiona nawet na zakładzie. Niech dyrekcja wygospodaruje miejsce, a ja załatwię, że będziecie mieli sklep spożywczy, jak to jest w sąsiednich zakładach.

W roku 1971 minimum 7 rodzin otrzyma skierowanie na wczasy.

Poruszana sprawa płatnych dni wolnych dla kobiet powinna być jednakowa tak dla umysłowych, jak i dla fizycznych, zapewnia inż. Rasz. Pracownice fizyczne tak samo będą miały za ten 1 dzień wolny w miesiącu płacone średnio z trzech miesięcy.

Dalej inż. Rasz omawia sprawę nowego systemu wynagradzania, w którym nie będzie ograniczania zarobków, nie będzie hamulców wydajności pracy, jak to było do tej pory, przy obecnym systemie. Porusza sprawę wyrównania "rozpadliny" jaka dzieli

pracowników fizycznych i umysłowych. Taka niezdrowa atmosfera nie może dłużej istnieć. Powinna nastąpić zgoda, gdyż tylko w zgodzie możemy wydajnie pracować dla poprawienia bytu nas wszystkich, a wówczas tak jak do tej pory plany będą wykonywane zawsze i przekraczane, o czym zapewniamy I Sekretarza Komitetu Powiatowego i dyrektora ZPO. Załoga nie splami się zawaleniem planu.

Przedstawiciel Związku Zawodowego Metalowców podsumowuje dyskusję. Przyznaje słuszność stawianym zarzutom i wysuwany postulatom i zapewnia, że kierownictwo ZZM na pewno zmieni swoją pracę i bardziej zacieśni więź z ludźmi pracy.

Na zakończenie przewodniczący Rady Zakładowej Ob.Swiatłowski dziękuje zebrany za rzeczową dyskusję, za troskę o sprawę zakładu, za wzorowe zachowanie się podczas przebiegu całego zebrania, za obszernie wyjaśnienia I Sekretarzowi KP, dyrektorowi ZPO, przedstawicielowi Związku Zawodowego, redaktorowi "Głosu Wybrzeża" Ob.Jaworskiemu i wszystkim zebrany.

Na tym protokół zakończono.

Protokołowali: ;

Ciesielski Z., Gruda J.

Przewodniczący RZ

**Zapis spotkania stoczniovców
z tow.Gierkiem
w dniu 25 stycznia 1971 r.**

**Skład delegacji rządowej: Gierek, Jaroszewicz,
Babiuch, Szlachcic, Bejm, Karkoszka.**

Zagajenie: Mówi tow.Gierek: Przyjechaliśmy, bo chcemy, by był spokój i praca. Przepraszam, że musiałem jechać najpierw do Szczecina, bo tam była napięta sytuacja u "Warskiego". Siedzieliśmy tam do 2 w nocy. To spotkanie traktujemy jako rozmowę i nic nie będziemy sugerować. Można nazwisk nie zgłaszać.

Dyskusja:

Pracownik Stoczni im. Komuny Paryskiej: Partia miała działania nieograniczone, a jak robią? Dlaczego wytyczne były z góry narzucone? Rząd to my wszyscy wybieramy, a nie tylko partia. Jakie były przyczyny niezadowolonia? Niskie zarobki, słabe zaopatrzenie, przecież robotnik potrzebuje 500 kalorii dziennie, a pracownik umysłowy 100 kalorii.

Jakie w grudniu było stanowisko związków zawodowych i państwa, dlaczego prasa kłamie i nazywała wydarzenia wyłącznie chuligańskimi?

A co zrobili robotnicy Gdyni, że do nich strzelano? Jak to się stało, że ci, co rządzą - tak się mówi - strajkowali? Dlaczego prasa nie przyznała, że to był strajk, a tylko przerwa w pracy? Dlatego, że pisze jednostronnie!

Dlaczego wyszła Gdynia i chcieli rozmawiać ludzie, a nie chciano przyjść do ludzi! Gdy przewodniczący

PMRN Mariański rozmawiał to i podniecenie tłumu opadło.

Dlaczego Komitet Strajkowy w środę areztowano? Kto za zabitych odpowiada? To bzdury, że stocznię /Komuna/ chciano zniszczyć. To jest straszne, że Kociołek jeszcze dziękował za dobrą postawę milicji, za areztowania i maltretowanie.

Należy pomnik wystawić poległym robotnikom.

Zarządzam 2 minuty ciszy ku uczczeniu ofiar wypadków grudniowych.

/Wszyscy wstają./

Pracownik "Hydrosteru": Dlaczego KW nie przyszedł do robotników? Żądamy wyjaśnienia od sekretarza KW.

Dlaczego nie położono kresu podwyżce i nie wycofano. Zaoszczędzilibyśmy miliardy. Zmniejszyć etaty w związkach zawodowych. Ukarać odpowiedzialnych za gospodarkę. Dlaczego jest podatek od nadgodzin? Dlaczego my nie mamy podatku, tak jak milicja i wojsko?

Pracownik "Komuny": Przed wojną policja granatowa tłumiła strajki robotnicze, a jak teraz to tłumaczyć? Dlaczego Kociołek nawoływał do pracy, a tymczasem wojsko zajęło stocznię? Żądamy rzeczywistych danych, a nie tylko, że czwórka u góry zawiniła. Kogo my teraz mamy darzyć zaufaniem - jak tyle razy zaufanie nasze zaprzepaszczono? Chcemy być traktowani jak współgospodarze. Chcemy widzieć prawdę - jakie są powiązania rodzinne w wojsku i rządzie? Czy tam są królowie i maharadzowie mający tak szeroką rodzinę?

Wzywam was, tow.Gierek do zrobienia porządku - a my będziemy z Wami!

Czego dotyczyły rozmowy z NRD i ZSRR?

Przed kim się rozlicza partia i związki zawodowe

z pobranych wysokich składek? Mówi się, że teraz będzie więcej tańszego mięsa, kaszanki, kości. To są kpiny, żeby robotnik jadł kości i miał siły do pracy! Czy to prawda, że Ochab i Spychalski lokują kapitały za granicą, a jak się noga podwinie, to mają gotowy samolot? Gdzie jest dodatek piacowy na Wybrzeżu? Z czego Kociołek wyciągał przeciętny zarobek stoczniozca 3500 zł? Pytam się KW. Od 60 lat na emeryturę.

Pracownik "Komuny": Wydarzenia grudniowe uderzyły gromem w naszą historię - chociaż różne rzeczy pisano o nas. Dlaczego zawsze robimy za mało? Kiedy będzie kres wydajności i podwyżkom? Dlaczego błędów starych się nie naprawia? Mięso jak mięso, ale dlaczego ryby podrożały? Zmienić takich ludzi, którzy zawsze na swoje usprawiedliwienie mają to, że była klęska nieurodzaju, lub urodzaju! Ceny na Wybrzeżu są najwyższe, a tu jeszcze dodatek sezonowy! Komunikacja droga.

Gdyby w USA i Anglii policja tak postąpiła z robotnikami, to pozostałaby tylko spalona ziemia. Oddajmy hołd Gdyni i Mariańskiemu.

Zmienić wszystkich od góry do dołu i wprowadzić rotację. Wyciągnąć ostre wnioski do tych, co gospodarowali i strzelali. Kto wydał rozkaz? Dlaczego jest taka anarchia gospodarcza? Dlaczego pomagamy leniom Arabom /którzy robią wtedy, jak są głodni/ i Wietnamowi?

Co robiły związki zawodowe i dlaczego w związkach Kruczek, który tylko kruczy?

Towarzyszu Gierek, Wy musicie zwołać sobór, jak Jan XXIII i przeprowadzić generalną odnowę!

Pracownik Stoczni Północnej: Po co były potrzebne

czołgi na robotnika w czasie strajku. Ze Stoczni Północnej wysłano samochód po żywność, to go zatrzymano? Czy chciano stoczniowców wziąć głodem? Dlaczego, gdy ludzie domagają się podwyżek, to mówi się, że są to żądania demagogiczne?

Pracownik Stoczni Północnej: Żądamy, by praca nasza szła tylko na nasze cele. Chcemy jeść to, co potrzebne do rozwoju, a nie kości - żebyśmy żyli, a nie wegetowali. Dlaczego Kociotek mówi o 3500 zł? Przecież to w 12 godzinach, a przed wojną walczyliśmy o 8-godzinny dzień pracy. Teraz musicie działać, bo przecież do pomocy macie tylu uczonych i profesorów.

Musimy przyznać, że na Wybrzeżu w Grudniu poległ dla słusznej sprawy robotniczej.

Pracownik Stoczni Gdańskiej: Kogo mamy darzyć zaufaniem? Kredyt zaufania daliśmy Gomułce. Może teraz Wy, tow. Gierek nie straciecie naszego kredytu zaufania? Dlaczego w pracy partii zapominało się o człowieku? Związki zawodowe miały strajk poprowadzić! Dlaczego się tłumi krytykę? Dobrze, że wyzaliśmy na ulice, bo przez to naprewiliśmy pracę w KC i innych organach władzy. Kiedy przyjdzie krea wzrostom norm i wydajności? Zrównać zasiłki chorobowe. Podać całość dzisiejszej dyskusji w prasie. Dlaczego z państw socjalistycznych Polska ma najgorzej?

Pracownik "Elmoru": Dlaczego robotnicy musieli iść do partii, a nie partia do robotników? Milicja od 68 r. straciła zupełnie autorytet. Zabytkomania. Wprowadzić ogólnonarodowe dyskusje.

Pracownik "Komuny": Dlaczego w spisie poległych nie ma kobiet? /sam widział/ Dlaczego takie kłamstwa w informacji? Widziałem, jak milicjant dopadł flagi narodowej i zerwał ją, bo tam była krepka czarna. Pod sąd takich ludzi.

- 1/ Żądamy podwyżki do wysokości podanej przez Kociołka.
- 2/ Usunąć Kociołka i Cyrankiewicza.
- 3/ Uniezależnić związki zawodowe.
- 4/ Prawda w środkach masowego przekazu.
- 5/ Znieść podatek kawalerski.
- 6/ Dać rentę 100%, jak milicja.
- 7/ Ukarać sprawców, którzy dopuścili do tragedii na Wybrzeżu.
- 8/ Ukarać ludzi, którzy wydali rozkaz strzelania.
- 9/ Zmniejszyć inwestycje.
- 10/ Upaństwić "Inco".
- 11/ Żądamy spotkania z milicją.
- 12/ Zrównać kartę stoczniowca z kartą górniczą.
- 13/ Do władz nie przysyłać ludzi z Warszawy.
- 14/ Znieść podatek od nadgodzin, węgla itp. i różnice stawek między stoczniami.

Pracownik Stoczni Północnej: Dlaczego wadliwy system płac? Dlaczego prasa kłamie i przykro, że musimy słuchać Wolnej Europy.

Pracownik Stoczni Północnej: Dlaczego każdą zmianę muszą robotnicy przypłacić krwią? Kto wydał polecenie zwolnienia ze stoczni /weryfikacja/? Podać wszystkie postulaty, by slyszała cała Polska - co te warchoły /Kociołek.../ żądają! Biurokracja.

Przeprowadzić wybory w KW i związkach zawodowych. Przeprowadzić weryfikację MO. Ukarac tych, co maltretowali ludzi. Przeprowadzić weryfikację administracji. Dlaczego taka obłuda w prasie? Dlaczego zapomniano o swoim narodzie?

Pracownik Centrum Okrętowego i Instrukcji Budowlanych: Zrobić podział kompetencji. Dlaczego były dwa oblicza społeczeństwa? Dlaczego od 25 lat na błędną politykę wszyscy zamykali oczy? Dysproporcje płac i prac. Płaci się za pozory pracy. Uatalać

nie odgórnie ceny etatków. Prasa musi korygować błędy - redaktor musi jak detektyw wyciągać błędy. Dzisiejszą wizytę naświetlić inaczej, jak wizytę Remontówki, że tylko ręce uściskali i ucałowali się.

Stwórzmy płace za pracę, a nie zobowiązania. Gierek musi twardym pociągnięciem skończyć z tymi, co przez 25 lat prowadzili nas na manowce. Zmienić od góry do dołu. Nie może być dysonansu między inteligencją a robotnikiem. /Oklaski!/
Pracownik Stoczni Gdańskiej: Dlaczego robotnicy byli osamotnieni, bo nawet wojsko i milicja przeciwko nim? Człowieka nie wyremontuje się. Dlaczego kazano opuszczać stocznię, a potem aresztowano i bito? Dlaczego nie daje się pozwolenia na budowę kościoła na Przymorzu? Dlaczego są inne informacje w głębi Polski? Po co przysyłać z innych województw do KW /gdzie dziób, gdzie rufa/? Dlaczego nie dają się widzieć z aresztowanymi? /Szlachcic załatwi!/
Pracownik "Hydrosteru": Jaroszewicz był w RWPG i wie, że u nas jest najgorzej. Nie chcemy laika w KW. Dlaczego Kruczek sekretarz etatowy - objął związki zawodowe. Trzeba starego związkowca. Jak długo klasa robotnicza będzie cierpliwa? Dlaczego dodatek sezonowy, a zimą drogo? Zwracam się do Gierka, by nie zawiódł naszego zaufania. Chcemy mieć gwarancję, że nas nikt nie oszuka.

Dlaczego Kociołek wzburzył Wybrzeże i praca w stoczni została przerwana po jego przemówieniu. Pracownik Stoczni Gdańskiej: Zmienić tych, co siedzą przy dyrektorze w etoczni. Dlaczego w stoczni nie chciano zebrań i dyskusji?

Minister Szlachcic: Tragicznym było użycie broni

przed stoczniami. Rozkaz wydał osobiście Gomułka, gdy doniesiono mu, że KW się pali, ludzie płoną, a nikt nie ratuje.

Tregicznym było użycie broni przeciw robotnikom. Był tam, wydał rozkaz o usunięciu wojska. Rozczulił się.

Aresztowanych 2300 osób. W więzieniu 81 osób, w tym stoczniovców 24 osoby. Rannych 190 osób. Za rabunki siedzi 66 osób, za posiadanie broni 5 osób, 10 osób za opór władzy.

Rozkazu o strzelaniu nie wydał i nie wyda. Wyciągnie wnioski do milicji. Są zdjęcia i filmy, że palących ludzi oklaskiwano. Wyciągnie wnioski na temat nadużywania broni przez MO. Przepraszam, że mógł ktoś niewinnie ucierpieć. Milicja dużo nie zarabia, 1900 zł, 2500 zł i 3000 zł. Jest 230 wolnych etatów w milicji w województwie. Warunek: wzrost 180, nie karany, niewierzący. Milicji nie pozwolimy krzywdzić.

Premier Jaroszewicz: Na 8,6 miliarda nie ma pokrycia - prasa tego nie poda. Plan 71 roku zakładał nawet, że płace zmaleją. Założono zwolnienie 30 tysięcy ludzi. Dodatek do emerytur. 4 miliony zarabia poniżej 2000 zł miesięcznie.

W 56 r. można było dać jakieś podwyżki, bo: 2 1/2 miliarda rubli - pożyczka od ZSRR, 600 milionów dolarów z Zachodu. W tych latach trzeba spać. 25% eksportu idzie na spłaty. W ZSRR płacimy 2%, a na Zachodzie 9%. Musieliśmy sprowadzić olej do margaryny z ZSRR. Z Czechosłowacji kilka tysięcy ton smalcu. Z Zachodu 30 tys. ton mięsa. Wprowadzi się obniżki ryb w miastach portowych. Dla Wietnamu pomoc symboliczna, mniej jak połowę dotychczasowej pomocy.

I Sekretarz KC PZPR Gierek: Przyjechaliśmy, by

powiedzieć, jak jest nam trudno i dowiedzieć się, co mamy zrobić.

Do ZSRR jechano, by ich prosić o dostawę cementu. Do NRD o fabryki domów. Premier dowiadywał się o decyzjach rządu z prasy?

Przeorganizujemy partię. W końcu roku będzie nadzwyczajny zjazd partii. Rzecznik do spraw rządowych. Prośba o cierpliwość, wyrozumiałość. Co się tyczy rotacji, to szczęśliwy będę i obiecuję, że dam sam temu początek. Nie pozwoliliśmy wywieszać portretów.

Nigdy więcej sytuacji jak na Wybrzeżu. Teraz tutaj każdy niepokój to podstawa do tego, by twierdzić, że my mieliśmy rację, bo tylko strzelaniem można uspokoić. Dopowiedzcie sobie sami. Traktujcie nas jak ludzi i jak ludzie pomagajcie. Apeluje o zaufanie, wiarę, pomoc, wyrozumiałość, cierpliwość i lepszą pracę. Jeśli pomożecie, to osiągniemy nasz wspólny cel. No to pomożecie? No! Oklaski.

Relacja Anny Walentynowicz,
pracownicy Stoczni Gdańskiej im. Lenina
z czerwca 1981 r.

W sobotę była zapowiedziana podwyżka cen przez Gomułkę, w niedzielę wszystkie sklepy pracowały w związku ze zmianą cen wszystkich artykułów, jakie były w sklepie. U nas na Wybrzeżu panowała jakaś taka grobowa cisza, która zapowiadała wielką burzę. Niewiele ludzie ze sobą rozmawiali, chodzili z opuszczonymi głowami - tak odczułam tę niedzielę. Natomiast w poniedziałek, kiedy przyszliśmy do pracy, ludzie przebrali się w kombinezony, poszli pod dyrekcję - oczywiście ja też tam poszłam. Dyrektor przez okno wystawił mikrofon i powiedział, że on może nam załatwić 5% premii - tyle co leży w jego gestii. I rzeczywiście obiecał to załatwić, ale nam chodziło o wstrzymanie podwyżki cen. Powiedział, że na to nie ma wpływu. Dyrektorem Stoczni Gdańskiej był pan Żaczek - powiedział, że jeśli chodzi o podwyżkę cen, cofnięcie jej czy zatrzymanie, to "...ja nie mam wpływu, idźcie do Komitetu". I grupa około 3 tysięcy osób - a stocznia liczy około 16 tysięcy ludzi - poszła do Komitetu Wojewódzkiego Partii. Reszta stoczniovców została na miejscu. Dosyć długo czekaliśmy - może godzinę, może dwie - ta grupa nie wracała /ja byłam w tej grupie, która została/, postanowiliśmy pójść im na spotkanie, dowiedzieć się, co się stało - dlaczego nie wracają tak długo. I w połowie drogi spotkałam tych stoczniovców wracających do Stoczni, ale już nie samych; pchali ze sobą wóz, radiowóz właściwie. Nie wiem, dlaczego

nie zapalili silnika, ale siedział tam człowiek - ja dopiero potem dowiedziałam się, że to był Jan Subda, pracownik Stoczni - przez mikrofon cały czas mówił, żeby ludzie dołączyli się do nas, że wyjdziemy teraz na ulicę; ale trzeba było przyjść najpierw do Stoczni. Wepchnęli ten wóz na Stocznnię bramą nr 2, poprzez całą Stocznnię - Gdańską do Północnej, znów wyszliśmy na zewnątrz w okolicy ulicy Klinicznej - i przecinając Rokossowskiego, aleją Zwycięstwa przeszliśmy pod Politechnikę z tym wozem. To była godzina już chyba 14.00. Do radiowozu wszedł rektor chyba, bo chcieliśmy rozmawiać ze studentami, ale studenci byli w gmachu Politechniki, nie wyszedł nikt. Siedzieli w otwartych oknach, ale nie rozmawiali z nami. Nie znam nazwiska rektora, ale wszedł do wozu i do mikrofonu zaczął mówić, że decyzja władz jest słuszna - oczywiście chciał nas przekonać, że podwyżka cen jest konieczna. Wtedy po prostu wyciągnięto go z radiowozu, nie chcieli go słuchać. Stoczniovcy poprzez ten radiowóz zwracali się do studentów, przepraszali ich za to, że w 1968 roku w marcu nie dołączyli do nich, ale "rozumiemy teraz, to był nasz błąd - przepraszamy was, ale teraz wy jesteście tak eamo nam potrzebni, tak jak my byliśmy wam potrzebni w 1968 roku. Wobec tego zacznijmy to jeszcze raz. Spróbujmy to od nowa". Studenci milczeli. Z mikrofonu znów popłynął głos: "Wiemy, że wy nie możecie dać nam w tej chwili odpowiedzi, ale dajcie nam znać oklaskami, czy jesteście z nami" i posypał się huragan oklasków. Przyjęliśmy to jako potwierdzenie. Umówiliśmy się z nimi na godz. 19.00: przyjdziemy tutaj pod Politechnikę, przyjdą studenci, zorganizujemy wiec i zastanowimy się, co robić dalej. Z tym

wozem wycofaliśmy się z placu Politechniki, ktoś przyniósł w bańce takiej małej, chyba ze dwa litry benzyny. Część ludzi udała się do rozgłośni Radiowej, która jest na rogu ulic: Łukasiewicza i Grunwaldzkiej. Ja tam nie byłam, bo poszłam za wozem, ale część ludzi, którzy tam wpadli do tego budynku niewiele mogli zrobić, bo nikt nie był specjalistą, nikt się nie znał na tych rzeczach, na aparaturze, a pracownicy tej Rozgłośni natychmiast ją unieruchomili. Tak, że nie mogliśmy z niej skorzystać, żeby nadać wiadomość, ani włączyć, żeby móc obsługiwać radiostację. Wycofaliśmy się stamtąd, poszliśmy przez most Błędnik w kierunku Dworca Głównego Gdańsk. Ja udałam się do Stoczni, przebrałam się, bo byliśmy wszyscy w kombinezonach i na 19.00 poszłam na plac. Wiele osób przyszło, ale plac był pusty, ciemny, światła wygaszone, nie było ze studentów nikogo.

Kiedy wracaliśmy z powrotem do ulicy Grunwaldzkiej dołączyła do nas grupa studentów z Domów Akademickich przy ul. Wyspiańskiego. Okazało się, że pozamykane są domy akademickie, nie wolno było młodzieży wyjść, ale ci, którzy byli na niższych kondygnacjach, po prostu wyszli przez okno. Dołączyli do nas - i idziemy już zwartą grupą, ile nas było - może 200-300 osób. Byli też ludzie, po prostu mieszkańcy miasta. Przed Bramą Oliwską zatrzymała nas grupa milicji z tarczami, z pałkami... myśmy się cofnęli. Kiedy milicja cofała się z kolei do ewoich wozów, to my nacieraliśmy - rzucaliśmy kamieniami, bo chcieliśmy koniecznie przedostać się w kierunku dworca. Jednak nam nie puszczono. Wróciliśmy w okolicę ulicy Jana z Kolna, to jest ten most - wiadukt taki nad torami... i tam już zobaczyłam jak płonie gazik naprzeciw dworca. /.../

Co było tego dnia dalej, już nie wiem, bo wróciłam do domu późno wieczorem, koło godziny chyba 22.00.

Następnego dnia przyszliśmy do Stoczni i znów powtarza się ta sama scena: mgła, błoto - nie było śniegu, nie było mrozu... Wychodzimy znowu drugą bramą, nikt nie podejmuje pracy. Ja już wcześniej widziałam, że wojsko się mieszało z tłumem, jeszcze nie było czołgów. Wracająca od dworca, grupa ludzi w białych kombinezonach /to znaczy w tych azbestowych/ - spawacze - szła ze śpiewem. Śpiewano wówczas "Międzynarodówkę". Ja podniosłam ręce do góry, żeby przestali śpiewać, czciałam im powiedzieć, że wojsko jest z nami, bo widziałam grupę wojskowych, która wmieszała się w tłum cywilnej ludności. Widziałam - po prostu rozumiałam, bo z żadnym z nich nie rozmawiałam, ale rozumiałam, że to było jakieś takie życzliwe połączenie się wojska z cywilną ludnością. Zatrzymałam stoczniowców, żeby im to powiedzieć. Przerwali śpiew, zatrzymali się - powiedziałam - ale oni wysłuchali i szli dalej. Druga grupa wychodziła z bramy - brali ze sobą jakieś kije, kawałki prętów. Ktoś inny krzyczał: "po co ci to, walczysz o chleb, idziesz wołać o chleb, to idziesz jego kijem zdobywać, rzuć to"... i ludzie rzucali, szli bezbronni. W okolicy dworca zatrzymane były tramwaje, w poprzek torów stała cysterna z benzyną, z budynku Komitetu Partii ktoś mówił za pośrednictwem tuby żeby ludzie się rozeszli, żeby poszli do pracy, bo inaczej "będziemy strzelać, użyjemy broni". Widziałam stoczniowca, który wskoczył momentalnie na dach tramwaju, rozerwał kurtkę, to znaczy guziki pourywał i powiedział: "Strzelaj...taki synu i tak nie mam co dać rodzinie. Strzelaj, jak masz odwagę".

Jednak nikt nie strzelał. Próbowano podpalić budynek Partii. Dużo ludzi przyniosło butelki z winem, bo gdzieś tam na zapleczu rozbito sklep, brano wino i ja widziałam - to wino wylawano na ziemię, a z tej cysterny napełniano butelki benzyną i rzucono do gmachu. Byli i tacy, którzy pili wino, ale niewielu takich było, reszta ich potępiła. Potem wróciłam do Stoczni. Ponieważ w kiosku /żywność wykupiona została w pierwszym dniu/ zaopatrzenia nie było, milicja nie dopuściła wozu z chlebem, więc apelowano, że któraś z kobiet nie musi iść do domu, nie ma obowiązku, to żeby udała się do kuchni gotować obiady. Ja uznałam, że tam najbardziej się mogę przydać - poszłam do kuchni. Wiadomo mi było, że w tym Komitecie, który wybrano - potem, jak wyszli na ulicę - to już nie było nikogo. Jak wrócili, to był drugi Komitet, to znaczy po prostu wybierano drugi spośród siebie, ale cały czas rękę na pulsie trzymał dyrektor Żaczek. Ja miałam dla niego dużo szacunku, dużo uznania, a potem dowiedziałam się, że dlatego on był i trzymał to wszystko w garści, bo to były szef służby bezpieczeństwa i po prostu mocno dyrygował tym.

W środę około godz. 1.00 w nocy budził mnie turkot czołgów. Naliczyłam ich 40 stojąc w oknie, potem zaniechałam, położyłam się. Stocznia była otoczona czołgami, ja znowu wróciłam do swojej kuchni i już nie wychodziłam stamtąd. Ludzie chcąc nawiązać kontakt z żołnierzami, którzy otoczyli Stocznie - a nie wiedzieli kto to był, bo nikt z nich nie chciał rozmawiać, nie chcieli w ogóle nawiązać z nami kontaktu - podłączyli głośnik od budynku dyrekcji do t.amy nr 2. Tam też się mieści ta stołówka. Dwukrotnie był przecięty

kabel - i to przez kogoś na terenie Stoczni - żeby głośnik przy bramie nie działał. Kiedy padły strzały, ja wybiegłam z tej stołówki - widziałam wielkie zamieszanie, wycofałam się z powrotem... Potem dowiedziałam się, że trzy prześcieradła pomalowane krwią, namalowany krwią czerwony krzyż - zawieszono na dachu szpitala, który mieścił się tuż przy bramie nr 2. Strzały były skierowane właśnie tutaj w cywilną ludność, bo jeszcze do dzisiaj na drzwiach tego budynku jest otwór od kuli - przestrzelone drzwi... do tej pory nikt tego nie usunął i uważam, że dobrze, niach to zostania... on nikomu nie przeszkadza ten otwór...

O godzinie chyba 24.00 czy 1.00 w nocy poszłam na swój wydział, żeby się trochę położyć. Gotowaliśmy cały obiad - to' znaczy s dwóch dań, potem zabrakło już produktów, były tylko ziemniaki, więc gotowaliśmy tylko zupę. Kucharz stale przychodził do nas i mówił, żeby obrać dużo ziemniaków, bo chleba nie ma i mięsa już nie ma, niech chociaż będzie dużo tych ziemniaków w zupie. Ludzie w kolejce stali do stołówki, stawali jednak tam, gdzie nie było światła... kryli się... kolejka była duża i dosyć długo ludzie stali, żeby zjeść talerz tej zupy. Potem wzięliśmy się na sposób, że wózkami przyjeżdżali ludzie i zabierali na wydział, żeby nie grupować się w jednym miejscu, bo bali się, że w każdej chwili będzie jakaś prowokacja czy przyjada... zabiorą.

Nad ranem między 4.00 a 5.00 był pierwszy komunikat przez radiowęzeł, że wszyscy mamy opuścić Stocznnię, bo decyzją władz Zjednoczenia Przemysłu Okrętowego, Stocznia jest zawieszona w czynnościach. Bez pośpiechu, ale podnieśliśmy się, każdy ze swojego legowiska i wychodziliśmy ze Stoczni

z opuszczoną głową. Mieliśmy wrażenie, że idziemy do niewoli. W czasie okupacji widziałam, jak jeńcy brani do niewoli szli z opuszczoną głową, a nierzadko ręce założone na kark. No my mieliśmy tyle awobody, że ręce mieliśmy przy sobie, nie musieliśmy ich zakładać na kark. Nie wiedzieliśmy, czy wrócimy do Stoczni, w każdym razie wiadomości do nas docierały, że - chyba Kliszko - powiedział, że "Zaorzemy Stocznię. Stać nas na to, żeby zaościć ją i pobudować drugą". Czuliśmy się bardzo bezsilni, wróciliśmy do domu, już była godzina milicyjna.

Zapomniałam jeszcze powiedzieć, że jednak płonął budynek Partii w Gdańsku. Nie udało się go zapalić przez rzucanie butelek z benzyną, trzeba było podpalić kawałki opony samochodowej, wrzucić tam i dopiero wtedy się zapaliło. Wówczas ci panowie, którzy tam wewnątrz budynku byli, prosili, żeby im pozwolono wyjść. Jednak wyjście było już podpalone. Wtedy przyjechała wywrotka, postawiono drabinę na tę wywrotkę i po tej drabinie do wywrotki zeszło kilku panów... przewieziono ich do Stoczni, jako zakładników. Potem dowiedziałam się, że jednak ich wypuszczono. Przebrano w kombinezony etoczniove, wypuszczono tak, bo w mundurze nie mogliby wyjść, bo ludzie po prostu nie puściliby ich. Tutaj znowu było chyba działanie dyrektora - nie wiem - dobre czy złe, ale ci ludzie wyszli. W zamian za tych ludzi mieli nam wypuścić wszystkich stoczniovców. Jednak do dnia 25 stycznia 1971 roku, do chwili spotkania z Gierkiem, Jaroszewiczem i... - Szlachcic chyba był wtedy ministrem spraw wewnętrznych - jeszcze nie wezwycy wyezli. Ale w czasie tego spotkania, w czasie tych rozmów, Szlachcic powiedział: "Dajcie mi nazwieka, a udowodnię wam, że wszyacy wyjdą". Oczywiście

podczas tej rozmowy rozplakał się, sytuacja na sali zupełnie się zmieniła. Gierek wtedy wniósł taki apel - zwrócił się do nas, czy mu pomożemy, no oczywiście "pomożemy" odpowiedzieliśmy. Ja też udzieliłam tego poparcia, ja też powiedziałam "pomożemy", ale... dużo osób jeszcze potem siedziało. Jeszcze taki Marian Zieliński, którego pobito, zabrano go z domu, kiedy Stocznia już była zawieszona - człowiek ten o swoich wspomnieniach dziś jeszcze nie może spokojnie mówić. Są dokumenty, że zabierano kobietę z domu z Elbląga - ona też musiała przejść tak zwaną "ścieżkę zdrowia" - bito ją. Słyszeliśmy o tym, że stojeją bicie, ale nie myślałam, że tak będą kobiety bić, jak tę kobietę, która później wypowiadała się na temat tego, co przeżyła.

Widziałam jedno zdarzenie, kiedy milicjant na długość ręki strzelił do młodego 19-letniego stoczniowca. Ja byłam w tłumie, nie mogłam wyraźnie widzieć akurat do kogo strzelił, powstało zamieszanie, krzyk i wtedy ludzie rzucili się na tego mundurowego. Więc tyle, co ja mogłam dojrzeć - ezczątki człowieka rzucono na tory - to był widok straszny. Po prostu ludzie bezbroni w tym tłumie, rzucili się na tego mundurowego milicjanta i własnymi rękoma nie tylko że pozbawili go życia, ale rozszarpali jego ciało... To, co ja zdążyłam zauważyć, dostrzec co rzucono...

Nie widziałam ofiar, Bogdan Lia był świadkiem, jak czołg zmiął nogę człowiekowi i mówił, że nie mógł patrzeć, kiedy ten człowiek podnosił się, zrywał się... jeszcze nie uświadomił sobie, że brak tej nogi nie pozwalał jemu stanąć. Ja tego widoku nie widziałam.

Grudzień oczywiście nie poszedł na marne.

Wyciągnęliśmy doświadczenia z Grudnia - gorzkie doświadczenia, ale to była lekcja życia. Już nie mógł się powtórzyć Grudzień, bo dojrzała świadomość społeczna. Nauczyliśmy się, że nie wolno nam było wyjść na ulicę... każdy z nas dokładnie zdawał sobie z tego sprawę. Jeżeli strajk, to tylko okupacyjny. I tak trzeba było strzec się, żeby nie dostał się do nas nikt ze Służby Bezpieczeństwa. Nikt, kto by mógł nas sprowokować, bo przecież Grudzień tak się zakończył tylko dlatego, że nie dojrzała świadomość społeczna. Nie wiedzieliśmy co może się stać - to była prowokacja; potrącenie tego chłopca, podpalenie gazika, a potem następne... To było oko za oko, głowa za głowę. Chociaż eily po stronie przeciwnika naszego były niewspółmierne - my mieliśmy gołe ręce, a oni wszystko: gazy, pałki, tarcze, miotacze benzynowe, a potem broń palną. My mieliśmy tylko gołe ręce. To samo mieliśmy w Sierpniu - też tylko swoje ręce, nic więcej. Ale mieliśmy bramę etoczniową przed nami. I tu nie wpuściliśmy nikogo i nikt od nas nie wyszedł, żeby nie wyrządzono mu krzywdy. Doświadczenie tragedii Grudnia spowodowało, że nie powtórzyła się ta tragedia w Sierpniu. Oczywiście nie bez znaczenia tutaj jest też działalność opozycji, bo ci ludzie nauczyli nas odwagi. Musieliśmy się zdecydować na strajk, ale już zorganizowany, przemyślany... chociaż nikt z nas nie planował na tak długi okres. Liczyliśmy dzień, może nawet nie cały dzień, ale potem to już życie podyktowało to, co mieliśmy przez te 18 długich dni w Stoczni.

Relacja Henryka Jagielskiego,
pracownika Stoczni Gdańskiej
z czerwca 1981 r.

Dowiedziałem się o podwyżce cen już 12 grudnia, dlatego że była odprawa aktywu Stoczni Gdańskiej i oni zostali poinformowani, że ezykuje się wielka podwyżka cen. My z kolegami zaufanymi rozmawialiśmy, że w poniedziałek nie przystępujemy do pracy.

W niedzielę byliśmy wszyscy w domu. W poniedziałek przyszliśmy do pracy i żeśmy zauważyli, że jednak ta odprawa w sobotę dużo dała, dlatego że został wzmóżony ruch przez kierowników. Ludzi po prostu wyganiałi wcześniej do pracy, żeby poešli na jednostki. Część ludzi poszła, część została. Ci, co poešli na jednostki to i tak nie przystąpili do pracy, tylko po kabinach, czy po jakichś pomieszczeniach rozmawiali, co robimy dalej.

Wydziały "S" w ogóle nie przystąpiły do pracy, od razu już w szatnisch się zgrupowśli i rozmawiali ze sobą. Część ludzi już pbszłis pod dyrekcję, takie grupki się tworzyły. To trochę inaczej wyglądało jak teraz w Sierpniu.

O godzinie 9.00, ponieważ jest to pora śniadaniowa - przyszli wszyscy na wydział W-4 i wydział W-4 poszedł pod dyrekcję. Tam już były zebrane pozostałe wydzisły, ezczególnie "es-y", które zapoczątkowały ten etrajk w Grudniu. Dyrektor - Żaczek wtenczas był dyrektorem - otworzył okno i przywitał wszystkich etrajkujących. Myśmy mu zaproponowali, żeby zradiofonizowśł teren, bo chcemy z nim rozmawiać. Naprędce została zrobiona rsdiofonizacja i zaczęła się rozmows. On apelował

do nas, żebyśmy przestali, żebyśmy przyetapili do pracy, bo to i tak nic nie da. No to część ludzi wezła do dyrektora i też przemawiała przez mikrofony. Śpiewaliśmy pieśni "Jeszcze Polska nie zginęła", "Międzynarodówkę", "Rotę", "Boże coś Polakę", zresztą wszystkie patriotyczne pieśni. One się powtarzały przez te całe 3 dni.

Ludzie wysuwali postulaty, żeby powrócić do cen dawniejszych, odsunąć Kociołka, Cyrankiewicza, Moczara, Gomułkę i innych, którzy byli przy władzy. To trwało ze 40 minut, może mniej. Wtem ktoś rzucił hasło, że idziemy na miasto pod Komitet, miasto zawiadomić, bo nikt nie wie, że my tutaj przerwaliśmy pracę, strajkujemy.

I wyszliśmy. Szliśmy i cały czas śpiewaliśmy pieśni po drodze i nawoływaliśmy innych ludzi: "chodźcie z nami". Przyszliśmy pod Komitet. Tam już cała ekipa stała na schodach z Jundziłłem i dyrektorem Zjednoczenia, Skrobotem na czele. I sekretarza nie było - w tym czasie I sekretarzem woj. gdańskiego był Karkoszka - ponieważ odbywało się plenium w Warszawie.

Podeszliśmy pod Komitet i pyta się Jundziłł: "Co wy chcecie?". Któryś tam odpowiedział: "To śmieszne pytanie. Jakby nie wiedział, co my chcemy. Chcemy powrotu do cen sprzed 12 grudnia". On powiedział wówczas: "Wybierzcie sobie delegatów, komitet i pójdziemy do środka rozmawiać". Więc ja mu odpowiedziałem, że nie pójdziemy rozmawiać, nie będziemy tu na razie nogo wybierać, bo jak pójdziemy do was, to nas zamkniecie. Zresztą mamy doświadczenie z 68 roku, ja zeńście ze studentami zrobili i 56 rok." - "I co mam w tej sytuacji robić?" - zapytał Jundziłł. Więc ja mówię: "Radiofonizować tutaj. Będziemy rozmawiać". On powiedział,

że nie ma możliwości zrsdiofonizowania, ale po pewnym momencie złapał się za głowę i mówi: "Dobrze, zaraz coś będzie". Poleciał do środka, za chwilę przychodzi i mówi, że zaraz przyjedzie radiowóz z Miejskiej Rady Narodowej. W tym czasie ludzie stali pod komitetem. Śpiewali takie same pieśni, jak żeśmy śpiewali w Stoczni Gdańskiej.

Stało tam również dwóch milicjantów, którzy pilnowali Komitetu Wojewódzkiego. Ktoś - nie przypominam sobie kto, wszystkich nie znaniem - napisał na murze taką czerwoną kredą, jak jest do trasowania: "Pachołki płatne, pschołki moskiewskie". Ci milicjanci na to nie zwrócili uwagi. Milicjanci stali, a stoczniowcy w ogóle ich nie zaczepiali. Oni na nas uwagi nie zwracali ani my na nich. Mówię to dlatego, że późniejsza prasa pisała, że myśmy milicjantów zsatakowali.

No, ludzie krzyczeli: "My chcemy chleba", śpiewali pieśni. Postulat był taki, by były nowe związki zawodowe, bo te, które są nie zdawały w tym czasie egzaminu. Chociażby z tego względu, że w tym czasie nie było z nami nikogo ze związków zawodowych, a powinien być. Po pewnym czasie przyjechał ten radiowóz i poprosiliśmy towarzysza Jundziłła do radiowozu. On podszedł do tego radiowozu i zaczął przemawiać. Mówił w ten sposób: "Słuchajcie, ja wam tu nic nie mogę obiecać, bo nie jestem kompetentny w tej sprawie. To wam i tak nic nie da, rozejdźcie się do pracy". Po tych słowach któryś go tam z radiowozu wyprosił, myśmy opanowali radiowóz i zaczęliśmy przemawiać. Mówiono między innymi, że Cegielaki stoi, Ursus stoi, Nowa Huta stoi, tak, że nie jesteśmy sami. Nie pamiętam nazwisk tych, którzy przemawiali, ale przemawiało wielu. Śpiewaliśmy pieśni. To trwało około 30 minut, może trochę dłużej. Następnie

padło hasło, że idziemy z powrotem do Stoczni Gdańskiej, Stoczni Remontowej i Stoczni Północnej, żeby wreszcie tych ludzi wyciągnąć, którzy zostali w Stoczni Gdańskiej.

Bardzo wielu ludzi z miasta dołączyło do nas. Cały ruch był wstrzymany i ci, którzy przechodzili - bo to było w godzinach rannych, gdzieś koło godziny 10.00 - dołączali do nas, tak, że było masę ludzi. Cały ruch był wstrzymany. Milicjantów nie było żadnych, tylko tych dwóch, którzy stali pod komitetem.

Jak myśmy opanowali ten radiowóz, ruszyliśmy do Stoczni. Ujechaliśmy jakieś 100 m, kierowca mówi: "Słuchajcie, ja z wami nie mogę jechać, bo mnie zamkną. Wyjął kluczyki i poszedł. Myśmy ten radiowóz po prostu pchali. Szliśmy koło Zarządu Portu. Tam ludzie z biur stali w oknach, klaskali nam, brawo bili. Ze Stoczni Remontowej żeśmy zrezygnowali i poszli na Stocznnię Północną. Dochodziliśmy do bramy - bramy Stoczni Północnej i Remontowej są połączone - gdy podjechała nysa i chcieli bramę zamknąć. Nie zdążyli, przejechaliśmy radiowozem i cały tłum za nami wszedł. Późniejsza prasa napisała, że myśmy tę bramę wyważyli. To jest nieprawda. Część ludzi się rozeszła po wydziałach, żeby powyciągać wszystkich, którzy jeszcze pracują. Byli tacy, co pracowali jeszcze w Stoczni Remontowej. Cała Stocznia Północna się do nas dołączyła i wyszliśmy bramą. Szliśmy ulicą Klinikzną. W szpitalu wszyscy lekarze, wszyscy chorzy, pielęgniarki stali w oknach, też nam bili brawo. Szliśmy w milczeniu. Przyszliśmy na Politechnikę Gdańską - studenci stali w oknach, patrzyli na nas. Po jakimś czasie myśmy zaczęli do nich przemawiać. Przyszedł rektor. Te same słowa do nas

powiedział, co powiedział Jundziłł przed Komitetem Wojewódzkim.

Po kwadransie kilku studentów zeszło na dół, weszło do radiowozu i zaczęło przemawiać. Pierwsze ich słowa były: "Gdzieżecie byli w 68 r.? Ale my z wami się solidaryzujemy i wam pomagamy. Jesteśmy z wami". Przemówienie było krótkie i padło takie hasło, że musimy się zebrać o godz. 19.00 na Politechnice na tym samym dziedzińcu, żeby wybrać Ogólnomiejski Komitet Strajkowy i żeby ustalić, co następnego dnia będziemy robić.

To długo nie trwało, może ze dwadzieścia minut i poszliśmy pod Polskie Radio, tam jest ze dwieście metrów do Polskiego Radia. Wydelegowaliśmy trzech kolegów, którzy weszli do środka, żeby nadać ogólnopolski program, że Stocznia Gdańska stoi i nawoływać do ogólnopolskiego strajku. Koledzy - nazwisk ich nie pamiętam - weszli do budynku Polskiego Radia; a my przez megafon w radiowozie przemawialiśmy. Ruch uliczny na alei Zwycięstwa był wstrzymany, bo było bardzo dużo ludzi. Ktoś zawołał, że ogłyszamy demokrację, że jak ktoś ma coś do powiedzenia, to może mówić. Weszła kobieta, która się przedstawiła, że pracowała kiedyś w zakładach komunikacji miejskiej, została zwolniona, że jest w trudnej sytuacji, że była prześladowana przez Urząd Bezpieczeństwa itd. "Pomóżcie mi stoczniojcy, bo już tak dalej żyć nie mogę" itd.

No i w pewnym momencie okna w radiostacji się otworzyły, ukazało się tych trzech kolegów i mówią: "Słuchajcie, rozmawialiśmy tu z dyrektorem czy kierownikiem tej radiostacji. Niestety nie możemy nadać na ogólnopolski program, bo ta radiostacja tu we Wrzeszczu jest zależna od Chwaszczyna

- a oni wyłączyli nam zasilanie, tak że nie możemy nadać. Myśmy im dali ultimatum, że jak w ciągu piętnastu minut nie załączą, to zdemolujemy radiostację". Zebraliśmy się w radiowozie i doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu demolować i żeśmy im odpowiedzieli, że mają wyjść z radiostacji. I oni wyszli po jakimś czasie. Postanowiliśmy iść z powrotem do Gdańska. Pod Prasę i pod Komitet Wojewódzki.

Była gdzieś druga godzina, może piętnaście po drugiej, mgła taka była... I wtenczas ludzie z pracy wychodzili i ci odważniejsi to jeszcze dołączyli do nas, tak że było nas coraz więcej. Szliśmy w milczeniu. Ja z radiowozu wyszedłem i szedłem z kolegą Błażejowiczem bodajże i jeszcze dwoma takimi ze stoczni. Przystaliśmy na most i schodząc na Błędnik zauważyłem około 15 samochodów stojących na wysokości Orbisu i dworca i blokujących drogę. Samochody były wojskowe, otwarte, ale milicja była na tych samochodach. Oddali właśnie pierwsze strzały z armat - nie wiem, jak to się nazywa, bo nigdy w wojsku nie byłem - granatami łzawiącymi. Ten radiowóz, który był na czele, przedarł się przez te samochody milicyjne, część ludzi z nim, część przeszła wokół dworca przez perony, a części nie udało się przedrzeć, bo oni w dalszym ciągu strzelali. Te puszki było widać w powietrzu, ludzie uniki głowami robili. Podeszliśmy pod Prasę. Tam ludzie skandowali, że prasa kłamie, że prasa ma prawdę pisać, że prasa ma być z nami. Od Wałów Jagiellońskich uformowała się milicja uzbrojona w takie długie, chyba metrowe pały, w tarcze - bardzo duże te tarcze były; każdy z nich miał kamizelkę ochronną. Zaatakowali nas tam po raz pierwszy. Rzucili

się na nas z pałami, z tym, że ich głównym celem było zdobycie radiowozu. Nie udało im się. Przyjechaliśmy pod Komitet, stało tam nadal bardzo dużo ludzi. Cały ruch był wstrzymany. Tam żeśmy przemawiali. W pewnym momencie znowu nas zaatakowali. Szli takim klinem - może ze 300 milicjantów - chcieli przede wszystkim zdobyć radiowóz. Jednemu milicjantowi się udało - złapał kabel od stacyjki i wyciągnął go. Ale myśmy szybko ponownie uruchomili i radiowóz działał nadal.

To już było atarcie między strajkującymi a milicją, taka mała bitwa. Na placu, tam na Hucisku, koło dworca, przy delikatasach - były takie gonitwy. Widziałem, jak padł ranny. Od tej puszkii. Leżał na torach. Poleciałem do Przychodni Kolejowej - wzięli nosze i zabrali tego rannego. Chłopaki już były sprytne. Odrzucali granaty z powrotem w milicję. Atakowała milicja, my też nie byliśmy dłużni, tylko że w mniejszym stopniu niż oni, bo oni mieli hełmy, tarcze, pały.

Trwało tak do 18.15, bo wtedy zgodnie z umową pojechaliśmy pod Politechnikę. Przyjechaliśmy według umowy o 19.00. Nieatety, nie spotkaliśmy żadnego studenta. Dziedziniec był pusty i cała uczelnia też była pusta. Po krótkiej naradzie poszliśmy do Domu Studenta. Wszystkie akademiki były pozamykane. Tam część przysła powiedzieć: nie możemy wam pomóc, bo rektor zagroził, że jak będziemy brać udział, to nas wszystkich powyrzucają z uczelni. Poszliśmy z powrotem do Gdańska. Tam gonitwa trwała - raz milicjanci, raz strajkujący byli górą. Były pierwaze próby podpalenia Komitetu, od strony kościoła, od strony NOT-u zajął się jeden pokój, ale to zostało ugaszone. Byliśmy tam o godz. 20-21.

I pamiętam, jak udałem się do Stoczni z powrotem, do biura, do dyrektora. Zostałem tam już kilku kolegów, m.in. Lenarciuka, Wałęsę, Kobylińskiego, Jacewicza. Dosyć dużo, około 30 osób. Wtedy, w Grudniu, komitet dosyć był duży, liczył około 60 osób. Wyborów w zasadzie nie było, każdy, kto się zgłosił do dyrektora, uważał się za członka Komitetu Strajkowego. Nawet przewodniczącego nie było, nie został wybrany. Między innymi dyrektor uważał się za przewodniczącego Komitetu Strajkowego, nawet Hajduga. W każdym razie przewodniczącego nie było, nie wybieraliśmy go. A na tym zebraniu u dyrektora ustaliliśmy, co na następny dzień będziemy robić. Padło hasło, że musimy uwolnić tych, którzy zostali zamknięci. No, tych kolegów z radiowozu. Milicjanci rzucili im do środka granat łzawiący i oni wyczli. Zostali zamknięci.

Około 11-12 /tj.23-24 - przyp.red./ poszedłem do domu. Przespałem całą noc. Rano poszedłem do Stoczni. W poniedziałek chodziłem w swoim prywatnym ubraniu, bo nie przystąpiłem do pracy i nie przebierałem się /potem, w czasie przesłuchań, stanowiło to pewien punkt zaczepienia dla mnie, panowie z SB pokazywali mnie bowiem na zdjęciach atale w kombinezonie/. We wtorek rano nikt nie przystąpił do pracy. Natomiast w hełmy poubierali się w zasadzie wszyscy, bo padło takie hasło, że wszyscy mają być w hełmach. Przed dyrekcją odbyliśmy krótką 15-20 minutową masówkę - i wyszliśmy ze Stoczni.

Pierwszy patrol milicji spotkaliśmy przy szkole. Ze 150-200 milicjantów chciało nas rozbić. To im się nie udało. W milczeniu poszliśmy pod Komendę Milicji. Część ludzi już została pod KW. Komitet Wojewódzki w zasadzie już nie istniał. Wszyscy,
170

którzy tam byli, zostali ewakuowani i część dokumentów też chyba została wywieziona. Natomiast była w nim milicja i jednostki KBW. Mnie się wydaje, że wiele innych urzędów zostało w nocy przez milicję obstawionych. No więc część ludzi została pod KW, a część poszła pod Komendę Miejską po to, aby uwolnić ludzi, którzy zostali zamknięci poprzedniego dnia. Kiedy podeszliśmy pod budynek, otworzyły się okna chyba na drugim piętrze i ukazał się Lech Wałęsa. Ja byłem akurat w tym czasie zajęty czymś innym i ludzie zaczęli w niego rzucać kamieniami, krzycząc "zdrajca" czy coś podobnego. Odwracam się, patrzę, że to Lech Wałęsa, podeszedłem bliżej - nie rzucajcie! Zostawcie! To ten, który dzisiaj przemawiał, żeby uwolnić tych ludzi. Przestali rzucać i Lechu jeszcze raz ukazał się w oknie i mówi: "Słuchajcie, za chwilę wyjdą ci, co wczoraj zostali zamknięci". Ale w tym czasie, kiedy Lechu rozmawiał przez okno, z trzeciego piętra zaczęli rzucać granatami. To były granaty łzawiące. W oknie obok Wałęsy ukazał się major i mówi: "Słuchajcie, ja jestem odpowiedzialny za to piętro, a za trzecie piętro, co się dzieje, nie odpowiadam". Ludzie z powrotem zaczęli rzucać kamieniami. Gdzieś po 15 minutach została otwarta brama tam, gdzie była drogówka. Wyszło tych sześciu. Okrzyki. Wtenczas była pierwsza próba podpalenia właśnie drogówki. W pewnym momencie zaczęła się formować milicja i też weszła w tłum. Dosyć duży tłum. Trudno mi powiedzieć, ile tam mogło być pod Komendą Miejską ludzi, ale najmniej 15 tysięcy na pewno było.

Ci milicjanci zostali po prostu rozbici. Chyba z 18-tu o ile sobie przypominam, bo ich tyle naliczyłem, zaczęło uciekać do Miejskiej Rady

Narodowej. W Miejskiej Radzie Narodowej nie otworzono im drzwi, bo była ona już obstawiona przez milicję, przez oficerów milicji. Ci ich nie wpuścili, więc stanęli plecami do tłumu, złapali się za ręce /.../ i ludzie zaczęli po prostu okładać ich. Ktoś krzyknął: "Słuchajcie, to nic nie da, bo oni mają kamizelki ochronne". Wtedy tam były rozkopy, nie wiem, czy rury kładli, czy chodnik nowy, i ludzie złapali za deaki i zaczęli się tam bić. Wtedy dosyć dużo tych milicjantów zostało rannych. Stoczniowcy ich nawet odprowadzali do pogotowia czy do szpitala. Nawet podszedłem do jednego, był ranny, tutaj mu krew tak ciekła. Dwóch stoczniowców odprowadzało go do szpitala. Mówili, że on z nimi rozmawiał, że to nie jest milicjant, że to jest przebrany wojskowy. Ale widać po nim było, że jednak musiał mieć jakieś środki dopingujące, bo on w ogóle się nie odzywał do mnie. Ja się go pytałem, czy na pewno ty jesteś milicjantem, czy wojskowym, on się nic nie odzywał, tylko patrzył na mnie takim zwierzęcym wzrokiem, oczy mu się szklily.

Helikoptery cały czas krążyły już w tym czasie, we wtorek i strzelali z tych helikopterów z karabinów, jak również rzucali granaty. W tym czasie został zastrzeleny - zapomniałem w tej chwili nazwisko - młody chłopak, 19-letni, stoczniowiec, pracownik wydziału W-5 Stoczni Gdańskiej. Ja nie widziałem, tylko słyszałem, jak ten strzał padł. Później atoczniovcy mówili, że został zastrzelony właśnie ten stoczniowiec przez jakiegoś kapitana z odległości 2 m. Zaczęła się taka szarpalina, raz oni naciskali, raz my. Zresztą im w tym czasie wiatr sprzyjał. Te granaty, które oni rzucali, próbowaliśmy nawet odrzucać w ich

stronę, to i tak cały ten dym szedł na nas, tak że oni byli w lepszej sytuacji. Były różne sposoby. Między innymi puszczono na milicję pusty tramwaj. Któryś tam uruchomił tramwaj i puścił.

Te walki trwały tam na moście w okolicy Swierczewskiego do jedenastej, do dwunastej. Część ludzi, która została przed komitetem, próbowała w tym czasie podpalić Komitet Wojewódzki. Ja nie pamiętam z kim poszedłem zobaczyć, co tam się dzieje przy dworcu i przy Komitecie. W tym czasie idzie grupka budowlańców i jeden stoczniowiec na czele - szykują się do podpalenia domu związkowego. Ja podchodzę: "Co chcecie zrobić tutaj?" "No, chcemy podpalić". Ja mówię: "Słuchajcie, to nie jest związek zawodowy, tylko to jest dom związku zawodowego, a związek zawodowy mieści się w Gdyni. To nie ma celu tutaj podpalać tego domu". Oni posłuchali i nie podpalili tego domu. Przyszliśmy pod Komitet Wojewódzki - trwały tam próby podpalenia. Widziałem jak jeden oficer, porucznik z KBW borykał się z żołnierzami. Ci żołnierze nie chcieli go słuchać, bo - powiedzieli - nas oszukano. Powiedziano nam, że tutaj mamy walczyć z Niemcami, a to są sami robotnicy. Oni nie mogli nawet zebrać tych żołnierzy, karabiny rzucali do wody.

I Komitet już zaczynano podpalać. Po prostu maczano w benzynie różne rzeczy /nawet kufajki zdejmowano z siebie/ i podpalano tym Komitet. W pewnym momencie nadleciał helikopter i spuścił drabinę. Dosyć długo stał. Stałem z kolegami i obserwowałem. Chciałem się przekonać, czy ktoś jeszcze jest w Komitecie. Niestety Komitet już dosyć mocno się palił i nikt nie wazedł na tę drabinę. Helikopter nikogo nie zabrał i odleciał. To była gdzieś godzina 13.00.

Ja potem poszedłem trochę wyżej, jak jest przychodnia. Podjechało chyba 3 samochody milicji. Wszedł z jednego samochodu - chyba to był dowódca - porucznik jakiś i ktoś go pyta: "Po co pan tu przyjechał?". A on mówi: "Żeby porządek trzymać". "Jak pan widzi, porządek jest. Jak pan chce, to nawet może się pan ogrzać pod Komitetem Wojewódzkim, jak panu jest zimno". Porucznik wszedł do samochodu i rzucił w tłum granat. Stało tam przynajmniej kilka tysięcy ludzi. Jak rzucił ten granat, to ludzie rzucili się na samochody. Ci milicjanci zostali tam po prostu poturbowani, porozbierani. Samochody zostały podpalone. Walki się przeniosły tutaj, na Hucisko.

Strajkujący byli przy Komitecie Wojewódzkim i przy dworcu, natomiast milicja więcej była ulokowana przy Swierczewskiego. Most tam przy ulicy Swierczewskiego raz myśmy zdobywali, raz milicja zdobywała. Tak samo było tu, przy Hucisku. Tak się gonili po prostu.

No i o godzinie 14.00 chyba, może 13.30 słyszemy warkot czołgów. Właściwie to nie były czołgi, to były transportery. N- całym gazie jechały od strony Wrzeszcza.

Relacja "Edwarda" /pseudonim/,
pracownika Stoczni Gdańskiej,
dostarczona anonimowo
do ZR NSZZ "Solidarność" Gdańsk,
sporządzona między wrześniem a grudniem
1981 roku

Poniedziałek 15 grudnia - już przy samym wejściu na teren Stoczni Gdańskiej wyczuwało się bardzo napiętą nerwowość. Jak zwykle wszyscy podążali do swoich wydziałów, ale na poszczególnych twarzach można było wyczytać napięcie. Gdy doszedłem do hali, w której na piętrze mieściły się biura wydziału, w którym pracowałem - na dole były warsztaty wydziału mechanicznego S-5 - zauważyłem, że wszystkie maszyny stoją nieczynne, mimo iż robotnicy rozpoczynali tu zmianę o godz. 6.00, my zaś o godz. 6.45. Robotnicy ci w większości stali zgrupowani w jednym miejscu i rozprawiali między sobą. Już to samo w sobie stanowiło coś wyjątkowego, gdyż nigdy do tej pory nie zdarzało się, aby o tej godzinie wszystkie maszyny były unieruchomione, a robotnicy nie kwapili się wcale do podjęcia pracy. Ktoś tam starał się jakby coś wytłumaczyć, lecz natychmiast został przez pozostałych zagłuszony gwizdami i okrzykami.

Wszedłem na górę, gdzie po odbiciu swojej karty zegarowej udałem się do pokoju, gdzie mieściła się sekcja, w której byłem zatrudniony. Pracowało nas tam pięciu wraz z kierownikiem, w tym jedna kobieta. Dyskutowano tu o ogłoszonej podwyżce cen, obliczając jak to teraz za nasze płace będzie można wyżyć. Każdy wyrażał swoje niezadowolenie i zastanawiano się nad tym, co dalej będzie.

Nikt z nas nie chciał jeszcze dopuścić do siebie ani wyrazić myśli o atrajku. Wiadomo jednak było, i wiedzieliśmy o tym doskonale, że na nic dobrego się nie zanosz i że coś musi się stać. Chodziło tu przecież o warunki naszego codziennego życia, o nasze być albo nie być. To, co widzieliśmy, że działo się wśród robotników, nie zapowiadało, aby dzień minął spokojnie.

Po kilkunastu minutach zorientowałem się, że i w innych pokojach naszego biura istnieje taka sama sytuacja: nigdzie jakoś nikt nie bierze się do pracy, lecz wszyscy gorąco dyskutują. Nis było widać członków partii czy działaczy związkowych. Czas mijał. Tu i ówdzie ktoś rozpoczął wyciąganie papierków z biurka, ale rozpoczęcie pracy jakoś nie szło. Jeden patrzył na drugiego i zdawał się pytać: "Co robimy? Pracujemy czy nie pracujemy?". Kierownik, który zazwyczaj przestrzegał ściśle godziny rozpoczynania pracy i raczej nie tolerował ociągania się, jakoś nie ingerował... Sprawa dotyczyła przecież tak samo jego, jak i nas i jego myśli zgadzały się z pewnością z naszymi...

Około godz. 7.30 usłyszeliśmy, że na zewnątrz maszeruje jakaś duża grupa ludzi. Było słyhać jakieś okrzyki, które nie bardzo mogliśmy zrozumieć. Nad stoczną krążył bardzo nisko helikopter. W pewnej chwili usłyszeliśmy serię odgłosów strzałów. Byliśmy zatrwożeni: "Strzelają z helikoptera do stoczniovców". To już zaczyna być poważne. /Potem okazało się, że wówczas strzelano jeszcze ślepymi nabojami/. Wszedłem i udałem się na dół, by zorientować się w sytuacji. Na dworze zobaczyłem od strony W-3 przez całą szerokość drogi setki stoczniovców w swoich ubraniach robo-

czych i hełmach. Szli powoli i skandowali zwracając się do obserwujących ich: "Chodźcie z nami, chodźcie z nami...". Czołówka pochodu zatrzymywała się po drodze przy każdej hali i tam ponownie powtarzano: "Chodźcie z nami". Ciągący się sznur ludzi stawał się coraz liczniejszy. Powoli udawano się w kierunku budynku dyrekcji, przed którym na placu zgromadzone już były liczne tłumy stoczniowców. Z przeciwnych kierunków, to jest z wydziału K-3 oraz z wyspy Ostrów nadciągały również dwa ogromne potoki ludzi.

Po mniej więcej pół godziny na placu przed dyrekcją zgromadzonych było kilka tysięcy stoczniowców. Potem zobaczyłem, że jedno z okien biura dyrektora na I piętrze otwarło się i jeden z zastępców dyrektora próbował przy pomocy tuby przemówić do zgromadzonych. Nie słuchano go już wówczas i cały pochód formował się do wyjścia do miasta w kierunku bramy nr 2.

W międzyczasie pewna grupa stoczniowców udała się do pomieszczeń Rady Zakładowej /na parterze budynku/, lecz "bonzowie" Rady już wówczas zdążyli gdzieś się "zamelinować" i byli nieuchwytni.

Przez bramę nr 2 pochód ruszył na miasto. Szliśmy całą szerokością jaszni w kierunku głównego dworca kolejowego, powoli, skandując: "My chcemy chleba, my chcemy chleba...". Spiewano "Jeszcze Polska nie zginęła".

Niektórzy maszerujący mieli przy sobie czy to kije, czy to jakieś ciężkie narzędzia, na wypadek, gdyby nas zaatakowała milicja /były już pewne doświadczenia z wydarzeń w marcu 1968 r./. Cały tłum maszerował pomieszany, robotnicy i pracownicy umysłowi razem. Większość pracowników umysłowych jeszcze w Stoczni pozakładała sobie kufajki.

Po przejściu obok dworca głównego pochód pociągnął dalej prosto w kierunku gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR, i zatrzymał się przed nim. Stoczniowcy posiadali na hełmach wprost na jezdni. Tu oczekiwano, że w którymś z okien gmachu ukaże się I sekretarz KW, Karkoszka. Wszystkie okna były jednak szczelnie zamknięte. Widać było tylko jakieś sylwetki tłoczące się za firankami. Mała grupa stoczniowców próbowała wejść do gmachu. Drzwi były jednak zamknięte.

Po dłuższym skandowaniu przed gmachem przez tłum różnych haseł w rodzaju: "My chcemy chleba", "Precz z Gomułką" itp., wyszedł jeden z dygnitarzy KW, który zaczął tłumaczyć, że Karkoszka nie wrócił jeszcze z Warszawy, gdzie udał się na Plenum KC. Próbował jakoś uspokoić i nakłonić stoczniowców do wrócenia do stoczni i podjęcia pracy. Został on solidnie wygwizdany.

Przed gmach KW podjechała furgonetka "Łączności" z głośnikami na dachu. Stoczniowcy zmusili kierowcę do opuszczenia samochodu i za kierownicą siadł jeden z nich. Ruszono z powrotem w kierunku Stoczni Gdańskiej, mając teraz na czele pochodu radiofonizowaną furgonetkę.

Weszliśmy na teren Stoczni Gdańskiej i udaliśmy się na teren sąsiedniej Stoczni Remontowej, przez którą przemaszerowaliśmy przechodząc również koło Stoczni Północnej. Do pochodu dołączały coraz to nowe grupy stoczniowców i stawał się on coraz to potężniejszy. Końcu liczył już z pewnością ponad 10 tys. stoczniowców.

Szliśmy teraz w kierunku Politechniki Gdańskiej. Po bokach towarzyszył nam już duży tłum ludzi z miasta. Weszliśmy na dość obszerny dziedziniec Politechniki. Drzwi były zamknięte, również wszyst-

kie okna, za którymi widać było przyglądających się studentów. Kilku stoczniowców przemawiało przez megafon mówiąc o tym, że my stoczniowcy podjęliśmy strajk i zwracali się do studentów, by przyłączyli się do nas solidarnie.

Na wysokie schody prowadzące do głównego wejścia Politechniki wyszedł rektor w otoczeniu swojej świty. Zwracając się do nas mówił, abyśmy nie zawracali studentom głowy i dali im spokój, umożliwiając tym samym prowadzenie spokojnej nauki. Usiłował również scharakteryzować nasze postępowanie jako nieodpowiedzialne, za co został nstychmiast przez tłum stoczniowców zagłuszony i wygwizdany. Tędy nasz pochód zaczął powoli nawracać i opuściliśmy dziedziniec Politechniki, udając się z powrotem do Stoczni, skąd po przebraniu udano się do domów. W tym dniu nie było żadnej interwencji milicji.

Pełniłem w tym czasie społeczną funkcję przewodniczącego samorządu mieszkańców w jednym z Domów Stoczniowca. Gdy wieczorem wróciłem na teren hotelu, portierka powiedziała mi, że w świetlicy zebrana jest grupa mieszkańców i że odbywa się jakieś zebranie, na którym mowa jest o jakimś Komitecie strajkowym.

Wszedłem tam i zobaczyłem grupę 8 do 10 mieszkańców, wśród których był Józef Jacuk, zatrudniony jako technolog w tym samym dziale, co ja. Pozostali byli to stoczniowcy różnych zawodów zatrudnieni na różnych wydziałach. Byli poważnie zaaferowani dyskusją. Zapytałem, czy nie przeszkadzam. Jacuk wyjaśnił mi wówczas, że opracowali kilka żądań /około 10 punktów/, które mają być nazajutrz przedstawione dyrekcji. Nadmienił, że w tym właśnie pierwszym dniu wszystko odbyło się jakoś tak chaotycznie, gdyż nie było właściwie organizatorów

i że należy utworzyć nazajutrz tak zwany "komitet strajkowy", który by występował w imieniu całej załogi. Jego właśnie zebrani tu wybrali jako kandydata do komitetu strajkowego i oprócz owych żądań na brudno. Należałoby je teraz przepisać na czysto na maszynie w kilku egzemplarzach. Ponieważ miałem dostęp do pomieszczeń redakcji "Głosu Stoczniovcw", która znajdowała się w naszym hotelu na parterze, a tym samym dostęp do maszyny do pisania, udałem się tam po zebraniu kluczy od portierki, razem z Jacukiem i przepisałem te żądania na maszynie.

Następnego dnia - we wtorek - udaliśmy się o zwykłej porze do pracy z myślą o tym, co przyniesie nam ten dzień. Istniała już jednak zgodność co do tego, że i tego dnia pracy nie podejmiemy. Gdy przechodziłem obok budynku dyrekcji, idąc w kierunku swojego wydziału, widziałem już licznie zebranych tam stoczniovcw i zmiany, a ze wszystkich stron nadciągały dalsze grupy.

Zajrzałem do siebie na wydział, ale ponieważ było wiadomo, że i tak nie będziemy pracować, wróciłem przed budynek dyrekcji, gdzie tłum etawał się coraz liczniejszy.

Dyrekcja zamontowała głośniki, w oknie jednego z pokoi dyrektora ustawiono mikrofon. W imieniu dyrekcji występował inż. Hajduga. Głos zbierali również stoczniovcw z różnych wydziałów. Nad naszymi głowami prawie że bez przerwy krążył helikopter wojskowy. Dyrekcja dążyła do tego, by nas jakoś uspokoić i nakłonić do powrotu do normalnej pracy, co napotykało na ostre protesty zebranych. Stoczniovcw wypowiadali swoje żale i pretensje nie mając zamiaru ustąpić.

Ponieważ dyrekcja nie wysunęła żadnych konkretnych argumentów, a Rada Zakładowa nie wykazała żadnej

inicjatywy dla obrony interesów ludzi pracy /jej przewodniczący, Umiński, stał podczas tego wiecu u boku dyrekcji, lecz nie odezwał się jednak ani jednym słowem/, postanowiono, że ponownie wyjdziemy na miasto, znowu pod KW PZPR.

Tym razem jednak wyjście na miasto nie obyło się bez incydentów. Przed bramą nr 2, którą wychodziliśmy, stała grupa milicjantów i z chwilą, gdy czołówka wychodziła przez bramę na miasto, rzucono kilka petard. Cała grupa stoczniowców rzuciła się jednak w pogoń za milicjantami, którzy bardzo szybko nawiali i gdzieś przepadli. W dalszej drodze do gmachu KW PZPR nie było już żadnej interwencji.

Tego dnia na mieście atmosfera była bardziej napięta niż dnia poprzedniego. Stoczniowcy nie prowadzili już walki sami. Pracownicy różnych innych, mniejszych zakładów pracy również nie przystąpili do pracy i gromadami - w ubraniach roboczych - wyszli na miasto, udając się również pod gmach KW PZPR. Zgromadziły się tu niezliczone tłumy. Ponieważ również i tego dnia urzędnicy partyjni szczelnie się pozamykali w swoim gmachu i nie udzielili żadnych rzeczowych wyjaśnień, gniew wśród tłumu zaczął dochodzić do zenitu. Zaczęły padać coraz to bardziej wrogie okrzyki i sprawy potoczyły się nagle w niespodziewanym kierunku.

Na początku odnosiłem wrażenie, jakby to było jakieś narodowe powstanie. Tu i ówdzie powiewały biało-czerwone flagi. Widywało się również opaski biało-czerwone na rękawach licznych robotników. Było jasne, że walka rozpoczęła się na całego i że nie obędzie się tutaj bez rozlewu krwi.

Od strony ulicy Swierczewskiego padły strzały.

Gdy biegłem na tamtą stronę, na samym moście, za którym znajduje się Komenda Miejska MO i więzienie, toczyła się istna wśłka wręcz pomiędzy oddziałami milicji a robotnikami. Przed mostem, na placu Hucisko, robotnicy zatrzymywali samochody ciężarowe; kierowca musiał opuścić samochód, a jeden ze strajkujących siadał za kierownicą i kierował samochód na most. Robiono mu miejsce, podjeżdżał blisko oddziałów milicji, rozpędził wóz, wyskakiwał z szoferki, a sama ciężarówka pędziła dalej. W ten sam sposób robiono z tramwajami. Po jakimś czasie szturmowano komendę i więzienie. W gmachu komendy pokazał się ogień, który jednak MO szybko zlokalizowała. W tym czasie nie wpuszczano już żadnych pociągów do Gdańska i słyszeliśmy, że również i drogi wokół miasta były przez MO zablokowane.

Zauważyłem duże płomienie na gmachu KW PZPR. Został on podpalony przez rozgniewany tłum. Urzędnicy puciekali na dach, skąd zostali ewakuowani helikopterem. Gmach palił się do późnych godzin wieczornych. Do podpalenia użyto m.in. pasty do podłogi zabranej z pobliskiego "SAM-u", z którego obsługa puciekała. Paliło się również w hali dworca głównego.

Na ulicy Rajskiej okradzione zostały doszczętnie wszystkie sklepy. Słyszało się coraz więcej strzałów. Kilka helikopterów krążyło nad miastem. Ulice w tym rejonie miasta wyglądały jak po wielkiej bitwie. Pozrywane były bariery przy torach tramwajowych.

! Ukazało się kilka lekkich wojskowych wozów gasienicowych. Niedaleko dworca załoga takiego wozu uciekła. Do wozu wsiedli młodzi stoczniowcy i udali się w kierunku Stoczni. Niedaleko Stoczni wjechali na słup elektryczny. Nie umiejąc cofnąć,

po prostu przewrócili słup.

Gdy w późnych godzinach popołudniowych wracałem do Stoczni, było można u niektórych powrascających zsuwać broń /pistolety/. Byli i tacy, którzy wrscali z łupem z kradzieży dokonanych w różnych sklepach. Wśród stoczniowców byli oni jednak nieliczni.

W środę cała Stocznia obstawiona została czołgami. Wchodzimy jednak, jak zwykle nie zszepiani przez nikogo. Atmosfera po wydarzeniach z dnia poprzedniego staje się coraz to bardziej napięta: była przecież wsłka, były strzały, są ranni, podobno i zabici.

Wszyscy, ponownie jak w dwa poprzednie dni, gromadzimy się przed dyrekcją, znowu dochodzi do tego, że ruszamy w kierunku miasta. Gdy czołówka dochodzi do bramy, padają strzały, to oficerowie wojska strzelają do robotników... Są zabici stoczniowcy...

Nie wychodzimy na missto, lecz wracamy pod dyrekcję. Sytuacja jest bardzo poważna. Ogłoszony zostaje strajk okupacyjny Stoczni... Wybrany zostaje Komitet Strajkowy... Wracamy na swoje wydziały... Zostają wyznaczone dyżury dla zabezpieczenia całego zakładu... Może dojść do aktów prowokacyjnych... Nie należy za wszelką cenę do tego dopuścić... Przerwano nam łączność telefoniczną z miastem... Radiowozy milicji ogłaszają przez megafony komunikaty komendy MO, sbyśmy opuszczali stocznię..., że nic nam nie grozi... Nie wychodzimy... Wychodzą jedynie kobiety i nieliczni mężczyźni...

Dowiadujemy się wieczorem, że przed kamerami telewizji wystąpił były I sekretarz KW PZPR w Gdańsku, s obecny wicepremier Stanieław Kociołek.

Nszwsi nas "warchołami", "wichrzycielami" itp. Nawoływał również do podjęcia pracy nsstępnego dnia.

Nocujemy w Stoczni. Nsstępnego dnia /czwartek/ również odbył się z rana wiec pod dyrekcją. Później dochodzi do nas wiadomość, że rano doszło do masakry na przystanku kolejki elektrycznej Gdynia-Stocznia. Do udsających się w kierunku Stoczni stoczniowców, milicjs otworzyła ogień... są zabi-ci... i wielu rannych.

Zs murów Stoczni słyhać co pewien czas nawoły-wania milicji, byśmy opuścili Stocznę i udali się do domów. Nadal trwamy na swoich stanowiskach. Sporadyczne są wypsдки, by ktoś decydował się na opuszczenie Stoczni... Rozpoc-vnamy drugą noc w Stoczni... Brak jest żywności... Dzielimy się tym co mamy...

Gdzieś około godz.2.00 w nocy zaczyna się coś dziać. Dochodzą do nas wieści, że wojsko ms wejść na teren Stoczni i się z nami rozprawić. Komitet Strajkowy obrsdował prawie bez przerwy. Około godz.4.00 nad ranem, kierownik wydziału, inż. Tyska przeszedł kolejno wszystkie pomieszczenia naszego biura i powiedział nam, że sytuacja jest bardzo powszns, ponieważ władze postawiły ostateczne ultimatum, iż mamy do godz. 5.00 rano wszyscy opuścić teren Stoczni, gdyż w przeciwnym razie wojsko wejdzie ns teren Stoczni, przy zastosowaniu siły i wówczas może nsstąpić wielka tragedia, może również dojść do zbmardowania Stoczni, i że on osobiście wierzy w to, że stać może się nsjgorsze. Poza tym oznajmił nam, że Zjednoczenie Przemysłu Okrętowego jako takie zostało rozwiązane, i że w danej chwili nie jesteśmy już pracownikami Stoczni. Radził nam, abyśmy byli rozsądni i dali

się przekonać, że to, co powinniśmy obecnie zrobić, to jest powrócić do domów.

Wkrótce po tym przez radiowęzeł podano komunikat Komitetu Strajkowego, że podjęto decyzję zakończenia strajku okupacyjnego i że mamy opuścić Stocznę.

Z mieszanymi uczuciami zaczęliśmy wychodzić... Nie było wolno wychodzić więcej niż 3 osoby razem... Stocznia była nadal obstawiona... Na drodze nie napotkaliśmy na żadne patrole milicyjne...

Do domu Stoczniozca zaszedłem na piechotę /20 minut drogi/. Niedaleko od niego zostałem zagadnięty przez dyżurnych lekarzy i pielęgniarki z pobliskiego Pogotowia Ratunkowego. Zabrali mnie do środka, poczęstowali gorącą herbatą i musiałem im opowiedzieć o tym, jak to było w Stoczni przez te dwa dni i dwie noce... Ich sympatie były wyraźnie po stronie stoczniovców... Uznali nasze postępowanie za słuszne...

W mieście ogłoszono godzinę policyjną... Czekaaliśmy, co będzie dalej... W piątek i sobotę nie byliśmy w pracy... W sobotę wieczorem w dzienniku telewizyjnym dowiedzieliśmy się o zmianach w centralnych władzsch. Odczuwamy pewne zadowolenie, że to wszystko, co w ostatnim tygodniu przeżyliśmy nie poszło na marne.

**Relacja Bronisława Dudy,
pracownika Stoczni Gdańskiej im. Lenina,
z maja 1981 r.**

W okresie tym pełniłem funkcję przewodniczącego Rady Wydziałowej ZZM na wydziale S-4. W czasie strajku byłem członkiem Komitetu Strajkowego od początku do końca, nadmieniam, że byłem jedynym przewodniczącym RW ZZM, który wszedł do Komitetu Strajkowego.

W związku z podwyżką cen z dnia 13 grudnia 1970 r., w sobotę 12 grudnia w późnych godzinach popołudniowych odbyły się na wydziałach zebrania partyjne, gdzie omawiano te sprawy. We władzach związkowych takich zebrań nie było ani żadnych rozmów na ten temat. Na wydziałowe zebranie partyjne mnie nie zaproszono /jestem bezpartyjny/.

Ogłoszoną podwyżkę załoga przyjęła z cichym protestem. Trzeba tu pamiętać, że był to okres zastraszania. W poniedziałek 14 grudnia rano o godz. 6.00, pracownicy wydziału S-4 nie podjęli pracy. Stali w małych grupach na swoich stanowiskach pracy. Wyglądało to niewinnie, tak jakby po tym ważnym wydarzeniu pracownicy dyskutowali. Ale dyskusja przeciągnęła się do godziny 6.30 i dalej, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że jest to już strajk. Wiadomość, że załoga wydziału S-4 stoi, rozeszła się błyskawicznie po całej Stoczni. Przenośnikami informacji byli pracownicy kooperacji międzywydziałowej, osoby przygodne oraz pracownicy idący do pracy na godz. 7.00.

Z kierownikiem wydziału rozpoczęliśmy rozmowy z poszczególnymi grupami pracowników, którzy żądali cofnięcia cen do poziomu sprzed 13 grudnia

oraz zaniechania ciągłych obniżek norm pracy. Była to już godz. 7.15, więc zawisdomiłem o tym fakcie Radę Zakładową, a kierownik Dyrekcję Stoczni.

O godz. 7.30 przerwały pracę wydziały S-3, UN, S-1. Sekretarz POP polecił pracość członkom partii, kilku pracowało /bili młotem w blachę, żeby było głośno/. O godz. 8.30 na wydział S-4 przyszedł dyrektor naczelny Stoczni, a na wydział S-3 dyrektor techniczny. Przedstawiłem dyrektorowi żądania pracowników. Dyrektor jednak zsządsł, bym zaproponował załodze, aby do godz. 9.00 rozpoczęła pracę.

Stwierdziłem stanowczo, że załoga nie rozpocznie pracy i że eam dyrektor bez władz wojewódzkich nie załstwi tej sprawy. Był bardzo zdziwiony moją postawą i wyraził zgodę na rozmowę z zsiogą o godz. 9.15. Zorganizowałem zebranie całej zsiogi ns hali. W czasie zebrania dyrektor obiecał podwyżkę premii dls dniówki 10% i rewizje norm pracy. Zabrało głos dwóch pracowników i w tym czasie telefonicznie zawisdomiono dyrektora, że przed dyrekcją zebrało się około 1 tys. stoczniowców, wobec czego dyrektor opuścił wydział.

Do godz. 10.00 pozostałem na wydziale, potem poszedłem do budynku dyrekcji, gdzie miała swoją siedzibę Rads Zakładowa. Przed dyrekcją widziałem zgromadzonych 4-5 tys. stoczniowców. Nikt już do nich nie przemswiśł z widsz stoczniowych, bo żądano przybycis władz z Komitetu Wojewódzkiego, więc czekali. W Radzie Zakładowej panowała cśkowita konsternacja.

Przez okno z pomieszczeń RZ widziałem, jak stoczniowcy usiedli ns hełmach lub wprost na ziemi i tak czekali, ale nic się nie działo. W pewnej chwili poderwsli się i poszli pod KW. Była to godz. około 11.00.

O godz. 15.00 w ssli BHP zebrali się tzw. kolektywy wydziałowe. Zebranie prowadził sekretarz Komitetu Zakładowego, który nakazami i poleceniami usiłował uruchomić pracę w dniu 15 grudnia, czyniąc nas odpowiedzialnymi. Na zebraniu tym nie było żadnej dyskusji. 15 grudnia rano odbyły się na wydziałach narady - osobno kierownictwa z mistrzami, POP, Rady Wydziałowej ZZM. Główny temat - jak uruchomić pracę. Były to narady bezowocne, sprawa była już przesądzona. Rano dowiedziałem się o nocnych aresztowaniach. Z wydziału aresztowano ob. Cz. Żabkę i Z. Tycners z synem. W dniu tym część załogi pozostała w zakładzie, większość poszła do miasta.

O godz. 9.00-10.00 dyrektor wzywał kolektywy wydziałowe pojedynczo na rozmowy. Jako pierwszy był wezwany kolektyw wydziału S-4. Przedstawiłem dyrektorowi sprawę aresztowań. Stwierdziłem, że nie będzie żadnych rozmów i dyskusji, bo ci, co zabrali głos w pierwszym dniu na zebraniach zostali w nocy aresztowani w domach.

Pojawił się nowy postulat, tj. "zwolnić aresztowanych stoczniowców". Na interwencje dyrektora nasz pracownik został zwolniony, jak było na innych wydziałach, trudno mi określić.

W czasie rozmowy z dyrektorem do gabinetu zostało doprowadzonych kilku milicjantów - było dużo zamieszania. Zostali oni przebrani w kombinezony stoczniowe i z powrotem wyszli do miasta. Grupa tych milicjantów w czasie akcji w okolicy Delikatesów znalazła się w trudnej sytuacji, wśród nich jeden ze stoczniowców rozpoznał swojego brata, więc podjechał do nich samochodem /wywrotką/, zabrał i przywiózł do Stoczni.

Dyrektor więcej nie rozmawiał z kolektywami, natomiast wydano odezwę o tworzeniu na wydziałach komitetów strajkowych.

W tym czasie z miasta przychodziły zastraszające wieści. W tej atmosferze tworzyły się wydziałowe komitety strajkowe. Wybrane wydziałowe komitety strajkowe nie miały pełnego zaufania, nie wszędzie wybierano ich członków demokratycznie. W każdym razie wyłoniono Prezydium Komitetu, którego jak gdyby opiekunem był obecny dyrektor Gniech.

W godzinach popołudniowych sela BHP była przepełniona, odbywała się burzliwe dyskusje nad postulatami ułożonymi przez Prezydium Komitetu. Narada trwała do późnych godzin nocnych. W zasadzie nie ustalono nic, np. co robić będziemy w dniu 16 grudnia, nie było przewodniczącego Komitetu Strajkowego. Liczono po prostu na rozmowy, jakie prowadził dyrektor Hajduga z Kliszką.

Po krótkim odpoczynku zoataliśmy wezwani o godz. 4.00 na narede. W tym czasie Stocznia była obatawiona przez wojsko, czołgi zajmowały stanowiska, do godz. 5.00 Stocznia była szczelnie zamknięta pierścieniem czołgów i wozów pancernych. Obserwowaliśmy ich działanie. Narada skończyła się o godz. 5.00. Dyrektor poinformował nas o przemówieniu Kociołka oraz o tym, że oni mają rozkaz etrzelania. Komitet nie podjął żadnych środków zapobiegawczych. Normalnie, jak co dzień od 6.00 do 7.00 pracownicy Stoczni przyszedli do pracy. Po przebraniu się nie przystąpili do precy. Ostrzegłem załogę wydziału przed wychodzeniem na miaato. Mówilem, że nie chcemy mieć pogrzebów na wydziale. Młodzież rwała się do wyjścia. Polecilem, by zamknięto bramy wyjściowe z hali. W tym momencie, kiedy dochodziło do ostrej wymiany zdań, pedły salwy. Powiedziałem, teraz możecie iść i zobaczyć, co tam się stało. Od tej chwili ludzie zmienili zdanie. Ogólnie w Stoczni nastąpiła pełna konsolidacja. Zorganizowa-

no bardzo szybko strażę robotniczą i wtedy dopiero uruchomiono radiowęzeł. Było już za późno. Na bramie nr 2 poleła się krew. Tworzy się na nowo Komitet Strajkowy, który ogłasza atak okupacyjny. Na czele Komitetu stoi ob. Jarosz z wydziału S-3. Cały dzień trwamy. Nic się nie dzieje, nikt z nami nie chce rozmawiać, żadna władza.

W nocy z 16 na 17 grudnia dyrektor podejmuje decyzję o rozwiązaniu przedsiębiorstwa. O godz. 6.00 stoczniowcy zwartymi grupami opuszczają Stocznnię. Pozostałem jeszcze w Stoczni do godz. 18.00.

Tak zakończył się dla mnie Grudzień - wielkiej przegranej i straconych nadziei.

Relacja Alfonsa Suszka,
pracownika Stoczni Gdańskiej im. Lenina
z października 1981 r.

We wtorek komunikacja była utrudniona. Ta część komunikacji, która nie strajkowała, została unieszkodliwiona przez ludzi lub przez milicję, tak że ruchu w mieście nie było. Część drogi do pracy trzeba było przejść piezo. W pracy wszyscy stawili się w komplecie. Obecność była sprawdzana przez majstrów. Ludzie wyczekiwali na odpowiedź władz centralnych. Doświadczenie pokazało, że odpowiedzi nie dały władze zakładowe. Wojewódzkie także nie. Konkretnie zapraszano do Gdańska Cyrankiewicza. Na taki apel zjawił się pan Kociołek, ówczesny wicepremier. Były jego wypowiedzi w prasie. Później przemówienie Cyrankiewicza bodajże z Warszawy. Opublikowano je w "Głosie Wybrzeża": "Kto podniesie rękę na władzę ludową, to będzie mu ta ręka ucięta i zostanie ukarany". Prasa była wrogo do nas nastawiona, pisano, że to, co się dzieje, nie ma nic wspólnego z niezadowolaniem ludzi z władzy ludowej. Są to wystąpienia antysocjalistów, wrogów klasowych, imperialistów zachodnich, a w szczególności autochtonów kierowanych przez rewizjonistów niemieckich. Nie zauważyliśmy takich między sobą. Byliśmy wszyscy swoi, mieliśmy zaufanie do siebie. Było takie większe spojrzenie niż poprzednio. Jednoczyły się nasze myśli. Cel był taki, żeby w tym dniu i następnym też nie pracować, póki nie będzie odpowiedzi władz centralnych. Przemówienie Kociołka azkałowało nas. To ludzi jeszcze

bardziej wzburzyło. We wtorek, mimo apeli kierownictwa, nikt na statek już nie poszedł. Może niektórzy byli chętni do pracy, ale pracownicy z wydziałów kadłubowych i innych ostrzegli, że nie odpowiadają, jeśli komuś coś się stanie.

Kierownictwo przeważnie samo wyszło z inicjatywą do majstrów, aby ludzi nie puszcząć na wydział. Światło i gazy były odcięte. Nie trudno było o wypadek przez jakąś tam nieprzemyślaną prowokację, a nuż komuś jakaś głupota wystrzeli.

Ludzie zbierali się na wydziałach. Po pewnym czasie była znów zbiórka pod dyrekcją. Byli tacy przywódcy tłumu przez kogoś wybrani czy z własnej inicjatywy. Przywódcy wprowadzali jednolitą organizację tego tłumu strajkujących. Były różne przemówienia protestujące, nawołujące do strajku, niepodjęcia pracy. Tak dokładnie to jest niemożliwe już dzisiaj sobie przypomnieć. Postulaty i pretensje wyrażano podobne jak w pierwszym dniu przez poszczególnych ludzi na wydziałach.

Wymaszerowano ze Stoczni w bardziej /niż w poniedziałek/ zwartym szyku. Może to było gdzieś około 11-ej. Wszyscy mieli hełmy, w pierwszym dniu nie wszyacy. Chodziło o to, aby zademonstrować, że to jednak robotnicy protestują, a nie jakaś zbieranina ludzi z miasta, nierobów czy niebieskich ptaszków. Jak doszło do spotkania się z milicją, trzymano się za ręce. Trudno było już rozerwać te kordony. Wszyscy podążali w kierunku Komitetu Wojewódzkiego. Jak ludzie wyszli na miasto, mogę opowiedzieć z obserwacji, ja już na miasto nie wychodziłem. Byłem zaangażowany kolegą Grzegorzem Polańskim na wydziale. Ktoś musiał zostać na wydziale. Kolega Polański miał zaufanie wszystkich ludzi. Tylko ze względu na swój stan inwalidzki

nie mógł brać udziału. Zreaztą był tutaj potrzebny, chodziło o nawiązanie jakichś kontaktów z Radą Zakładową. Myśmy raczej pilnowali porządku na wydziale. Na wydziale byliśmy tylko my dwaj.

Gdy wracałem do domu komunikacja była też bardzo uciążliwa. Mieszkałem w tym czasie na Siedlicach. Część drogi trzeba było przejść piechotą, gdyż tramwaje nie kursowały.

Następnego dnia widziałem ulice obatawione wojakiem, czołgami. Na Siedlicach czołgi ustawiono aż do szpitala. Czołgi stały po jednej i drugiej stronie ulicy koło szpitali: wojewódzkiego, kolejowego, MSW. Były także na dalszej trasie. Do pracy dostałem się poprzez kordony wojska. Zakład był zablokowany. Po proatu poprzedniego dnia poczyniono szkody na terenie Gdańska i wojsko przygotowywało się już do wyjścia na miasto. Po przyjeździe na wydział zadzwoniłem do żony, która pracowała w Wojewódzkiej Radzie Narodowej. Była ona w tym czasie w ciąży. Opowiedziała mi, że całe śródmieście, aż po Komendę Wojewódzką, Wojewódzką Radę Narodową jest zablokowane wojakiem. Namówiłem żonę, żeby wróciła do domu, nie wiadomo jaki będzie przebieg dnia. Żona usłuchała mnie i zwolniła się u swego przełożonego. Poszła do domu - później byłyby już trudności. Były już przepustki, tłumaczenia, ale ze względu na zaawansowany stan ciąży została przepuszczona i wróciła do domu.

Po pewnym czasie ludzie znowu się zgromadzili z chęcią wyjścia na miasto, ale było to niemożliwe, gdyż bramy były zablokowane przez wojsko. Wobec tego samorzutnie już na wydziałach pojawili się ludzie nie z wyboru, lecz ludzie z inicjatywą, którzy radzili, co dalej robić, żeby nie wychodzić na miasto. Trzeba było wstrzymać ludzi, gdyż

nie wiadomo, co się stanie, jeśli wyjdą. Może dojść do potyczek. Nawet poszliśmy na konaultację z kierownikiem wydziału, Leśniewskim. W tym momencie myśmy sobie nie zdawali sprawy, czy już drugą bramą ludzie nie wyszli. Byliśmy z Wałęsą i panem Lenarciakiem u dyrektora Żaczka, żeby on pertraktował z wojewódzkimi władzami bezpieczeństwa, albo jakimiś innymi, aby wstrzymali się od strzelaniny. Dyrektor starał się nawiązać kontakt z Urzędem Wojewódzkim. Byłem przy tym osobiście u dyrektora Żaczka w jego pokoju konferencyjnym. Nie mógł nawiązać kontaktu. Była wtedy godzina 8.00, może 8.10. W tym czasie ludzie już szturmowali na bramie, żeby wyjść na miasto. Przyszliśmy do dyrektora, żeby w jakiś sposób zareagować. Kolega Lenarciak czy Wałęsa przez tubę nawoływali ludzi, którzy z tyłu napierali na tych z przodu. Jak się później okazało, ci z przodu nie mieli chęci wyjść. Była utworzona grupa ludzi, która miała apel opracowany przez dwie panie i jednego czy dwóch panów, który mieli przedstawić żołnierzom przy tamtej bramie. Za bramą było około 100 osób w szyku porządkowym, w dwurzędach. Dwie panie i pan czytali tę petycję do żołnierzy, aby nie strzelali do swych ojców, braci, awoich starszych kolegów, gdyż jak zakończą służbę wojskową, wrócą do zakładów pracy, do stoczni, będą tak samo zdani na poniewierkę, jaka nas czeka. Przy utrzymaniu się obecnych cen, pracując od rana do wieczora będą jedli marmoladę i chleb. Nawoływali po prostu, aby nie wykonywali rozkazów strzelania do robotników, żeby rzucili broń i szli razem z nami. W tym momencie właśnie dochodziłem do bramy.

Podszedłem, byłem już za furtką, bo brama była zajęta przez tłum ludzi. Przedarłem się

na miejsce, gdzie jest furтка i przepuszczają wartownicy. Kiedy byliśmy u dyrektora, obrałem sobie taki cel, aby przemówić do tych ludzi w czołówce. Chciałem po prostu namówić ich do powrotu na teren Stoczni, za bramę. Wiadomo, że za bramą nikt do nas nie ma prawa. Niestety, nie interweniowałem wtedy jak zamierzałem, gdyż była w tym czasie czytana w bardzo łagodnym tonie petycja. Wszyscy ludzie zachowywali się bardzo grzecznie. Nie wiadomo, czy pod naporem ludzi z tyłu czy z ciekawości, ale bez chęci napastowania wojska, czołówka, centymetr po centymetrze zbliżała się bliżej do kordonu wojskowego, który zajął całą ulicę. W tym momencie padła komenda dowódcy. Nie wiem, w jakim był on atopniu, bo był w mundurze polowym, nie można było rozeznaczyć jego atopnia wojskowego. W każdym razie żądał, żeby lud się cofnął, bo będzie użyta broń. Ludzie się nie cofnęli, dalej była czytana petycja. Po skończeniu czytania były dalej nawoływania, żeby żołnierze nie strzelali, żeby dołączyli do robotników, do ogólnego proteatu. W takiej sile możemy zmusić władze do zmiany cen. Następnie padło kolejne ostrzeżenie, po którym padła komenda do żołnierzy, aby przygotowali broń. W tym momencie - pamiętam - że między rzędami była rozdawana amunicja. Następnie wojsko otrzymało rozkaz do przygotowania się do użycia siły.

Wojsko dzieliło od ludzi 10-15 metrów. Ludzie stali za bramą gdzieś 5-6 metrów. Pierwszy rząd wojska, jeśli się nie mylę, klęknął. Drugi rząd był przygotowany do strzału. W tym momencie, gdy były oddawane strzały, już nie pamiętam, czy był dawany jakiś rozkaz. Ludzie cofnęli się w popłochu. W pierwszej chwili wydawało się to

bardzo tragiczne, że było dziesiątki, setki zabitych, bo bardzo dużo ludzi leżało nieruchomo. Wynikało to z tego, że wielu zostało atrowanych. Odczułem to z własnego przeżycia, gdy zostałem przewrócony i zdeptany. Były nawet okrzyki, że jestem zabity lub ranny. Ktoś nawet podleciał do mnie i zapytał czy mi coś jest. Dopiero po zmniejszeniu się tłumu sprawdziłem, że mogę się ruszać. Podniołem się, bo ludzie już po mnie nie biegli, tylko obok. Utworzyłem taki garb i każdy mnie omijał, po prostu zauważył. Odszedłem na wydział.

Pierwszym naszym obowiązkiem na wydziale było sprawdzić stan liczby ludzi na brygadach. Było to polecenie kierownictwa wydziału po tej strzelaninie. Jak się później dowiedziałem, było tak na wszystkich wydziałach. Skrupulatnie sprawdzałem, czy wszyscy wrócili. Stwierdziłem, że brakuje trzech ludzi. Niektórzy myśleli, że ci ludzie nie żyją. Później się okazało, że byli ranni. Jedna osoba zataiła, że jest ranna. Osoba ta zwierzyła się komuś z przełożonych, jeśli się nie mylę, był to kolega Tabin. Został on odprowadzony do ambulatorium, gdzie udzielono mu pomocy, jak wszystkim rannym.

Po tym wypadku na bramie, został od razu wybrany Komitet Strajkowy celem zaprowadzenia jakiegoś porządku na terenie zakładu, obstawienia bram i wyznaczenia ażub na wydziałach i w szatniach. Interesowano się ludźmi, którzy nie ujawnili się, choć byli ranni. Takie komiaje porządkowe zootały wyznaczone przez kierownictwa wydziałów. Na czele komisji stał mistrz, który sympatyzował nawet w niektórych sprawach z kierownikiem. Przewodniczącym grupy został kolega Gorowski. Był on w tym

196

czasie sekretarzem POP. Naatępnie z ramienia kierownictwa był postawiony kolega Kuldanowski. Z ramienia związków zawodowych był w komisji kolega Polański. Intereasował się on stanem załogi. Ustanowił nawet taką grupę ludzi, która pytała się każdego, czy mu się nic nie stało. Ja wszedłem jako trzecia osoba w skład tej komisji porządkowej.

Na naszym wydziale zostały utworzone plutony, którym wyznaczono dowódców. Każdemu plutonowi wyznaczono jakiś odcinek. Członkom komisji porządkowej, to jest trzem dowódcom podlegali dowódcy plutonów. Obstawiony był kanał, nasza szatnia, płot, gdzie od zewnątrz było wojsko, czołgi. Rejony były podzielone na wydziały. Każdy wydział miał swój rejon. Nie będę już nakreślał przebiegu tego dnia, bo byłem zajęty organizowaniem tych służb, rozdawaniem opasek, rozprawdzaniem ludzi i wizytacją ludzi na odcinkach. Chcieliśmy, żeby to jak najlepiej wypadło, żeby jakieś inne grupy nie przedarły się na teren Stoczni i ktoś nie sprowokował jakichś incydentów pod pozorem, że komuś krzywda się dzieje. Postanowiliśmy nie dać powodu do interwencji na terenie Stoczni. Wiadomo, że po tym, co się stało, ludzie byli przygotowani na wszystko. Byli bardzo bojowi i bardzo impulsywni, bo jak się okazało, na mieście też były przypadki bicia i wypadki śmiertelne. To bardzo poruszyło ludzi i pozostawiło w nich dużo złości. Trzeba było pilnować, żeby nie dokonywano żadnych przerzutów. Teren Stoczni był bardzo ściśle pilnowany. W obawie przed zrzutami i desantem z powietrza rozprawdzono takie 3 - 4 osobowe patrole. Każdy patrol poruszał się oczywiście w swoim rejonie, jaki wyznaczyła główna ałuzba zakładowa.

Jak się zbliżały godziny wieczorne, to poja-

wiły się pogłoski, że idziemy do domu, gdyż sytuacja nie została rozwiązana. Takie zamieszanie wprowadzało kierownictwo wydziałów, które miało co jakiś czas odprawy. Po prochu kierownik Leśniewski zniknął, pomimo że każdy był zobowiązany zameldować się u kierownika służby porządkowej. Miewał on narady w dyrekcji, w szefostwie, o których myśmy nie wiedzieli. Po jego powrocie odbywały się narady z kierownictwem wydziału i wprowadzano jakieś zmiany. Związkowa służba porządkowa nie miała dostępu do tych narad.

Kiedy zapanowały ciemności, to powstały wydziałowe komitety strajkowe, a z nich zakładowy. W skład naszego komitetu wydziałowego weszły trzy osoby: Lenarciak, Wałęsa i ja. Lenarciak i Wałęsa reprezentowali wydział na zewnątrz, w dyrekcji. Natomiast ja, jako członek jeszcze istniejącej rady wydziałowej i komitetu porządkowego, nie mogłem uczestniczyć w obradach komitetu zakładowego. Byłem z tej racji łącznikiem. W razie dłuższej nieobecności Lenarciaka i Wałęsy musiałem wytypować 2 - 3 osoby do zachowania łączności między dyrekcją a wydziałem. Takie patrole były wysyłane, aby sprawdzić niemiarodajne zdanie kierownika, że już koniec idziemy do domu i należy zdjąć służbę. Czy to polega na prawdzie, sprawdzaliśmy w ogólnozakładowym komitecie strajkowym. Przychodziły odpowiedzi, że proszę się z tym wstrzymać, aż my wrócimy i damy wiążącą odpowiedź.

W tym czasie ukonstytuował się już zakładowy komitet strajkowy. Ludzie się poznali, nadeszła decyzja naszej dwójki na wydział, że strajkujemy do skutku, aż nadejdzie pomoc władz centralnych. W nocy w dalszym ciągu wyatawiano służby, jeszcze

wzmocnione. Było zimno i trzeba było skrócić czas służby w wyznaczonym rejonie. Od tego momentu, gdy powstał komitet strajkowy, objął on służbę porządkową. Załoga mi zaufała i zostałem przywódcą służby. Nie może być trzech dowódców tylko jeden i zostałem dlatego odpowiedzialny. Pozostali koledzy delegowani przez kierownictwo byli dowódcami plutonów. Byli dobrymi dowódcami.

Dużo tych ludzi nastawionych przez egzekutywę organizacji partyjnej i kierownictwo wydziału zaczęło opuszczać wydział. Jak dowiedziałem się później, takie akcje przeprowadzano też na innych wydziałach. Jak domyślaliśmy się, na odprawach kierownika naradzano się, jak osłabić ruch strajkowy. Ludzie tłumaczyli, że serce nawala, że mają biegunkę lub głowa strasznie boli. Narzekali na jakieś dolegliwości chorobowe, aby mieć pretekst do opuszczenia zakładu pracy. Kolega Polański, przewodniczący rady oddziałowej, organizował posiłek. Żeby zorganizować jakąś zupę, wszedł razem z panem Chojnackim w skład naszej grupy zaopatrzeniowej. Po zupę został wysłany wózek do stołówki. Na wydziale zupa była rozdawana na świetlicy. Posiłki były skromne. Każdy dostał niedużo: bułeczkę i miskę zupy. Na świetlicy spała też załoga wydziału. W szatni spała pozostała część załogi wydziału W-4. Ludzie w szatni i świetlicy spali na styropianie. Panowie mistrzowie spali na sali ogólnej, na stole każdy sobie kufajkę położył i spał. Służba porządkowa, która miała swoją siedzibę w radzie oddziałowej, spała na małej świetlicy.

O godzinie dwunastej duża część działaczy aktywu podjęła apel kierownictwa dotyczący opuszczenia zakładu pracy. Oni właśnie też pod pretekstem

dolegliwości kazali się odprowadzić do bramy. Samotnie było niebezpiecznie, a oni nie chcieli być posądzeni, że są łamiatrajkami. Dalszy ich los zależał już od ludzi, którzy byli za bramą: milicji i wojska.

Następny incydent został wywołany przez kierownika wydziału. Powiedział on, że do godziny 1.00 należy opuścić... /koniec taśmy/

Relacja Mieczysława Olszewskiego,
pracownika Stoczni Gdańskiej im. Lenina,
z lipca 1981 r.

Dnia 15 grudnia 1970 r. o godz. 8.00 funkcjonariusze MO usiłovali rozprędzić demonstrantów na ulicy Swierczewskiego pod budynkiem komendy MO. Milicja zaatakowała od strony ulicy 3 Maja. Tłumy demonstrujących początkowo zaczęły się wycofywać w kierunku ul. Kartuskiej. Milicja używała gazów łzawiących, demonstranci kamieni itp. Kamienie i inne rzeczy pochodziły z rowu wykopanego w tym okresie wzdłuż prezydium MRN i szpitala; jednocześnie demonstranci odrzucali granaty łzawiące. W czasie tych walk była korzystna sytuacja dla demonstrantów, ponieważ wiatr wiał od strony ul. Kartuskiej i gazy łzawiące wracały w kierunku atakujących milicjantów. Milicji udało się chwilowo wyprzeć demonstrantów do ulicy Strzeleckiej. Przewaga liczebna tłumu i inne korzystne warunki pozwoliły rozbić szpaler funkcjonariuszy MO na kilkuosobowe grupy. W trakcie tych walk znalazłem się w odległości od 2 do 3 metrów przy czteroosobowej grupie milicjantów skupionej w lewym rogu przy wejściu do Prezydium MRN. W tym momencie byli odwróceny do nas tyłem, pochylony do przodu i zwarci ciałem i hełmami /odnosiłem wrażenie, że rozmawiają/. W tym czasie z tyłu leciały na nich kamienie, które między innymi wybiły szyby w zamkniętych drzwiach do prezydium. Po krótkiej chwili jednocześnie odwrócili się z pistoletami w rękach skierowanymi w dół i górę i natychmiast bez ostrzeżenia oddali serię strzałów. Pistolety te były na uwięzi. Wcześniej nic nie wskazywało

na to, że posiadają broń. Podczas padania strzałów poczułem uderzenia odprysków w nogi i z góry, odskoczyłem za filar i w tym momencie obok usłyszałem okrzyk "zabili człowieka" oraz nawoływania w tłumie, ażeby przyjechała karetka pogotowia stojąca pod szpitalem. Karetka po chwili podjechała, zabrała rannego i udała się, jeżeli sobie dobrze przypominam, przedzierając się przez tłum do ul. 3 Maja. Ranny był postrzelony w szyję. Wydaje mi się, że był w stoczniovym kasku, jak później słyszałam, zmarł w drodze do szpitala. Po okrzykach "zabili człowieka" milicjanci zostali zaatakowani z większą zaciekłością i zmuszeni byli ratować się każdy na własną rękę. Jeden ratował się ucieczką przez dziurę w drzwiach wejściowych do prezydium, drugi przedierał się wzdłuż muru prezydium w kierunku szpitala. Z pozostałymi nie wiem, co się stało.

Sądzę, że twierdzenia w relacji wypadków grudniowych, jakoby strzelano z tłusu do Komendy MO, gdzie stwierdzono dziury w suficie i ścianie od pocisków, jest niesłuszne, ponieważ pociski wystrzelone przez milicjantów przy wejściu do Prezydium, odbijały się rykoszetem od murowanego zadaszenia nad wejściem. Ślady wskazują, że były kierowane w kierunku budynku komendy. Kąt padania pocisków w zadaszenie był bardzo mały, wskazują na to długie ślady i w związku z tym nie wytracały dużo energii. Ślady od pocisków w zadaszeniu mimo zagipsowania i zamalowania są jeszcze dziś widoczne.

Relacja Henryka Pietrzaka,
studenta Politechniki Gdańskiej,
z czerwca 1981 r.

W poniedziałek, było wczesne popołudnie, godzina gdzieś pierwsza, druga, wracaliśmy z zajęć. Na ulicy Grunwaldzkiej szedł pochód robotników ze stoczni z chorągwiami, którzy wykrzykiwali "Precz z czerwoną burżuazją", "Precz z Gomułą" i szli w kierunku Politechniki. Byłem zaszokowany, że słyszałem wtedy, w tamtych czasach - takie okrzyki. Nie spodziewając się, że to jest coś większego, poszedłem na obiad, ale szybko po obiedzie wróciłem na Politechnikę. Oni już się akurat rozchodzili. Nie widziałem tego zdarzenia pod Politechniką, ale od kolegów się dowiedziałem, jak to było. Weszli na teren dziedzińca, stanęli pod gmachem, dokoła tego klombu z różami /one wtedy były osłonięte, żeby nie zniszczyć/ i tam właśnie nawoływali studentów, żeby wieczorem przyszli pod Komitet Wojewódzki, ponieważ tam odbędzie się manifestacja, tam ze stoczni zatrzymano delegację - o to chodziło. Przed Politechnikę wyszedł wtedy rektor Staliński, sprzeciwił się temu, nawoływał, żeby ludzie nie szli. Podobno wyrwano mu mikrofon i stwierdzono: "Wyście przyszli w marcu do nas prosić o pomoc, myśmy powiedzieli: studenci do nauki. Ale porzućmy teraz wszelkie waśnie, pójdźmy teraz razem".

Poszedłem pod Komitet Wojewódzki. Było mnóstwo ludzi. W środku, w tłumie stała chyba nyska albo żuk, zmegafonizowana, chyba milicyjna, opanowana przez ludzi. I przez te megafony właśnie były nawoływania. Tam występowali różni ludzie - kobiety,

mężczyźni, kto chciał podchodził i mówił swoje. Mówiono o krwawym reżimie, o terrorze, o tym, żeby w końcu zerwać z tą bandą, żeby zrobić prawdziwy socjalizm, żeby było nam lepiej.

Było już ciemno, godzina 18 - 19. Z boku, spod hotelu "Monopol" wyjechały gaziki milicyjne z takimi jakby parawanami z drutu kolczastego z przodu. Widziałem takie na amerykańskim filmie "Chłodnym okiem". Jechały w kolumnie, bardzo dużo ich było. Zamykały dojście od strony dworca oraz od Domu Prasy. Przez megafony oficer milicji wezwał ludzi do rozejścia się, ponieważ - w razie jeżeli się nie rozejdziemy - zostanie użyta siła. No więc oczywiście gwizdy, obrzucanie wyzwiskami tych milicjantów. Po paru minutach on znowu zaapelował, z tym, że już powiedział bardzo ostro: "Proszę się rozejść. Prosimy kobiety i dzieci o wyjście, ponieważ zostanie użyta siła". Tłum zaczął falować, ruszać się. No i po paru minutach nastąpił atak. Pierwszy atak, właśnie ze strony milicji. Poleciały jakieś rakiety, samochody zaczęły przeć w stronę tłumu. No i wtedy tłum zaczął się rozpiezchać na różne strony, samochody zostały zepchnięte z powrotem w kierunku parkingu. Nie wiem, co było z tej drugiej strony - od strony Prasy, bo ja się znalazłem pod dworcem. Tam milicja robiła już drugą szarżę. Pamiętam tylko nyskę, która rozpędzona wjechała w tłum, przewróciła parę osób i wycofała się. Wtedy ludzie podskoczyli - tam jest koło dworca postój taksówek, stało parę, kazano kierowcom otwierać baki, zaczęto ściągać z nich benzynę, tak samo z samochodów ciężarowych - jakieś butelki, pojemniki... I tłum zaczął rzucać kamieniami w stronę Komitetu Wojewódzkiego, skąd właśnie były te zmasowane

ataki milicji w stronę tłumu na dworcu. Było to fałowe. Raz tłum podchodził pod Komitet Wojewódzki i szła kanonada kamieni i butelek w stronę okien, następnie był atak milicji i tłum cofał się pod dworzec. To trwało godzinę, może półtorej godziny. Następnie od strony Błędnika ukazał się oddział potężnych drabów ubranych w jakieś mundury na pół wojskowe - nie pamiętam jakie, było ciemno - takich drągali z potężnymi pałami. Pamiętam ich kaski. Były takie jak wojenne, jak wojskowe, kaski z siatką. I pamiętam takie potężne, długie pały, to pamiętam. I że nie były to mundury typowo policyjne, szare. To były jakieś takie zielonkawe, być może moja relacja nie jest wierna, ale tak to widziałem. Oczywiście ogólne zdenerwowanie, ludzie zaczęli uciekać w kierunku dworca, na perony i - przynajmniej dla mnie - ta akcja zakończyła się, jak zobaczyłem, że to wszystko zaczyna się już rozpadać. Z Błędnika zaczęto nas zamykać - no bo od Błędnika szli i od komitetu szli. Wiara zaczęła uciekać na wszelkie możliwe strony. Ja wtedy wpadłem do kolejki. Oni zaczęli wbiegać na peron - kolejka ruszyła i znalazłem się w akademiku. No i wtedy było to przemówienie Kociołka.

Pokazywano w telewizji, jak to chuligani kradną na Rajskiej w Delikatesach, jak to wszystko jest rozbijane, że straży pożarnej nie dopuszczają - takie różne historie, wyzywanie społeczeństwa od kontrrewolucjonistów, anarchistów, od chuliganów.

Następnego dnia, we wtorek, mieliśmy wykłady. Przerwano nam w południe. Studenci zebrali się przed gmachem Politechniki, ponieważ stwierdziliśmy, że teren Politechniki jest terenem autonomicznym i tam milicja nie wejdzie. Zaczęto właśnie wzywać

rektora do zjęcia stanowiska, do wyjaśnienia sytuacji, kiedy zaczęły krążyć nad Politechniką helikoptery. Rektor wyszedł i zaklinał na Pana Boga, na własne dzieci, żebyśmy się rozeszli, że przerywa zajęcia, że nie potrzeba więcej krwi polskiej, że dostał meldunek, że jeżeli się za kilka minut nie rozejdziemy, to Politechnika zostanie zaatakowana. Usłuchaliśmy tego wezwania i wyszliśmy za bramę. Oczywiście wszyscy się skierowali w stronę Gdańska i piechotą szliśmy do dworca.

Przedtem widzieliśmy, jak Grunwaldzką jechały transportery opancerzone, czołgi.. W nocy z poniedziałku na wtorek nie spaliśmy, słuchaliśmy radia. W radiu nic nie było. "Wolna Europa" nic nie wiedziała, natomiast BBC już podawało wypowiedzi swoich korespondentów w Polsce, ale też fragmentarycznie. Od godziny drugiej zaczęły jechać czołgi. Ulicą Karola Marksa w odstępach parometrowych jechały czołgi. To samo na Grunwaldzkiej. Widać to było z okien. To był jeden nieprzerwany, ciągły ryk. Te czołgi jechały, jechały, jechały... w stronę Gdańska. Całą noc.

Kiedy poszliśmy w stronę dworca, widziałem parę samochodów, takich trochę potłuczonych, stojących z boku. Jak mi mówiono, to ludzie zastawiali drogę transporterom i czołgom własnymi samochodami oraz służbowymi, jak nyska i star. Oczywiście zostały roztracone i czołgi jechały dalej. Na piechotę dostaliśmy się na Błędnik i stamtąd już zobaczyłem dym, zobaczyłem, że chyba trzy transportery palą się przed dworcem. Niesamowita sprawa: gaz w powietrzu, z góry helikoptery zataczając takie niskie kręgi rzucały petardy, słyszałem strzały gdzieś w kierunku

Komitetu, a może z Huciska, a może bardziej na prawo - z komendy. Z tego, co pamiętam z tego dnia, to wózki akumulatorowe ze stoczni załadowane kostkami bazaltowymi chyba z jezdni, nie wiem skąd.

Podbiegła do mnie dziewczyna z pistoletem - to był P-64 - w kombinezonie takim stoczniowym, wcisnęła mi ten pistolet do ręki i mówi: "Chodź z nami". Nie wiem, dlaczego zapytałem: "Czy masz naboje?". Nie wiem, skąd mi się to wzięło. Ona powiedziała: "Nie mam". Mówię: "No to co dalej?". No więc zabrała mi ten pistolet i pobiegła dalej. I krzyczała: "Chodźcie bracia z nami, damy tym skurwysynom wycisk".

Pamiętam, przed kościółkiem św. Elżbiety, tym koło Komitetu Wojewódzkiego, tam jest takie drzewo. I na tym drzewie wisiał potężny kawał mięsa. Z początku myślałem, że to człowiek, ale to była ćwiartka cielaka czy świni. Nie wiem, dlaczego takie surowe, krwawe mięso wisiało nabite na gałąź. To mi się strasznie wbiło w pamięć, ten gaz, to wszystko, ten krzyk.

W każdym razie dowiedziałem się wtedy, że są już ofiary, ludzie są postrzelani, widziałem na drutach linii tramwajowych kawałki mundurów milicyjnych. Pobiegłem w stronę Huciska koło Komitetu, ale tam było strzelanie, tłum się cofał, ja z nim. Z Błędnika maszerowała zbита kolumna milicji. Uformowana, w szyku: Dowodził jakiś major, niski, krępy facet. Tłumu nie zaczepiali. Wszyscy patrzyli, a oni szli krokiem marszowym w stronę Komitetu Wojewódzkiego. Ludzie wykrzykiwali do nich: "Kaci! Mordercy!". Oni się nie odzywali, szli zwartym szykiem. Pobiegłem jeszcze raz - nie koło Komitetu, tylko tą drugą ulicą do

góry, tam w stronę wiaduktu, ale nie zdążyłem dobiec, ponieważ milicja zaatakowała strzelając z rakiетnic czy pistoletów. Cofnąłem się na dworzec. Był smród, pełno dymu, szaro. I teraz taki moment: goni nas milicja w tych kaskach, z tymi dużymi pałami. Pamiętam moment, że uciekamy, a oni są tuż za nami. Uciekała również taka kobieta w futerku, lat trzydzieści parę. Pamiętam, jak ją milicjant uderzył. Nie z góry - co jest normalne, gdy się kogoś goni - tylko takim perfidnym ruchem od dołu, w nerki. Ja tak wygięto do przodu i oglądając się krzyknęła - "Uważaj!". Wtedy odruchowo się skuliłem, oglądałem się do tyłu i - tego nie zapomnę - zobaczyłem taką twarz, złą twarz, jaką się w snach widzi, i pałę, którą widziałem nad sobą. To było odruchowe - jestem dosyć dobrze zbudowany - tyle, ile miałem sił, tyle włożyłem i strzeliłem tego milicjanta łokciem i ręką tak, że się wyrócił. Wyrócił się i wtedy - znowu nie zapomnę - starsza pani, jakieś sześćdziesiąt parę lat, dla mnie staruszka, babcia, podleciała z kamieniem i tego milicjanta zaczęła tym kamieniem w głowę bić. Nie wiem, skąd wzięła kamień. Na głowie miała chustkę, ubrana w jesionkę, nie żadne futro. Uderzyła go w głowę parę razy. Nie wiem, co było dalej. Po prostu zwierzęcy strach, uciekałem.

Więcej we wtorek już tam nie przychodziłem, chociaż tam długo to trwało. W środę już czołgi obstawiły Politechnikę. Tuż koło naszego akademika była poczta w "szesnastce", w pobliżu też stał czołg. Czołgi porozstawiane zresztą były przy wszystkich urządach, bankach, pocztach. Siedzieli w nich żołnierze, bardzo spokojni zresztą, nie agresywni. Bardzo mi było głupio, bo sam byłem

świadkiem, jak do takiego żołnierza podszedł staruszek z laseczką i powiedział: - "Synu, ty do mnie szelasz, ja mógłbym być twoim ojcem". I płakał. I ten żołnierz też płakał. Siedział umorusany w tym hełmofonie i obydwaj sobie płakali.

Już było po zajęciach. Poszliśmy do miasta z trzema kolegami popatrzeć. Zbliżaliśmy się do ulicy Swierczewskiego, gdy podszedł do nas milicjant, zatrzymał nas i poprosił o dowody. Nie miałem dowodu, miałem legitymację studencką, dałem mu ją. Schował i mówi: - "Proszę ze mną". Poszliśmy na komendę na Swierczewskiego. Bardzo grzecznie szliśmy po ulicy. Kiedy doszliśmy otworzył drzwi i puścił mnie, jak dżentelmen pierwszego. Wtedy po prostu nie wiedziłem, co się ze mną dzieje. Latałem. Ja tam ważę swoje osiemdziesiąt pięć kilo, ale miałem wrażenie, że latam w powietrzu. Odbijałem się od kogoś, kto mnie bił, popychał w jedną stronę, dostawałem uderzenie z drugiej strony i tak latałem. W końcu wpadłem do pomieszczenia na lewo. Do takiej dużej sali, gdzie była podłoga taka ropowana, a może nadpalona, bo był smród spalenizny. Ściany też takie pobrzdzone, szare i kraty na oknach. I tam wleciałem, zostałem wepchnięty. Nawet bólu nie czułem, bo w tych momentach to się bólu nie czuje, wiem tylko, że oberwałem kilkanaście razy zdrowo. Wpadłem tam i włosy mi się trochę zjeżyły. Potężna sala i klęczący ludzie, jak na filmach z drugiej wojny światowej. Wszyscy klęczeli. Mnie też pchnięto na twarz - padłem na kolana. Klęczałem. Byłem tak na 1/3 sali. Za mną jeszcze wpadali ludzie. I pamiętam, było trzech "dżentelmenów" w cywilnych strojach i oficerkach, w skórzanych kurtkach. Przechadzali się wśród tych klęczących osób - i bili. Pałami. Taka pałka przywiązana do ręki,

żeby nie upadła. Miałem głowę spuszczoną, widziałem te buty, te buty, które tak szły, zatrzymywały się i to kończyło się wrzaskiem - i marzyłem, modliłem się, żeby te buty do mnie nie doszły i nie zatrzymały się. Obok mnie klęczał starszy mężczyzna, w wieku mego ojca, siwa głowa. Przecho- dzący koło niego cywil uderzył go w głowę od tyłu, w potylicę psiką z całej siły. I pamiętam, że ten mężczyzna nie krzyczał, tylko wydał z siebie taki szloch głęboki, taki jak kaszel, coś takiego. Pamiętam, jak popłynęły mu łzy z oczu, takie bezgłośnie. Dla mnie to straszny widok, jak mężczyzna płacze. On płakał, a był w wieku mego ojca. Z prawej strony klęczał chłopak, blondyn, chyba ze wsi, taki zdrowy chłopak. Cywil podszedł do niego. "Ty ze stoczni?" - "Tak". - "Aha". No i zaczął go katować. W głowę, w plecy, w głowę, w plecy. Chłopak zaczął wyć. Pytania właśnie tego typu: "Gdzie byłeś skurwysynu wczoraj? Zachcia- ło się wam?" - rozlegały się z różnych stron sali. Ja odczuwałem zwierzęcy strach. Nie uwierzę, że można być bohaterem w takich chwilach. A gdybym miał być katem, to nigdy bym nie bił człowieka, którego chcę zniszczyć. Nigdy. Tylko bym bił tego obok niego. Bo to, że on mnie uderzył, to ja tego nie czułem, ale kiedy się koło człowieka katuje drugiego człowieka, potęguje to w człowieku taki strach potworny... Gdyby mi kazano chodzić po suficie, to bym chodził. Nie dlatego, że się bałem, że mnie będą bić. Tylko widziałem, jak się zachowują ludzie, gdy są bici, ten odgłos bicia i to co później się z człowieka wydobywa. No, ale buty zatrzymały się koło mnie niestety. Złapał mnie za włosy, podciągnął do góry. Nie wiem, dostałem wtedy raz w twarz pięścią. Upadłem,

ale z powrotem mnie podniósł za włosy. I w tym momencie zdarzył się cud boski. Podszedł ten gliniarz, który mnie doprowadził. Dał temu cywilowi moją legitymację. I wtedy zauważyłem, że ten facet nie wie, co ma ze mną zrobić. Nie wiem, podobno były zalecenia, żeby studentów nie ruszać. Tak słyszałem później. W każdym razie zdziwiłem się, dlaczego on mnie dalej nie katuje. Patrzył na mnie, patrzył na legitymację, oglądał ją, patrzył na mnie. Nie wiedziałem, co to znaczy. On mnie wtedy złapał jeszcze raz za włosy, tak z nienawiścią, tak sobie przyciągnął moją głowę, powiedział do mnie: - "A wy co?" - dał mi w twarz.

wtedy, nie wiem, czy on miał nożyczki w rękę, czy nóż, w każdym razie coś mi z tymi włosami robił. W każdym razie wyciął tę część włosów, którą trzymał w rękę. Skórę mi zadrapał, ale więcej czułem, jak mi ścisną włosy, niż to, co z nimi robi. Potem mi głowę do ziemi pchnął, tak, że uderzyłem głową o ziemię i mówi: - "Całuj ty skurwysynu tę świętą ziemię i zabierz te włosy". Chciałem włosy schować do kieszeni, ale: - "Ustami synu, ustami". No i posprzątałem po sobie. Kopnął mnie, dał mi legitymację i powiedział: - "Spierdalać stąd". Kopnął mnie jeszcze raz. Ten drugi milicjant popchnął mnie w drzwi i wyszedłem na ulicę z tymi włosami w buzi.

Na przystanku przed skrzyżowaniem stali koledzy. Dopadli do mnie. Ja siedłem i płakałem. Zobaczyli mnie. Nic nie mówili, tylko wrzucili mnie do tramwaju - jechała trzynastka - i dojechaliśmy na Hibnera do fryzjera. Fryzjer mnie posadził, a ja cały czas płakałem. Chociaż ja nigdy nie płaczę, wtedy płakałem. Chyba nie z bólu, tylko z wściekłości, bo nigdy w życiu nikt mnie tak

nie poniżył. Siedziałem i płakałem, a on mnie strzygł. Pamiętam tylko, że starałem się opanować - nigdy sobie nie pozwalałem na płacz - patrzyłem się w lustro i nie mogłem - szloch jakiś taki suchy wychodził. Ten fryzjer długo nic nie mówił, strzygł mnie, potem powiedział: - "Nie płacz, ja tu miałem przed chwilą bardzo pobitego i też go strzygłem". Później jakoś się uspokoilem i poszedłem do akademika. Zamknęli mnie w pokoju i siedziałem. Później chyba minął dzień czy dwa, trzeba było zrobić wykaz, gdzie kto jedzie.

Władze uczelniane załatwiły, że w czasie godziny policyjnej nas wywożono z zabezpieczeniem milicji do pociągów i wysyłano do domów. To bo świąteczną przerwę wprowadzono wcześniej. Podwieziono nas pod ten warszawski ekspres, odchodzący chyba o 17-ej na peron dworca w Gdańsku. Pociąg podjechał. Na peronie stała "Warszawa" i przechadzało się trzech takich w kufajkach, z pistoletami, pałami, i z takimi pistoletami do rakiety, ręce założone z tyłu - dobra szkoła. I było straszne milczenie. Ekspres do Warszawy, mnóstwo ludzi, wszystkie okna pootwierane i milczący tłum w tym pociągu. Myśmy też weszli do tego pociągu i było milczenie. Drzwi się zamknęły, pociąg zaczął ruszać i wtedy kilka tysięcy ludzi zaczęło wykrzykiwać swoją nienawiść. Krzyk ludzki: "Karać morderców! Skurwysyny!". Kobiety, mężczyźni - jeden wielki krzyk. A oni stali i uśmiechali się do tego pociągu. No i pociąg odjechał. Biletów nie sprawdzano.

Dojechalismy do Warszawy, a ja dalej chyba byłem zszokowany, bo wszedłem do tunelu i tak jakoś odruchowo pomyślałem - dlaczego tu nie ma gazu? Tak byłem tym gazem... tak już podświado-

mie, tak inaczej się wtedy oddycha, jakoś tak bardziej ostrożnie. Tam świeże powietrze, siedzieliśmy i czekaliśmy na pociąg do Lublina. W poczekalni był pijany, milicjanci interweniowali, to mnie musieli trzymać, bo chciałem podlecieć i zabijać ich.

Przyjechałem do domu, mama mnie zobaczyła i zemdląła w drzwiach. Podobno strasznie wyglądałem, jakiś taki dziki. Jąkałem się strasznie długo i w ogóle nie mogłem z ludźmi rozmawiać. Całe święta przesiedziałem w domu, nikogo nie przyjmowałem, chociaż chętnych słuchaczy było dużo. Ja po prostu nie mogłem mówić, bo wpadłem w jakiś taki szal. Jeszcze teraz, jak się zdenerwuję, to się jąkam. Wtedy się strasznie jąkałem. Przeszło.

Później, po tym wszystkim, po "pomożemy" i takich historiach, było zebranie na Politechnice, chyba w "Kwadratowej". Był pan prokurator czy wiceprokurator wojewódzki. Były omawiane te sprawy trudne, i była gadka, że studenci nie brali udziału. - "Dziękujemy wam za postawę obywatelską, że nie daliście się sprowokować, że wykazaliście zdrowy rozsądek, takich ludzi potrzebujemy, jesteście nowym pokoleniem". Nie wytrzymałem, wstałem i zapytałem, co będzie z tymi odpowiedzialnymi za katowanie ludzi. - "A czy pan coś wie na ten temat?" - "Wiem, niech pan patrzy na moją głowę, ja tam byłem". - "Tak? To obiecuję panu solennie - powiedział prokurator - że się tą sprawą zajmiemy i rozliczymy winnych, jeżeli to było nadużycie władzy". Do tej pory nikt mnie nie raczył zapytać. Zapisał to sobie oficjalnie. Było kilkuset świadków, łącznie z rektorem, który też spojrzał zdziwiony, bo nie wiedział, że wśród studentów też byli poszkodowani. Do tej pory nic.

Grudzień... Grudzień... po prostu ukazało się prawdziwe oblicze elity rządzącej w każdym kraju, z tym, że tam to robi się prawie legalnie, a tu to pod płaszczykiem pięknych, górnolotnych słów: "Polak", "patriotyzm"... Po prostu ludzie, którzy są u władzy... pan Żabiński powiedział, że nie zna takiego, którego by władza nie zdemoralizowała. Nie wiem, czy on aż tak zna władzę, czy się utożsamia z tym, co mówi... W każdym razie, jeżeli tacy ludzie pozapominali o tym, że są władzą ludu, przez niego wybraną, to... to Grudzień może być każdego dnia i każdej godziny. To jest obrona własnych interesów. Patriotyzm... ci ludzie patriotyzmu nie rozumieją. Po prostu za mało organizacji wtedy w Grudniu było, a była tylko żyws, autentyczna nienawiść ludzi. To można było odczuć na każdym kroku.

Chcę powiedzieć, że w czasie wydarzeń mieliśmy bardzo dobre jedzenie. O ile w stołówkach studenckich zepsułem sobie żołądek - miałem wrzody na żołądku i dwunastnicy - to wtedy dzień w dzień były kurczaki. Mogły być pieczone, gotowane, w potrawce - do wyboru. Bardzo dobre jedzenie, zupki, kurczaki.

Studenci byli obserwatorami wydarzeń lub uczestnikami właściwie mało zaangażowanymi. Tak jak ja. Bo to, że brałem udział w tłumie, uderzyłem milicjanta - to jest normalny odruch tłumu, tam rządzi całkiem inne prawa. W jednej sekundzie wyzwala się cholerna wściekłość tłumu, w drugiej sekundzie cholerny strach, panika taka, że jeden zdepta drugiego. W sumie po prostu byłem elementem tłumu, który walczył. Ale być może, gdybym miał tę amunicję wtedy, to bym tego pistoletu nie oddał, to bym poszedł. Bo strachu się nie odczuwa-

- takiego, że może się zostać poszkodowanym, pobitym, zabitym. To są całkiem inne prawa. Zresztą te kobiety strasznie dużo zrobiły. Te walczące kobiety. Wystarczy, że jedna taka dziewczyna wyskoczyła w kombinezonie i powiedziała: - "Co, chłopaki, idziecie ze mną?" - no i starsi i młodzi lecieli, nie było mowy. Cywile oczywiście, przygodni, z tłumu. To strasznie pociąga. A z drugiej strony, jak się widzi taką zwartą masę tych masek milicyjnych, jak idą, to jest strach po prostu. I też nie wiadomo, jaki strach, przed czym, ale jest strach. I dlatego studenci może byli mniej zaangażowani. Po drugie, nas tam za bardzo nie chciano puszczać z akademika. Dziękani siedzieli w akademikach, tłumaczyli, rozmawiali z nami. Zresztą myśmy mieli smutne doświadczenia po 68 roku, tak że za dużej chęci nie było. Owszem, w późniejszych dniach - tak, na początku - nie. Oczywiście reakcja na wystąpienie Kociołka była jednoznaczna, że to jest kawał gnoja, kawał szmaty... Studenci byli nastawieni za, ale tak jak w Sierpniu robotników by czołgiem nis wyciągnął za bramę, tak myśmy się wtedy nie kwapili iść gdziekolwiek. Bo później znów nam powiedzą: - "Studenci do nauki, pasta do butów". To, że nas wtedy katowano na oczach robotników... W człowieku coś siedzi, tak że nikt się nie chciał pchać w awanturę za bardzo. Nie na zasadzie przekory, że wczoraj my, dzisiaj wy, ale na zasadzie smutnego doświadczenia. Każdy w końcu sobie kombinuje - jest już dorosłym mężczyzną, właściwie mógłby mieć rodzinę, bo koledzy, którzy nie studiują, mają rodziny, więcej im wolno, są normalnymi ludźmi, a tu się jest tak troszeczkę pod ochroną państwa. W każdym razie: byliśmy bardzo za,

z tym, że nie było takiej determinacji, jak u robotników. No i oczywiście próbowano nas włączać w te akcje, ZMS mocno działał wtedy, dziękani! niechętnie wypuszczano z akademika - a gdzie idziesz, a lista, po drugie była godzina policyjna, koniec, kropka, po co wychodzić.

Tego człowieka z komendy na Swierczewskiego później widziałem. Raz mi mignął w samochodzie marki warszawa. Ja go poznam... A może nie poznam...? Ja po prostu wykreśliłem to, bo przez pierwsze trzy, cztery lata to za bardzo przeżywałem. Teraz to mi już przeszło. Mam dziwne do tego podejście. Gdybym był sędzią, to nie jestem pewien, czy bym ich na przykład mógł zabić. Mam do tych ludzi teraz taki obojętny stosunek, że jakby mi powiedziano "zabij" - to bym zabił, "nie zabij" - to bym też nie zabił. Po prostu oni dla mnie nie istnieją. Ja się jeszcze zastanawiałem - może za długo mówię - ale zastanawiałem się, jak można wychować tych ludzi oraz zszedłem sobie pytanie: gdzie można się nauczyć takiego podejścia.

Długo to wszystko analizowałem. Normalny człowiek, nawet wściekły czy doprowadzony do ostateczności, próbuje normalnie walczyć. Nawet ten milicjant, który gonił tłum. Stał po innej stronie, pał go diabli, jego sprawa, co on tam myślał, może nic nie myślał. Ale taki normalny człowiek będzie miał odruch bicia normalny, każdy człowiek, prawda? Uderzyć kogoś, pobić, zabić nawet, ale nie w takiej chwili właśnie jeszcze tak perfidnie bić w czułe miejsca - np. to podkręcenie od dołu i bicie w nerkę. Przecież to jest nienaturalne uderzenie, to już jest wyrefinowanie. Dlaczego on ją bił w nerkę, przecież mógł ją strzelić w łeb, szybciej, prościej, łatwiej by było, dlaczego on chciał jej jeszcze odbić nerkę? Dlaczego tak

jest, skąd się bierze u tych ludzi ta zwierzęcość? Dlaczego ten na komendzie, jak się przechadzał wśród ludzi, dlaczego on ich naturalnie nie bił, tylko z taką rozkoszą to robił, dlaczego on ich tak, tak perfidnie bił? Jak jestem wściekły, to bym komuś przywalił w twarz pięścią, no taki wściekły, głupi człowiek, takie zwierzę właśnie. A to właśnie nie jest zwierzę, to jest maszynka. Dlaczego tak sobie zaszedł z tyłu i tak sobie od niechcienia pałką w potylicę, z taką rozkoszą, z takim smakiem to robił. Dlaczego? Skąd to się bierze? Czy człowieka można nauczyć tego? Czy ci ludzie nie mają odruchów czysto ludzkich? Nie wiem. To jest problem. Tych panów chciałbym poznać. Kto to jest? Czy dr Mengele był inny? Przecież on z zimną krwią wyczyniał różne cuda. Można i tak. Podejść do człowieka jak do materiału. Kto ludzi w Polsce uczy takich właśnie rzeczy? Ktoś mi odpowie: w specjalnych szkołach dla funkcjonariuszy porządku publicznego, w tych tam Golędzinowach czy Szczytnsch. Zgoda. Ale tam można trenować na manekinach, a pytam się: gdzie się nauczono traktować tak ludzi żywych? Bo uważam, że każdy człowiek normalny, jeżeli ma podnieść rękę na drugiego człowieka na rozkaz, to znaczy bez żadnych prywatnych uczuć negatywnych, bez uczuć nienawiści, a tylko na rozkaz... to nie jest takie łatwe. Albo się trzeba sztucznie pobudzić, albo po prostu trenować na kimś żywym. Gdzie się trenuje - nie wiem, bo nie wyobrażam sobie, żeby można było tak bez żadnego uczucia drugiego człowieka bić, maltretować, strzelać do niego - tylko dlatego, że ktoś mi kazał. Manekin, tak - to jest coś martwego. Mogę na nim trenować, mogę go bić, chyty, ciosy, uderzenie - ale każdy się zawaha przed uderzeniem drugiego człowieka. I to nie jest takie głupie, co pokazują niekiedy

na filmach - ktoś komuś grozi pistoletem, ten drugi mówi: - Masz, strzelaj.

W sierpniu tego roku poczułem się Polakiem. Ja od Grudnia 70 do Sierpnia 80 byłem obywatelem świata. Po prostu dla mnie Polska to był kawałek jakiejś szerokości geograficznej. Mógłbym tak samo dobrze żyć w Kanadzie, w Bangladeszu, jak i w Polsce. Żadnych więzi. A wychowany byłem na mocnych patriotycznych podstawach. Moja matka - harcmistrz przedwojenny, ojciec - AK. Godło dla mnie to była świętość, Grunwald, te wszystkie historie, czułem się Polakiem - a później straciłem to wszystko, kompletnie. Stwierdziłem, że takie samo bagno tu, jak w Stanach Zjednoczonych, jak wszędzie - gdzie po prostu przemoc, terror rządzą, i nie ma co mówić o Polakach; że się dogadają i tak dalej. Dopiero jak przeżyłem Sierpień, jak tu, na tej podłodze w stoczni przeleżałem te czternaście dni, to stwierdziłem, że jednak coś w tym jest, że jest coś w nas, Polakach.

Relacja Edmunda Kwasigrocha,
palacza c.o. w Gdańsku,
z czerwca 1981 r.

W czasie pamiętnego Grudnie byłem pracownikiem Gdańskiego, a obecnie Okręgowego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej. Pracowałem na stanowisku palacza. Los jednak tak zrządził, że byłem aktywnym uczestnikiem wydarzeń w Grudniu 1970 r.

W dniu wyjazdu ze Stoczni im. Lenina radiofoni- z wanej nysy na ulice Gdańska miałem dzień wolny od pracy po przepracowanej nocy. Gdyby nie żona, nie wiedziałbym, co dzieje się na ulicy. Gdy mi podekscytowana powiedziała, że "coś się szykuje", ubrałem się szybko i poszliśmy w kierunku śleci Zwycięstwa. Dołączyliśmy do pochodu ludzi, którzy szli za tą nysą /kolor srebrno-szary/ z napisem czerwonym "Łączność". Celem marszu było opanowanie radiostacji /bez użycia siły/ i podanie komunikatu, a raczej wezwanie do wystąpienia wszystkich ludzi w Polsce. W podwórzu budynku RTV /koło Teatru Lalek/ dowiedzieliśmy się, że radiostacji nikt nie umie obsługiwać, a pracownicy radiostacji nam tego komunikatu nie nadadzą. Około 16.00 nysa /ciągnięta i pchana/ zawróciła w stronę Gdańska. Miałem wówczas 23 lata, potrzeba było ludzi młodych do pomocy, a mi nie pasowało iść za żoną i tylko śpiewać, dołączyłem więc do tych, którzy pchali tę nysę. Co pewien czas się zatrzymywaliśmy, chodziło o to, by każdy kto miał coś do powiedzenia, mógł to zrobić. Podchodzili więc ludzie do samochodu i podawano im mikrofon. Źdciążało to organizatorów akcji, a równocześnie wytwarzało odpowiednią atmosferę. Również i ja podzed-

łem. Teraz dokładnie nie pamiętam, co powiedziałem, ale wiem, że trafiło to do ludzi /były brawa i okrzyki/, a ci z nyski zawołali nas /mnie i jeszcze jednego mężczyznę, który też przemawiał/ do środka. Było ciasno, ludzi /sami młodzi/ nie znałem, nie wiem, czy byli tam oprócz mnie sami inicjatorzy czy też ludzie tak dobrani, jak ja. Młody człowiek /w czapce "leninówce"/ na pewno był organizatorem, nawoływał ludzi do nieprovokowania zajęć, miał to być protest, a nie rozróbka, śpiewano hymn i inne pieśni. Na przemian głosiliśmy hasła, podawaliśmy również mikrofon ludziom, którzy mieli coś do powiedzenia. Posuwaliśmy się w stronę Gdańska, na razie bez konkretnego celu /tzn. punktu docelowego, bo różne były propozycje/. Ostatecznie podjęto decyzję: maszerujemy przed Dom Prasy. Celem poprawienia atmosfery jeden z kolegów rzucił hasło: "Śląsk protestuje, górnicy strajkują". Drugi go za to skarcił, że strzela w ciemno. Ale że cel uświęca środki, poszliśmy na to "oszustwo", które było nam pomocne w podtrzymaniu ludzi na duchu. Jak się skończył Grudzień wiadomo, a zaczął niewinnie. Pisałem już, że tak kierowano akcją, by nie dać szansy władzy na interwencję, były ciągłe apele o spokój itd. Gdy ja wypowiedziałem nazwisko Gomułka i posunąłem się do zbyt ostrej krytyki, to efekt był taki, że od razu zabrano mi mikrofon i później już nie rzucałem haseł, a tylko podpowiadałem. Wynika z tego, że mimo atmosfery napięcia i podniecenia inicjatorzy tej akcji trzymali rękę na pulsie i robili wszystko, by nie dopuścić do tego, co się stało. Na niewiele to się jednak zdało. Zaczęło się jak skręciliśmy przed Dom Prasy. Przed nami był dość duży tłum, ale w ciągu sekundy nie było nikogo, a przed nami ukazała się milicyjna nysa. Kierowca otrzymał klucze

i chcieliśmy "zwiewać", nie zdążył jednak ruszyć. Zrobili nam specjalnie czołowe zderzenie, ale szyba wyleciała u nich, a nie u nas, cofnęli się więc i jeszcze raz w nas stuknęli. Teraz u nas azyba wyleciała, a gazy łzawiące poszły w ruch. I tu Bogu można dziękować, że drzwi nie były "wiązane" - bo była taka propozycja, ale upadła. Wskoczyłam jako drugi z nyaki, rąbnąłem w kogoś, kto najprawdopodobniej achylał się po coś do rzucanie. Jeszcze jak byliśmy w samochodzie, ktoś krzyknął: "Ludzie, ich nie możemy zostawić" lub coś w tym sensie. To chyba zadecydowało. Zrobiło się zamieszanie, a milicjanci się wycofali. Uszkodzoną nysę zaciągnięto pod Dom Partii. Padały hasła, że tych z samochodu zabrała milicja i postanowiono się upominać o nas u władz. Ja sam byłem o tym przekonany. Jako drugi wyskoczyłem, ale oddech mundurowego czułem na plecach, nie znałem losu pozostałych i sam prowadziłem agitację. Później, w czasie zajęć przy dworcu spotkałem tego młodego w "leninówce" i powiedział, że milicja mogła zatrzymać najwyżej jedną osobę. Ale ludzie o tym nie wiedzieli i poszli pod Dom Partii. "Poszła" szyba od drzwi wejściowych, ale nikt nie dostał się do środka, bo napór był tak duży, że ci pierwsi nie mieli szansy nogą ruszyć, by pokonać ten otwór po wybitej szybie. Widocznie z KW zawezwali pomoc, bo z prawej strony od Huciska zaczęli atakować gazami i pałkami. W pierwszej chwili zaczęliśmy "zwiewać" w stronę dworca, ale po rozeznaniu sił sami ruszyliśmy do ataku, a szczególnie ci, co zdążyli już oberwać. A dużo ludzi pałkami dostało, szczególnie na dworcu i przed dworcem. Później role się zmieniły, milicjanci się wycofali /zostali wyparci/ aż za Dom

Partii. Podpalono pierwszy samochód, a mundur milicyjny zawisł na drutach tramwajowych. Rozjuszeni ludzie zaczęli rzucać kamieniami w Dom Partii. Ktoś rzucił palącą się pochodnię do środka, którą wyrzucono z powrotem na ulicę. Ten sposób /rzucanie kamieniami/ sprawił, że milicjanci wyparli nas aż za dworzec pod Błędnik. My zbieraliśmy kamienie i przez pewien czas trwała "wymiana poglądów". W pewnym momencie z głośnym okrzykiem zaczęli biec w naszą stronę. Byliśmy tym zaskoczeni i zaczęliśmy uciekać. Jakiś człowiek, widocznie mniej sprawny, nie nadązał i krzyczał rozpaczliwie, żeby go ratować. Ludzie schwycili za kamienie i zawrócili. Biedaka uratowaliśmy, a kilku mundurowych oberwało. W czasie tych gonitw kilkakrotnie spotykałem swoją żonę, by znowu ją zgubić. Z upływem czasu ludzi ubywało /zmęczenie, a może inne powody/. Ten młody w "leninówce" /najprawdopodobniej Janek/ doradzał, aby się rozejść, umawiał ludzi na jutro. Po kolejnym odnalezieniu się z żoną, postanowiliśmy iść do domu. Wówczas od strony Błędnika nadjechała milicyjna nysa. Była nas stosunkowo nieduża grupa ludzi, ale liczniejsza od mundurowych. Milicjanci wyskoczyli z wozu i zaczęli biec w naszą stronę /kierowca tej nysy również/. Efekt tego był taki, że jak my ich popędziliśmy, to nie zdążyli do wozu, tylko przez płot skoczyli i po torach w stronę dworca uciekali. Opuszczony samochód przewrócono i podpalono. I ta płonąca pochodnia jest moim ostatnim wspomnieniem z wydarzeń Grudniowych, a przecież to był dopiero początek. W najbardziej tragicznych wydarzeniach grudniowych nie brałem udziału. Wynikło to ze specyfiki pracy. Dyżur w kotłowni, brak zastępcy, spowodował, że musiałem być na stanowisku

pracy. Po strajku 1980 r. o zdarzeniach grudniowych wspominałem Zdzisławowi Złotkowskiemu. To on uważa, że ten z nysy, w której jechałem, to Janek. Innych uczestników tego zdarzenia nie pamiętam, bo byli faktycznie dla niego tylko tłem. Nie posiadam żadnych materiałów dotyczących tamtych dni. Opisując zdarzenia, w których uczestniczyłem i byłem świadkiem, chcę dorzucić skromną cegiełkę do idei odbudowania pamięci o Grudniu 1970 r.

Opisane zdarzenia dotyczą poniedziałku. Do nyski wymienionej w opisie wsiadłem około godz. 16.00. Wspomnienia spisałem 26.06.81 r.

**Relacja S.R.,
ucznia szkoły wieczorowej,
z września 1981 r.**

Dołączyłem do robotników gdzieś na wysokości ulicy Klinicznej. Szły tamtędy dwa szpalery robotników, trzymających się za ręce. Przechodziliśmy obok szpitala, było pełno ludzi w oknach, w białych kitlach, bili nam brawo. Myśmy krzyczeli "chodźcie z nami". Nie wiedziałem dokąd idą, ale do szkoły już nie poszedłem, wszyscy szli w swoich brudnych roboczych uniformach. Byłem ciekawy, co się dzieje i podążałem za nimi. Ludzie się nam przyglądali, niestety nikt nie dołączał do nas, podeszliśmy pod gmach PG.

Tam nawoływaliśmy, aby z nami szli studenci. Oni nie poszli. Potem poszedłem z ludźmi pod gmach Polskiego Radia. Kilkunastu robotników weszło do środka, chcieliśmy dać jakąś informację w eter o tym, co się dzieje. Ci, którzy weszli, otworzyli okna i krzyczeli do nas, że nic z tego nie będzie, bo wyłączyli nadajnik w Chwaszczyńcu. Po chwili wyzali stamtąd. Potem poszliśmy pod akademiki na ulicy Wyspiańskiego, były pozamykane, studenci siedzieli w oknach, nikt nie wychodził. To już było po południu, trzecia, może później. Stamtąd szliśmy do Gdańska. Nie pamiętam, czy na Błędniku były jakieś starcia, chyba nie. Wszystko zaczęło się dopiero na Hucisku. Tam rzucono już granaty łzawiące, a ludzie odrzucali je w milicjantów. Milicja była uzbrojona jak średniowieczni rycerze: mieli tarcze i długie pałki. Potem wszystko się przesunęło bliżej dworca. Milicja była w lepszej sytuacji niż stoczniovcy.

To było już pod wieczór. Zobaczyłem, jak dwóch milicjantów ciągnęło młodego chłopaka jeden za jedną nogę, drugi za drugą nogę, w kierunku szpitala kolejowego. Jakiś pan w sile wieku trzymał się za głowę i krzychał: "Ludzie, bójcie się Boga!". Wtedy z ulicy 3 Maja zeszli milicjanci. Ludzie uciekli i ci milicjanci zabrali go w tamtą stronę. Tam na wale był też taki moment, jakiś młody człowiek podszedł do milicjanta i jakby chciał z nim pertraktować. Ten milicjant trzymał go za rękę i ciągnął w stronę milicjantów. Ludzie krzyczeli, żeby nie szedł, że go zabiją. W końcu chyba nie poszedł, a oni chcieli go tam wciągnąć.

We wtorek rano, jak przyszedłem do pracy w Stoczni Remontowskiej, to był już naatrój strajkowy. Ta brama, co dzieli Stocznnię Remontową od Gdańskiej, była otwarta. Wisiała tam zawsze kłódka, która teraz była zerwana. Zaczęto agitować, żeby iść do Gdańska i ludzie szli wydziałami. Wtedy utworzyła się taka straż robotnicza. Ludzie byli jacyś tacy uradowani, wszyscy szli uwolnić robotników zamkniętych w milicji.

Słyszałem, że pod Prezydium zabito jakiegoś milicjanta, który zastrzelił jednego z naszych. Ja byłem trochę niżej, przy budynku WRZZ. Tam przeciwko robotnikom uruchomiono wóz strażacki. Jednak zanim ten wóz zdążył się przygotować do akcji, został wywrócony. Obsługa uciekła, mogli nawet dostać po parę razów. Wywrócono też samochód, a jeden tramwaj był wypchnięty z szyn. Kiedy z ulicy 3 Maja wyszedł kolejny klin milicjantów, to jeden tramwajarz bardzo sprytnie korbą przyhamował, a potem gwałtownie odblokował i sam wyskoczył i ten tramwaj-widmo z impetem ruszył na szpaler milicjantów. To była trzynastka. Niektórzy stoczniovcy mieli namalowane na kaskach numery identy-

fikacyjne, które starali się zniszczyć, zażreć, bo jak by wpadli, to od razu byłoby wiadomo, kto to jest.

Próbowaliśmy opanować gmach WRZZ. Był tam taki pan, tłuścioch, to w lewo, to w prawo chciał uciekać, ale ludzie mu nie dawali, tak napierali na niego. Nie wiem, czy dostał czy nie, ale śmieliśmy się wtedy z niego. Potem wszystko się tam przemieszało. Milicja atakowała i ludzie uciekali z gmachu, nie wiem, czy to byli pracownicy czy nasi.

Kiedy nas wyparto pod KW, to widziałem szpaler robotników, jak podawali sobie butelki. Jedni wylewali wino, inni nalewali w nie benzynę. Od strony Swierczewskiego stały samochody. Otwieraliśmy bak i zaciągaliśmy przez rurkę. Napiłem się wtedy tej benzyny, bo w pośpiechu to człowiek za dużo ciągnął. Podpalaliśmy właśnie samochód, kiedy nadeszła jakaś starsza pani i powiedziała: "Zostawcie te samochody, a weźcie się za ten cholerny budynek" - i pokazała na Dom Partii.

Ludzie chwycili te butelki i pobiegli. Zaczęliśmy je rzucać na okna, ale one upadały obok, i gmach strasznie długo nie chciał się palić. Było nas jednak coraz więcej, i więcej tej benzyny lano. Tam obok jest kościół. Jak ludzie nieśli i rzucali te butelki, to inni krzyczeli: "Uważać na kościół", "Uważajcie na kościół". Laliśmy tę benzynę do piwnic, laliśmy i nie chciało się palić, ale jak już dużo było, to się zapaliło. Zwalono też dużą mosiężną tablicę z napisem Komitet Wojewódzki PZPR. Potem, jak się zapaliło, to ludzie wbiegli do środka. Otwierali okna i rzucali papiery, fotele, radia. Wszyscy na dole stali zdumieni, że oni tam takie fotele i dywany mieli. Cały czas nad Domem Partii latał śmigłowiec, latał

i taką liną jeździł po dachu. Ale nie widziałem, żeby kogoś wyciągali.

Kiedy się już wszystko paliło, poszedłem pod dworzec. Od Wrzeszcza jechały czołgi. Ci, co mieli te butelki z benzyną, to rzucali je w czołgi. Jedni szli z butelkami od KW, inni mieli je nie wiem skąd.

Widziałem tam, tak jak gdyby ojca z synem. Niedaleko dworca. Tak mi się do dziś wydaje, że to był ojciec z synem. Nie wiem, może byli pod wpływem upojenia, ale jeden szedł prosto na ten czołg z rękoma w górze. Czołg zahamował, zakręcił i go zawadził gaśnicą. Wtedy ten młody /syn/ wskoczył jak pantera na czołg i ludzie za nim. Tłukli młotami, niemal rwali go rękoma, zatykali szmatami rury wydechowe i wzierniki. Silnik przestał pracować. Kłapy się otworzyły i zaczęto wyciągać załogę, zrywano im pagony, szarpano mundury. Stał tam pusty tramwaj i tam ich zaciągnięto i wsadzono. Mieli być jako zakładnicy zabrani do Stoczni Gdańskiej... To mogła być godzina 15.00. Widziałem, jak nadjeżdżała karetka, ale nie widziałem już potem tego człowieka, który upadł, bo odprowadzałem tych żołnierzy do tramwaju, a kiedy wróciłem, to już nie było karetki.

Wtedy zacząłem iść do Stoczni, ktoś chyba to krzyczał. Koło I LO stał spalony i pusty czołg. Wtedy zobaczyłem idących do Stoczni robotników. Byli to portowcy, szli szpalerem. Witaliśmy ich owacyjnie. Krzyczano wtedy: "Port z nami". Oni szli pod KW.

Wróciłem do Stoczni, tam powstała silna straż robotnicza i próbowano utworzyć jakiś komitet strajkowy.

Wszyscy chodzili po Stoczni, rozmawiali, byli podrażnieni. Niektórzy wychodzili ze Stoczni.

Pamiętam, jakiś inżynier chyba, w skórzanej kurtce, stał na kontenerze i nawoływał, żeby nie wychodzić, że jest łapanka i wywózka pod namioty do Wejherowa.

Od strony ulicy na Ostrowiu stała milicja i nie dopuszczała żadnych wozów z zaopatrzeniem do Stoczni. Pamiętam, że podeszliśmy do statku - to był "Sikoraki", taki 10-tysięcznik - i stamtąd dano nam całą pałatkę chleba. Już nie pamiętam, z kim to niosłem, bo dzieliliśmy się ze Stoczną Gdańską. Ale to już było rano w środę. W środę rano wokoło stały czołgi, ludzie siedzieli na płotach i krzyczeli "Wojsko z ludem, wojsko z nami". Z żołnierzy nikt się nie odzywał, nie wiem, czy mieli taki rozkaz...

W nocy to się spało gdziekolwiek. Potem rano te strzały, ludzie podbiegli do płotów. Niesiono wtedy do szpitala na prześcieradła rannych czy zabitych. Potem takie zakrwawione prześcieradło wywieszono z okien szpitala, ale czy była na nim krew, czy tylko namalowane krzyże, nie wiem. Potem nikt już ze Stoczni nie wychodził.

W Stoczni było wszystko żywo, radiowóz mówił, żeby nie wychodzić. Nie wiem, jakim podstępem zmuszono nas do wychodzenia ze Stoczni, przebieraaliśmy się w czyste ubrania i tak, jak byśmy szli do niewoli, wszyscy wychodzili.

To wojsko, ta cała atmosfera, to sprawiło, że nie było jedności, nie było jakiejś jednej organizacji. Te czołgi, one były bez szachownicy i ci milczący żołnierze, wszyscy byliśmy przerażeni. No baliśmy się stale, chodziły plotki, że będą nas bombardować, że będzie desant. Tam koło mostu nad kanałem stał holownik i miał linę zaczepioną do mostu. To taki pontonowy. Jak byłby desant, to miał szarpnąć i zerwać pontony i wtedy Stocznia jest oddzielona i nikt nie wejdzie.

**Relacja Romualda Micacha,
pracownika Zarządu Portu Gdańsk,
z września 1981 r.**

14.12.1970 r. przyszedłem na III zmianę do pracy. Wiedziałem już co się dzieje na mieście, że Stocznia Gdańska rozpoczęła pochód demonstracyjny, o licznych potyczkach z patrolami policji i próbie podpalenia Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Pracownicy Rejonu I nie podejmują pracy w tym dniu. Ob. Choma przerywa rozdział pracy dla starszego brygadzysty Marczyka. Wapólnie chcemy się dostać do pokoju, gdzie zainstalowana jest radiola, jednak powstrzymuję Chomę przed wyłamaniem drzwi. Wzywamy pozostałych robotników do poparcia strajkujących już stoczniowców i wyjścia na miasto. Wyruszamy przez Nowy Port do Rejonu II. Przyłączają się i idziemy w kierunku Gdańska, przechodzimy koło Szpitala Położniczego we Wrzeazczu i kierujemy się pod most kolejowy. Tam już są tłumy ludzi i gapiów ciekawych wydarzeń. Pochód nasz liczy parę tysięcy ludzi, trudno jest określić dokładnie, nie ma wolnej przestrzeni. Padają hasła "Pracy, chleba" i "Jeszcze Polaka nie zginęła". Pochód kieruje się aleją Zwycięstwa w kierunku Gdańska. Już na moście Błędnik napotykamy na policję, która, mimo że użyła gazów łzawiących i petard, cofa się. W obrębku Dworca Gdańskiego podpalony jest jeden, a następnie drugi kiosk "Ruchu". Pojawia się wóz straży pożarnej, który pod gradem kamieni ucieka. Robotnicy nie dopuszczają do gaazenia podpalonych kiosków. Są wśród ludzi już ranni i pokrwawieni. Stocznia zrozumiała, że nie jest już sama, ma poparcie Portu Gdańskiego.

Walka między policją a stoczniowcami trwała do późnych godzin wieczornych. Gaśnie światło i wtedy silne światła reflektorów oślepiają, to policja zaczyna nacierać, pod oślepiającym światłem musimy się cofać, każdy rozprasza się w dogodnym kierunku.

W godzinach rannych 15.12.1970 r. w Rejonie I dezorganizacja, zbieramy się chaotycznie i wyruszamy z Rejonu. Kierujemy się w kierunku Gdańska. Łączymy się z Rejonem II. Nad nami co chwila przelatują helikoptery. Z niektórych zakładów dołączają ludzie, pochód rośnie. Już w tych godzinach na ulicach Gdańska toczy się walka pomiędzy stoczniowcami a policją. Są zabici i ranni. Karetki pogotowia nie są zatrzymywane przez żadną ze stron. Wchodzimy na Błędnik - widać palące się samochody policyjne i wojskowe, pełno dymu łzawiącego, wybuchy petard, świece dymne i strzały z broni palnej. Z helikopterów zrzucają na tłum ludzi petardy i gaz łzawiący. Słychać jęki porażonych przez wybuch petard ludzi. Jest zmotoryzowana policja na gazikach, na których umieszczone są wyrzutnie do petard i gazów łzawiących. Z bliskich odległości niektórych ludzi w tłumie trafiają bezpośrednio w twarz. Uderzenia są tak silne, że ludzie zalewają się krwią i padają. To podsyca nienawiść robotników. Z samochodu z nabiąłem przed gmachem Komitetu Wojewódzkiego PZPR wyskakują robotnicy, obrzucają butelkami gmach i podpalają. "Reichstag" płonie. Słychać okrzyki. Wchodzi do akcji kompania niebieskich beretów pod dowództwem jakiegoś kapitana, ale pod naporem robotników, chociaż z luf pistoletów pruje ogień, cofają się. Z gmachu KW PZPR na wywrotce zostają zabrani do Stoczni Gdańskiej zakładnicy. Między nimi

jest policjant mundurowy. Wkrótce naciera wojsko w transporterach opancerzonych. Sypie się grad kamieni, robi się zator, wojsko nie chce wjeżdżać w tłum robotników, transportery kierują się na płonące samochody policyjne, jeden przeskakuje, drugiemu gaśnie silnik, robi się blokada, wykorzystują tę chwilę robotnicy, wyrwane słupy z przystanków tramwajowych wtykają między gąsienice transporterów. Cztery pojazdy transporterów unieruchomione. Łomami wybijają przeciwpancerne wyzierniki. Przez otwory zostaje wprowadzony dym ze świec dymnych. Wojsko opuszcza zatrzymane transportery. Zoatają ulokowani w jednym z tramwajów. Wojsko nie jest rozbierane, są nietknięci przez robotników. Zatrzymane transportery stają w płomieniach. Policja znów naciera, a na ich twarzach widać podniecenie - wywołane bądź alkoholem, bądź też narkotykami, długie, zwisające peleryny, w rękach tarcze i pałki, brak tylko na pelerynach białych krzyży a na tarczach czarnych swastyk. Niemal w tych samych godzinach atak czołgów T-34, jeden z czołgów zostaje uprowadzony przez robotników Stoczni. Podpalaczami są nie tylko chuligani, są wśród nich i policjanci po cywilnemu. Co jakiś czas gdzieś słychać: "Trzymać, to glina - ja go znam". Czerwona burżuazja stosuje różne metody prowokacji, podpalanie i rabunki. Ginią cywile i policjanci, którym nie udaje się wycofać w odpowiednim momencie. Są to tylko zajścia w obrębie Dworca Gdańskiego i KW PZPR.

W godzinach rannych 16.12.1970 r. decydują się na powołanie Komitetu Strajkowego i spisanie postulatów, jak również organizują straż robotniczą do pilnowania obiektów. Wiadome mi było, że Stocznia Gdańska została otoczona czołgami i wojskiem.

Później dowiaduję się, że na murach Stoczni giną robotnicy. Po godzinie 16.00 udaję się na miasto - na własne oczy oglądam Stocznnię otoczoną przez czołgi i wojsko - oczywiście zostawiając na Rejonie I Robotniczą Ochronę Mienia. Około godziny 24.00 zostaję aresztowany w domu i przewieziony do KW MO w Gdańsku, ul.Okopowa. Po 48 godzinach zostałem przewieziony na ulicę Kurkową w Gdańsku do więzienia. Aresztowanych było tysiące, lokowani byliśmy po 2 na jedno łóżko. Wśród aresztowanych nie byli tylko robotnicy, również i podstawieni ludzie z policji oraz starzy kryminaliści - wszyscy ubrani po cywilnemu. W więziennych ubraniach nie było nikogo, poza obsługą, kalifaktorami. Przesłuchiwany byłem dwa razy w KW MO i dwa razy w więzieniu. Każdy z aresztowanych miał wykonywane zdjęcie, z przykładanym numerem - przykładając do lewej piersi prawą rękę. Zwalniano nas od dnia 22.12.1970 r. w godzinach po północy, w grupach po 20 osób. Nie zwracano uwagi na to, czy ktoś posiadał dokumenty czy też nie - wyatarczyło tylko, żeby podać nazwisko i imię, które było zanotowane przy przyjęciu do więzienia.

**Relacja Mariana Zielińskiego,
pracownika Stoczni Gdańskiej im. Lenina,
z czerwca 1981 r.**

Wspomnienia moje z lat siedemdziesiątych, z Grudnia, nie są miłymi wspomnieniami ze względu na to, że straciłem kolegów i straciłem swoją osobowość.

Podłoże strajku nie było przeciwko ustrojowi ani antysocjalistyczne, ani przeciwko naszym przyjaciołom ze wschodu czy z zachodu. Było podłożem czysto ekonomicznym, gospodarczym. W sobotę, w naszym zakładzie pracy były zwołane zebrania partyjne na godzinę siedemnastą, na których pracownicy mieli być powiadomieni o podwyżkach cen artykułów spożywczych.

W całej Polsce mówi się o tym, że stoczniowiec bardzo dużo zarabia w porównaniu do reszty kraju. Ale nikt nie zastanawia się nad tym, że stoczniowiec pracuje dwa miesiące w miesiącu. Jest to wynagrodzenie za całokształt miesięcznej pracy, ale w limicie godzin trzysta pięćdziesiąt czy czterysta miesięcznie. W sumie zapracowane pieniądze, nawet w takiej ilości godzin nie pozwalały na jakąkolwiek dobrą egzystencję rodziny stoczniowca.

Byłem młodym człowiekiem, miałem trzydzieści trzy lata, razem z innymi młodymi ludźmi powiedziałem, że już dosyć tego. Byli to przeważnie silnikowcy z obrabiarki, z wydziału S-4, S-3, spotkaliśmy się w gronie piętnastu czy szesnastu osób. W jaki sposób zrobić i pokazać apopleczeństwu, że mamy tego dosyć, że robotnik, jeżeli jest przy władzy, to powinien mieć swoje zdanie także

i w tych sferach wyższych. Ustaliliśmy: spróbujemy nie podjąć pracy w poniedziałek. Rozmawialiśmy o konsekwencjach, jakie nas mogą czekać. W tym gronie ludzi było nas tylko trzech kswalerów, przeważnie wszyscy byli żonaci, obarczeni dziećmi, a wiadomo było, że krył się za tym wilczy bilet i niemożność podjęcia w przyszłości pracy. Ale w ostateczności zdecydowaliśmy, że spróbujemy. W poniedziałek rano udało nam się - wydział S-4 stanął w 100%. Może dlatego, że jest w korzystniejszej sytuacji, ponieważ jest to wydział skomasowany na jednej hali, gdzie ludzie pracują przy obrabiarkach, tokarkach. Na tym wydziale, na którym ja pracowałem, żeby nie padło podejrzenie, że ja wiedziałem, że mam przygotować, więc z samego rana o godzinie szóstej, będąc w szatni, rozpowiadałem, że wydział S-4 będzie stał, są tam nasi koledzy, sąsiadujący z nami, przecież nie możemy na to pozwolić, żeby oni zostali sami. Udało się to nam w granicach 70% w początkowej fazie. Odcieśliśmy się od terenów całego zakładu pracy gdzieś do godziny siódmej piętnaście. Dyrektorzy - przychodzą do pracy na godzinę siódmą - w tym dniu byli dużo wcześniej, ze względu na to, że kierownictwo wydziałów powiadomiło o tym, że dwa wydziały nie pracują. Uważaliśmy to za sukces, że udało nam się zatrzymać te dwa wydziały, z tym, że puściliśmy kaczkę... Zreestą na przesłuchaniach w SB wszyscy zeznawaliśmy, że malarze zatrzymali nam spawarki, co było oczywiście nieprawdą. Przed represjami, których się obawialiśmy, przyjęliśmy taką alternatywę, że spawarki zostały wyłączone przez malarzy. Mistrzowie z kierownictwem próbowali przełamać strajk, ale wpadliśmy na taki pomysł, aby ten nasz początek strajku przenieść

na cały teren zakładu pracy. Koledzy nasi na rowerach, między innymi ja, zaczęliśmy jeździć po wydziałach. Zostałem zatrzymany w czasie drugiego wyjazdu i zaprowadzony na posterunek MO znajdujący się na terenie zakładu pracy. Oczywiście tam do niczego się nie przyznałem, że w niczym nie biorę udziału, że o niczym nie wiem, zostałem wypuszczony i przekazałem o tym, że aresztują i wprowadzają do baraków. Zrozumiała rzecz, jaka była reakcja ludzi. Placówka milicji musiała natychmiast się wynieść, ponieważ mogłoby dojść nawet i do linczu. Około godziny dziewiątej kilka tysięcy ludzi zebrało się pod dykcją zakładu pracy. Żądali rozmowy z dyrektorem. Nie uzyskano w początkowej fazie możliwości rozmowy z dyrektorem. Część ludzi zaczęła nawoływać do wyjścia na miasto. Z tym, że dyrektor nawoływał... w późniejszym czasie został zamikrofonizowany teren, no i dyrektor nawoływał do podjęcia pracy, żeby wybrać ludzi, z którymi będzie rozmawiał, ale nie z tych ludzi, którzy byli pod dykcją, ale wybrać ludzi spośród wydziałów... tylko, że to stało się już po wyjściu części ludzi na teren miasta.

Pierwsze kroki były skierowane w stronę studentów, żeby przeprosić atudentów, że nie wzięto udziału w ich wystąpieniu. W każdym razie wyjście na ulice spowodowało zdobycie samochodu zamikrofonizowanego, ten samochód później nawalili, przez niego podawano komunikaty i zatrzymywano następne wydziały. Zrozumiałą jest rzeczą, że nie wszystkie wydziały Stoczni stały już w poniedziałek w 100%, czy nawet w ogóle stały. Zakład C etanał dopiero od wtorku, następnego dnia. Jeżeli chodzi o poniedziałek, można założyć, że 60-70% załogi Stoczni Gdańskiej nie podejmowało już pracy. Po pierwszym dniu część ludzi opuściła już zakład pracy, ja zostałem na terenie Stoczni. Z jednej strony obawiając się... na terenie zakładu były wtyczki

Służby Bezpieczeństwa, więc obawialiśmy się, żebyśmy nie zostali aresztowani. Większość naszych ludzi została na terenie zakładu pracy. We wtorek rano już 100% załogi Stoczni nie pracowało. Od rana też zaczęły się pertraktacje.

W międzyczasie, w poniedziałek dyrektor Stoczni wybrał tak zwany komitet strajkowy oparty o tych ludzi, którzy, mówiąc szczerze, solidaryzowali się ze strajkiem, ale w obawie przed represjami własnych kolegów nie wychodzili z terenu swoich wydziałów. Spośród nich został wybrany komitet strajkowy, nazywało się to szumnie Radą Delegatów. Kiedy byłem przesłuchiwany przez Służbę Bezpieczeństwa, użyłem słowa "komitet strajkowy"; powiedzieli: przecież komitetu strajkowego nie było. A jednak był wówczas komitet strajkowy.

We wtorek rano wszyscy zbierają się pod dyrekcją. Między ludźmi byłem i ja. Kilka tysięcy zebranych wyraziło votum nieufności dla tego komitetu strajkowego, który został ustalony wcześniej. Dyrektor zgodził się na ponowne wybory. Wybrano około dwunastu, czternastu osób. Spontanicznie, szli i mówili co myślą. Zabrałem i ja głos wówczas. Tłumaczyłem sprawę, którą uważałem za najważniejszą: jeżeli już jest strajk, to najważniejsza jest obrona własnego stanowiska pracy, żeby nie dopuścić do zniszczenia. Była to pierwsza lekcja prawdziwego strajku w naszym socjalistycznym ustroju.

W momencie powołania nowego komitetu strajkowego spotkał się on ze starym. Ten, który został wybrany przez dyrekcję i ten, który został spontanicznie wybrany przez ludzi spośród tych, którzy byli pod dyrekcją. Z początku trwały tarcia, ale po kilkunastu minutach ci, którzy zostali ustawieni przez dyrekcję, wycofali się. Pozostało nas szesnaś-

cie osób. Z tym, że w późniejszym czasie za podjudzanie ludzi do niszczenia własnych stanowisk czy wprowadzanie paniki niektórzy zostali wydalenii z komitetów strajkowych przez same komitety. W momencie tych starć doszła do nas wiadomość, że zaczynają się rozboje na ulicy. O wpół do ósmej ja i kilku naszych kolegów dostaliśmy polecenie, żeby postarać się ściągnąć stoczniovców z powrotem na teren zakładu, jeżeli to będzie możliwe. Poszliśmy na ulicę. Trafiłem na moment, kiedy paliły się milicyjne samochody przed komendą MO na ulicy Swierczewskiego. W międzyczasie jakaś kompania milicji uzbrojona w hełmy, pałki, tarcze tak jak Krzyżacy wkroczyła w tłum ludzi. Ludzie się rozstąpili. Rozstąpili się robotnicy w kombinezonach, a ci zaczęli nacierać z pałkami na tłum. W późniejszym czasie dowiedziałem się, że podobno chciano zdobyć więzienie, ale sam osobiście tego nie widziałem. Milicja zaczęła atakować... zaczęła bić pałkami. W momencie bicia pałkami robotnicy, którzy byli zebrani na ulicy Swierczewskiego, zaczęli wyrwać z bruku kamienie. Jak on został rozebrany gołymi rękami, to ja do dzisiejszego dnia nie wiem, w każdym bądź razie te brukowce zaczęły się sypać gradem na milicję, która atakowała. Milicja zaczęła się wycofywać pod Prezydium Miejskiej Rady Narodowej na Swierczewskiego, a część uciekała do komendy. Nie zdążył uciec dowódca. W jakiej randze w tej chwili nie wiem, prawdopodobnie był w randze kapitana. I tu jest właśnie pierwszy drastyczny moment. Temu kapitanowi zastąpił drogę jeden ze spawaczy wydziału K-3 Stoczni Gdańskiej, młody człowiek. Milicjant wyjął rewolwer z kabury i przestrzelił mu aortę. Widać było, jak krew tryskała na boki. Widok

dalszy był straszny, ponieważ tego oficera milicji złapano. Widać było, jak mundur... nawet nie wiem czy ręce nie były wyrwane. Ten tłum ogarnęła dosłownie pasja z nienawiści. Wazystko się dosłownie rwało w kawałki. Każdy chciał tam swoją pięść dołożyć. W późniejszym czasie dowiedziałem się, że milicjant ten zginął.

Dalsze moje przeżycia są spod Komitetu Partii. Nie było możliwości rozmowy z kimś na temat zabrania ludzi do zakładów pracy, ponieważ posądzano by każdego człowieka, który by namawiał do powrotu. Ja już zacząłem rozmawiać z kolegami, którzy mnie znali, ale zauważyłem, że te oaby postronne, które brały udział... nie wszyscy byli robotnikami, bo zwróciłem uwagę, że było masę studentów, że te przeprosiny z poprzedniego dnia jednak coś dały i jednak studenci przyszli na Swierczewskiego.

Komitet Wojewódzki próbowano podpalić różnymi sposobami. Nie udawało się. Między kościołem a Domem Partii był budynek NOT i, wiadoma rzecz, że nie mówiono NOT, tylko knajpka między partią a kościołem. Ten budynek spalił się doszczętnie, cała biblioteka, była dosyć bogata, została spalona, jednak Komitet Wojewódzki się nie zajął. Brano benzynę z żaka, była tam stacja CPN-u do napełniania autobusów paliwem, więc stamtąd brano. I w żaden sposób nie można było podpalić Komitetu Wojewódzkiego, ponieważ od środka broniły go trzy jednostki straży. Gasiły każdą rzuconą butelkę. W pewnym momencie przez głośnik czy przez tubę z Komitetu Wojewódzkiego odezwał się głos, że jeżeli robotnicy nie odstąpią od Komitetu Wojewódzkiego, to zostaną oddane do nich strzały. Pierwsza seria jest ostrzegawcza. No, oczywiście usłyszeliśmy strzały z ostatniego piętra oddane w powietrze i w tym

momencie znowu ludzi ogarnął szal. Drzwi zostały barkami ludzkimi wyłamane i za kilkanaście minut Komitet Wojewódzki stanął w płomieniach. Z tym, że jeszcze wcześniej, na wysokości Komitetu Wojewódzkiego stały trzy samochody Star 625. Wywnioskowaliśmy, że to są żołnierze, ze względu na to, że byli w panterkach wojskowych. W pewnym momencie z Komendy Wojewódzkiej MO nadano telefonogram, aby ta grupa milicji... i w tym momencie wszyscy ci, którzy stali, dowiedzieli się o tym, że to są milicjanci. Zrozumiała rzecz, że reakcja była inna. Przedtem wołano - myśląc, że to żołnierze: "Wojsko z ludem, wojsko z nami", teraz zaczęto nacierać. Milicja zorientowała się, że może być zlinczowana w tych samochodach, rzuciła gazami łzawiącymi i petardami z samochodu. I te gazy łzawiące wrzucono z powrotem do samochodu. Strasznie to wyglądało, ponieważ milicja darła plandeki, żeby wydostać się ze środka. Milicjanci, którzy wyskakowali, byli wyłapywani przez tych robotników, którzy stali obok. Nie można powiedzieć, że rozbrojeni, ale rozebrani z mundurów, z masek gazowych, zostawiono im broń w ręku i tak w kalesonsch przebiegali przez tory kolejowe na drugą stronę. W tym momencie zaczęły się ataki z powietrza i ataki ze strony ulicy Swierczewskiego. Zaczęto strzelać z armatek milicyjnych, zaczęto rzucać petardy z samolotów. Pamiętam, jak jeden ze apawaczy - na pewno z wydziału kadłubowego, bo w tym czasie te kombinezony dostawali spawacze z wydziałów kadłubowych - próbował zagasić, bo wiedział, że tę świecę łzawiącą można było zagasić, natomiast nie było możliwości zagaszenia petardy, petarda z lontem leciała. Przydusił nogą i w tym momencie petarda wybuchła, urywając mu pewną część nogi razem ze stopą. Był to straszny widok.

Następnie ze strony mostu zaczęły nadjeżdżać tankietki. Tam były chyba dwa czołgi i kilka transporterów wojskowych. Wiadoma rzecz, że robotnicy to przeważnie ludzie, którzy odbyli służbę wojskową, dlatego wyjechanie bez użycia siły, żeby postraszyć, okazało się bezskuteczne. Osoby, które posiadały jeszcze te niedopalone bomby gazów łzawiących, podpalały lonty i w momencie, gdy był otwarty właz, to wrzucano gaz do środka. I jest też moment, który wspominają ludzie, którzy to widzieli: czołg przejechał przy dworcu jednego z robotników. Nie wiem, czy to chciano zrobić. Oficer, który wyszedł z tego czołgu - bo też czołg został opanowany przez robotników - chciał się wytłumaczyć. Nie pozwolono mu, wyjęto mu z kabury pistolet i zginął przed Dworcem Głównym w Gdańsku.

Widziałem, jak on się przewrócił. Jak oddano strzał. Czy on stracił życie to nie wiem, ale w każdym bądź razie strzał został oddany. Następnie ten czołg żołnierze opuścili i ktoś z robotników wsiadł - to można nazwać transporterem, to nie był czołg - pojechał w kierunku Stoczni. Jeszcze może taki szczegół, który pamiętam, ponieważ w tym momencie, kiedy Komitet Wojewódzki zaczął się palić, niektórzy milicjanci poddali się. Zostali zabrani z tego Komitetu Wojewódzkiego, wsadzeni na wywrotkę i przy sztandarach biało-czerwonych zostali zawiezieni na teren zakładu, do Stoczni Gdańskiej. Sprawdzano karetki pogotowia, ponieważ w karetkach pogotowia milicja przewoziła gazy łzawiące i petardy. Używała sygnałów alarmowych. Karetki były zatrzymywane i były też momenty kiedy wyrzucano nawet rannego milicjanta z samochodu, a na to miejsce wkładano robotnika. Ja w

tamtym czasach nie dziwiłem się tym ludziom, ponieważ żeby Polak przeciwko Polakowi użył siły... Uważam to za niegodne, ponieważ mógłbym przypuścić, że między milicjantami mogli być aynowie tych, którzy byli na ulicach. W każdym bądź razie widząc moją nieudolność na ulicach, że nie dam rady nic zrobić, nie potrafię ściągnąć na teren zakładu robotników, wróciłem z powrotem na teren zakładu pracy.

Relacja Jana Subdy,
pracownika Stoczni Gdańskiej im. Lenina,
z listopada 1981 r.

Pracowałem wtedy na wydziale Głównego Mechanika. Niespokojny nastrój był już w sobotę. Już coś wachaliśmy, bo sekretarz partii, jak sobie przypominam Stanisław Jastrzębski, naświetlał sprawę, że będzie podwyżka. A i tak było ciężko, nie było co zjeść. Robiłeś, a z tych pieniędzy żadnych korzyści nie było. W poniedziałek przyzaliśmy do pracy, idziemy pod dyrekcję. Ale nie było z kim rozmawiać. No, z kim tam będziesz rozmawiał? Ani dyrektora... O szóstej rano idzie pod Komitet. Jak poszliśmy pod Komitet, to było nas parę tysięcy. Pod Komitetem Wojewódzkim nie było nikogo. Wyzedł Jundziłł. On pyta się, jak będzie mówił do ludzi. Mówię: - "Powiedz pan coś, o co chodzi? Trzeba zainstalować jakieś nagłośnienie". On: - "Czekajcie, coś załatwię". Pozeźdł. Chciał zaprosić do środka, ale nikt tam nie chciał wejść. My wiemy, robotnik nie ma prawa. Oni piszą: robotnik jest klasą przodującą, robotnik ma prawo, ale w życiu tylko biją, niszczą. Na to Jundziłł: - "Coś się zorganizuje". Przyjechał radiowóz "Łączności", tzn. wóz z głośnikiem, wszystkimi urządzeniami itd. To była "Nyska". On chciał coś powiedzieć. Zaczął mówić głupstwa: - "Towarzysze! Towarzysze!". No przecież my nie jesteśmy towarzysze. Usunęliśmy go. No to ja wszedłem i z tego głośnika mówię: - "Bracia atoczniovcy! Musimy zaśpiewać 'Jeszcze Polska nie zginęła', bo to jest tylko w nas". Zaśpiewaliśmy. Mówię: - "Pojeździemy na Stocznnię, zabierzemy reakcję kolegów. Wyjdzi ay ze studentami". Poszliśmy na drugą Stocznnię. Kierowca, ten co przyjechał, nie chciał, był zastrassony po prostu.

nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. No to nasz kierowca wsiadł. On kierował a koledzy pchali nas, bo przed dworcem na drodze do Stoczni były kupy ludzi, mogłoby rozjechać. Było to gdzieś między godziną 9 a 11.

Poszliśmy na Stocznnię z powrotem, zabraliśmy resztę wydziałów. Idziemy na Stocznnię Północną, bo tam można przejść przez stolarnię. Na terenie Stoczni jechaliśmy cały czas tym radiowozem. Przy moim wydziale wysiadłem i mówię do moich ludzi: - "Chodźcie, nie bójcie się". Niektórzy atarsi się bali, bo jak tam pracuje iks lat, to się boi. Żona, dziecko na studia się nie dostanie. Ich szantażowali. Jak byli cicho, to w porządku. A byli niektórzy, co chcieli pracować. Jak jechaliśmy na K-3, tam była taka podstacja, stanęliśmy przy tej podstacji. Tam był człowiek, który pracował. I ten człowiek chyba też był zastraszony. - "Proszę pana, wszyscy idą, to i pan też chyba musi iść. Jak razem to razem. Solidarność musi być. W jedności to jest wszystko". A on nie chciał. To mówię: - "Proszę wyłączyć prąd". Ktoś krzyknął, to oddał klucze. Wyłączyli prąd, a klucze wyrzuciliśmy do kanału.

Poszliśmy do Stoczni Północnej. Przeszliśmy przez nią - w Stoczni ludzie dołączyli do nas. Już wcześniej, pod Komitetem było dużo ludzi ze Stoczni Północnej, jak tam znam ludzi. Poszliśmy Klinikzną. Kobiety machały do nas z okien i krzyczały "Brawo!". Poszliśmy do studentów, żeby tam porozmawiać. Patrzymy - studentów nie ma. Oni pochowali się, czy jak? Patrzymy - oni w oknach. Okna pozamykane. Chłopaki widocznie się bali, czy jak? Może nam nie wierzyli. Ale myślę, że byli pozamykani. Wyszedł były rektor Staliński,

zaczął jakieś głupstwa mówić. Któryś go tam za spodnie pociągnął. W międzyczasie, jak przechodziliśmy koło domów akademickich, przybywało studentów. Mówią: - "Macie rację, popieremy". Przychodzili renciści. - "Proszę bardzo, niech pan zabierze głos". Mówi, że otrzymuje pięćset złotych renty. Za pięćset nie ma jak wyżyć. Wyszedł facet, wziął bagnet przy rektorze. Ja: - "Uspokój się człowieku, tak nie można robić! To też jest człowiek, może zbłądził, nie można go tak niszczyć. Chociaż rektor, ale też zbłądził".

Padło hasło, żeby iść na Uphagena pod rozgłośnię. Poszliśmy pod rozgłośnię. Chcemy się włączyć, żeby pogadać, żeby cała Polska się dowiedziała. A tam już mówią, że jesteśmy odłączeni, a milicja i wojsko są już w Chwaszczynie i odłączyli radiostację. Był taki projekt, żeby jechać pod Chwaszczyno. Pojeździemy, a tam nas wystrzelają. To uchwaliliśmy, że wracamy na miasto. Wracamy z powrotem. Tramwaje stoją. Powiedziałem przez głośniki: - "Nie wolno niszczyć trawników!". Wszystko ażo grzecznie, broń Boże, żeby ktoś coś zniszczył. Podchodzili ludzie, studenci, nawet lekarz jakiś się wypowiadał, ludzie pracy i tramwajarze. Chcieli rozmawiać. Mówię do ludzi: - "Proszę bardzo, przez głośniki". Dochodzimy do Błędnika. Patrzymy wojsko stoi na Błędniku. Okazało się, że to była milicja, bo oni mieli takie uniformy polowe. I mieli takie wielkie tarcze i metrowe pałki. Pierwszy raz w życiu coś takiego widziałem. Zatrzymaliśmy się, mówimy: - "Wojsko! Bracia! My nic nie robimy, tylko manifestujemy, bo mamy takie sprawy". Nikt nie ustępuje. Podszedłem do nich parę metrów, myślę: powiem jak człowiek. Nic. No to się wróciłem. Kobieta jedna wyszła i mówi do nich: - "Panowie usuficie się, my nic nie robimy".

No, jak ich zaatakowali, to pomalu, z wielkimi przeszkodami dotarliśmy pod Sobieskiego. Skręciliśmy nie pod samego Sobieskiego, ale z Huciśka na lewo, tam gdzie teraz jest "Rudy Kot". Było tam zgrupowane masę milicji. Oni rzucili na nas gazy łzawiące i świece dymne. Chcieli opanować ten radiowóz. Ja nie wiem, czy kogoś wzięli czy nie. Ja w każdym razie zdołałem się wymknąć. Poczułem, że jest gorąco i jakoś ulotniłem się z tego radiowozu. Nie znałem ludzi w radiowozie. Bo mnie się nawet pytano o to w komisariacie na Okopowej. Ja im odpowiedziałem tak uczciwie: nie znam. Czy ja im się przyglądałem? Wszyscy brudni byli, jak robotnicy.

Potem poszedłem od ulicy Elżbietańskiej. Tutaj ich atakowali. Budy przyjechały i łapali chłopaków. Oglądali, kto ma brudne ręce. Przy dworcu, Komitecie, "Monopolu".

No i później wieczór był i teżmy poszli na Stocznę. Nie mogliśmy być przy Błędniku. Szliśmy bokiem, gdzie dzisiaj "Heweliusz" i na Stocznę się przedarliśmy. Tam był komitet strajkowy. Była godzina czwarta, już było ciemno. No i spotykam tam swoich chłopaków. Jeden mówi: - "Tam już wybrali komitet! Są jakieś partyjne, jakieś inne". No to mówię: - "No to jak oni będą rozmawiać?". Nigdzie nie chodziłem. Pokazaliśmy sobie na wydziale grupę chłopaków - Broniek Przybysz, Klawikowski - on nie jest głupi chłopak, on się nie umie wygadać, ale jest twardy człowiek.

Na drugi dzień idziemy z powrotem. Ja już rano przyjechałem, bo nie mogłem dospać. Patrzą - straż, szlabany, samochody. Poszliśmy z powrotem pod Komitet. Każdy ma coś w rękę, kawałek młotka, bo z nimi inaczej nie powalujesz. Szklarze

w Komitecie Wojewódzkim wstawiają szyby. Tam już było wojsko i milicja. Pamiętam taki moment: chcieliśmy dostać się do Komitetu, więc mówimy: - "Niech wyjdzie wojsko, bo będziemy podpalać". Wychodzili chłopcy, płakali. Wojako wyszło, a milicja nie chce wyjść. Chłopaki poszły tam do kantyny się dobierać. Tam różny element może być. Tamci muszą wyjść, nie ma cudów. Podpalamy. Patrzymy - milicja poddaje się. Prosimy zerwać naramienniki, wszystko bez dystynkcji. Nie będziemy żadnej azarży uznawać. Zatrzymaliśmy wywrotkę. Oni zaczęli wychodzić. Założyli sobie na usta takie tampony, chusteczki. Ludzie byli żądni zemsty. Ja mówię: - "Słuchajcie, jak się człowiek poddaje, czy taki jest czy taki, nie wolno do wyjaśnienia uderzyć. Nie będziemy aadystami. Panowie! Nie wolno bić!". Mówili, że ormowiec jestem. Już jeden chciał mnie na bok, drugi mówi: - "Uspokój się, to przecież człowiek!". Zostawili mnie. - "Ty jesteś delegat ze Stoczni, w porządku". - I zaraz - proszę wchodzić na wywrotkę, do Stoczni wieść. A tu ni etąd ni zowąd od Huciska leci milicja. Oni mieli jakieś narkotyki. Byli jakieś takie powariowane. Żeśmy popędzili ich za miasto, w stronę Swierczewskiego. Pamiętam, jechał taki samochód z Lublina z jajkami. Po co czort on tam jechał? - "Wysiadaj z tego samochodu".

Dopadliśmy milicję przy Prezydium na ulicy Swierczewskiego. Pamiętam, jak padł ten strzał między godziną 12 i 13. Milicjanci chcieli koniecznie dostać się do drzwi. Wybili taki filong, ale że weszli wszyscy naraz, zablokowali się. Wtedy dalej łomot. Cała ściana była czerwona. Wtedy padł strzał. Milicjant strzelał do stoczniowca. Może to był jakiś inny robotnik, tego nie mogę powiedzieć. To był oficer, porucznik czy

podporucznik, miał chyba dwie gwiazdki. Trafił tego chłopca. Co się stało z porucznikiem, to nie wiem, bo poszliśmy na Komendę. Tam już nikogo nie było. Wisiały tylko płaszcze skórzane. Akta spalili, wzięli dwie drabiny i uciekli do więzienia. To są "bohaterzy". Jak niczego nie zrobił, to czego się boi? On się wywodzi z klasy robotniczej i nie powinien uciekać przed robotnikiem. Później wróciliśmy, była gdzieś godzina 13-14, i zaatakowaliśmy ich na dworcu. Było ich ze dwudziestu może. Schowali się tam do kibla, głupie. Część ludzi zaatakowała ich na ulicy 3 Maja. To oni uciekli na dworzec, a my zaatakowaliśmy ich z "Monopolu" i zrobiliśmy im na dworcu wyciak. Przy dworcu, tam gdzie jest dziura zamurowana, widzieliśmy czołg. - "Wojsko, wyjść!" - Wojsko nie chciało wyjść. - "Wyjdźcie chłopaki, nikt do was nie ma pretensji" - Wojsko wyszło, mieli lzy w oczach. Weszliśmy do czołgu. Jedziemy na Stocznę. Jeden w prawo, drugi w lewo, a czołg wjechał lufą w garaż. Już tam został. Później poszliśmy na Stocznę.

Naprzeciwko partii widziałem milicjanta, jak atakował, strzelał. Oni uciekli, a on się zagapił. Łebki go zaatakowali tam, gdzie teraz jest to hasło: "Klasa robotnicze przodującą siłą narodu". Każdy go bił i po milicjancie. Karetka przyjechała. Myślałem, że to karetka pogotowia, a to przyjechała milicja. Każdy się usuwał, a tu gliniarze zaatakowali. Było ich sześciu. Rzucili petardy od Elżbietańskiej.

Przyjechaliśmy na Stocznę. Poszliśmy do dyrekcji robić swój komitet strajkowy, ale oni nic nie gadają, żeby coś załatwić. Tu trzeba zjeść. Chłopaki mówią, że milicja chodzi już po domach. Więc

nie ma po co iść do domu, trzeba się zorganizować. Tacie nawoływali, żeby się rozejść, iść do domu. Pamiętam, zorganizowaliśmy żarcie. Komitet zorganizował się z aktywnych, chyba na pierwszym piętrze w gabinecie dyrektora. Dyrektor był obok. Zebraliśmy się. Pamiętam, był tam Heniek Jagielski. On bardzo zaciągał, pochodził ze Wschodu. Ale teraz już się nauczył po polsku mówić. Nazwisk sobie nie przypominam. Z naszego wydziału w pierwszym Komitecie byli: Międlarz, Bifkowiaki... był też trzeci, ale zapomniałem nazwisko. Byli to ludzie niepewni. Chcieliśmy po Grudniu tego Bifkowskiego z naszego wydziału wyrzucić. Kierownictwo za nim stało. On ma zasłużonego stoczniowca, ormowca. Został do dziś. W strajku zachorował. Żaden fachowiec. Taki sam jak Gierek.

Pierwszy komitet powstał, jak byliśmy pierwszego dnia na mieście. Oni sobie zrobili komitet. Było to we wtorek, gdy poszedłem na salę BHP. - "Co ty opowiadasz? To jest dobry komitet. Jak go dyrekcja wybrała, to mogą coś załatwić dla ludzi". - "Zobaczmy ilu tam jest partyjnych". To było drugiego dnia. Poszedłem z ludźmi i mówię: - "Partyjni, proszę niech podniosą ręce do góry". Oni mówią, że nie są partyjni. - "Proszę wyjść". Las rąk się podniósł. To ja mówię: - "Z kim tu gadać, sami partyjni. Nie ma z kim gadać".

To było na małej sali BHP. Jak pamiętam, tam były długie stoły. Ludzi było około 150. Oni siedzieli przy tych stołach. To był komitet wybrany przez dyrekcję. Myśmy się nie zgadzali z nimi. Pamiętam jak dzisiaj, wróciliśmy do dyrekcji i nie przerywamy strajku. Zebraliśmy się z powrotem w dyrekcji. Strajkujemy dalej. Siedzieliśmy z wtorku na środę. Wyżywienia na każdego starczyło,

chleba i zupy w bród. Mnie upoważniono do wydawania żywności na kotły. Poszedłem do dyspozytora, pobrałem herbatę, chleb.

W komitecie było nas z 15 ludzi. Zapisywali z wydziałów. W środę dyrektora z nami nie było. Na wydział wychodziłem może ze dwa razy, tak cały czas byłem w dyrekcji. W każdym razie nie baliśmy się, ufaliśmy ludziom. Stocznia była obatawiona wojskiem. W środę nawoływali, żeby wychodzić. Ci starsi, to się trochę łamali, bali się, przeżyli wojnę, pracowali tyle lat. W środę po obiedzia zdecydowaliśmy, żeby opuścić Stocznnię. Był przy tym dyrektor. Wyszliśmy wieczorem. Ja poszedłem do lekarza, dostałem dwa dni zwolnienia, lotniłem się, prysnąłem atąd, dostałem wiadomość od ojca, że już ktoś się pytał o mnie. - "Gdzie syn jeat, co robi?". Ojciec: - "Nie wiem".

Przyjechałem do Stoczni, już nie miałem wejścia. Przepustki były inne i już mnie nie chcieli wpuścić. - "Jak to? Przecież tyle lat tu pracowałem?" Przedzwoniłem na wydział, wydali mi przepustkę. Brygadziata, partyjny, przyniósł mi przepustkę. Wpuścili mnie. Było takie ogrodzenia na 3-4 metry. Stały tam jakieś silniki. Kazali mnie przyjść, żebym jakieś śrubki przebiarał. Kto do mnie przyjdzie, to kierownik Paruzal: - "Panowie, rozejść się do roboty".

Po pracy zachodzę do domu. Po drodze kupiłem sobie gazetę. Przebrałem się w pidżamę. Była godzina 16. Położyłem się. Ktoś puka. Gospodyni wpuściła. Mieszkałam na Twardej, róg Chwaszczyńskiej i Twardej. Tam wynajmowałem pokój. Było to w styczniu, 2 lub 3 stycznia. Wezzło dwóch po cywilnemu. Chcieli, żebym poszedł z nimi. Już wiedziałem, o co chodzi. Chciałem łóżko ścielić, nie lubię

mieszkać w barłogu. - "Niech pan nie ścieli, zaraz pan wróci, panu się krzywda nie stanie". Kazałem się odwrócić, rozebrałem pidżamę, ubrałem się. Jechaliśmy warszawą na Okopową. - "Czy pan uczestniczył w strajku?" - "Dlaczego miałem nie uczestniczyć?" - "Był pan w wozie z megafonizowanym?" - "Tak, jak najbardziej byłem." - "Kto jemzce z panem był?" - "Nie pamiętam."

Nawet dziś nie pamiętam. Im chodziło o tych, co byli w woza, sie zdjęć mi nie pokazywali. Tylko konieczna chcieli wiedzieć, dlaczego ja powiedziałem: "Śmierć z gubernatorem!". - "Jaki to gubernator?". Mówię: - "A kto to jest ambasador, to jest gubernator. Taka jest prawda, że nie mogę się tego wyprzeć". Pyta się, co mną powodowało, że jestem wzburzony. - "Pan ma czyate rączki, pan nie napracowany. A my pracujemy i nic nie mamy". Mówi, że jestem wróg socjalizmu. - "Przepraszam bardzo, czy to ja strzelałem, czy ja coś robiłem? Wyście strzelali, wyście robili". Kazali mnie życiorys napisać. Mówię: - "Panowia, życiorys, podanie to mam w dyrekcji. Proszę uprzejmie. Po co mam pisać? Jestem po pracy, zmęczony jestem".

Nie mogę powiedzieć, nie uderzyli mnie. Ten, co ze mną rozmawiał: - "Co, nie będziesz pisał?" - "Nie, nie będę pisał". Zły. Złapał za krzesło, chciał mnie krzesłem uderzyć. To ja złapałem za drugie krzesło. Wkurwił się, poszedł. Za chwilę przyszedł taki inny. - "To wariat, my sobie porozmawiamy grzecznie". - "Jakięgo człowieka wy tu zatrudniacie. Pan inteligentny, to proszę bardzo". - "Widzi pan, przecież partia źle nie chce, taka jest sytuacja". - "Ale jeść nie ma co". On już swój nastrój zmienia. - "Mógłby pan życiorys napisać". - "Mógłbym, ale co to panu da?". Wiem,

że były jakieś ulotki pisana ręcznie, oni chcieli chyba mieć mój charakter pisma. - "Ja, panowie, muszę iść rano do pracy." - "To my pana odwieziemy."

Gdy mnie odwieźli, była gdzieś godzina druga. Ja im nic nie napisałem, nic nie powiedziałem. Później poszedłem do pracy. Dwa tygodnie pracowałem. Siedziałem ze tą klatką. Za dyrekcją w baraku oni mieli swoją komórkę UB. Taki Miaztał porucznik czy kapitan. Tam mnie po Grudniu wzywali.

W międzyczasie w styczniu czy w lutym odbyły się wybory do rady wydziałowej. Były to jakieś przyspieszone wybory. Odbyły się one chyba w lutym 1971 roku, już po zwolnieniu Nowickiego. Taki młody sędzia go sądził. Komuniasta musi być. Przed wyborami przyszła z rachuby taka niewiasta i mówi: - "Panie Subda, ktoś koło pana chodzi. Koniecznie chce deklarację wydstać". Ja do związku nie należałem. Wezwali mnie do tego bez ręki, nazywał się Borowski chyba, personalny, stary ubowiec. Chciał, żebym napisał za co i kiedy ja byłem karany. Mówię: - "Przepraszam bardzo pana, ale ja tu nie będę nic pisał." - "Pan nie będzie pisał, to pan pożałuje." - "Nie mam co żałować."

Nie napisałem, i nic.

Relacja Włodzimierza Ostrowskiego,
pracownika Stoczni Gdańskiej im. Lenina,
z czerwca 1981 r.

Byłem pracownikiem Stoczni Gdańskiej również w momencie rozpoczęcia akcji protestacyjnej w grudniu 1970 roku. Teraz, akoro istnieją możliwości wolnego wypowiedzenia się dla stworzenia pełnego obrazu Grudnia... nie wiem, czy moja wypowiedź może się też przydać, ocenią to inni. Poza tym robię to z własnej woli i chęci.

Zaczęło się od poniedziałku. Siódma godzina i cała Stocznia gromadzi się przed dyrekcją, oczekując możliwości zawiązania się jakiejś akcji proteatacyjnej wspólnej - robotników z dyrekcją Stoczni. Oczywiście w pierwszym momencie nie potraktowano nas poważnie. Poazliśmy więc wszyscy pod KW, gdzie oczekiwaliśmy na wyjście władz partyjnych. Przede wszystkim chodziło o Kociołka, I sekretarza, którego tam prawdopodobnie już nie było, już nie pamiętam, w każdym razie wyszedł ktoś w jego zastępstwa. Widziałem go, ale nie mogłem ayszeć. Stałem w odległości gdzieś 300 metrów mniej więcej, na rogu szpitala WOKP.

Reakcja tłumu udzielała się falowo. Ci, którzy ayzali, rozumieli, co się dzieje na początku tłumu - przekazywali informację i reakcja przelawsia się jak fala. Były tam jakieś dosyć brutalne azarpaniny... i już wtedy zorganizowaliśmy wóz zradiofonizowany, którym się poaługiwaliśmy wracając do Stoczni.

Wróciliśmy do Stoczni i rozpoczęliśmy propagowanie akcji proteatacyjnej w innych rejonach Stoczni.

Marszem przez Stocznę Północną wyszliśmy na Jana z Kolna i poażliśmy pod Politechnikę. To już było około 13-ej. Oczywiście studentów, którzy byli w Marcu tacy aktywni, chcieliśmy przekonać do swoich racji, do awojej manifeatacji. I wtedy wyazedł rektor czy dziekan, zabrał głos w tym woze-radiowozie. Niestety, zaczął nawoływać studentów do nie przyłączania się do tej akcji proteatacyjnej. I zotał wypchnięty z tego wozu, nie pozwolono mu na dalaze zabieranie głosu do atudentów... Następnie całą grupą, w której i ja byłem, poszliśmy aleją Zwycięstwa z powrotem pod Komitet Wojewódzki - to była gdzieś godzina 15.00-16.00. W każdym razie już azarzało, część manifestujących - o czym dowiedziałem się dopiero później - przeazła pod budynek Radia i Telewizji Gdańskiej, celem ich przejęcia. Zawładnięcie ośrodkiem nie udało się prawdopodobnie dlatego, że zostały usunięte części aparatury, które były nieodzowne do przekazywania programu. Ale wracajmy do moich wspomnień...

Jaateśmy dokładnie przy Komitecie Wojewódzkim - kordon, front milicjantów uatawiony w okolicach kościoła św.Elżbiety, gdzieś w kierunku tego fortu tam na Polańskiej - no w takiej linii oni stali. W każdym razie myśmy chcieli zacząć okupować Komitet, uważając, że to jest - tak mi się wydawało - pewna forma protestacji. Niestety nie dopuszczono nas pod dom Komitetu Wojewódzkiego, siłą nas odepchnięto, gdzieś w okolice dworca gdańskiego i wtedy właśnie część z nas zdecydowała się na walkę uliczną, gdzie kamieniami i różnymi aposobami staraliśmy się przełamać ten front i zniaczyć milicjantów, którzy przeazkadzali nam, zamiast utrzymywać porządek.

W tym momencie stałem w miejscu, gdzie rosło drzewo i stał kiosk "Ruchu". Po przeciwnej stronie był kiosk z napojami - jeszcze do tej pory jest ten kiosk, zaraz przy przytanku... w tym momencie widzę podbiegających do tego kiosku milicjantów z petardami, z jakimiś urządzeniami zapalającymi i zapalających ten kiosk. Widziałem jak zapalali kiosk i... rozwalali, demolowali. Następnie myśmy się cofnęli i zaczęliśmy utrzymywać taką walkę na kamienie, dowożąc nawet wózkami akumulatorowymi, bo już w ogóle wtedy były wózki... i z tego dnia pamiętam tylko tyle, że... ciemno już było, bo grudzień i wcześniej ciemno... Pamiętam, że tę milicję odepchnęliśmy. Zresztą oni chcieli nas okrążyć, bo nasza grupka była już doayć liczna - było nas około 3-4 tyiąca ludzi. Niestety, wtedy w poniedziałek nie udało nam się osiągnąć tego celu, żeby okupować Komitet Wojewódzki. Walki takie właśnie szarpane, jak rzucanie kamieniami i uderzanie dla przełamania tego frontu milicjantów, nie dały rezultatu...

I co chwilę milicjanci pędzili nas, a za chwilę my pędziliśmy milicjantów. I tak w kółko. Milicjanci, chcąc nas okrążyć, poszli górą - ul.3 Maja i chcieli zejść na dworzec. I były także akcje na dworcu, kiedy już siedzieliśmy w kolejkach, chcąc nimi pojechać, a milicja była już na dworcu. Zaczęliśmy zdawać sobie sprawę z tego, że natężenia siły milicyjnej i w ogóle natężenie siły zbrojnej rośnie i... z moich odczuć wynikało, że reakcja tłumu wpływała wtedy na każdego. I nie wiadomo skąd tłum raptem jakby się płoszył i uciekał. I wszyscy robili to samo... Takie są moje odczucia z obserwacji. I właśnie na tym dworcu wywiązała się znowu walka z tymi milicjantami. Raz my odpy-

chaliśmy milicjantów, raz oni nas gonili. W każdym razie, pamiętam - była godzina 24.00, przezeźdłiam torami pełnymi ludzi... Ktoś chciał ruszać kolejką, ale ktoś inny zwalniał hamulce i kolajki atawały. To wszystko rozeszło się gdzieś około 1.00 w nocy we wtorek i już był spokój.

Przyzedłem do pracy we wtorek o godz.6.00 rano i znów jasteśmy pod dyrekcją Stoczni i znowu chcemy jakiejś organizacji tego wszystkiego, żeby to nie było tak chaotyczne i tak spontaniczne. Nie wiedzialiśmy nawet, jakie konsekwencje mogą z tego wyniknąć, no ale we wtorek dowiedzieliśmy się, że grupa atoczniovców siedzi w więzieniu. Prawdopodobnie w więzieniu na ulicy Swierczewskiego czekając na rozprawę. No i z wielkim gniewem - zaczęło się od tego gniewu - poszliśmy właśnie pod to więzienie. Taraz to już siły nasze są potężne, przełamujemy front milicjantów koło Wojewódzkiego Komitetu i idziemy w kierunku więzienia. I tam właśnie było - moim zdaniem - może najbardziej gorąco, najbardziej burzliwie, ponieważ chcieliśmy rozwalić tę bramę. Nie udało się rozwalić tej bramy...

Pamiętam, że ci aresztowani chcieli przemawiać tam do nas. Nawet jeden z nich pokazał bosą nogę - to taki szczegół. Ale był taki tłum i szum, że nic nie było słyhać. W każdym razie wiem na pewno, że z tego gmachu milicyjnego wyszedł jakiś człowiek ubrany po cywilnemu i niestety nawet nie dano mu dojść do słowa, bo zaczęto rzucać z autereny petardy na nas. Tymi petardami chciano nas rozproszyć. Bunt i złość spowodowały, że po drodze do Komendy Miejskiej MO zostały apalone przez nas samochody, które atwały przy Komendzie i przy Miejskiej Radzie Narodowej.

Była to forma protestacji, buntu. Forma jakiejś takiej rozprawy... to była wtedy potężna emocja, potężna chęć przełamania reżimu. Wtedy nawet nie wiedzieliśmy, że to jest reżim. Ja zresztą miałem wtedy 19 lat i nie byłem zorientowany dokładnie, jak to jest z tym wszystkim, ale wracając do faktów... Milicja zgromadzona na ul.3 Maja zorganizowała akcję odcięcia naszej grupy ludzi, zgromadzonej już pod więzieniem, od pozostałej grupy i puściła tramwaj-widmo, a za tym tramwajem-widmo poleciała grupa około 50, a może i więcej milicjantów, chcąc rozpędzić ten nasz tłum. Nie udało im się nas rozpędzić, udało się natomiast przedostać do nas, odciąć nas od nich, ale akcja potoczyła się tak szybko i tak sprawnie przez naszych ludzi - nie wiem przez kogo... nie było przecież żadnej organizacji... sprawnie przeprowadzono taki manewr, że tę grupę milicjantów wciśnięto do wnętrza przy wejściu do budynku Miejskiej Rady Narodowej - i w tym momencie poleciał na nich grad kamieni, który ich zmasakrował i oni nie widząc innego wyjścia, musieli iść w tłum do nas, żeby nie obrywać kamieniami. I właśnie też, o mały włos tam nie oberwałem, bo posunąłem się tak do przodu, że kamienie, które rzucali inni z tyłu, trafiały w nas samych. Po pewnym czasie znalazłem się gdzieś w środku między wejściem do MRN a Komendą Miejską Milicji. Słyszę atrzał - oglądam się i widzę - młody chłopak, któremu z tętnicy szyi tryska krew... Moment konsternacji, i patrzę - milicjant... podniosłem pistolet, który został wyrzucony przez milicjanta, schowałem do kurtki, ale po chwili zorientowałem się, co zrobiłem i ten pistolet został przeze mnie wyrzucony, po prostu niespostrzeżenia wyrzuciłem go...

Była taka historia, że milicjanci, którzy byli w posiadaniu gazików z użyciem gazów łzawiących... właśnie co nas najbardziej rozwścieczało i co nas najbardziej prowokowało, aby rzucić się na przedstawicieli władz, to właśnie fakt, że milicjanci, którzy mieli też osobiste wyrzutniki gazów łzawiących, strzelali w nas zamiast w górę - prosto w nas, czyli to też była taka... Ale powracając do tej organizacji tłumu - wiem, że wtedy na ul. Kartuskiej czy na Świerczewskiego miano wymienić linię trakcyjną i słupy betonowe, które były do tego przygotowane, użyto jako barykadę - zostały one poustawiane dalej, gdzieś mniej więcej od szpitala im. Kopernika, tak że nikt z tamtej strony nie mógł nas zaskoczyć... I taka jakaś organizacja... Skąd to się wazytko brało, to dosyć trudno mi jest powiedzieć... W każdym razie po tym strasznym widoku krwawiącego chłopca i po zabraniu przez karetkę pogotowia tego rannego i milicjanta, odszedłem atamtąd i poszedłem zobaczyć, co się dzieje przy Komitecie Wojewódzkim. Oglądałem tam rzeczy, które w normalnych warunkach byłyby niemożliwe. Jakbym oglądał film jakiś i nie wiem, gdzie się znajdują: wszystkie rzeczy, które znajdowały się w Komitecie, były wyrzucone z wściekłością. To były krzesła, dywany, materace, stoły, telewizory... Było już mnóstwo pijanych ludzi, aklepy zaczęto okradać... Zaczął już płonąć Komitet...

Chciałem iść jeszcze na ul. Garncaraką, gdzie też były atarcia i walki z milicjantami, ale nie udało mi się, gdyż rozeszła się wiadomość, że będą nas atakować czołgami i zaczęliśmy przygotowania obronne, budując barykadę tuż przed dworcem - via a via wejścia na dworzec. Znajdowałem się

gdzieś na środku torowiaka i słyszę przez potężny megafon milicyjny, że... aha, i żołnierz na górze na ostatnim piętrze, na azzwyczajie KW z karabinem maszynowym w rękę - z tym rkm-em... oraz ten milicjant z megafonem, krzyczeli, że jeżeli się nie rozejdziemy, to otworzą ogień. A ludzie już ich tam piętrami wykurzali stamtąd. Dowiedziałem się, że rabowane są sklepy, więc przeszedłem się zobaczyć, bo ciekawiło mnie, jak to wszystko wygląda. Poszedłem na ul. Heweliusza i ten sklep zaraz tutaj na lewo... i w tym momencie helikopter przeleciał i cała ulica została zasypana gradem petard i gazów łzawiących, ale niemniej sklep już był rozbity, ograbiony; następne sklepy na Rajskiej tak samo... Stwierdziłem, że już nic nie ma ciekawego i wróciłem z powrotem na plac przed dworcem - na tę całą arenę wydarzeń. Ustawiliśmy "Stara 66" wojakowego i jeszcze jakiś samochód - nie pamiętam - w poprzek na tę barykadę. Tak... i już te czołgi jechały... Pamiętam człowieka, może nietrzeźwego, który z podnieconymi do góry rękoma chciał zatrzymać ten czołg /ja stałem dokładnie w miejscu latarni, tej latarni takiej betonowej, potężnej dworcowej, tam gdzie teraz jest przystanek autobusowy' . i pamiętam moment, że no ile - 20, a może 10 metrów przed czołgiem człowiek ten odskakuje i ten czołg leci, leci, hamuje, chce ominąć tę barykadę, a w jakiś tam sposób go azarpię. Następne czołgi już zwalniają bieg. I pamiętam jak dziś - tam przeprowadzano roboty kanalizacyjne i była taka rura kanalizacyjna przeznaczona do wymiany, która została włożona między gasienice i czołg zaczął wirować w kółko - natychmiast na czołgu znaleźli się atocznicy. Nie wiadomo - jadni ich bili, drudzy im broń

zabierali, a jeszcze inni ich całowali... więc trudno było w tym momencie o jakąś ocenę tego co się stanie z tymi żołnierzami. W każdym razie jeden ze skotów został opanowany i tym skotem oni prawdopodobnie pojechali do Stoczni - wiem, że ten skot pojechał do Stoczni, uderzył w słup telegraficzny /słyszałem o tym później/ i do Stoczni nie dojechał. Na dworcu... dworzec zaczął się już palić... aha, już wtedy widziałem ludzi, wracających z Komitetu Wojewódzkiego z krótkofslówkami - każdy w jakiś tam sposób uzbrojony. Pamiętam taką rzecz: straż pożarna, nie wiadomo skąd - ta, która później stała na złomowisku, pędzi prosto w tłum - nie wiadomo, skąd ona się tam wzięła - leci od strony Komitetu, tam gdzie jest pełno ludzi... i moment, a tej straży nie ma... rozzerwana doszczętnie przez tłum i wozu nie ma. Ale czołgi dały sobie radę - przerwały się przez barykadę i zawracając przed Komitetem Wojewódzkim, wróciły z powrotem. Gdzieś w granicach 30 do 50 czołgów na pewno tam było i rzuciło się na nas. Pamiętam taką historię, że rzucono nawet butelkę pod czołg - nie wiem z czym ta butelka była, chyba z denaturatem, niestety czołg się nie zapalił. Te czołgi uvolniły się od nas. Była już godzina 15.00-16.00, byłem głodny i poszedłem z powrotem do Stoczni. I zdaje się, że wtedy, w tym dniu poszedłem już do domu. Nie wiem, co tam się dalej wydarzyło tego dnia. Następnego dnia, w środę, jesteśmy z powrotem w pracy w Stoczni i ponownie się organizujemy. Na wszystkich wydziałach zawiązuje się już jakaś organizacja. Są jakieś wypowiedzi, jest jakiś komitat strajkowy, już coś jest...

Na moim wydziale W-5 /js przedtem pracowałem

na K-2 lub K-3, w każdym razie kadłubowym, ale później się przenieśli na W-5/ - przywódców nie pamiętam... bo to już 10 lat... w każdym razie tyle co pamiętam, to było tak, że Josyf ostro zabierano się do krytyki tego, co się dzieje w kraju. I wtedy w środę - w dniu, który był dla nas najbardziej tragicznym - nie doszliśmy do porozumienia z nikim. Nasze postulaty nikogo nie obchodziły, nikogo jakby nie bulwersowały...

Były podobne jak w roku 1980 - podwyżka, różnego rodzaju swobody związkowe, różnego rodzaju akcje społeczne, pomoce... takich konkretnych sformułowań nie pamiętam... Jeszcze chciałbym wrócić do wydarzeń na ulicy, mianowicie ulotki, które były rzucane przez helikoptery wojskowe czy milicyjne - nawoływały nas do zakończenia tego strajku.

Zresztą my... ja również wtedy orientowałem się już, że milicja powinna nas pilnować, żebyśmy w jakimś porządku przeprowadzili swoją akcję protestacyjną, a tymczasem oni potraktowali nas tak, jakbyśmy byli jakimś innym państwem, czyli że klasa robotnicza jest innym państwem i to jest wróg, a milicja i cały aparat rządzący wyższych urzędników partyjnych - to znowu jest inne państwo. I konflikt zbrojny między tymi dwoma państwami - no bo myślimy tylko tymi kamieniami... to nie wiem, jak to w tej chwili nazwać, że był to konflikt zbrojny... czort wie...

No i środa - najbardziej tragiczny dzień dla nas - godzina 7.00 rano. Wchodzimy z powrotem do Stoczni, nie dogadując się z nikim. Nie otrzymując żadnych konkretnych informacji, żadnych konkretnych wiadomości - idziemy z powrotem na teren Stoczni... Zresztą wielu z nas było młodych

i emocjonalnie podeszliśmy do całej sprawy. Muszę obiektywnie przyznać, że wielu z nas było bardzo pobudliwych. Tak się rzecz w istocie miała. W momencie, kiedy byłem 100 metrów od bramy - a już Stocznis była otoczona przez kordon wojska i milicji - byłem gdzieś na wysokości starego szpitala stocznioowego, ... pada salwa. Słyszę świst rykoszetu i pedam na ziemię, żeby nie otrzymać postrzału. I w tym momencie wiem i nie wiem co się stało. Boję się podnieść - zresztą odczołgałem się gdzieś na bok - wszyscy pozostali, którzy byli przede mną i za mną zrobili to samo. Była to chwila potężna - nie wiadomo co robić, czy wstać, co się będzie działo dalej. Odczołgaliśmy się na bok i każdy powoli wychylił swoją głowę... i pamiętam tylko tyle, że brama zostaje zamknięta. Ci ludzie, którzy zostali ranni, natychmiast zostali przeniesieni tutaj do karetki, która tam stała... mnóstwo krwi...

Nie wiem dokładnie ilu było tych rannych, ilu było zabitych. Ale na pewno było tych kilka osób, które otrzymały śmiertelne postrzały orsz rany ciężkie i lekkie. No i wtedy zrozumieliśmy, że to już nie są przelewki. Zamknęliśmy bramę i z powrotem wróciliśmy pod dyktando, organizując się na wydziałach, gdzie znowu prowadzono rozmowy takiego rodzaju... ale to były tylko rozmowy typu przelewanie z pustego w próżne, bo odbywały się między nami samymi i nie można było żadnych konkretnych posunięć załatwić. Nie wiem, co się stało z tymi rannymi i tymi śmiertelnie postrzelonymi, nie wiem też, czy ten stary szpital już jest otynkowany... pamiętam, że później, po strzaskach zaraz oglądaliśmy ślady po kulach na murze szpitala. Jeżeli szpital nie jest jeszcze otynkowany

do tej pory, to mogę wskazać ślady po kulach... Następnie poszliśmy na wydziały... Pamiętam jeszcze taką sprawę, że kobieta, która miała akurat syna w wojsku, zdaje się w "niebieskich beretach", które to wojska właśnie nas oblegały - kobieta ta zaczęła przemawiać przez stoczniowy rzdiowężeł, który był wystawiony w kierunku tych żołnierzy również - zaczęła przemawiać z wielkim rozgoryczeniem, z wielkim płaczem - że wy żołnierze otrzymaliście od nas broń, żeby nas bronić i tą bronią do nas atrzelacie. W ten sposób przemawiała do sumienia i do serc tych żołnierzy, którzy byli przecież naszymi brscmi, naszymi kolegami... Wiele spraw się wtedy, w tamtym okresie nie rozumiało. Tak jak już powiedziałem - tak jakby dwa państwa istniały, które były w konflikcie: robotnicy i warstwa, która posiadała w tym czasie siłę rozkasu. No i czekaliśmy na konkretne ustalenia, bo już wiedzieliśmy, że są prowadzone jakieś rozmowy. Nie pamiętam właśnie, najgorzej, że nis pamiętam nazwiak tych ludzi, którzy tam wtedy przewodniczyli, ale wówczas nie interesowało mnie to. W tamtej chwili interesowały mnie tylko jakieś konkrety - czy są już załstwione jakieś postulaty, czy nie. No i wtedy właśnie podjęliśmy strajk okupacyjny. Taką ciekawostką jest fakt, że na terenie Stoczni, jak zwykle, działał radiowężeł, natomiast wojsko, mające na wojskowych samochodach megafonizacyjnych potężne urządzenie, zagłuszało nasze komunikaty wydawane przez ten rzdiowężeł. Ale wiadomości i tak były przechwytywane przez nas, ponieważ nadawane były również na wydziałach, gdzie trudno było je zagłumzyć. W każdym razie strajk okupacyjny rozpoczął się takimi zarządzeniami, jak zorganizowanie milicji

stoczniowej, z obawy przed dywersją, z obawy o to, że statki mogą być podpalane przez ludzi przedostających się nielegalnie na teren Stoczni, a wiadomo, jacy to byli ludzie. Nawet sam byłem w takiej milicji i zostałem wyznaczony na posterunku do pilnowania stacji benzynowej, która mogła być zagrożona i też była pod naszą kontrolą, żeby nie doszło do dywersji... no i pamiętam sympatyczny gest ludzi z zewnątrz, którzy chcieli nam pomóc, dając nam bochenek chleba, papierosy i masło.

Gdzieś około godz.16.00 opuszczamy Stocznnię po słownym, tylko słownym załatwieniu naszych postulatów. W każdym razie wiem, że Stocznia została jakby rozwiązana, bo później ja dostałem ponownie nowy angaż, dostałam też nawet te pieniądze strajkowe, co też było w postulatach - że za okres strajku mamy otrzymać wynagrodzenie jak za urlop. Wracając jeszcze do wypowiedzi poszczególnych ludzi podczas organizowania na wydziałach komitetów strajkowych - po prostu były to żale, kłótnie, krzywdy... Do domu wróciłem kolejką - właściwie samo wychodzenie ze Stoczni, to było dosyć straszne, bo na tym moście drewnianym byli ustawieni na przemian: milicjant - wojskowy - milicjant - wojskowy... i w dalszym ciągu byliśmy niepewni, co może się stać. Ale nic... szliśmy, wiedząc, że zostaliśmy zapewnieni przez rząd, że nic nam nie grozi. I do domu wróciłem między godziną 16.00-17.00 następnego dnia, czyli już we czwartek. I na tym wydaje mi się, że będzie już koniec. Bo pracę podjęliśmy ponownie dopiero po nowym roku - chyba 4. Zresztą ta cała historia z przyjmowaniem ludzi była też dosyć zastanawiająca. Bo na różnych wydziałach różni ludzie mówili,

że tego nie przyjmą, tego nie przyjęto - i znowu nie wiadomo było, co robić - czy strajkować, czy nie strajkować... W każdym razie w tamtym okresie brakowało właśnie takiej organizacji, jaka jest w tej chwili. Takiej po prostu mądrze prowadzonej rzeczy - nie wiem, jak się zakończy w tym roku sprawa... zakończy - właściwie ona nie może się zakończyć, ona powinna trwać cały czas. No tak, bo inaczej nie rozumiem, żeby coś się mogło zakończyć.

Aha, było jeszcze wielu ludzi, którzy opowiadali różne swoje przeżycia, kiedy wracali z pola walki i oni powinni chyba też tak, jak ja zgłosić się, uczestniczyć w tym odtworzeniu tamtych dni - - trudno mi w tej chwili mówić za nich. Chocisz znam z opowiadań ich przeżycia, nie mogę w ich imieniu mówić o przeżytych wrażeniach.

Chciałem jeszcze zaznaczyć, że mój tutaj akt tego wszystkiego co przeżyłem i teraz przekazałem, to jest wydaje mi się dążenie do jakiegoś poczucia sprawiedliwości, chociaż wiem doskonale, że tak trochę mówię tylko o sobie.

Relacja Romana Detla,
pracownika
Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego
w Gdańsku,
z listopada 1981 r.

W tym czasie pracowałem w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego w Gdańsku na Siennickiej na stanowisku mistrza wydziału obróbki skrawaniem. Około godziny dziesiątej dotarła do nas wiadomość, że na terenie Stoczni o godzinie 16.00 będzie odczytany list I Sekretarza Komitetu Centralnego, Gomułki i członkowie partii obowiązkowo mają się stawić do zakładu pracy. Kazimierowski był w tym czasie sekretarzem na wspomnianym wydziale, a żona jego również była członkiem partii - chodziła z listą, żeby się podpisać i na godzinę 16.00 stawić się do zakładu pracy. Mnie zastała kiedy przekazywałem dla drugiej zmiany pracę. Podeszła do mnie i mówi: - Mistrzu, proszę podpisać i przyjść na godzinę 16.00 do Stoczni.

Wiadomość o podwyżce artykułów żywnościowych różnymi kanałami do nas dotarła. Oburzenie wśród załogi nie wykluczyło również i mnie. Dorabiałem się w warunkach trudnych, powiedziałbym bardzo trudnych, bo pracowałem jeszcze dodatkowo poza pracą zawodową na pół etatu fizycznie - aby się nie zadłużać.

Odmówiłem podpisu. Ja tego podpisu nie złożyłem na liście. Natomiast z wielkim oburzeniem skwitowałem to, że żyjemy wszyscy dwadzieścia parę lat, aby tylko przetrwać. Nie przyjąłem tej wiadomości i nie stawiłem się na zebranie tego dnia, ponieważ pędziłem szybko do domu. Mieszkałem w odległym od Gdańska o 30 km Tczewie, gdzie do dzisiejszego

dnia mieszkam. Aby zgromadzić w domu jakieś małe zapasy żywności, kupiłem po przyjeździe do domu kilka paczek herbaty - pamiętam dokładnie - mąki ze sześć kilogramów - no i cukru. To było wszystko, co mogłem otrzymać. O artykułach z mięsa już tam nie było mowy. Do środy miałem kontakt zerwany z zakłosem pracy, ponieważ w poniedziałek i wtorek miałem urlop. Planowany był wyjazd w okolice Białegostoku z grupą ludzi pracujących na tym samym wydziale, po żywność. Tam ta żywność w tym czasie była tańsza. Nam kolejarzom opłacało się tam jechać. W poniedziałek wracając z okolic Sokółki, w Białymstoku myśmy nie odczuwali, że coś się na Wybrzeżu wydarzyło. Natomiast kiedy była przesiadka w Olsztynie - ten pociąg odjeżdżał po północy albo przed północą - wsiadający pasażerowie już szepotali sobie, że coś się w Gdańsku wydarzyło. Kiedy żeśmy dojechali do Elbląga, to żeśmy już odczuli, że coś się musiało wydarzyć w Gdańsku, ponieważ zwiększone były patrole milicji. Poza tym osoby wsiadające w Elblągu potwierdziły, że rzeczywiście w Gdańsku miały miejsce rozruchy robotnicze. Jakiś taki lęk albo przerażenie ogarnęło każdego, bo przecież każdy był obławowany, bo przecież, jak się jechało na zakupy, to nie tylko dla siebie, ale od razu dla groźnych przyjaciół. Czy przypadkiem nie zaczęną konfiskować tej żywności? Ale kiedy wysiadłem z pociągu w Tczewie, nie spotkałem żadnego patrolu milicyjnego na peronie ani na samym dworcu. Miasto było głucho i cicho było wokół. Do domu doszedłem bardzo spokojnie i kiedy żona mnie powitała, zrelacjonowała mi po trosze wydarzenia z Gdańska, ponieważ lekarze przyjeżdżający z Gdańska do Tczewa do szpitala na dyżur częściowo opowiedzieli co się wydarzyło.

We wtorek - nie zdawałem sobie sprawy, że rozruchy, protest robotniczy powtórzą się również we wtorek - udałem się pociągiem do Gdańska. Pociąg planowo odjechał z Tczewa. Prasy, "Głosu Wybrzeża" już kupić nie można było, tylko kupiłem "Dziennik Bałtycki". Na pierwszej stronie "Dziennika Bałtyckiego" kolejno wyliczano, co wytłuczono i co zniszczono w pierwszym dniu. To się tyczyło poniedziałku. Taka była relacja z prasy, którą przeczytałem. I pociąg o dziwo jechał do Pruszcza Gdańskiego swoim normalnym pianem. Natomiast od Pruszcza już nie jechał normalnie. Jako kolejarze to myśmy się orientowali, co się dzieje na szlaku. Wsiadła większa grupa pracowników pracujących w Pruszczu Gdańskim. W ubraniach roboczych, kombinezonach, z flagą narodową. Pamiętam, że jedna grupa śpiewała hymn narodowy "Jeszcze Polska nie zginęła", inna grupa śpiewała "Międzynarodówkę". Wsiadli do pociągu. Pociąg ruszył na czerwonych światłach i tak wolniutko żeśmy dojechali do Orunii. W Orunii był krótki postój i pociąg dalej ruszył w kierunku Gdańska. Dojechał mniej więcej na wysokość obecnych magazynów wojskowych, które się znajdują na ulicy Jedności Robotniczej. Na tej wysokości stanął. Przed nami stała bardzo duża ilość pociągów osobowych nie dowożących już ludzi do samego Gdańska. Słychać było głucho wybuchy patard, okrzyki. To było gdzieś między godziną ósmą a dziewiątą. Widać było powoli idących robotników Zakładów Naprawczych dojeżdżających z Tczewa, którzy kierowali się na autostradę, koleją szli, bo tam było najbliżej. Ja oczywiście wysiadłem, zabrałem swój plecak, bo miałem w Gdańsku rodzinę liczną, żeby ich zaopatrzyć w artykuły żywnościowe, które kupiłem. Namawiali

mnie, Roman, nie idź dzisiaj do Gdańska, bo tam się dzisiaj będzie lała znowu krew. Ja po prostu nie zdawałem sobie sprawy z powagi tamtych dni. Idąc koleją w kierunku Gdańska doszedłem do nastawni w Gdańsku Głównym. Ulokowałem swój plecak w bezpiecznym miejscu i sam udałem się pod gmach Komitetu Wojewódzkiego. Gdyby mnie teraz ktoś zapytał, czy to była ciekawość, odpowiedziałbym: to nie była ciekawość. Ja po prostu czułem się zobowiązany uczestniczyć w tym tłumie protestującym. Mimo to, że byłem jeszcze w tej chwili członkiem partii, tam było moje miejsce. Po stronie tych właśnie protestujących, nie po żadnej innej stronie.

Do gmachu Komitetu Wojewódzkiego dochodziłem z okolicy nastawni, drogą, gdzie jest wysypisko koło torów i ekspedycja towarowa. Co ja widziałem na tym odcinku? Stały dwa samochody wojskowe typu Star-66, rozbrojone zresztą te samochody były. Grupy ludzi wiwatujących, bo to jedn się dopalał, pod drugim tam jeszcze któryś z ludzi podkładał pod niedopalone koła kawałki palącej się gumi. Po prostu ludzie wyżywili się na sprzęcie, który miał służyć chyba do stłumienia protestu ludzi wołających wówczas "chleba i wolności". Takie słowa się powtarzały bardzo często. W tym czasie widziałem, że były osoby, które fotografowały cały czas i nagrywały te historie, co było dla mnie rzeczą niespotykaną. Przecież ja pierwszy raz tam widziałem sprzęt do nagrywania. To był sprzęt wielkości takiej teczki, tak że jedna osoba trzymała mikrofon, druga walizkę. Pierwszy raz widziałem, jak odbywa się takie plenerowe, z akcji bezpośredniej nagrywanie.

Przebywałem w okolicach Komitetu Wojewódzkiego. W pewnym momencie widziałem szpaler ustawiających

się milicjantów w bardzo młodym wieku, ubranych w panterki, z ogromnymi tarczami w lewej ręce, w kaskach na głowie i z pałkami milicyjnymi. Kiedy stanęli w szyku takim zwartym na całej długości jezdni przy Komitecie Wojewódzkim, ten zwarty szyk milicji zrobił miejsce, przejście, przez które przejechały dwie a może i trzy karetki pogotowia na syrenie i później te karetki w tłum się wpisały i kiedy ostatni samochód przejeżdżał ten zwarty kordon milicji ruszył zwartym biegiem w kierunku tłumu, goniąc tłum z pałkami milicyjnymi. Tłum się rozpierszył. Ja również z tych okolic podbiegłem w kierunku apteki kolejowej i tam obserwowałem.

Odległość ode mnie do skwerku, na którym stał w tym czasie samotny jeden chłopak wynosił jakiś nie więcej jak długość jezdni. Na krawężniku stał jeden chłopak z tornistrem na plecach, miał tarczę szkolną na rękawie, mógł mieć nie więcej niż jedenaście lat, nie mógł być starszy. Po prostu wzrost jego wskazywał na to. Cofający się jeden z milicjantów podbiegł do stojącego na tym skwerku chłopca, i takim ruchem o 90 stopni od niego się obrócił, zrobił zamach - jak tenisista i uderzył pałką dziecko w podbródek. To dziecko padło jak ścięte, jak grzyb by się ścinało. Padło to dziecko nieruchomo i nie twarzą do ziemi padło, tylko wydawało się po uderzeniu, jakby jakiś ciężar mu na plecy załadowano i on na znak się przewrócił. Oprawca spojrzał na swoją ofiarę i buciorem stanął chłopcu na szyi, tu gdzie przed sekundami uderzył go pałką. Stanął całym ciężarem, lewą nogą stanął mu na szyi i wzdłuż głowy to dziecko godził. Ile razy on mógł to dziecko uderzyć? Może trzy, może cztery razy, bo więcej razy już

nie zdążył. Tłum widząc co ta bestia robi, w pierwszej chwili rzucił kamieniem. Ja już się posuwałem razem z tym tłumem. Choćby ktoś tam nawet biernie stał, to musiał się posuwać, bo przez tłum był popychany. Milicjant został w pozycji takiej, jakby przykucniętej, bo ta jedna noga spoczywała na szyi dziecka, oparty był na prawej nodze i prawą ręką trzymał pałkę wzdłuż główki tego dziecka. Głowa była kompletnie zalana krwią. To była jedna krew. Tam nie było możliwości stwierdzenia: oko, nos, tam było zalane wszystko krwią. Kiedy pierwszy kamień ugodził go - on się zorientował, bo okrzyki były "morderca" - zrobił w tył zwrot i zaczął uciekać w kierunku zwartego tam tłumu. No, po prostu tłum opanował sytuację i spychał ten zwarty kordon milicji w kierunku kanału. Tak, że on starał się tam dobiec, ale już nie zdążył, gdyż kamień - dokładnie pół cegłówki to było, tak, pół cegłówki było, bo później na ten kamień żeśmy patrzyli wszyscy - ugodził go w kark. Kask mu się lekko przekręcił na głowie. On tylko zdążył pociągnąć za rzemień, który tu pod brodą jest, wyprostować się... Ale w tym miejscu było jeszcze ślisko, bo przed chwilą stało tam jeszcze masę ludzi, on się delikatnie potknął. W tym momencie ktoś dobiegł do niego i ugodził go. To nie był raczej pręt, to była śruba - pręt metalowy o średnicy gdzieś około 20 mm i został ugodzony identycznie, jak on to dziecko uderzył w głowę, bardzo podobnie. Został uderzony również, no tam kilka osób było, które wykonały wyrok od razu. Ja odczułem, że to był wyrok na bestii wykonany. To był zbrodniarz, który został ukarany właściwie. Ile trwało zanim przyjechało pogotowie? Bardzo krótko, bo do pogoto-

wia kolejowego to będziesz zaledwie jakieś 300 metrów. I ktoś to dziecko wziął na ręce. Każdy chciał temu dziecku pomóc, tu chusteczkę ktoś wyjmował, krzyk. Dwie kobisty dostały chyba szoku, złapały się za głowę, jedna "Boże, Boże, Boże" zawołała, druga rozdzierała na sobie coś. Mężczyzna złapał to dziecko i trzymał na rękach. Przewrócił się. Czy go wypuścił z rąk... ja w tej chwili już nawet nie jestem w stanie opowiedzieć. Na widok tego zmasakrowanego ciała - nie tylko głowa była zakrwawiona, krew sięgała mu do piersi - może na ten widok osoba, który trzymała go na rękach zemdląca, czy po prostu się przewróciła... Ten krzyk: "Dziecko, o Boże, za co!", to są na pewno słowa, które pamiętam. Najbardziej przerażający był głos tej kobisty klęczącej, rozdzierającej na sobie ubranie i wołającej: "Boże, Boże, Boże". To są przykre wspomnienia. Ja w tej chwili jestem też rozstrojony, nawet kiedy przypominam sobie ten widok. W tej chwili przyjechało, w tym można powiedzieć dramacie całym, nadjechało pogotowie kolejowe. Wyszedł doktor. Tego doktora znałem z nazwiska. To nawet nie trudno było ustalić, ponieważ ten lekarz mnie leczył nawet kilka razy. To zresztą był to mój bardzo dobry znajomy. On nie żyje prawdopodobnie. W Sopocie mieszkał.

Kiedy lekarz wyszedł, był zdezorientowany. On widział jedno ciało, jedne zwłoki leżały tam, na które pluto, pluli na tego mordercę, dosłownie pluli na niego - i płacz, lament nad tym dzieckiem, nad tym jedynym dzieckiem. Lekarz podszedł do dziecka, wyjął coś w rodzaju opatrunku takiego, wytarł czoło, oczy wytarł dziecku, bo to było wszystko zakrwawione - starannie wytarł. To dziecko wówczas nóżkami w górę zostało, bo ta krew spływała

na czoło. Uniósł powieki temu dziecku, zajrzał... Zwinęto dziecko w prześcieradło i położono na nosze przyniesione z karetki. Lekarz podszedł do tego mordercy, także wytarł mu twarz i zabrano go również na nosze. Przy oporze tłumu, tłum nie chciał pozwolić, żeby jednego i drugiego na tych samych noszach jeszcze zabrano. Wiem dokładnie, że lekarz powiedział, że jego obowiązkiem jest, bez względu na okoliczności, udzielić potrzebującemu pomocy. I to jakoś przemówiło do zbulwersowanego, gotującego się tłumu. To krótkie stwierdzenie, że on jest jednak lekarzem i musi udzielić każdemu pomocy. I ten oprawca też został zwinęty w prześcieradło. Tylko krzyki tych dwóch kobiet - tylko je słyszał było w tym czasie, a wokół wszystko stało w aliczeniu. Losów dziszka i jego oprawcy do dzisiejszego dnia nie znam. To było we wtorek około godziny jedenastej. Jestem święcie przekonany, że to była pierwsza ofiara wtorku. Sądzę, że zaważyło to na tej grupie tłumu, która stała w okolicy KW, że dopuszczono się rozbicia gmachu KW. Mnie się zdaje osobiście, że by do tego nie doszło, ale ten tłum wiedzący, co się stało przed kilkoma sekundami, ruszył jak szalony. Każdy wiedział, że z tego gmachu, że stamtąd przyczyna zła wyszła na zewnątrz. Znalazłem się przy kościele, od szczytu Komitetu Wojewódzkiego, tam w tym tłumie się znalazłem. Jak? Nawet nie jestem w stanie powiedzieć. Pamiętam ten tłum walący się na gmach. Jeden drugiego podsadzał. Przytoczono beczkę z benzyną, starano się tę benzynę rozlać i podpalić. A w tym momencie z górnych okien w kierunku tłumu zostały wycelowane karabiny i głos wołającego przez tubę, żeby tłum natychmiast się rozszedł, bo wojsko użyje broni.

To było powtórzone może jeszcze ze dwa razy, może trzy razy, nie wiem. Tłum nie zareagował na to ostrzeżenie, tylko każdy pchał się, chciał tam do tego środka dojść mając w pamięci tę krew na placu przed tym Komitetem Wojewódzkim. No i nagle głuchy strzał, jak na komendę wydany i wtenczas tłum się cofnął.

Między czołówką tłumy a gmachem Komitetu Wojewódzkiego była przestrzeń wolna. Ktoś z tłumy rozpoczął śpiewać "Jeszcze Polska nie zginęła". I kiedy śpiewano "Jeszcze Polska nie zginęła" budziło się coś... Przed chwilą każdy był jakimś lękiem przesyty. Mnis się wydawało, że wszystkie karabiny są we mnis wycelowane, taka podświadomość była po prostu, ale stałem. Tłum stał zwarty i śpiewał "Jeszcze Polska nie zginęła". I proszę sobie wyobrazić - kiedy przyszły słowa "marsz, marsz Dąbrowski", tłum, jak na komendę, poszedł do przodu. I wtenczas ja sobie zdawałem sprawę, jakie mocne są słowa w hymnie narodowym, że w tej chwilowej obojętności, tego zrezygnowania... tak, że tam "Jeszcze Polska nie zginęła póki my żyjemy", to nie jest takie mocne, ale wtenczas kiedy przyszło "marsz, marsz Dąbrowski", odczułem, że to jest komenda, każdy czuł się jakby stanął twarzą w twarz z wrogiem. Przyszło to "marsz, marsz Dąbrowski" i wszyscy, jak na komendę poszli do przodu. Żeśmy uszli kilka kroków, zaledwie kilka kroków i wtenczas się dopiero zaczęła zemsta na gmachu przed KW. Nie wiem, czy tam dalej relacjonować te wszystkie historie... Teraz tak, proszę sobie wyobrazić, że tłum po tych pionowych ścianach drapał się do góry. To był widok niezapomniany. W sercu się budziło coś, jakby nadzieja jakaś. Bo to "marsz, marsz Dąbrowski" powtarzano kilkakrot-

nis. To była reakcja tłumu. No, odśpiewano "Boże coś Polskę", "Międzynarodówkę" w tym czasie, ale ta grupa, która śpiewała hymn narodowy, to była jakby grupa ocalenia, tak każdy to czuł, tak przynajmniej ja to odczułem. Ja sobie zdawałem z tego sprawę - że ja jestem po stronie tej, która idzie i toruje jakąś drogę wolności. Tak to każdy odczuł. Tam nie było wokół mnie żadnej osoby pijanej, wszyscy trzeźwo patrzyli na sprawę. Jeden drugiemu zazdrościł, że nie mógł być blisko koło tego muru. Ja nie wiem, co w kogo wchodziło, ale że załóżmy być jak najbliżej, żeby chociaż odłamać coś, żeby chociaż szybko zbić /.../, tak ja to przyjmowałem, żeby jak najbliżej, żeby chociaż podać kawałek łomu czy jakiś kamień. Pamiętam, że zrywaliśmy te kamienie paznokciami, jak się dało. Bólu nic się nie odczuwało. Dopiero na drugi dzień patrzamy, że mamy ręce pokrwawione. Sobie zdałem dopiero sprawę z tego, że ja drapałem właśnie bruk. To było przeżycie takiej wymowy jak patriotyzm. To było nakazem chwili, tak miałem postąpić a nie inaczej.

W tym czasie beczkę z benzyną tam rozlano i gmach się zaczął palić. Z góry walił helikopter bez przerwy te granaty żwawiące. Jeden granat żwawiący spadł prosto na mnie. I złapałem ten granat żwawiący i rzuciłem go... aby przed siebie, bo to żarło w oczy, piekło strasznie i ktoś widocznie musiał go później podnieść i rzucali do środka do gmachu KW. Strzałów już dalszych nie było. Padły tam dwa, może trzy strzały i na tym się zakończyło. Granaty żwawiące helikopter zrzucał bez przerwy. Bardzo nisko latał, z kosza wysypywano granaty na tłum, a to i tak w tłumie za dużej szkody nie zrobiło, no bo to wszystko i tak było

wrzucone do środka do tego gmachu. I po kilku sekundach wojsko wychodzi, oczywiście w maskach, z karabinami nad głową. Wszedł kapitan i prosił, żeby przepuścić wojsko, wojsko opuszcza gmach, wojsko nie dopuści do rzezi - takie zdania tego oficera były. To młodzi chłopcy wychodzili z zaplecza Komitetu Wojewódzkiego, bo drzwi frontowe były zamknięte i wojsko zostało przepuszczone. Maski gazowe wojsko oddawało tłumowi. Torby zatrzymywali, a maski gazowe oddawali dobrowolnie, tak, że kto stał bliżej koło wojska, otrzymał tę maskę gazową. Wdarli się później - bo to jeden drugiego podsadzał do środka - bo tam już się paliło strasznie. Tłum wivatował na tę cześć.

Może opowiem teraz, jakie wrażenie miałem wychodząc od strony szczytu Komitetu Wojewódzkiego. Bo wtenczas można było spokojnie przechodzić, bo tłum chciał dostać się do środka i całą uwagę skierował na główne wejście. I tam właśnie do głównego wejścia jakieś łomy przyniesiono, starano się to podpalić. To nie zdało egzaminu, bo te drzwi tam bardzo solidnie były wykonane i nie można było ich podpalić. To pamiętam, jakimiś motykami... rzucano kamienie. To było bezsensowne. Ktoś wpadł na pomysł, żeby złapać łom i w kilka osób stukać. I tak stukali. W końcu weszli do środka, zresztą już w tym czasie opanowany został gmach. Z okien się sypały różnego rodzaju biurowe przedmioty, wieszaki, stoliki, nawet telewizory przez okna leciały, radia, telefony... Nawet fotels wyrzucano stamtąd. Wytargano duży dywan, nie wiem jak tam ktoś doszedł do tego. Na balkon wyaszła grupa milicji. Ils tam mogło być - około dziesięciu osób, więcej ich nie było. Oczywiście bez mundurów, niektórzy mieli oczy zawiązane

koszulą, gaz ich żarł bardzo w oczy, tak że oni sobie poprzywiązywali i skakali z wysokości z tego balkonu w dół. Najpierw zaprowadzili ich pod kościół i tam Zdrowaś Mario, jakiś pacierz musieli krótki odmówić - milicja - tak. I wtenczas załadowali ich na wywrotkę i wieźli w kierunku Stoczni. Były takie okrzyki, że wziąć ich jako zakładników. Nie znam ich losu, jaki był. Grupa ich pędziła w kierunku Stoczni.

Kiedy ta grupa milicji wyszła - widocznie musieli przekazać jakąś wiadomość telefoniczną, że nie wszyscy wyszli i helikopter linkę zrzucał, drabinę taką. Chciał widocznie kogoś tam wybrać, a ogień już atakował piętro po piętrze. Najprzyjemniejszy był moment, w tym czasie, kiedy wyniesiono na zewnątrz duży portret Lenina i Gomułki. Wynieśli, pokazali go i z dużej wysokości zrzucili w dół. Tłum, który był w pobliżu - to duże oklaski i "Sto lat" i chyba "Jeszcze Polska nie zginęła" po raz któryś, bo to tam ciągle się powtarzało. I to było takie usatysfakcjonowanie - widok tych dwóch portretów spadających w dół. Oczywiście zostały zdeptane, zmieszane. Taka była właśnie reakcja tłumu na widok spadających tych dwóch portretów.

Grupa tych ludzi, którzy siedzieli w gmachu KW musiała też w końcu opuścić budynek, ponieważ ogień trawił już wszystko. Wyszli - tłum ich przyjął jako bohaterów, no bo przecież to był wyczyn, bez drabinek wejść na te wysokie kondygnacje... Chłopcy wychodzili pokaleczeni, bo oni gołymi rękoma wybijali szyby, żeby do środka wejść, do biur. To było tam wszystko pozamykane.

Ja w tym czasie się już wycofałem, odszedłem na wysokość stacji, nastawni w Gdańsku. I wtenczas

tam żeśmy się przyglądali z grupą kolejarzy w nastawni, w bezpiecznym można powiedzieć miejscu. Als idąc do nastawni natrafiłem na grupę - grupa liczyła gdzieś pięćset osób - którą prowadziła kobieta. I miałem znowu możliwość być w tłumie, który poprzez... chciał się dostać do ulicy 3 Maja. Po tamtej stronie jedynis były skomasowane oddziały milicji. Misli armatki i z tych armatsk strzelano pociskami żzawiającymi w tłum. Tak, że tłum się nawet początkowo tym bawił, bo to lsciało tak, że nis można było tego nie dostrzec, w każdym bądź razie można było uniknąć. Bo jak ktoś dostał, to go bolało, nawet się przewracali niektórzy, ale później, to jeden drugiego odciągał i to brano i odrzucano w stronę milicji. A wistr wówczas tak niefortunnie wiał w naszą stronę. Żeby w ulicę Swierczewskiego dmuchał, to by wszystko na nich poleciało, s tak to tłum tego gazu otrzymywał najwięcej. No i o tej kobiecie - ona podrywała właśnie ten tłum, żeby pójść do więzień, uwolnić więźniów. Ale ta grupa się szybko rozpierzchła. Js starałem się za tą kobistą pójść, akcjs tak gwałtownie się zmienisły i wtenczas poczułem ból. Widocznis musiałem pociągnąć mocno o kamień. Dopiero patrzę, że mam strasznis skaleczony palec. Dzisiaj nie wiem nawet w jakich okolicznościach to się stało. To mi krwswiło, byłem cały zachlapany i trzeba było pójść. Poszedłem do nastawni, chusieczką sobis to wszystko dopiero zmywałem, bo mi to strasznis krwawiło. Tak, że z nastawni obserwowałem.

Dach Komitetu Wojewódzkiego był wtenczas nis taki jak dzisiaj, tylko dwuspadowy, dachówką to było wszystko kryte. Te dachówki strzślały nawet na odległość kilku metrów. Nawet myśmy

na nastawni słyszeli, kiedy te dachówki zaczęły spadać. Bo to się pięknie paliło, bardzo fajny widok był. I każdy czekał momentu, kiedy się zawali maszt, ta wisząca, która była u góry. Każdy czekał z zegarkiem, kiedy się wreszcie zawali. No, to się jednak skończyło palić dokładnie między 14.30 a 14.36. Bo najpierw się uchylił w prawo, stał jakieś kilka sekund, podpałało się, podpałało i dokładnie 14.36, w każdym bądź razie myśly wzięli średni czas, bo tam jednemu spieszył zegarek minutę, dwie, trzy. Spaliło się, nie ma bałaganu więcej. Wołanie tego tłumu, że gniazdo żmij zostało zlikwidowane.

W środę znalazłem się w pracy, bo te dwa dni miałem urlop. I tak: przychodzę do pracy i po drodze, gdy siedziałem do pracy sekretarz Kazimierowski zaczął do mnie słodko się odzywać. A co się stało, dlaczego do tego dopuszczono, mogli konsultować. I on już wniosek jakiś wyciągnął. Facet jeszcze w sobotę na mnie podskakiwał, że listy nie chciałem podpisać, że zachowałem się... Ja myślałem, że jak przyjdę do pracy, to zaczną się "chrzesty". Ale moje te właśnie obawy okazały się niesłuszne, bo oni byli bardziej wylęknieni, jak i zmartwieni tym wszystkim.

To było chyba gdzieś za piętnaście szósta. Telefon - mam się zgłosić do komitetu zakładowego. W całej akcji tam był sekretarz propagandzista, żeśmy go tak nazywali, to był UB-owiec były. Pokój zadymiony, cała popielniczka niedopałków. Leżała kabura od pistoletu, nie wiem, czy tam był pistolet. Nas na baczność postawił, przekazał krótką wiadomość, że o godzinie szóstej rozpoczyna się praca. Opieszających wyprowadzać i meldować, pod bramą stoi wojsko - bo stało wojsko przed

bramą - i zgłaszać nam i będą aresztowani. Taki krótki rozkaz był sekretarza Strojka, tego od propagandy. Tak że po przyjściu na wydział - minęła godzina 6.00 i 7.30 i 10.00. W gromadkach siedzieli, każdy opowiadał swoje przeżycia z dnia wczorajszego. Okazało się nawet, że jeden widział drugiego. Ja pamiętam, że jeden z moich współpracowników opowiadał zajście, w którym ja byłem świadkiem i on był świadkiem. Jeden widział tylko moment, jak dziecko brali do pogotowia i opowiadał o tej kobiecie lamentującej na placu.

Po tym wszystkim, co się wydarzyło, stwierdziłem autorytatywnie, że moje miejsce nie może być w partii. I zachowałem się następująco: wziąłem legitymację partyjną, oderwałem zdjęcie i napisałem podanie takiej treści - dokładnie sobie przypominam, że proszę o skreślenie z listy członków PZPR, ponieważ za błędy popełnione przez - dokładnie tak pisałem - przez Komitet Centralny i przez I Sekretarza, w równej mierze odpowiedzialni powinni być wszyscy członkowie i należy podać się do dymisji. Przez kilka dni był spokój. Żeśmy się dowiedzieli, że Gierek został I Sekretarzem, no i że wszystko się rozejdzie po kościach. No i tak jakiś czas to odczuwałem. Natomiast zauważyłem, że wokół mnie ktoś już jakby krąg zatoczył. No i tu nagle pracownicy zatrudnieni w "ruchu" - tak to tam nazywano w tym czasie - otrzymali podwyżkę. Między innymi ja otrzymałem 250 zł podwyżki, zostałem zawiadomiony przez szefostwo produkcji. Wszyscy otrzymali dekrety, ja nie otrzymałem dekretu. I do szefa produkcji, dlaczego nie otrzymałem. Dostałem wiadomość od pana, że otrzymałem 250 zł podwyżki. Najwyższa

podwyżka w tym czasie była 300 zł, no to je takiej niekiej podwyżki nie otrzymałem, skoro otrzymałem 250 zł. No i dowiedziałem się, że zostałem skreślony przez sekretarza Mańkuckiego, bo on był I sekretarzem. Za telefon, przedzwoniłem do Mańkuckiego. "Na jakiej podstawie?" A on mówi: "Chodźcie tu, to my wam wytłumaczymy". I poszedłem do komitetu zakładowego i Mańkucki powiedział mi w ten sposób: "Tak, ja wstrzymałem podwyżkę". A ja pytam się: "Na jakiej podstawie?". No, odpowiedział mi w ten sposób, krótko, ponieważ to była męska rozmowa, użył tych słów: "Ponieważ ty na partię wypiąłeś dupę". Dosłownie taka była dyskusja. "A jak ja się miałem zachować, jeżeli na moich oczach zamordowano dziecko, jeżeli na moich oczach do mnie strzelano gazem łzawiącym za to, że tylko wołałem "chleba", że chcę jeść, to w ten sposób?". I powiedział mi wówczas te słowa: "Słuchaj, na najbliższym zebraniu partyjnym przyjdź, uderz cię w piersi, klęknij" - dosłownie tak wyreżyserował mi to wszystko. Mówi: "Uderzysz się w piersi i klękniesz i powiesz, żeś zbyt pochopnie postąpił występując z partii i prosisz o przebaczenie i żebyś dalej był członkiem partii. A ja ci obiecuję, że będziesz szefem wydziału i nie dostaniesz 250 zł, a dostaniesz 2500 zł. Ja ci daję słowo honoru jako sekretarz Mańkucki". A ja mu powiedziałem wtenczas tak, że ja klękam przed jednym Bogiem, a dzisiaj się wstydzę, że przez tyle lat byłem członkiem partii i nie ma mowy, że więcej do nich nie wstąpię, do was nie wstąpię - takie były moje słowa. Zareagował na to nie gwałtownie. Mówi: "Jemteś w tej chwili podniecony, uspokój się, przemyśl - mówi, przedzwonisz - mówi, zachowasz się tak na zebraniu i przyjdziesz itd".

Minęło od tego momentu chyba jedenaście lat już, ponad nawet jedenaście lat i nie klękam przed nimi. Co prawda to się dla mnie fatalnie skończyło. Cztery zakłady musiałem zmienić, bo za mną lazło to jak cień. Ale z pracownika umysłowego poszedłem na fizycznego i pracuję teraz przez te jedenaście lat fizycznie i to wcale nie wyszło na niekorzyść, tylko właśnie na dobre mi wyszło. Jestem teraz rzeczywiście usatysfakcjonowany i nigdy już nie podejmę pracy umysłowej. Za nic mnie wypędzono z tej pracy, za nic odebrano mi rawód, który najbardziej kochałem. Praca z ludźmi była moim ideałem. Skrzywdzono mnie. Były takie głosy, że miałem się odwoływać później jeszcze do Gierka. Proponowali mi niektórzy, a jednak się nie odwołałem i do dzisiejszego dnia pracuję. Co prawda w ostatnim dziesięcioleciu czwarty to już mój zakład. Nie wstydzę się tego, że to już czwarty zakład. Mogło być nawet jeszcze dziesięć. Ale wiem, że mnie partia skrzywdziła w tym czasie za to, że tylko napisałem w podaniu prawdę. /.../

Ja za karierą tam nie poszedłem i zresztą do dziś nikt mnie karierą żadną nie ekuei. To są takie wspomnienia moje z 70-go roku.

Relacja Czesława Siwka,
pracownika radiowęzła zakładowego
w Stoczni Gdańskiej,
spisana pod koniec 1970 r.
lub na początku 1971 r.

Podwyżka cen z dnia 12 grudnia była chyba tą przyełowiową iskrą na beczkę z prochem. Nieprzyjemne sceny działy się na zebraniach, na których odczytywany był w tej sprawie list KC. Były wypadki, że niektórzy z rozpaczy czy bezsilności płakali. Nie ma się co dziwić, bo jeżeli zarabia ktoś 2000 zł na 5-osobową rodzinę, to nawet w tych okolicach, gdzie można cośkolwiek taniej kupić, będzie to o wiele za mało. Ja jestem właściwie spokojny, ale swoje wygarnąłem też na zebraniu.

Zacząło się wszystko 14 w poniedziałek u nas w Stoczni. Przed dyrekcją z rana zebrało się ponad 3 tys. ludzi, którzy żądali rozmowy z przedstawicielami KZ PZPR i dyrekcji. Z KZ nikt się nie zjawił, zbagatelizowali wszystko. Próbował do ludzi przemówić dyrektor naczelny, ale co on mógł mimo najzyczerszych chęci obiecać ludziom. O godz. 11.00 cała ta grupa wyszła na miaeto i udała się przed KW wzywając sekretarza KW Karkoez-kę, aby wyjaśnił osobiście posunięcie naszych władz. W drodze do KW śpiewali "Międzynarodówkę" i "My ze spalonych wsi, my z głodujących miast". Na balkon KW wyezło kilku czerwonych pasibrzuchów, zasranych kacyków, którzy źle potraktowali stoczniowców /Karkoszki nie było, był w Warszawie/. Powiedzieli, że "z warchołami i chuliganami rozmawiać nie będą". Ponieważ epod Komitetu stoczniowcy nie odchodzili, lecz akandowali "Karkoezke, Kocio-

łek". Próbował przemówić jeden z sekretarzy, Jundziłł i z nim jednak nie chcieli rozmawiać. Zabrali eprzed KW milicyjny samochód z megafonami i wrócili w stronę Stoczni nawołując do powszechnego strajku. Ulicą Jana z Kolna poszli w stronę Stoczni Północnej. Tam przyłączyło się do nich trochę ludzi ze Stoczni Północnej. Cały ten pochód ruszył ul. Kliniczną do Politechniki. Tam z kolei przyłączyła się część studentów i cały, większy już pochód ruszył aleją Zwycięstwa z powrotem w stronę Gdańska. Po drodze cały czas z megafonów samochodowych rozlegały się nawoływanie do strajku na 15. Piętnastego miał być też zwołany przed KW ogólny wiec. Pochód szedł bardzo spokojnie, porządku pilnowali studenci i stoczniowcy z opaskami. Obok teatru we Wrzeszczu rozrabiało 2 pijanych. Porządkowi zwinęli ich i odprowadzili milicjantom, którzy dwoma samochodami jechali kilkadziesiąt metrów za pochodem. Porządek był wzorowy.

Zapomniałem napisać, że zanim manifestacja ruszyła do Gdańska, stoczniowcy ze studentami opanowali Gdańską Rozgłośnię Radiową. Jednak nie udało się uruchomić jej. O godzinie 16.00 milicja usiłowała pałkami i gazem rozganiać pochód na moście Błędnik już w Gdańsku. Kamienie zrobiły swoje, to milicja została rozgoniona. Tymczasem wieść o strajku stoczniowców rozeszła się już po Trójmieście. Przed godz. 16.00 do stoczniowców dołączyło kilkuset portowców i wszyscy przeszli sprzed KW na Targ Drzewny przed redakcję "Głosu Wybrzeża". Słychać było krzyki: "Chleba, mleka dla naszych dzieci", "Prasa kłamie". Tam właśnie rozegrana została druga walka na kamienie z jednej strony, a z drugiej pałki, gazy łzawiące i petardy.

Tu na placu pokazali się po raz pierwszy "ryce-
rze" - milicja z tarczami. Na to też ludzie znaleźli
radę, jedni atakowali w nogi, inni w głowy i
milicja musiała zwiewać. Około 18.00 leci ogromny
tłum ludzi, powrócił pod KW. W gmachu był już
pluton żołnierzy i kilku milicjantów, którzy
zaczęli etraszyć, że będą strzelać. To chyba
najbardziej ludzi wzburzyło. Obrzucili KW kamieniami
i usiłowali go podpalić, co częściowo udało się,
ale spaliły się tylko urządzenia drukarni w piwnicy.

Już w poniedziałek wieczorem zaczęło się rozbija-
nie i rabowanie sklepów. O tym zresztą też różnie
się mówi, bo ci faceci, którzy rozbijali wystawy
to nic nie brali tylko szli dalej rozbijać. To
mogła być prowokacja. Również w poniedziałek
wieczorem władze nasze kazały wypuścić około
200 wychowanków Domu Poprawczego w Oliwie, ale
chyba nie po to, aby pomagali demonstrantom.
Cały poniedziałek w Stoczni naszej nie było już
roboty, część była na mieście, a pozostali strajko-
wali na miejscu. Po północy za naszym przykładem
zaczyna się strajk w Porcie Gdańskim. We wtorek
strajkują już Stocznia Gdańska /nasza/, Stocznia
Północna, Gdańska Stocznia Remontowa i część
załóg innych mniejszych zakładów, które kooperują
z przemysłem okrętowym. Zresztą nie tylko, bo
Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego też strajkowały.
Stocznia Gdyńska też zaczęła atrajk. Około godziny
7.00 przed naszą dyrekcją zebrało się około
4 tys. ludzi i po pewnym czasie wyszli za bramę
w stronę KW.

Dali mi apel dyrekcji do załogi, przeczytałem
raz i później zdenerwowało mnie to, powiedziałem,
że bzdur nie będę czytał. Zabrali mi klucz od
studia i posadzili tam innego gościa, ja wyszedłem

na miasto w stronę KW. Grupa stoczniowców pokrzyczała trochę pod KW i pomaszzerowała pod MRN na ul. Swierczewskiego. Po jednej stronie ulicy jest MRN, po drugiej KM MO. Tam drogę zagroździłi milicjanci, ale zostali odepchnięci i pochowali się do budynku MRN i Komendy.

Tam właśnie padł pierwszy strzał do ludzi. Major milicji, który wyczedł z Komendy, wyciągnął pistolet i strzelił w tłum, trafił naszego z W-4 w szyję. Jeden ze stoczniowców podskoczył do tego majora i rąbnął go kawałkiem kątownika w głowę. W następnej chwili z tego majora została prawie rozdeptana szmata. Ktoś go wciągnął do MRN i przykrył zerwaną z okna storą. I wtedy zaczęło się na całego. Stoczniowcy, do których dołączyło dużo przechodniów opanowali częściowo i podpaliłi KM MO. Przed budynkiem spalono 6 samochodów milicyjnych. W Komendzie była potężna haratanina, ale więcej strzałów nie padło. Ludzie chcieli opanować więzienie. Nie udało się, ponieważ milicji przybyły z dwóch stron posiłki. Tłum ludzi cofnął się za tory w stronę dworca. Od tego czasu zaczęła się walka "pozycyjna", przez tory milicjanci rzucali petardy, a ludzie jak mogli, tak je odrzucali, dodając jeszcze kamienie na dokładkę.

Pożar w Komendzie Milicji zdążyli zgasić. Przed godziną 9.00 tłumy ludzi liczyły już ponad 10 tys. osób. O godzinie 9.00 próbowano podpalić KW. Udało się to dopiero około godziny 10.00. Wychodzących z gmachu żołnierzy nie zaczepiano, a milicjantów i pracowników KW obronili stoczniowcy. W tym czasie kiedy milicjanci "bohatersko" walczyli z demonstrantami, chuligani /około 200/ dalej rabowali sklepy, widziałem to na własne oczy.

Jeszcze przed południem na pomoc przysłane zostały transporterzy opancerzone i czołgi z koszar przy ul. Słowackiego. Żołnierze to przeważnie miejscowe chłopaki, niektórzy to nawet byli stocznio-
wcy. Podobno nie dostali ostrej amunicji. Sprawdziło się to, kiedy paliły się transporterzy. Nic nie wybuchalo. Jednym transporterem nasi ludzie przyjechali pod Stocznie i zostawili go. Żołnierze nie stawiali w ogóle oporu.

Władze, widząc, że z naszym wojskiem nie da rady nic zrobić, kazaly cofnąć się żołnierzom do koszar, a "bohaterską" walkę z ludźmi prowadzili nadal milicjanci i helikoptery, z których sypały się na tłum wybuchające petardy z gazem łzawiącym. W tym dniu prawie całkowicie spalił się budynek KW, część dworca głównego w Gdańsku i kilka pomieszczeń w KM MO. W tym dniu zabici zostali 1 stocznio-
wiec, 1 milicjant, masa rannych, w tym wielu ciężko z obu stron. Ta potyczka trwała do późnych godzin nocnych ze zmiennym szczęściem, mimo iż milicji przybwały posiłki "pałkarzy" /tarcze i duże pały/ z Gołędzinowa, gdzie podobno ćwiczą się specjalnie w rozganianiu demonstracji, OS MO ze Słupska, z Olsztyna i gdzieś tam jeszcze. Gliniarz na gliniarzu i gliniarzem poganiał.

W nocy z 15 na 16 grudnia /wtorek-środa/ cały Gdańsk, a szczególnie stocznie i port obstawione zostały przez wojsko z czołgami, transporterami opancerzonymi. Alarmem ściągnięte zostało wojsko z Braniewa, Elbląga, Lęborka. Żołnierzom powiedziano, że Niemcy palą Gdańsk, że w Stoczni wylądowali niemieccy dywersanci i że wojsko jedzie bronić przed nimi naszej polskiej ludności. Ot, sukinsyny! Do czego zdolne są wojskowe zupaki.

Z tym właśnie przekonaniem i z takim nastawieniem

ci młodzi żołnierze zjawili się w Gdańsku mając jednocześnie zakaz abeolutny kontaktowania się czy rozmawiania z kimkolwiek.

Rano w środę, w drodze do Stoczni widziało się taki widok. Na ulicach Gdańska co kilkanaście metrów czołgi i transportery, na ekrzyżowaniach i w ważniejszych miejscach po kilka takich pojazdów, natomiast Stocznia nasza była obstawiona przez gęsty kordon żołnierzy patrzących epod oka na każdego przechodzącego, następnie szczelny wianuszek wszelkich pojazdów pancernych i przez kordon gliniarzy. Do Stoczni wpuścili nas jeszcze. Od samego rana przed budynkiem dyrekcji zebrała się prawie cała załoga. Na żądanie zebranych zainstalowane zostały na dyrekcji duże głośniki i mikrofon w oknie na I piętrze dla tych, którzy będą chcieli przemawiać. Około godziny 8.00 mała część zebranych - kilkaset osób - odeszła od budynku dyrekcji udając się w stronę bramy wyjściowej. Przy bramie zatrzymali się i wtedy rozległy się strzały. Dwóch ludzi padło natychmiast, około 15 zostało rannych, w tym kilku ciężko. Ja w tym czasie byłem razem ze wszystkimi przed dyrekcją. Po seriach, które rozległy się przy bramie, przybiegł stamtąd etoczniowiec i krzyczał płacząc: "Ludzie! Tam naszych kolegów mordują!". Przez chwilę wszyscy etali jak sparaliżowani. Nie mogło się ludziom pomieścić w głowach, żeby nasze ludowe wojsko mogło strzelać do robotników domagających się poszanowania jakichś podstawowych praw ludzkich. Jednak to nie był sen ani plotka, to była gorzka prawda. Zabici i ranni zoetali zabrani do nsszego szpitala, ciężiej rannych stoczniowe pogotowie odwiozło do Akademii Medycznej. A na placu przed dyrekcją rozpoczął się burzliwy wiec. W tym też

czasie zamontowane zostały przy bramach duże głośniki, aby otumanione wojsko mogło także usłyszeć co u nas się dzieje i o co nam chodzi. A więc zaczęło się skandowaniem przez ludzi: "Mordercy, mordercy...". Następnie na maszt wciągnięta została stoczniowa flaga z czarną, żałobną szarfą. Na bramie zostały również powieszzone żałobne flagi i hełmy zabitych przepasane czarnymi wstęgami. Zamordowanych uczciliśmy minutą ciszy i odśpiewaliśmy hymn Polski łącznie ze słowami: "Co nam obca przemoc wzięła szablą odbierzemy". Wierzcie mi, że ludzie śpiewali, płakali i nikt się tych łez nie wstydził. Kilka osób potem przemawiało do wojska. Przemawiała też kobieta w wieku około 50 lat. Mówię wam to, bo był to drugi powód do płaczu, kiedy zaklinała żołnierzy na miłość do matek, które może gdzie indziej tak samo dopominają się o ten chleb dla swoich dzieci, na miłość do Polski, do narodu. Przemawiało wielu ludzi i chyba żołnierze coś zrozumieli, bo około południa nastąpiła zmiana, przyszli nowi. Około godziny 10.00 w Stoczni powołany został Komitet Strajkowy i ogłoszony został 24-godzinny strajk okupacyjny. Wszyscy mieli siedzieć na swoich wydziałach, nie robić nic i nie wychodzić ze Stoczni. W tym czasie działał Komitet Strajkowy, zbierał i segregował wszystkie zgłoszone przez ludzi żądania i postulaty, które miały być przekazane do naszych władz naczelnych, tzn. do Warszawy. Tych żądań było masę. Ja wymienię tylko niektóre. Domagano się:

- ustąpienia Cyrankiewicza, Kociołka i Moczara /kata narodu - jak go nazwali ci przemawiający/,
- przerwania wszelkich dostaw dla Wietnamu i ZRA,
- ograniczenia eksportu produktów spożywczych,
- podwyżki płac,

- zmian w instancjach politycznych,
- odebrania władzy kacykom i czerwonej burżuazji,
- sprawiedliwego podziału dochodu narodowego,
- ukarania tych, którzy kazali strzelać do ludzi /tzn. oddania ich pod sąd/,
- zaprzestania przywożenia nam na ważniejsze stanowiska ludzi z Warszawy,
- uporządkowania różnych naszych stoczniowych spraw,
- rozwiązania związków zawodowych i zarządzenia nowych wyborów, przy czym przewodniczący CRZZ-tu ma być bezpartyjny,
- nie mieszania się partii do związków zawodowych,
- zwolnienia wszystkich aresztowanych obecnie, jak również w marcu 1968,
- prawa do strajków i demonstracji o ile zajdzie potrzeba.

Tych różnych spraw była masa. Tak, że postulatów zebrało się około 2 tys. Już w środę był w Gdańsku Kliszko i siedział w wieżowcu w odległości około 70 metrów od bramy, w którą padły strzały. Zresztą widział to, bo on u nas na miejscu dał rozkaz do strzelania. W ogóle to ten rozkaz wydał na piśmie i własnoręcznie podpisał Gomułka. Na prośbę telegraficzną Komendy MO z Gdańska milicja przedstawiła Gomułce sytuację w ten sposób, że w Gdańsku rozruchy, pali się Komitet Wojewódzki, w którym znajdują się wszyscy pracownicy Komitetu, a tłumy nie pozwalają ich ratować. Tak przecież nie było, ale Gomułka uwierzył i wydał ten fatalny rozkaz. W środę tymczasem szykowaliśmy się do spędzenia nocy w Stoczni. Komitet Strajkowy, z którym współpracowałem od początku, powołał kilkusetosobową straż porządkową do pilnowania terenów i wszystkich obiektów. Od spokoju i porządku dużo zależało,

w razie bowiem jakiegokolwiek zamieszania w Stoczni, szumu czy czsogoś innego, milicja i wojsko miałyby okazję wejść na nasz teren niby to w obronie przed sabotażem i zniszczeniem Stoczni.

Ponieważ w Stoczni był idealny porządek więc sami milicjanci różnymi sposobami starali się dostać do Stoczni, narobić bałaganu i dać ten prstekst. I to się jednak nis udało, bo po Stoczni chodziła tylko straż przemysłowa, a reszta załogi aiedziała w misjcsu swojej pracy i jeżeli tylko zjawił się ktoś podejrzany, zaraz zatrzymywano go, legitymowano i jeżeli był to tajniak, to won za bramę, jeżeli nispewny, to pod klucz do jakiegoś pustego pomieszczenia do wyjaśnienia. Próbowali różnymi sposobami, przeskakiwać poprzez ogrodzenie, przspływać kanał w aparatach tlenowych, próbowali nawet z helikopterów podpalić Stocznię w nocy. Nic nis udało się.

Nie wiadzieliśmy jednak, jakie zagraża nam niebezpieczeństwo. Kliszko już o godz.22.30 w środę rwał się do telfonu, aby wydać rozkaz o wkroczeniu wojska i milicji do Stoczni i siłą zduszenia strajku. Tłumaczyli mu, że stoczniowcy będą się bronić i polsje się dużo krwi. Ten wariat podobno szalał, siłą trzymali go inni, aby nie wydał tego rozkazu. Ten bandyta powiedział, że zstrze Stocznię z powiarzchni ziemi, a bunt stoczniowców stłumi. Krew naprawdę mogła się polać rzeką, bo nasi ludzie przygotowali się na przyjęcie czołgów. Przyszykowane już były butle z gazem, które odpalone byłyby elektrycznia na odległość pod wjeżdżającymi czołgami. Przygotowane były nawet rakiety z głowicą wypełnioną etyliną. Trudno wam w to uwierzyć, als tak było. Rurs z gazem i przyspawaną głowicą, odpalona elektrycznia

leciała około 150 metrów i po zderzeniu z czymś wybuchała płomieniem. Na wyspie Ostrów robione były próby. Jednak do takiej tragedii nie doszło. Przed godz. 6.00 rano opuściliśmy Stocznę i rozjechaliśmy się do domów.

We czwartek, 17 grudnia działalność Stoczni została urzędowo zawieszona. Część wojska i milicji mogła pojechać na tłumienie strajku i demonstracji w Gdyni i tam z kolei mogła się ćwiczyć w strzelaniu do ludzi.

W Gdyni zaczęło się z kolei na całego. O tym, co działo się w Gdyni, napiszę, albo porozmawiamy innym razem. Często zastanawiliśmy się z kolegami, czy słusznie zrobiliśmy wychodząc ze Stoczni. Zdania na ten temat są podzielone. Jedno jest pewne, że gdybyśmy do godziny 6.00 nie opuścili Stoczni, to wojsko i pijani milicjanci pchaliby się do Stoczni na rozkaz tego szaleńca, Kliszki. A w tym czasie od strony miasta pchałyby się do Stoczni zaniepokojona nieobecnością stoczniowców w domu całe ich rodziny: matki, żony, siostry, dzieci, a wtedy mogła być ogólna masakra. Więc może i dobrze, że do tego nie doszło.

Napisałem "pijani milicjanci". To prawda. Byli nie tylko pijani, ale dawano im też środki dopingujące. Potwierdzili to lekarze ze szpitali, w których operowano rannych milicjantów. Operowani byli na żywca, ponieważ pod działaniem tych środków nie można było dawać im narkozy, no i rany podobno gorzej się im goją z tego powodu. Pies z nimi polkę tańczył, nie ma co żałować takich bandziorów. Oni też nas nie żalowali. Sprawa, kto strzelał do ludzi dotychczas nie wyjaśniona. Faktem jest, że strzelali ludzisz w wojskowych mundurach, ale faktem też jest, że w koszarach przy ul. Słowackiego

w wojskowe mundury przebrano kilkuset milicjantów.

Jeszcze kiedy był u nas Gierek, to tych przebrańców było jeszcze w koszarach około 600. Zajmowali cały jeden blok. Mówił mi to kolega, który ich widział na własne oczy. Po terenis koszar chodzili w mundurach wojskowych i w milicyjnych czapkach. Wyobraźcie sobie, że nawet z helikopterów polowali na ludzi. Np. w środę 16 grudnia helikopter ostrzelał u nas w Stoczni grupę ludzi. Na szczęście trafił tylko jednego kolegę. W Stoczni Remontowej, obok nas, ten sam helikopter rzucił ulotki nawołujące do pracy. Kiedy grupa ludzi utworzyła się przy tych ulotkach, nadleciał drugi raz i zaczął strzelać. I tu na szczęście trafił tylko jedną osobę, kobietę, która otrzymała postrzał w ramię i w nogę. Na pamiątkę i na dowód tych "polowań" ludzie pozbierali łuski i powygrzebywali z ziemi pociski.

To wszystko, co wam piszę, to jest ogromny skrót. Aby opisać wszystko dokładnie, wyszłoby pewnie gruba księga.

Jak widzicie, święta misliłmy niewesołe. Robota też się nie kłasiła, była przsrywana z byle powodu. Kilka dni przed przyjazdem Gierka tylko gazety za nas pracowały, tylko w prasis, w radio i telewizji wszystko grało. Trzeba przyznać, że on rozładował sytuację i uspokoił ludzi. Przyrzekł nam realizację naszych postulatów zarówno tych politycznych o znaczeniu ogólnokrajowym, jak i tych drobniejszych, ekonomiczno-gospodarczych i innych, ale bardzo ważnych dla wszystkich ludzi w Polsce. Nie obiecywał nam złotych gór, bo skarb państwa pusty, ale przyrzekł sprawiedliwy podział tego, co rzetelnie wypracujemy. Już chyba gorzej nie może być, jeżeli od Czechów pożyczamy 6 tys. ton smalcu, od Niemców olej do produkcji margaryny, a od Rusków cement, który przcisł sami wysyłamy

na eksport. Cholernie ostre były wypowiedzi robotników na spotkaniu z Gierkiem, Jaroszewiczem i ministrem Szlachcicem. Kiedy Szlachcicowi ludzie powiedzieli, że dobrze było bohatera zgrywać za tyłami czołgów i za kordonami wojska i milicji przy pamiętnej drugiej bramie Stoczni, bo on też wtedy był przy Stoczni, wierzcie mi, że płakał na mównicy i usprawiedliwiał się, że wszelkimi sposobami starał się nie dopuścić do tej tragedii, jaka się stała. Albo z niego naprawdę człowiek uczuciowy, albo dobry komediant artysta.

Teraz ludzie pracują pełną parą. Chcą jak najszybciej nadrobić straty i powiększać te nasze zyski, które tym razem mają być dzielone sprawiedliwiej.

U mnie już spokój, po przesłuchaniu, po zawieszeniu /bo zawieszony też byłem/ pracuję nadal i cieszę się, że ludzie interesują się moją skromną osobą. Zdarzyło się, że byłem chory i inny głos słyszeli. Skojarzyli to sobie z aresztowaniami, jakie miały miejsce i już chcieli o mnie robić szum. Bardzo się cieszę z tej solidarności i jak mogę tak się odwdzięczam ludziom. Biedni ci stoczniowcy, którzy byli aresztowani, tych metod i sposobów zmuszania ludzi do gadania mógłby raczej MO pozazdrościć niejeden gestapowiec. Oprócz bicia, polewania wodą, znowu bicia, polewania itd., jest np. taka metoda: trzymają delikwentowi palce na kaloryferze i leją pałami, a palce nie wytrzymują, pękają.

Oj, zasłużyli się ludziom porządnie, nic też dziwnego, że i teraz jeszcze od czasu do czasu, to tu, to tam znajduje się martwego milicjanta, albo do szpitala przywożą mocno pobitego lub z twarzą tak pociętą żyłkami, że trudno pocerować.

Około dwóch tygodni temu przed "Delikatesami" stał wieczorem milicjant i patrzył w szybę. Przeszło obok niego 3 młodzieńców i milicjant zniknął. Okazało się, że leży na ziemi z nożem w plecach.

Ta wojna z milicją trwać będzie chyba jeszcze długo, bo dużo krzywdy narobili wielu ludziom, którzy teraz się mszczą. Oficjalnie podane jest u nas, że zginęło w Grudniu tylko 2 milicjantów, a ponad 500 rannych, w tym większość ciężko. Według naszych przypuszczeń to jest bardzo mało, bo Komenda nie może się doliczyć ponad 50, a wolnych etatów mają około 150 - chętnych do MO - zero.

W dzień rzadko widzi się pojedynczego milicjanta, przeważnie dwóch albo trzech, w nocy poruszają się po mieście przeważnie samochodami. Ludzie szykanują ich na każdym kroku. Gdy np. do pociągu wsiada milicjant, robi się koło niego pusto, ludzie odchodzą ze słowami: "Chodźmy stąd, glina śmierdzi".

W tej chwili szczyt bezczelności u nas, to zapytać milicjanta o drogę do Stocznii.

Relacja Edwarda Nowickiego,
pracownika Stoczni Gdańskiej im. Lenina,
z dnia 18 maja 1981 r.

W poniedziałek od rana załoga Stoczni nie podejmując pracy dyskutowała w grupach w którym imieniu i kto podjął decyzję odnośnie podwyżki. Mniej więcej o godzinie 9.00 około 2-3 tys. ludzi zebrało się pod dyrekcją. Pierwszy jako wydział stanął S-4. Poszedłem również. Ludzie żądali wyjaśnień. Dyrektor zaczął tłumaczyć, że on nie decydował o podwyżce i nie jest uprawniony do jej wycofania, sekretarz nie umiał wyjaśnić również - załoga prosiła więc, żeby przyjechał sekretarz Komitetu Wojewódzkiego i wyjaśnił tu, na miejscu. Dyrektor prawdopodobnie wzywał sekretarza, ale nikt nie chciał przyjechać do zakładu. W związku z tym grupa około 3 tys. ludzi dokonała wymarszu pod KW celem uzyskania wyjaśnień. Ja zostałem na miejscu, nie wyszedłem. Licząc, że 3 tys. ludzi dokonało wymarszu, odliczając tysiąc na choroby i urlopy, to z 16 tys. załogi na miejscu pozostało 12 tys.

Około godz. 14.30-15.00, po odbiciu karty przy wyjściu, wyszedłem na miasto. Byłem na moście w okolicy dworca głównego i do godz. 23.30 obaerwowałem zajścia. Most Błędnik, Komitet Wojewódzki i odwrotnie, wzajemne odrzucanie, takie były te przemarsze. Kioski się paliły, niektóre sklepy były rozbite - to głównie zauważyłem. Widziałem, jak milicjanci odgonili grupę spod KW pod Błędnik, sporo obrywało na lewo i prawo, nawet ludzie z kolejek po bilety. Ci ludzie również uciekali

w różne kierunki. Kolejki rozbijali milicjanci po dwóch - trzech. Do mnie podbiegł jeden, drugi - no to go uderzyłem, bo był już zmęczony, a sam uciekłem do młodzieży, na torowisko w te kamienie. Gdyby nie oni, to byśmy też dostali na pewno.

Po godzinie 22.00 na perony wjeżdżały samochody, młodzież wyciągali z pociągów i wrzucali do tych samochodów. Zwracali uwagę na zabrudzone ręce. Dowiedziałem się później, że około 13 piwnic w Komendzie Miejskiej było napchanych tymi właśnie młodymi ludźmi, ponad 250 osób tam prawdopodobnie było. Rozmawiałem z takimi, co byli i widzieli.

We wtorek rano przyszedłem do pracy. Starsi zauważyli, co się działo w poniedziałek i chcieliśmy się odgryźć, odwdziaczyć się za wszystko. Po przybyciu do pracy na godzinę 6.00 z miejsca ubraliśmy się w nasze stoczniove ubiory, hełmy, rękawice. Wymarsz na miasto. Byłem w grupie liczącej około 800-900 osób. Około godz. 6.20 byliśmy pod KM NO na Swierczewskiego. Tam żeśmy zlikwidowali wszystkie opory. Ja wszedłem tylko na korytarz, dalej nie wchodziłem, ale koledzy weszli do środka, podpalsi tam, krzesła wyrzucali w kierunku więzienia, na ten plac garażowy. Milicja uciekała na ten plac garażowy, nawet tam za nimi rzucali, z tych dachów ich pospędzali. To widziałem na własne oczy. Następnie przybyła grupa 25-30 milicjantów z kierunku Okopowej na odsiecz pod Prezydium. Również żeśmy ich otoczyli, przydusili do murów. Tam siedmiu czy ośmiu leżało. W tym momencie usłyszałem - była gdzieś godz. 8.30 - jak obok mnie młody chłopak ze stolarni dostał mtrzał w szyję. Uważałem, że ten strzał był z Prezydium. Drugi strzał - drugi kolega dostał

w nogę. Gdy trzeci strzał padnie - odbierać broń i do środka, do tego gmachu. Odbierać broń tej milicji, tej przydużonej, około 30-osobowej grupie. I już więcej strzałów nie było.

Około godz.9.00 czy 10.00 wycofaliśmy się i weszliśmy w tłum pod Komitetem Wojewódzkim. Budynek już płonął. Był jeszcze ratunek z helikoptera - wyciąganie. Widziałem również te dwa-trzy wozy milicyjne, które przyjechały na odsiecz z kierunku Wrzeszcza. Dwa wozy prawdopodobnie pobiły i przyjechały pod pocztę. Te wozy przewrócono i podpalono.

Następnie, gdzieś około godziny 12.00 przyjechały czołgi z Wrzeszcza. Syn jednego z dobrze mi znanych pracowników z P-1 był w tym czołgu, który podjechał pod Stocznnię.

Na mieście byłem do godziny 14.00, starałem się, żeby na godzinę 14.00 być z niektórymi kolegami na zakładzie. Było zalecenie Zjednoczenia Przemysłu Okrętowego, żeby załoga nie wychodziła na miasto, żeby powołać jeden organ, wybrać delegatów. Na oddziale ałnikowym ja zostałem wybrany jako delegat. Wybory były jawne. Podanych było czterech czy pięciu kandydatów i na jednego z nich wolno było głosować. Ja byłem drugi czy trzeci, zobaczono mnie i od razu - Nowicki. Na tamtych poprzednich jeszcze nie głosowano, a już wybrano mnie. No i w związku z tym od godziny 14.00 byłem w sali BHP. Razem było nas tam około 50 w tym komitecie strajkowym. Z tym, że dyrekcja czy partia tak się nie wysławiała, bo raziło ich to słowo "strajk". No i myśmy siedzieli dzień i noc w tym komitecie.

W pierwszej fazie rozpatrywaliśmy, ilu jest zabitych i rannych. Ustaliliśmy, że mamy pięciu zabitych i 42 rannych. Osobiście widziałem tych

dwóch, o których mówiłem /jeden zabity strzałem w szyję, drugi ranny w nogę/, widziałem też tego rozjechanego przy dworcu przez czołg - to też był stoczniovec. Od razu na tym posiedzeniu komitetu żeśmy ustalili, że uważamy to za wypiski przy pracy i w związku z tym należy czynić wszystkie starania celem odszkodowania i renty.

Następną sprawą były stołówki. Miały przygotowywać zupy, bo ogłosiliśmy strajk okupacyjny. Postanowiliśmy, że ten strajk trwać będzie tydzień, za ten czas żądamy zapłaty średniej z trzech miesięcy. Gdyby warunek wypłacenia nie został spełniony - nie przystępujemy do pracy. Postawiliśmy również żądanie ustąpienia Gomułki, Cyrankiewicza i zmian w Komitecie Centralnym. Postulatów było tysiące, bo przy wyborach delegatów na wydziałach spisywano je, tak że każdy delegat idąc na to posiedzenie miał postulaty tej grupy, co go wybierała. I ta pierwsza grupa postulatów doszła do Kociołka i ta znikła. Ludzie żartowali, że Kociołek latał helikopterem i wrzucał je w błonący Komitet Wojewódzki.

W środę nie zdążyłem dojść do Stoczni. Słyszałem strzały, ale jak przyszedłem, to już było po strzelaninie.

W następny poniedziałek, po tygodniu, przystąpiono do pracy. Jeszcze żeśmy wypisywali nowe przepustki, bo stare nie były honorowane, nowe przepustki dla oczyszczenia załogi z pewnych elementów. Na niedzielę żeśmy mieli już gotowe, każdy delegat brał je na swój wydział, po dwóch - trzech wychodziliśmy na miasto i żeśmy w niedzielę roznosili, tak żeby przystąpić w poniedziałek do pracy. Wydział miał decydować, komu wydać przepustkę, komu nie. U mnie był tylko jeden przypadek, jednemu

nie wydano, ale on już był przewidywany do zwolnienia odnośnie dyscypliny pracy. Nie wiem, jak to przebiegało na innych wydziałach, ale w większości częściej ratowali i wypisywali przepustki dla wszystkich pracowników. Zauważyłem później, że grupa ludzi, w większości młodzieży, została zwolniona. Byli czasowo zameldowani i nie przedłużono im pobytu. Trudno mi powiedzieć, ilu ich było, ale tak w granicach 500-700 osób.

Po wypłaceniu nam pieniędzy przystąpiliśmy w poniedziałek do pracy. Była to praca na wolnych obrotach, 30% w porównaniu do normalnego tempa. Załoga dokonywała wyborów w radach wydziałowych związku. Przewodniczącym rady wydziałowej S-5 wybrano mnie. Ogólnie w Stoczni wyborów takich na wydziałach było około 15-16.

Praca była na wolnych obrotach, bo załoga miała pewne pretensje w dalszym ciągu do związku, jak i do Komitetu Centralnego, pewne niezadowolenie o nie zrealizowane postulaty. 25 stycznia 1971 roku zorganizowano przyjazd Gierka do Gdańska. Zostałem wybrany delegatem na to spotkanie i również tam zabierałem głos. To spotkanie miało charakter zwrócenia się Gierka do załóg, ażeby ruszyć produkcję i omówienia niektórych spraw. Następnie mieliśmy szereg spotkań na terenie zakładu z przewodniczącymi rady, przedstawicielami terenowych władz i władz centralnych. Im chodziło o zaspokojenia pewnych spraw załóg, natomiast nas interesowały sprawy kolegów - stoczniowców, którzy byli przetrzymywani w więzieniach. Powiedzieliśmy, że pochód pierwszomajowy będzie roznieśiony, trybuny będą roznieśione, jeśli ostatni atoczniovec czy pracownik innych zakładów nie zostanie wypuszczony na wolność. W końcu zostali zmuszeni i ostatni z aresztowanych po Grudniu został zwolniony przed 1 Maja.

1 Maj rozpoczęliśmy od składania wieńców w miejscach, gdzie polegli stoczniowcy. Uczestniczyłem w tym pochodzie; niesiono transparenty i hasła żądająca ukarania winnych.

Naraziłem się tyle, że po zjeździe w grudniu 1971, w styczniu 1972 zostałem zwolniony z pracy bez uzasadnienia. Oddałem sprawę do sądu powiatowego, żądałem uzasadnienia mego zwolnienia i wniosłem roszczenia o przywrócenie prawa do pracy wraz z odszkodowaniem. W okresie dwóch lat miałem 13 rozpraw. Wynik negatywny. Zwracałem się o rewizję nadzwyczajną - nie przyjęto. Również od ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego dostałem odmowę. Ze Stoczni pojechała do Gierka delegacja. Pytano się, czy mają upoważnienia i legitymacje partyjne - nie posiadali. Odmówiono im dalszej dyskusji, ich sprawę skierowano do rozpatrzenia w Komitecie Wojewódzkim. Ja dostałem dokument, który posiadam do tej chwili, że moja sprawa zostanie rozpatrzona w KW, proszę czekać na odpowiedź. Czekam do dnia dzisiejszego.

Trzeciego dnia strajku w sierpniu 1980 roku koledzy zawiadomili mnie, żebym przybył do Stoczni. Przybyłem w pierwszą niedzielę strajku do Komitetu Strajkowego. Lech Wałęsa prosił mnie osobiście o przystąpienie do Komitetu. Odmówiłem, bo przez okres 9 lat byłem poza zakładem, nie znałem spraw. Odmówiłem przystąpienia do Komitetu Strajkowego dokumentując tym, że byłem w Komitecie Strajkowym w Grudniu i cierpię do dnia dzisiejszego. Lech Wałęsa pytał, czy chcę podjąć pracę. Powiedziałem, że tak. Na starych warunkach, z ciągłością. I Lech Wałęsa osobiście dopilnował tego, że zostałem przyjęty. W grudniu 1980 roku wybrano mnie ponownie na przewodniczącego wydziału S-5, jako przewodniczącego komisji wydziałowej "Solidarności". Jestem również członkiem komisji zakładowej, jak i delegatem do MKZ-u.

**Relacja Gontarczyk,
pielęgniarki szpitala zakładowego
Stoczni Gdańskiej im. Lenina,
z września 1981 r.**

Pracowałam w szpitalu w roku 70. Wtedy miałam 27 lat, średnie wykształcenie medyczne, mieszkałam na Chełmie. Wracając pewnego dnia z dyżuru popołudniowego w późnych godzinach wieczornych nie mogłam dotrzeć na Plac 3 Maja do autobusu. W pobliżu płonącego Komitetu Wojewódzkiego - na Garncarskiej zatrzymał mnie milicjant. Otoczono mnie i zapytano - co ja o tej porze robię? Odpowiedziałam, że wracam z dyżuru - jestem pielęgniarką. Wtedy mnie potraktowano naprawdę obelżywie - i to sąsiad, który mieszkał w tej dzielnicy. Powiedziano mi wręcz: "Niech pani spieprza stąd... co pani tutaj robi, bo jak panią zdzierzymy, to się pani nie pozbiera". Dotarłam do autobusu zdenerwowana - resztkami sił. Następnego dnia brama była już zamknięta. Ja jeszcze weszłam na teren Stoczni, koleżanki nie weszły. Barbara Zarzycka i ordynator Miellich, który już nie żyje - na teren szpitala już się nie dostali. W samym szpitalu atmosfera była zła - ogólne zdenerwowanie - zwłaszcza wśród pacjentów. Poza tym ja sama przeżywałam tragiczne chwile, bo mój mąż, też stoczniowiec, był zamknięty - brał udział w wydarzeniach tych dni. Zresztą teść i brat męża w tym czasie też byli w Stoczni Północnej zatrudnieni. Poza tym zostawiłam dwoje dzieci u obcych ludzi, bez kontaktu - bo nie było kontaktu telefonicznego.

Sam przebieg tych dni. Wiadomo - jak w szpitalu. Trzeba się było przede wszystkim zainteresować pacjentami. Jeśli chodzi o samą pomoc na uli-

cy - przewożenie, zaopatrywanie rannych - nic nie mogę na ten temat powiedzieć, bo ja byłam zainteresowana tylko i wyłącznie pacjentami w szpitalu. A Przychodnia Chirurgiczna mieściła się na dole i tam właśnie bezpośrednio pielęgniarki zaopatrywały stoczniovców i przywoziły na chirurgię. Jedną z pielęgniarek - przełożoną Zarzycką /obecnie pracują na Jaskólczej/ - dzielnie się udzielała; przywoziła tych wszystkich stoczniovców. Pamiętam, że część stoczniovców, którzy tu byli zamknięci, bo oni już później nie wychodzili na ulicę - zostali na terenie Stoczni - przychodziła na ciepłe zupy. Sam fakt strzelania. Ja mogę tylko powiedzieć to, co obserwowałam spod bramy. Strzelano - bo czołgi stały za tymi falowcami, ale o której to godzinie - to nie wiem. Panika była niesamowita. Gdy już padł strzał na szpital - wyrwało wtedy w gabinecie radiologicznym dużą wyrwę w ścianie, była oddziałowa zorganizowała białą flagę z czerwonym krzyżem. Wtedy już był popłoch, panika i zaczęła się ewakuacja chorych. Ci, co do domu - to do domu, reszta do Akademii. Personel rozproszony był po innych przychodniach, ja przypadkowo byłam oddelegowana na Jaskólczą.

Chorych, którzy mogli chodzić, porozwożono do domów karetkami. Ciężej chorych do Akademii, do Szpitala Wojewódzkiego; który szpital dysponował wolnym miejscem, ten przyjmował.

To było zaraz po strzałach. A jeszcze w czasie strzałów... tego ranka udzielano pomocy poszkodowanym obok bramy, na samej bramie i z ulicy zwożono stoczniovców. Bo wtedy, jak już się rozpoczęła ta strzelanina - a brama była otwarta - wchodziłi i wychodzili sobie. Wtedy pomocy udzielała Poradnia Chirurgiczna. Tam był lekarzem dr Chmielnikowski.

Chorzy w czasie strzelaniny zachowywali się tragicznie - zwłaszcza kobiety. Ogólna panika. Kobiety mdlały, krzyk niesamowity - ogólny rozgardiasz. Pielęgniarki też były zdenerwowane - w popłochu traciły głowy. Ten moment był fatalny. Może dla starszych pań, które przeżyły okres wojny, to nie było takie tragiczne, ale dla młodych koleżanek to było coś niesamowitego. Ogólny popłoch. Pielęgniarki bisgały od pacjentki do pacjentki z lekami uspokajającymi. Kobiety leżały na górze, a więc widziały przez okna ts czołgi, uzbrojonych po zęby żołnierzy. Widok więc niesamowity - szpalery czołgów i żołnierzy.

Były dwa przypadki postrzałów pod bramą. Wiem to z relacji koleżanek, które były świadkami tych zdarzeń, na chirurgii oglądały te przypadki - ja nie widziałam. Widziała to Zarzycka Janina, była przełożona. Ona naprawdę udzielała się dzielnie. Jeździła w białym kasku w karetkach i zwoziła rannych. I ona najprawdopodobniej przywiozła tych dwóch poszkodowanych na chirurgię.

Jeden - chyba zmarł na miejscu - to była chyba rana postrzałowa podstawy czaszki, to dokładnie określi chirurg.

Ordynatora Miellecha nie było. O ewakuacji musiała zdecydować dyrekcja Stoczni albo kierownik Przychodni - tylko nie wiem, czy był wtedy na stanowisku pracy - to mi trudno powiedzieć. Autokar do ewakuacji łóżek chorych i personelu był stoczniowy. To chyba kierownik Przychodni ustalał z dyrekcją Stoczni.

Już po Grudniu, zostało wszystko wyjaśnione w stosunku do lekarzy, do służby zdrowia, do innych osób. Chyba nie było żadnych represji. Tylko mnie starano się odebrać etat.

Nie zakazywano mówienia o tym, co się tutaj w szpitalu działo. Ale nikomu też chyba nie dziękowano.

Relacja Leszka Portycha,
kierownika Chirurgii Urazowej
Akademii Medycznej w Gdańsku,
z lipca 1981 r.

Na dzień lub na kilkanaście godzin przed zajęciami grudniowymi Instytut Chirurgii Akademii Medycznej w Gdańsku podjął - wskutek decyzji, która przyszła z zewnątrz - działania organizacyjne dla zabezpieczenia pomocy doraźnej, jak to się mówi w cudzoziemiu "na wypadek". W tym czasie były to praktycznie oddziały Kliniki Urazowej, Kliniki Chirurgii Klatki Piersiowej i Kliniki Chirurgii Ogólnej plus Oddział Reanimacyjny. Za ogólne kierownictwo tych spraw odpowiedzialny był Stanisław Mlekodaj - ówczesny dyrektor Instytutu. Oddziały były wypełnione, w związku z tym trzeba było maksymalnie wypisać chorych, w stanach, które umożliwiały ich hospitalizację w domu, aby maksymalnie zwiększyć bazę pojemności poszczególnych oddziałów. W atmosferze oczekiwania na to, co się może stać, jaki obrót przybiorą sprawy, przygotowano również lekarzy na stały dyżur w klinikach. I myśmy pozostali, nie powracając do domu, co z perspektywy tłumaczy, że nawet przy tej szczupłości kadry wszyscy musieli być na miejscu przez 24 godziny. Z tym, że już nie pamiętam dokładnie, czy tę decyzję podjęliśmy przed przywiezieniem pierwszych poszkodowanych, czy też po.

Informowani byliśmy przez radio i przez telewizję. Napływ informacji, zarówno oficjalnych z Gdańska, jak i z Warszawy, raczej potęgował atmosferę nasilającego się nieszczęścia. Z troskami byliśmy naszymi domami, gdyż wszędzie w Gdańsku

już wkraczało wojako, obstawiane były ważniejsze gmachy publiczne. Czołgi stały na ulicach, był stan wyjątkowy. Jeżeli ktoś mieszkał w większej odległości od szpitala, to przejechanie karetką pogotowia było bezpieczniejsze, aniżeli przejście przez ulicę. Wszyscy pozostawali wobec tego na miejscu. Komunikowaliśmy się telefonicznie z domami, co się wokół dzieje.

No i wreszcie stało się to, co się stało. Pierwsze karetki pogotowia zaczęły przywozić nam i robotników ze stoczni, i cywilnych z ulicy, i milicjantów. Te wstępne ilości chorych nie były znaczne, nasilały się falowo. Należało więc przypuszczać, że w miarę ostrości zajęć i nasilających się incydentów karetki pogotowia będą przywoziły coraz więcej poszkodowanych. Nasze ambulatorium stanowiło w tym okresie prawie że przedpole pierwszej segregacji - jak na polu walki. Przy dość dużej sprawności zespołu, pomoc udzielana tym chorym była prawidłowa. Wielu z nich - niestety - trafiało już bezpośrednio z izby przyjęć na Medycynę Sądową, czyli w niektórych wypadkach albo chorzy umierali w karetkach pogotowia w czasie dowożenia, albo umierali już w izbie przyjęć. Obrażenia były ciężkie. Właściwie można by je podzielić na szereg grup: obrażeń lekkich, potłuczeń, zatruc gazem izawiącym, no i najgroźniejszych urazów w postaci ran postrzałowych. Były to postrzały bezpośrednio głowy, klatki piersiowej, kończyn, jamy brzusznej. Przywożono chorych ze zmiążdżeniami kończyn. Zmiążdżenia te można było odnosić do przejechania czołgową gąsienicą albo innym ciężkim pojazdem. Wielu chorych było nieprzytomnych, nie można było zebrać od nich żadnych danych. Tożsamość ustalało się

dopiero po pewnym czasie. Wiele postrzałów nasuwało wrażenie, że były oddawane z wysokości. A czy one były oddawane z lecących pojazdów, czy one były z dachów, czy z okien - w każdym razie na pewno postrzały, które osiowo były grawitacyjne. W cudzysłowie "grawitacyjne", bo przechodziły gdzieś przez kark i klatkę piersiową w dół. Chyba nie strzelano do nikogo, gdy już leżał na ziemi. Raczej padał po postrzale. To na pewno budzi skojarzenia, że strzały oddawane były z wysokości. Wielu chorych, wobec uzasadnionych obaw, gdy udzielono im pierwszej pomocy, opuszczało na własne żądanie ambulatorium. W przeciągu kilku godzin wypełniliśmy prawie wszystkie łóżka i korytarze.

Informacje z miasta mieliśmy od pracowników obsługi karetek pogotowia, od nich wiedzieliśmy mniej więcej, jak to wyglądało w terenie. Nie zawsze byli oni świadkami okoliczności zajść bezpośrednio. Ale przecież byli w samym centrum walki, stojąc karetkami już w tak zwanym pogotowiu. Czyli byli naocznymi świadkami. Kto strzelał, skąd strzelano - takich informacji było mniej, ale z konkretnych zajść, kto bił - to wszystko było przecież wiadomo, bo ludzie z karetek widzieli tak, jak wszyscy na ulicy. Referowali to na bieżąco.

Największe nasilenie dopływu chorych miało miejsce drugiego dnia, to było konkretnie 15 grudnia. Karetki pogotowia dowoziły nam również chorych z Gdyni. Z Gdyni dowożono nam właśnie najwięcej chorych z urazami klatki piersiowej po postrzałach. To było na pewno kilkanaście osób, które trafiły na Oddział Torakochirurgii, bo to były ciężkie przypadki i one nie były już

hospitalizowane w Gdyni, tylko przewożone tutaj, do specjalistycznego oddziału. To były głównie postrzały. Czyli w Gdyni strzelano więcej aniżeli w Gdańsku. Tam w szpitalu już się to wszystko nie mieściło, a pomocy specjalistycznej trzeba było im udzielić już tutaj. Instytut Chirurgii był w tym lepszym położeniu, że odpowiednie przygotowanie, niewielkiego zresztą w tym czasie Oddziału Reanimacyjnego, mogło udzielać bardziej prawidłowej, fachowej pomocy. Po rozeznaniu i ustaleniach wstępnych znakomita większość chorych musiała znaleźć się na stole operacyjnym. Całe zespoły, podzielone na kilka sal operacyjnych, przeprowadzały zabiegi operacyjne, naprawcze, usuwając niejednokrotnie pociaki z ran i opatrując według zasad ciężkie urazy w postaci wieloodłamowych złamań, zwichnięć, ran postrzałowych wstępnie rozpoznanych jako rany brzucha, klatki piersiowej. Były to niewątpliwie bardzo ciężkie obrażenia. Część chorych po postrzałach głowy umierała nam na stole operacyjnym. Praktycznie wszystkie doraźne zaopatrzenia i późniejsze leczenie obejmowało niewielu chorych, którzy pozostawali już inwalidami. Leczenie odbywało się w sytuacjach koniecznych amputacji, w sytuacjach przedłużonego leczenia, wtórnych zabiegów, co znacznie już wykraczało poza okres doraźności niesienia pomocy.

W całym zespole panował nastrój właściwie taki, jak na polu walki. Tak jak zawsze, służba zdrowia znajdowała się w stanie nie emocji, ale racjonalnego niesienia pomocy. A to, co było rozumą, obawą i przeczuciem jeszcze większego nieszczęścia, które groziło nie tylko nam tu, w Gdańsku, ale i całej Polsce... I zarówno bezpartyjni, jak i partyjni, zdawali sobie sprawę

z tego, że decyzja, która została podjęta dla przerwania manifestu robotniczego, była właściwie odpowiedzią walki z klasą robotniczą. Dialogiem były kule - tym razem. Dla nikogo nie pozostawała chyba ani odrobina wątpliwości, po której stronie znajdowaliśmy się my, lekarze. Wśród poszkodowanych byli przecież ludzie młodzi, bardzo często jeszcze z legitymacją wzorowego żołnierza, atocznioicy z legitymacjami partyjnymi, byli także oficerowie Milicji Obywatelskiej i szeregowi. Nieraz trzeba było pacyfikować nastrój wzburzenia nawet na salach chorych, przedstawiając im okoliczności, w jakich się znaleźli, a reszta porozumienia pozostawała już sprawą ich moralnej odpowiedzialności.

Stoczniovec, milicjant... Ja ich nie rozróżniałem. I nikt z nas nie rozróżniał. Wtedy, kiedy mamy poszkodowanego i chorego, ciężko rannego, to jest taka sama sytuacja jak w czasie każdej walki na froncie. Jeżeli mi przywiezą nawet przeciwnika, to muszę świadczyć i świadczę. To jest cecha służby zdrowia i to jest już chyba ten moment, który stanowi o prawidłowości. Początkowo przyjmowaliśmy wszystkich razem, potem już w przeciągu kilku godzin oddzieliliśmy poszkodowanych milicjantów i cywilów, ażeby nie stwarzać sytuacji odwetowych. To chyba było zasadne, bo to już był fakt dokonany, a nie sytuacja do rozliczeń. Nie można było inaczej.

Trwało to, jak pamiętam, dwa lub trzy dni. Z tym, że poniektóry wymknął się na trochę karetką do domu, ale spośród lekarzy z Chirurgii Urazowej był i Piotrek Tomaszewski, była koleżanka Wrocławska, był Ruszel, oprócz Portycha i Jankała - to już stanowiło cały zespół. Do tego dochodzi

jeszcze zespół pielęgniarek. Właściwie wszyscy wtedy brali udział, nawet cała administracja w tym czasie włączyła się do pomocy, jeżeli chodzi o takie pomocniczo-pielęgniarskie czynności. No i personel salowych, który też pozostawał na miejscu. Na innych oddziałach - dr Pyczkowski, który w tym czasie pracował na kardiokirurgii - w oddziale Torakochirurgii, był tam wyodrębniony taki oddział, cały zespół, jeszcze kilkunastu lekarzy w sumie. Oddział Reanimacji też obejmował około czterech lekarzy, w Oddziale Chirurgii Ogólnej oprócz kierownika pracowało też co najmniej sześciu lekarzy. A więc w sumie było nas, personelu lekarskiego, dwadzieścia parę osób. Tak, że te wszystkie nazwiska są nawet nieistotne, bo wiadomo, kto w układzie dyżurowym siedział w te dni, zresztą cała kadra w tym czasie była na miejscu. Poza tym pewnym obciążeniem były oddziały chorób wewnętrznych czy według kompetencji specjalistyczne - laryngologia czy stomatologia, w urazach odpowiednio do kompetencji.

Tylko w Oddziale Chirurgii Urazowej wykonaliśmy co najmniej dwadzieścia zabiegów na sali operacyjnej. To jest bardzo dużo. Normalnie w układzie dziennym wykonywaliśmy po trzy, cztery zabiegi. Więc obciążenie było znaczne. Oddział Chirurgii Ogólnej, Chirurgii Jamy Brzusznej miał może mniej zabiegów, a najwiękazy ciężar ponosiła Klinika Urazowa i Klinika Torakochirurgii. Jeżeli chodzi o zakres tych zabiegów - były ciężkie. Przecież to były trepanacje, rozległe ziażdżenia wymagające koniecznie amputacji, torakotomie, czyli otwarcia klatki piersiowej czy w ranach postrzałowych jamy brzusznej - otwarcia jamy brzusznej, resekcje

jelit czy też po prostu zeszcicia jelita, to wszystko co wchodziło w zakres prawidłowego zaopatrzenia. W sumie były to bardzo ciężkie zabiegi. Praktycznie o lekkich zabiegach nie ma co mówić, opatrunki i zeszcicie rany były w warunkach ambulatoryjnych zaopatrywane na oddziale.

W sytuacjach, w których chory nam ginął już w izbie przyjęć, zwłoki przewożono na Medycynę Sądową dla przeprowadzenia sekcji i założenia dokumentacji. Niektórzy chorzy czy poszkodowani ranni, którzy umierali, względnie których transportowano już martwych, byli przewożeni bezpośrednio na Medycynę Sądową. Niektórzy chorzy ginęli nam na stole, szczególnie w rozległych urazach mózgowo-czaszkowych, przy postrzałach czaszki - tych odsyłałiśmy również na Medycynę Sądową. Z tym, że mieli oni założoną dokumentację, historię choroby. A te wszystkie historie choroby, dokumentacje, zostały potem skrupulatnie zebrane i już nie znalazły się w archiwum Instytutu. Nie wiem gdzie i komu zostały oddane, niemniej wszystkie historie choroby z oddziałów zostały zabrane. Za to był odpowiedzialny administracyjnie Instytut Chirurgii. Wiadomo, że musiały być instrukcje w tym względzie, jeżeli chodzi o tę dokumentację, żeby ją zabezpieczyć, żeby się gdzieś nie rozplynęła. Niemniej dostępu do dokumentacji nie mieliśmy. Jeżeli przyjmowaliśmy chorego do leczenia po raz drugi, opieraliśmy się tylko na wywiadzie. Pacjentom, którzy zgłaszali się, bo chodziło im o odszkodowanie czy rentę, zaciągano nową historię choroby, każdy miał przecież jakąś kartę informacyjną, którą dostawał przy wypuszczaniu ze szpitala. I na podstawie tej karty informacyjnej chory prowadzony był dalej.

Moje wrażenia, refleksje z Grudnia... Lekarz jest zawsze bliki śmierci, gdy ginie jego chory, z którym jest bardzo związany, zawsze jakoś przeżywa tę śmierć, a w tym wypadku to podłoże... Przecież to nie była taka zwykła ludzka śmierć. To nie była śmierć w łóżku chorego, przewlekłe chorego, to była śmierć, którą niosło pole walki. I to pole walki robotników. Odpowiedzialność. Myślę, że taką osobistą odpowiedzialność, chyba dużo większą musiała mieć ta grupa lekarzy, którzy byli członkami partii i którzy zdawali sobie sprawę, że to właściwie partia strzelała do tych robotników. No i ci ludzie między sobą mówili, że jeżeli chodzi nawet o aparat ucisku, to władza robotnicza musi go trzymać mocno w łapie zawsze. I wiedzieć, kiedy tę broń można użyć, w imię czego. A tutaj nie widzieliśmy żadnych sytuacji, która by to usprawiedliwiała. I to była sprawa, która była tym moralnym wielkim znakiem zapytania: kto do kogo i za co. A przecież nie wiązała się z tym śmierć tylko jednej osoby. A nawet gdyby. Ostatecznie Traugutta też wieszano na Cytadeli też w imię sprawy. Przypadkowa śmierć jest taka sama, jak ta, która stała się w proteście. Ta sama. Nic dodać ani odjąć.

Jeśli chodzi o morale, nie tylko członków partii, ale w ogóle lekarzy. Myśm absolutnie nie wiedzieli o tym, że to będzie. Że się mogą szykować jakiegoś rodzaju zajścia mogliśm przypuszczać, ale tego, że będziemy usuwać pociąki z polskiej broni... to już było zupełnie inna sprawa. Bo przecież to nie była importowana broń. Nikt jej tutaj specjalnie chyba nam nie przyał, tylko użyliśm tej, którą mieliśm. Tylko czy zachodziła potrzeba użycia tej broni? Kliszko

wypowiadał się oficjalnie o tym, że trzeba spalić stocznię - wiadomo o co chodzi. Nie pamiętał, że przecież sam też w więzieniu siedział w swoim czasie i to łącznie z Gomułą, za to, że wtedy miał swoje zdanie. To jakiś amok, który ich opanował w przeroście nieobliczalnych zupełnie decyzji. To wszystko nie było wydarzeniem takim zwykłym, jak z jakiegoś zajścia ulicznego, kiedy chuligani dewastują miasto, rozbijają szyby. Przecież wiedzieliśmy, co się dzieje w stoczni. przecież była tam i milicja robotnicza, która pilnowała porządku i strzegła przed prowokacją. Ale te decyzje, które zapadły, przekreśliły wszystko. Teraz, z perspektywy czasu możemy powiedzieć, że dialog mógł rozwiązać wszystko i że można było wszystkiego uniknąć.

Relacja Kazimierza Kuca,
lekarza Szpitala Wojewódzkiego
w Gdańsku,
z dnia 28 września 1981 r.

W grudniu 1970 r. byłem asystentem oddziału chirurgicznego w Szpitalu Wojewódzkim na Swierczewskiego. Był to mój siódmy rok pracy na chirurgii. W niedzielę dowiedziałem się o podwyżce od kolegów partyjnych, którzy w sobotę byli na zebraniu informacyjnym. Drugą informację przekazał nam kolega, też chirurg, Mieczysław Berbeta, który w tym okresie pracował chyba już w szpitalu MSW, że tam polecono opróżnić łóżka i przygotować oddział.

W poniedziałek byłem umówiony z narzeczoną, studentką Akademii Medycznej, że spotkamy się po zajęciach. Od AM do Gdańska mieliśmy iść na piechotę, coś zaczynało się dziać. Przechodziliśmy bokiem koło kawiarni "Monopol" i ktoś nas poinformował, że w tej kawiarni zrobiono jakąś czystkę, wpadli funkcjonariusze z pałkami. Jakaś szyba gdzieś była zbita - nie potrafię już dokładnie odtworzyć.

Uderzyło nas zgromadzenie ludzi przed budynkiem Komitetu Wojewódzkiego, mineliśmy go bokiem, przez ulicę Rajską poszliśmy do Szerokiej.

Następnego dnia, we wtorek, przyjechałem do Gdańska kolejką relacji Nowy Port - Gdańsk. Wsiadłem około 7.30 i jak zwykle trasą dworzec - Szpital Wojewódzki podążałem do pracy. Po wyjściu z dworca widać było przede wszystkim zorganizowaną kolumnę stoczniovców ubranych w kombinezony, hełmy idących w kierunku Błędnika, a po jego przejściu - pod

KW. Przed budynkiem Komitetu Wojewódzkiego było olbrzymie zgromadzenie ludzi, oceniam je na dziesiątki tysięcy. Cały rejon Bastionu koło Żaka, cała jezdnia Wałów Jagiellońskich aż do węzła Hucisko zajęta przez zgromadzonych. Podążyłem drogą do mostu Hucisko - tam, na wysokości mostu to zgromadzenie się kończyło i był cichy, ze cichy rejon. Tu pełno ludzi - a tam jakoś dziwnie cicho i pusto. I wtedy zauważyłem funkcjonariuszy MO zgromadzonych przed budynkiem KM MO. Zaraz potem od strony milicji poszły petardy gazowe.

Później z terenu szpitala oglądałem całą wojnę. Wielokrotne przemarsze cywilów do mniej więcej ulicy Kurkowej - tam i z powrotem. Kiedy milicja z tarczami, w hełmach szła do przodu, cywile się cofali. I na odwrót. Jak dwa magnesy odpychające. I to się odbywało wielokrotnie. Był nawet taki moment, że cywile na tyle poszli do przodu, że milicja się pochowała, chyba w rejon więzienia, zniknęli z horyzontu. Koło godziny 10.00, w tym czasie, gdy palił się budynek KW, nad KM MO jakiś dymek się pokazał, chyba więc był atakowany.

Byliśmy najbliższym szpitalem, ale poszkodowanych, ciężko poszkodowanych, było u nas bardzo mało. Wiem, że operowaliśmy jeden postrzał młodego, około 25-letniego chłopca, miał chyba uszkodzoną nerkę. Zabieg przeżył. Wśród poszkodowanych było bardzo dużo ludzi często zupełnie przypadkowych. Z relacji ich wynikało, że dostawali pałką w głowę bez powodu - po prostu dlatego, że byli tam. Trafiało do nas dużo umundurowanych milicjantów z niewielkimi obrażeniami. Przyznam się szczerze, że wrażenia nasze były takie, że byli to ludzie, którzy chcieli uniknąć tej konfrontacji na ulicy,

mając pretekst w postaci drobnego obrażenia chowali się na teren szpitala. Udawali ciężko chorych, nie mieli chęci opuszczania szpitala. Niektórzy mieli przy sobie aparaty nadawczo-odbiorcze i my słuchaliśmy rozmów między szefostwem tej akcji milicyjnej a poszczególnymi punktami dowodzenia. Były to rozmowy na bieżąco - co się dzieje, gdzie, że żądają pomocy, jakieś przekleństwa - no to są rzeczy raczej nie do odtworzenia. Milicjanci byli spokojni i jakby zażenowani. No bo oni stanowili mniejszość, a w tym szpitalu, nas było dużo, a to byli pojedynczy ludzie, kilkadziesiąt osób. Noże wrażenie jest takie, że oni byli raczej przygnębieni tym wszystkim. To nie byli tacy - co to przyszedł wypić łyk wody, otarł pot i krew z czoła i dawaj - my im pokazemy. Raczej robili wszystko... kazali się bandażować i spokojnie, cicho siedzieli w przeznaczonych dla nich sali wykładowej. Potem odtransportowano ich chyba do szpitala MSW.

Jedną czy dwie doby dyżurowali w szpitalu wszyscy lekarze. W drugiej dobie, ze względu na niemożliwość wygodnego wypoczęcia, rozwiązani zostaliśmy karetkami pogotowia - bo była godzina policyjna - do domów. Tylko wzmocnione dyżury zostały. Tak było na chirurgii, ale sądzę, że i na innych oddziałach.

Z polecenia zdaje się dyrekcji dyżurne pielęgniarki z izby przyjęć robiły listy-wyciągi osób, którym udzielono pomocy. Można się było domyślać w jakim celu. Chodziło o wyłuskanie osób, które były w pobliżu zajęć, w celu wyciągnięcia konsekwencji później. Lista poszkodowanych nie była pełna, wielu lżejszych przypadków nie notowano, żeby ludziom nie szkodzić.

Relacja Anny Kowalczyk,
sekretarki Chirurgii Urazowej
Akademii Medycznej w Gdańsku,
z września 1981 r.

12 grudnia, jak na ironię, w Grand Hotelu w Sopocie było towarzyskie spotkanie Instytutu Chirurgii. Trzynastego, to jest od kiedy weszła w życie podwyżka, byłam w domu, po tym udanym spotkaniu towarzyskim. W poniedziałek, 14 grudnia, przyszedłam do pracy i zastałam już pewne zaniepokojenie w całej klinice. Sala rehabilitacyjna na Klinice Urazowej pełna była łóżek i tam było sporo młodzieży, którą rzekomo zgarnięto w niedzielę, gazem ich rozpędzili, ale gdzie to było - nie wiem. Nie byli pobici, nie byli postrzelani, tylko pogazowani. I właśnie tę młodzież wypisywali po nocnym przetrzymaniu.

Cały poniedziałek minął spokojnie. Wydaje mi się, że to było we wtorek od rana, kiedy zaczęło się takie duże zaniepokojenie, zaczęły się przyjazdy różnych panów z Wojewódzkiej Rady Narodowej do dyrektora Mlekodaja. Już dowiedziałem się, że dr Mlekodaj został mianowany szefem służby sanitarnej na Trójmiasto. Zaczęło się szykowanie sal, dodatkowych sal dla chorych.

Pamiętam noc z wtorku na środę, kiedy był łoskot tych czołgów, kiedy lekarze wychodzili na dach Akademii patrzeć, jak wojsko zaczyna się zjeżdżać. No i wreszcie ten ranek, kiedy zaczęli przywozić rannych stoczniovców. Zapach gazu dominował we wszystkich korytarzach Akademii. I zaczęły pracować sale operacyjne już non stop.

Z lekarzy pracował wtedy dr Oskar Jankał, Krzysztof Renkielski, no i oczywiście Leszek Portych, który pełnił wtedy funkcję kierownika Chirurgii Urazowej. To byli lekarze, którzy przebywali w klinice przez cały tydzień. Ja poszłam do domu dopiero po przemówieniu Gierka, jestem samotna, więc nie mogłam stamtąd wyjść.

Spaliśmy rozmaicie. W dyżurkach lekarskich na zmianę, w wózkach do przewożenia chorych, w sekretariacie przy telefonie. Pamiętam, strasznie się ucieszyłam, bo dyrektor Mlekodaj ofiarował mi klucz od swojej dyżurki, dostałam czystą bieliznę pościelową, ale wtedy przyjechał pan wiceminister zdrowia Sliwiński i zabrał ten pokój. Przyjechał z ramienia rządu, nocował i dopiero następnego dnia odjechał. W gabinecie Mlekodaja bez przerwy był ktoś z WRN, z milicji, z SB. Nikt mi ich nie przedstawiał, ale to było widać.

Pamiętam, odebrałam telefon do dr Mlekodaja, aby przy portierni stanął ktoś, kto mógłby skierować samochody wiozące zabitych prosto na Medycynę Sądową, żeby nie błądziły po Akademii. Zameldowałam to Mlekodajowi, poszedł z jednym lekarzem z "klatki pieraiowej". Jak wrócił, to mówił, że jak otworzyli plandekę, to zwiłok było dużo. A samochodów ile było - jeden, dwa, czy trzy - to nie wiem.

Na drugi dzień po masakrze w Gdańsku uruchomiono punkt informacyjny w izbie chorych. I ku naszemu przerażeniu ta informacja zaczynała się od tego, że pytano nie o to, o kogo poszukujacemu chodzi, tylko wypytywano go o nazwisko, imię, adres. Ten, który się pytał, musiał się wylegitymować, kim jest. I to tak przestraszyło pracujące tam panie, że pani Ele tam pracująca pikietowała przed drzwiami i nie dopuszczała do wchodzenia,

ostrzegała ludzi. Szefem tam był jakiś partyjny lekarz. Czy sam to wymyślił, czy takie było polecenie - nie wiem.

Operacje były bardzo ciężkie. Pamiętam, jak dr Renkielski operował chłopca, który nie miał przy sobie dowodu osobistego, tylko legitymację klubu sportowego Stoczni im. Lenina. Miał 18 lat. Postrzał w głowę. Dr Renkielski wyjął mu kulę, ale chłopiec umarł na stole.

Przed Akademią stał czołg. Wzdłuż całej Curie-Skłodowskiej stały czołgi. I codziennie robiło się wykazy stanu rannych, stanu chorych. Sama je pisałam na maszynie, więc musiały być. Że też się tego nie zabezpieczyło... Wysyłane były do WRN. Historie choroby układane były oddzielnie. Taka historia choroby na oddziale jest krótko - jeden rok, a potem idzie do archiwum, gdzie przechowywana jest długi okres - 15 lat. To, że w archiwum nic nie ma jest zdumiewające.

Któregoś ranka, ale nie pamiętam daty, wyszłam na korytarz po dyżurze, była chyba szósta rano. Podszedł do mnie jakiś człowiek i szeptem spytał, czy wiem, gdzie leżą milicjanci, bo przyjechała rodzina, żona z córką. Pokazałam drogę. Oni położeni byli oddzielnie, na Chirurgii Stomatologicznej, trzymane to było w tajemnicy, bo przecież by im ciężko było. Ich zabrali później. Chyba tylko przenocowali i zabrano ich chyba do szpitala MSW.

Nie wszystkie przygotowane wcześniej sale zostały wykorzystane. Którejś nocy spałam w takiej niewykorzystanej sali.

W sekretariacie Instytutu Chirurgii, w szafce były dowody osobiste rannych. Właśnie tam była ta legitymacja klubu sportowego 18-letniego chłopca.

Pamiętam, bardzo ciężki przypadek był takiego chłopca, któremu czołg zmiąłdwie nogi. Miał dwa kikuty, na wózek potem jeździł. Wiem, że jak zaczęli przywozić tych z Gdyni, to lekarze łapali się za głowę, że właściwie wszystkie postrzały są z góry - w ramiona, w głowę. Lekarze ocenili, że strzelano z helikoptera albo do leżących.

Opieka lekarska i pielęgniarska była na pewno dobra. Pamiętam dr Chorzowską, która nachylała się nad każdym i pocieszała. Poza tym myśmy się stale bali, że nam tych rannych zabiorą, że ich nie obronimy.

Kiedy dali znać, że pod bramą Stoczni leżą ranni stoczniowcy, sam docent Dybicki wskoczył do karetki pogotowia i pojechali. Wrócili z niczym, nie dopuszczono ich. Tych rannych później przywieziono. Bo jeszcze ciekawostka, że tych rannych to przywoziła przeważnie milicja.

**Relacja lekarki
z Zakładu Medycyny Sądowej,
z października 1981 r.**

Zwłoki były normalnie przywożone przez tę instytucję, która przewozi zwłoki, to zniszczy przez gospodarkę komunalną. Trafiały do zakładu, numerowaliśmy je, bo nie zawsze były rozpoznane, nie miały nazwiak, dokumentów. Zapisywane były wszystkie do księgi sekcyjnej, figurują w księdze z roku 1970. Następnie poddawane były sekcjom sądowo-lekarskim. W każdym przypadku były sporządzane protokoły z sekcji. Protokoły te dość szybko były pisane, tak że do końca roku wszystkie oddane zostały do prokuratury. Wszystkie miały ten sam numer z prokuratury wojewódzkiej. Potem, żeby ułatwić formalności tym rodzinom, które przychodziły rozpoznawać, wydelegowano jakąś panią, która na miejscu wystawiała karty zgonu /u nas się wystawia kartę zgonu i w oparciu o nią wystawiany jest akt zgonu/. Później zwłoki znikaly z zakładu.

Wtedy roczna liczba sekcji wynosiła około 400. Zwłoki ofiar grudniowych wpisywane były pod kolejnym numerem do księgi sekcyjnej, nie można przecież było robić nowej księgi, nowych numerów, tylko wpisane były pod tą datą, kiedy trafiały i z kolejnym numerem. Tak, że nie pewno nie było ich więcej, z tym, że nie wszystkie były w zakładzie sekcjonowane. Tak, że część była po sekcji z Gdyni do nas przywieziona, ale część z gdyńskich była u nas sekcjonowana.

Zwłoki w piżamach mogły być tylko wtedy, jeżeli zgon nastąpił w szpitalu. A tak ubrania były

pakowane w worki z takim numerem, jaki miał numer sekcyjny. Przypuszczam, że te ubrania zostały zabrane. U nas w zakładzie na pewno jest jeszcze jakiś zegarek, którego nikt nie odebrał do tej pory, z jakimś wymalowanym na cyferblacie żaglowcem.

Było dwóch milicjantów. Jeden z urazami głowy, z tym, że nie wiem, czy on wypadł z transportera, czy go wypchnięto, czy dostał czymś w głowę. Ale on nie zmarł na miejscu wypadku, tylko po kilku dniach w szpitalu. Drugi miał dyżur trzy czy cztery dni pod rząd, wrócił do domu, poszedł się kąpać do łazienki i gaz - no po prostu tlenkiem węgla się zatrueł w kąpielu.

W całej Polsce opowiadano, że przynajmniej zwłok były chowane koło Piaśnicy. To są plotki, które naprawdę nie miały pokrycia, dlatego, że każdy przypadek był zanalizowany, był obfotografowany, zewidencjonowany. Tak samo plotką jest, że zmieniano daty zgonu. Tutaj daty były konkretne, wiadome. Plotką jest, że milicjanci byli pod wpływem środków odurzających.

Uważam, że lista była kompletna. Może ja jestem naiwna, ale tak uważam. Nie mam podstaw sądzić, że było inaczej. Gdy na szkolenie przyjeżdżają koledzy z głębi Polski, to zawsze chcą wiedzieć - a jak było w Grudniu? Pokażcie księgę. Jeśli to jest lekarz zajmujący się medycyną sądową, mówimy - proszę bardzo, tu jest księga, od tego do tego numeru. Tak, że nia sądzę, że mógłby być jakiś kamuflaż, to jest niemożliwe.

Relacja lekarki
z Zakładu Medycyny Sądowej,
z października 1981 r.

Ja nie nocowałam wtedy w zakładzie, ale koledzy nocowali, bo trzeba było te zwłoki przyjmować. Natomiast spędziłam w zakładzie ostatnią niedzielę, całą. Przyjechali po mnie, była sprawa, żeby zdążyć zrobić zdjęcia wszystkich, bo miały być wieczorem zabierane czy chowane. Zdjęcia i dokumenty są własnością prokuratury.

Do zakładu przyjeżdżał Aleksander Nawrot, nadzorował z ramienia partii. Był wtedy chyba sekretarzem dzielnicowym we Wrzeszczu i nadzorował jakoś...

Najbardziej wstrząsający był widok tych gdańskich stoczniowców, z drugim śniadaniem w kieszeni zawiniętym w jakiś zatłuszczony papier. Widać było, że to są ludzie, którzy poszli do pracy, z tym drugim śniadaniem, które dała żona i z tej pracy do nas trafili martwi.

Z takich niezamowitych przypadków, które pamiętam do tej pory, to był Zbigniew Gościński, lat 16, z Gdyni. Uczeń, który przyglądał się na tym wiadukcie. Miał styczny postrzał, który przeszedł przez klatkę i przez serce.

Rykoszetów nie było. To na pewno nie. Postrzały były normalne, z pocisków, które nie były uszkodzone. Pocisk odkształcony wskutek odbicia od twardego podłoża powoduje niekształtną ranę, te były normalne. Rany były postrzałowe, przeważnie w głowę.

Sekcji człowieka rozjechanego przez gąsienice transportera /gąsienice zmiażdżyły głowę i nogi - przyp.red./ nie robiliśmy. Może w Gdyni. Bo tylko w tych dwóch miejscach - u nas i w Redłowie

- robiono sekcje. Normalnie nasz zakład robi wszystkie sekcje, ma nadzór terytorialny, robimy wszystkie sekcje ofiar wypadków. Uważaliśmy za w pewnym sensie nie fair, że część ofiar sekcjonowano w Redłowie, w końcu nasz zakład jest do tego przeznaczony. Tych z Redłowa w końcu i tak przewieziono do nas.

Nie mogę pojąć mentalności ludzi, dla których to, co było, jest za mało. Uważam, że jeden - to jest dużo. Jakaś taka krwiożercza żądza, że czterdzieści parę ofiar - licząc ze Szczecinem - to za mało.

Zdarzało się, że zwłoki zostały pochowane i rodzina dopiero przyszła do nas i oglądała zdjęcia. Na jednym zdjęciu zmarły miał w pół przymknięte oczy, był w szpitalnej piżamie i nie mogliśmy rodziny przekonać, że to jest zdjęcie zwłok, uważali, że on jest żywy. Ustalanie tożsamości było utrudnione przez to, że przeważnie brak było personaliów, zwłoki były nie znane.

Sekcji zrobiłam sześć czy siedem, czy trzy - nie pamiętam już, ileś tam zrobiłam. A później siedziałam głównie i pisałam karty zgonu.

Relacja Zdzisława Sikory,
doc. Zakładu Politologii
Politechniki Gdańskiej,
z dnia 23 października 1981 r.

Pierwszymi dającymi się zauważyć symptomami było olbrzymie napięcie wśród studentów. Od 7.00 czy 8.00 w poniedziałek prowadziłem zajęcia i widziałem to wielkie zaniepokojenie. Sporo studentów przybiegało do zakładu i pytali: co się dzieje? Podchodzili do mnie na korytarzu, podobnie jak do wszystkich moich kolegów, współpracowników Zakładu Politologii, wyrażali swój stosunek do podwyżki, pytali. Dochodziły już pierwsze informacje o tym, co się dzieje w Stoczni. Ale oprócz tego napięcia, podenerwowania, biegania, zaniepokojenia - nic się nie działo.

Około godziny 11.00 pod Politechnikę podjechał radiowóz, w którym byli pracownicy Stoczni. Przed gmach wyszedł rektor Staliński i kilka osób spośród nauczycieli akademickich, również i ja tam byłem. Ten moment, kiedy wysiedli i to spięcie, jakie było między rektorem a młodym człowiekiem widziałem. Rektor zapytał prawdopodobnie - nie pamiętam dokładnie słów - po co panowie tu przyjechaliście? Wtedy młody człowiek, który wysiadł z nysy, gwałtownie odepchnął rektora. Osoby stojące dalej mogły uznać, że uderzył - to nie miało miejsca. Ale wyglądało nieprzyjemnie. I to zraziło studentów. Bo jednakże autorytet magnificencji jest duży. Wyszedł jako gospodarz, powinna być podjęta z rektorem rozmowa - nie ta forma. I to zraziło studentów. Można to zrozumieć. Na uczelni był

jeszcze spokój, natomiast w Stoczni już wrzało, stąd konfrontacja dwóch postaw.

Wysiadła również kobieta. Przed gmachem Politechniki było 100-200 studentów, w hallu głównym, na schodach stało bardzo wielu, nie wiem, ile tam się mieści. Ale rozmowa, oczekiwanie na rozmowę nie spełniło się. Studenci - myślę - byli przygotowani na wezwanie bardziej ogólne, patriotyczne, na słowa w rodzaju "ojczyzna zagrożona". Tymczasem ta relacja była taka ściśle ekonomiczna. Padł nawet taki zwrot, który pamiętam, ze strony tej kobiety: "- Czemu stoicie? Chodźcie z nami, bo ujdziecie źreć ixi." To nie przemówiło.

Z radiowozu padały przez megafon wezwania: "Chodźcie z nami!", "Prasa kłamie", "Oszukują nas", "Dosyć tych kłamstw", gwałtowne wypowiedzi tego typu. Ale nie było żadnej jakiegś konkretnej propozycji typu organizacyjnego, że np. przyjdźcie tu i tu określonego dnia, np. do nas, do Stoczni, czekamy - nie było. Były tylko ogólne wezwania.

Nieudana była również rozmowa tej kobiety w hallu. Ale nie dlatego, że studenci niechętnie odnieśli się do niej - po prostu niezręcznie zaczęła rozmawiać. Też można zrozumieć przyczyny - zdenerwowanie, nowe środowisko. Ale to nie był apel, bardziej zaklinanie, żeby studenci poszli.

Trzeba naturalnie powiedzieć o sprawie głównej. Studenci pamiętali rok 1968, kiedy nie uzyskali poparcia ze strony klasy robotniczej. Stąd też zachowali się biernie w okresie, kiedy w zakładach pracy zaczęło wrzeć. To nie był jakiś zamierzony odwet, raczej powściągliwość - poczekamy, wstrzymajmy się, zobaczymy. Pamiętam to osamotnienie uczelni w 68, tę olbrzymią ilość ludzi z zakładów

pracy, którzy krążyli wokół Politechniki, odgrzęzali się studentom, wykrzykiwali. A więc studenci zachowali się - powiedziałbym - dość biernie. Od początku do końca nie było jakichś wielkich wydarzeń. Około 13.00 była próba zorganizowania wiecu, ale brak było spontaniczności.

Wieczorem przyjechali stoczniowcy. Rzeczywiście, przyjechali przed bramę główną, która była zamknięta. Byłem w tym czasie na Politechnice. Ale prawie wcale nie było studentów, tylko nieliczni pracownicy naukowci. Brama była zamknięta, ale można było wejść przez portiernię. Politechnika nie była jakimś niedostępnym, warownym obozem. Nieprawdą jest, że akademiki były pozamykane. Były otwarte. Dr Rezmer była w jednym z akademików, będzie mogła powiedzieć więcej na ten temat. Rektor zarządził, żeby nauczyciele akademicki byli stale w akademiku. Nie po to, by pilnować studentów, tylko w razie konfliktu - mogła przecież wtargnąć milicja - żeby być na miejscu, przedstawić się, że jest opiekunem i prosić o wyjaśnienie sytuacji. Studenci mogli wchodzić i wychodzić. Zresztą nie widzę fizycznej możliwości zablokowania akademika.

W następane dni, we wtorek, środę, czwartek zajęcia odbywały się. Były nerwowe, krótkie, nie realizowano na nich przedmiotów teoretycznych, ale były. Trwały na nich rozmowy o sytuacji. Trzeba powiedzieć, że uczelnia była pełna młodzieży. Bardzo duża frekwencja - jak nigdy. Pełne budynki, pełne sale. Napięcie, zaniepokojenie.

W czwartek doszły wiadomości z Gdyni, że jest strzelanina, że giną ludzie, że zaczęła się wielka tragedia Gdyni. Studenci zgromadzili się przed gmachem głównym i zaczęli żywo rozprawiać - czy

wyjść na ulicę, czy nie. Wśród studentów byli zwolennicy wyjścia na ulicę i byli przeciwnicy. Muszę powiedzieć, że w zdecydowanej większości nauczyciele akademicy byli przeciwnikami wyjścia studentów na ulicę. Bowiem mieli świadomość, że to już jest okres konfrontacji siły, że może się wszystko wydarzyć, że może ta młodzież zginąć. Ale nie było fizycznej możliwości powstrzymania wyjścia studentów z Politechniki. I sami się wahali. Ale pytali czy też dyskutowali głośno i wtedy nauczyciele akademicy też włączali się w rozmowy, wyrażali swój pogląd. Też byli podzieleni. Ale w zdecydowanej większości jednak uważali, że zaczekamy na uczelni na to, co się będzie dziać. Nie było jakiegoś oficjalnego stanowiska rektora czy władz. Natomiast poglądy rektora były jak gdyby aprobowane, przenoszone przez kadrę nauczycieli akademickich - żeby zaczekali na uczelni. Po co iść na ulicę pod kule, tym bardziej, że nie było bezpośredniego celu na tej ulicy. Wyjazd do Gdyni - wręcz niemożliwy. Bo jak się do tej Gdyni dostać. A więc studenci zostali - nie wyszli.

Cokolwiek byśmy powiedzieli, to jednak troska o studentów chyba dominowała u rektora. Przecież to jest nauczyciel akademicki, miał dzieci w wieku studenckim, nie mógł być bezduszny. Tego nie można mu zarzucić. Troska o studentów - co się stanie z tymi młodymi ludźmi. Tym bardziej, że bezbronnymi. Bo stoczniovcy mieli kaski, byli jakoś przygotowani, byli zvarci, stanowili jakąś siłę. Natomiast to żadna siła fizyczna taka grupa studentek, studentów. W tym czasie była moda "maxi" - studentki w tych długich płaszczach nawet uciekać by nie mogły. Więc troska, że po

prostu może ich wszystko co najgorsze spotkać. Inni pouciekają, a studenci ucierpią najbardziej. Nie wykluczam również tego, że sytuacja polityczna była tak napięta, że podjęto decyzję o zawieszeniu zajęć. Myślę, że to była zewnętrzna decyzja, którą rektor realizował, na pewno zrobił to z przekonaniem, zajęć nie byłoby żadnych na uczelni. Wtedy, w tej bezpośredniej konfrontacji, uczelnia siły - siły fizycznej - nie przedstawiała. Siłę fizyczną stanowiły te olbrzymie masy robotników. Jakoś przygotowane, w kaskach, silnych, zorganizowanych, zwartych - to była siła. Gdyby studenci sami wyszli - to bez efektu. Natomiast dołączenie do pracowników Stoczni - sile nie było takiego porozumienia - to co innego.

We czwartek studenci rozjechali się do domów.

Relacja Tadeusza Mazowieckiego,
redaktora naczelnego "Więzi"
i posła na Sejm,
z dnia 7 października 1981 r.

W grudniu 1970 roku byłem w kole poselskim "Znak". Wydarzenie na Wybrzeżu oczywiście wstrząsnęły nami we wszystkich. Była wtedy ta bariera informacyjna między Gdańkiem a Warszawą. Nawet tak daleko idąca, że w Warszawie nie można było dobrać gazet z Gdańska. Pamiętam, że pierwsze wiadomości o tym, że w ogóle coś się tutaj w Gdańsku dzieje, pochodziły z radia "Wolna Europa". Po tych wydarzeniach postanowiliśmy w kole "Znak", żeby ktoś z nas przyjechał na Wybrzeże, zorientował się na miejscu. Ponieważ były sprzeczne wiadomości na temat ilości ofiar. Wówczas, w Grudniu, ogłoszono ten oficjalny komunikat o ofiarach śmiertelnych. Jednocześnie fama głosiła, że zginęło więcej ludzi. Przyjechałem tu wspólnie z posłem Tadeuszem Myślikiem, również członkiem koła "Znak". Nie przyjechalismy do władz miejscowych. Chcieliśmy porozmawiać z ludźmi po prostu. Pamiętam, że mieliśmy spotkanie wieczorem. W tej chwili nie pamiętam, gdzie ono było, chyba u pallotynów albo dominikanów. Przyszło kilkadziesiąt osób. Cały dzień rozmawialiśmy z różnymi ludźmi. Przede wszystkim z kręgu naszych znajomych ze środowiska katolickiego. Było tutaj trochę naszych przyjaciół, żeby w tym wszystkim się zorientować. Byliśmy też wieczorem u nieżyjącego już biskupa gdańskiego Nowickiego, który mówił nam o tym, że księża byli budzeni po nocy do chowania ludzi.

Tym niemniej żadnych konkretów, żebyśmy mogli ściśle wiedzieć, ile więcej ludzi zginęło, w czasie tego krótkiego pobytu nie udało się nam ustalić. Widać było, że ludzie są tutaj bardzo wstrząśnięci, a zarazem zduszeni, co było zrozumiałe. Wszyscy taksówkarze nam mówili, że więcej ludzi zginęło, że po nocach chowali na cmentarzach itd.

Już nie pamiętam, czy byliśmy na Wybrzeżu dzień czy dwa dni. Z żedną władzą nie kontaktowaliśmy się, nie uważaliśmy tego za celowe. Wróciliśmy z takim ogólnym wrażeniem, że eprewa wymaga przebadania. To było jeszcze przed posiedzeniem Sejmu, które zoetało nazwane niemym. Co mnie dzisiaj boli, dlaczego posłowie nie zabrali głosu? Było tak.

Po powrocie właśnie my dwaj udaliśmy się do ówczesnego członka Biura Politycznego, Józefa Tejchmy. Odbyliśmy z nim rozmowę. Powiedzieliśmy, że wiemy jaki jest nastrój na Wybrzeżu i absolutnie domagamy się, aby powołano specjalną komisję eejmową do zbadania tych wydarzeń. Rozmowa zakończyła się tym, że Tejchma przedstawi tę sprawę Gierkowi. Oczywiście on sam nie mógł zdecydować. Potem do chwili posiedzenia Sejmu prowadziliśmy różne rozmowy z innymi klubami poselskimi, ponieważ zależało nam, żeby rzeczywiście doszło do powołania tej komisji. Wiedzieliśmy, że jeżeli ten wniosek wyjdzie od koła "Znak", to będzie jeszcze bardziej kontrowersyjny dla partii. Więc nie zależało nam na autorstwie, tylko chcieliśmy koniecznie coś zrobić w tej sprawie. Niech wniosek wyjdzie nawet od partii lub któregoś ze stronnictw, tylko niech taki wniosek wyjdzie. Pamiętam, że niemal do momentu rozpoczęcia posiedzenia mieliśmy wiado-

mości, że sprawa była omawiana i bardzo prawdopodobne, że zostanie postawiony wniosek o powołanie komisji. Nie wyszliśmy z wnioskiem, chcieliśmy ułatwić, aby ktoś wyszedł. Chodziło nam o to, żeby sprawa przeszła. Tymczasem nie przeszła, gdyż jej w ogóle nie postawiono. Był to dla mnie ogromny zawód.

To jest wszystko, co mogę powiedzieć.

**Relacja Zbigniewa Gryglewskiego,
dyrektora Gdańskiej Stoczni Remontowej,
z grudnia 1981 r.**

Grudniowa eprawa zaczęła się od tego, że jako członek organizacji partyjnej na Wydziale Kadłubowym Gdańskiej Stoczni Remontowej poszedłem na to zebranie po to, ażeby starać się złagodzić przewidziane, przeczuwane, wiszące w powietrzu niezadowolenie, jakie wywołała niewątpliwie eprawa podwyżki cen. Muezę powiedzieć, że ludzi było eporo, odbywało się to na byłej traserni tego Wydziału Kadłubowego. Byłem na tych zebraniach partyjnych tam nie raz. Zawsze jak dyrektor przychodzi, to obecność, frekwencje się powiększe. Cały szereg różnych pytań, no i były te atrakcyjniejsze, myślę, dla ludzi te zebrania. Tam byli nie tylko partyjni, aczkolwiek na ten temat trudno mi jeet się wypowiedać, tego nie dociekałem. Zaczęło się od przeczytania listu KC no i była dyskusja. Dyskusja wykazywała niezadowolenie, trudno było. Nawet ani jednego głosu chyba nie było poparcie dla tej sprawy, o której tam piszą, poza moim. Rzeczywiście starałem się, ażeby w jakiś sposób tam uzasadnić. Argumentów nie było wiele. Kto to lubi, żeby płacić więcej przy takich zarobkach... Ponieważ tam w liście było powiedziane: "zrozumienie", dlatego też do tego apelowałem. No, trwało to nie pamiętam ile, parę godzin trwało. Całe to zebranie. Rozmówców było dość dużo, narzekania okropne, niezadowolenie także, ale ostatecznie to się skończyło, powiedziałybm właśnie jakimś zrozumieniem. Nie było nic takiego, co by wskazywało

na rozjątrzenie, w każdym bądź razie następne dni były w jakiejś jawnej dyseproporcji w stosunku do tego, co na tym zebraniu odczuło się. Wydarzenia następnych dni wykazały zupełnie inne nastroje, jak w moim odczuciu wykazało zebranie partyjne: oburzenie, narosłe oburzenie. Przecież wtedy była jeszcze i eprewa tego nowego systemu płac, miała być jakaś reforma - myśmy już znali założenia tej reformy - no i do tego się jeszcze dołożyła i ta sprawa. Na temat reformy: głównym celem tej reformy było to, ażeby u załogi wzbudzić zainteresowanie odpowiednią wydajnością pracy. Efekt tej reformy miał się przejawiać po rozliczeniu roku, dodatkowymi wpływami dla ludzi. To jest stara prawda: dwa razy daje, kto ezybko daje - a tu trzeba było czekać cały ten rok czasu. I to nie było zachętą do poprawy wydajności, dlatego, że załoga tak liczna oczywiście charakteryzuje się fluktuacją i wobec tego wyraźnie wyczuwałam, że będzie oglądanie się jeden na drugiego. Że to nie jest tak, że razem zrobimy, co mamy zrobić i już będą pieniądze po miesiącu albo po kwartale, co eliminuje niewłaściwe podejście do pracy pewnych członków społeczności stoczniowej.

Reforma miała opierać się na bodźcach materialnego zainteresowania. Było cały szereg zebrań na ten temat z całą załogą. Dla dyrektora Stoczni taka fala zebrań to była niesamowita prsca, bo każdy chciał, żeby on poszedł, a to się odbywało bądź co bądź po pracy. Atmosfera była też różna, ale ona nie była jeszcze taka... W mojej Stoczni nie wyczuwałem jeszcze takiego wielkiego niezadowolenia. Była może, powiedzielibym, rezerwa, spokojna rezerwa. W ogóle ja muszę powiedzieć, to już kawał czasu: 11 lat... Mamy teraz cały szereg porównań, na to co powiem ma również wpływ

i czas przeszły, po tym wszystkim. Ale muszę powiedzieć z całą odpowiedzialnością, że załoga ta była załogą cierpliwą, że ta załoga wykazywała zrozumienie, była załogą zdyscyplinowaną. Zarobki za mojej kadencji się poprawiły, myśmy się wyforowali na pierwsze miejsce wśród wszystkich zakładów Zjednoczenie Morskich Stoczni Remontowych. To dawało jakieś tam zaufanie do kierownictwa. Poza tym charakteryzowaliśmy się my jako ta załoga /jeśli mi się wolno wliczać/ wielkim dynamizmem, myśmy się podejmowali robót nieeasowicie trudnych. Powiedziałbym, że to było bardzo odważne. Przez cały okree od 58 roku począwszy, kiedy myśmy się podjęli przebudowy, takiej poważnej przebudowy statku typu "Liberty". Nazywał się on "Mon archon Gabriel"... i myśmy doatali go do przebudowy, do usunięcia awarii. Miał całe dno poharatane na kamieniach przybrzeżnych przy brzegu NRD i niezależnie od tego był remont, ale to od etępki do topu masztu. Poważny remont i przebudowa do tego wszystkiego. To było w tym okreeie czasu, coś ekstra dla naszych pracowników. A muszę powiedzieć teraz, ja już z nimi nie pracuję... rzeczywiście ci ludzie mieli złote ręce. Naeza załoga podejmowała eię tych rzeczy i można powiedzieć, że każda była taka poważna, a było ich dużo. Panu są znane chyba przebudowy "Batorego" i "Stefana Batorego", to wszystko ta Stocznia, pierwsze przedłużenia statków, technicznie bardzo złożona sprawa. Wszystko to napawało dumą mnie, który te prace przyjmowałem i podejmowałem się ich, było taką podniętą, żeby iść jeszcze dalej. I ostatni akord mojej pracy to była ogromna przebudowa statku armatora szwedzkiego, który nazywa się Grenges, nazwa statku "Mata Rengi", w którym

żeśmy dokonali przebudowy już prawie że ponad nasze siły. A jednak ta zełoga przyszła do mnie potem: "Panie dyrektorze, zarobiliśmy! Następną taką robotę!". Miałem kontakt z tą zsiogą, wiedziałem, jak to szeroko jest, jak ci ludzie przyjmują w przekroju całej społeczności stoczniowej te nasze różne zadania. Wydawało mi się, że oni mi pomagają, że rzeczywiście oddają wszystko to, na co ich stać, wszystkie umiejętności. Niersz to z takim rozrzewnieniem dziękowałem i z rozrzewnieniem mówiłem, jak ta ich praca pięknie wygląda. Rzeczywiście można było ich chęłpić. Można było powiedzieć, że to jest naród, który chce pracować i który umie pracować. Miałem tę znajomość i w związku z tym te wszystkie takie różne historie typu rok 56, Marzec, tam jeszcze inne jakoś przechodziły, oczywiście nerwowo, i nigdy, jak to się przedstawia, nigdy się człowiek tego nie dowie...

No, ale przyszedł ten poniedziałek i ta moja załoga, powiedzmy, że pracowała... No tam, mankietów sobie nikt nie urywał, mieliśmy dyżury, kierownictwo musiało być na miejscu, żeby po proetu być z tą załogą i pierwsza zmiana dostarczyła nam niesamowitej podniety poprzez to, że słyszeliśmy, że na Stoczni Gdańskiej zebrała się grupa ludzi, masa ludzi, podobno tam się zebrało najpierw 150, potem dochodziło, dochodziło, nikt a nikt nie wychodził...

Słychać było krzyki. Ludzie przynosili wiadomości. Oczywiście nie dzwoniłem do dyrektora, bo jego bym chyba nawet nie osiagnał. To był mój znajomy, dyrektor Żaczek. To się raz dwa przenosi, wymiana, bramy otwarte, nasi też tam lecieli. I potem słyszę, że idzie cała fala ludzi i poprzez Stocznję Północną do Portu i chce mobili-

zować zespoły ludzkie do tego, żeby pójść odpowiednią masą do Portu. Nie odczułem tego w eposób jakiś taki specjalny... Ale coś się szykuje. Nie ma tu jakiegoś oficjalnego wstrzymania pracy, wiem, że rozmowy są, że dostają telefony, że się ludzie zbierają. Ale w zasadzie pierwszeza zmiana przeszła dla nas bez oficjalnego wstrzymania pracy. Natomiast byłem na dyżurze na drugiej zmianie. Po prostu nie poszedłem do domu. I dowiaduję się, że Wydział Mechaniczny etanął. To była pierwsza oficjalna wiadomość o tym, że nasza załoga również przystępuje do... czegoś - wtedy jeszcze nikt nie wiedział do czego... Jak żeśmy się dowiedzieli, że Wydział Mechaniczny etoi, to poszedłem z sekretarzem i przewodniczącym Rady Zakładowej /wtedy był sekretarzem Maziak Zdzisław, a Mówiński był chyba przewodniczącym Rady Zakładowej/. No więc mówię: "Panowie, chodźmy do ludzi". Poszliśmy we trzech. Akurat tak się zdarzyło, że ja pracę zaczynałem od obejścia Stoczni, albo od objazdu Stoczni. Wyjeżdżałem samochodem na Stocznnię, dojeżdżałem do jakiegoś statku, siedłem na statek, oglądałem pracę...

I zawsze wracałem przez Wydział Mechaniczny. Lubiłem tych ludzi i lubiłem ten wydział. Przez wszystkie hale przechodziłem i znałem bardzo dużo ludzi i oni mnie znali. Często mnie zaczepiali, chcieli, żeby coś tam załatwić. Czułem jakiś związek z tymi ludźmi. No i wobec tego, że to jest Wydział Mechaniczny, to ja idę z tymi moimi jeszcze tam aktywistami... No i zaczynamy rozmawiać na pierwszej sali. Rozmawiamy, pamiętam rozmówców, może nazwisk bym nie przytoczył, ale był taki frezer czy wytaczarz, bardzo inteligentnie wyglądający robotnik, bardzo ojcowsko, w twarzy jego

było coś dobrotliwego, Ignąłem do tego człowieka, aczkolwiek nie miałem nic z nim wspólnego.

Rozpocząłem rozmowy z całą halą. Były trzy hale Wydziału Mechanicznego. I na tej pierwszej hali, jak żeśmy stanęli, żeśmy rozmawiali, używaliśmy różnych argumentów: "Panowie, słuchajcie, potrzeba pieniędzy, wszystko przecież było z powodu braku pieniędzy, no bo jak nie będziemy pracowali, to tych pieniędzy nie będzie". Głównym elementem argumentacji była właśnie ta sprawa. Na Stoczni atmosfera była dobra, myślę, że etanowiliśmy rzeczywiście taką rodzinę stoczniową. Ogólnie rzecz biorąc, bo tam na pewno są różne zdania na ten temat, sie większość... Bardzo dobra atmosfera.

Ludzie pytali: "Dlaczego nagle mamy wydawać więcej?! Za co?! Jak? Tyle lat nie możemy się dorobić! To znowu od nas odciągają te zarobki?! Przecież i tak nie są najwyższe, a tu jeszcze trzeba więcej płacić? Jak to wytrzymamy? Kto to zrobił?...". Ani to taktyki, ani to rozsądku. No i wie Pan, nie wiem, jaki tam człowiek ma wpływ, nie chciałbym mówić o sobie, ale ponieważ mówiłem Panu wcześniej: ja mam stosunek do ludzi otwarty, po prostu kocham ludzi, czy oni to czują czy nie, to ja nie wiem... Dość na tym, że proszę sobie wyobrazić, że ta hala zaczęła pracować. No to zostały dwie następne. Poszedłem na te dwie następne. Tam mniej miałem takich twarzy, jak tego wytaczarza. Ale jak myśmy rozmawiali /bo to się zeszła druga zmiana/, jak ci ludzie się zeszli razem i żeśmy z nimi rozmawiali w boju /nie było krzyków, nie/, było niezadowolenie. I wreszcie, w czasie tej rozmowy dowiaduję się, że tam jednak stanęli z powrotem. Ta pierwsza

hala stanęła. Ale jednak - może i dołączyła tutaj część do tych rozmówców - i tu się dało przekonać ludzi, żeby zaczęli pracować. Ja mówię: "Panowie, ja w rządzie nie jestem, ja na to wpływu nie mam. Ja też będę płacił".

Oni wiedzieli, ile oni zarabiali. Wydział Mechaniczny nieźle zarabiał. I prawdopodobnie wiedzieli ile ja zarabiam, aczkolwiek mogły tu być niesamowite błędy, bo potem się przekonałem, że tak było.

Zacząli pracować. Tamci stanęli, znowu poszedłem na pierwszą halę. Na tej pierwszej hali znowu udało się ich przekonać. Po chwili Wydział Mechaniczny zaczął pracować. Nie przypominam sobie, czy były nawroty znowu do postojów, czy znowu stanęli czy nie, tego ja już nie pamiętam. Wyszliśmy z tej hali przyjaźnie, to nie było takie strzelanie do dyrektora: "Panie, co pan tutaj, inne strona, pan nie czuje!...", nic z tych rzeczy. To była rozmowa. I nawet, powiedziałbym, rozmowa bez wykrzyków, bez ubliżeń. Przez cały okres czasu nikt mi nie ubliżył. No, byłem wtedy zadowolony, że jednak się coś udało. Zostałem chyba na noc, później poszedłem...

No, ale zaczął się wtorek. We wtorek było już... cała Stocznia stanęła. Po prostu na wydziałach dzwonili do mnie kierownicy, że ludzie się zbierają i się umawiają, że idą pod dyrekcję. Byłem na tyle zapobiegawczy, że wiedziałem, że to się przecież musi coś..., że to nie jest koniec, to się wyczuwało. Poniedziałek przecież w mieście był straszny, prawda. We wtorek zaczęło się od razu... do miasta, zaczęło się palenie, tam różne historie. We wtorek zdaje się były też jakieś wozy wojskowe podpalone. Tam nawet ktoś... rabowanie

sklepów się zaczęło. Ja początek strajku znam tylko z relacji kierowników. I to jednym zdaniem: "Panie dyrektorze. U mnie się zebrali pracownicy i wiem, że chcą iść pod dyktando". To samo na wszystkich wydziałach. Była godz. 10.00. I oczywiście ja wiedziałem, ale jeszcze przed dyktando nikogo nie było. No, było tam paru, no bo przez bramę przechodzili, brama była otwarta. Ktoś mi tam podpowiadał, żeby bramę zamknąć. Ale ja mówię: "Panowie, co to da? Stoczniowcy przecież... zamknięta brama, szkoda jej niszczyć..."

Aha! Jeśli chodzi o tę zapobiegawczość. Poprosiłem odpowiednie służby na Stoczni /to jest służba szefa ruchu/, ażeby mi zainstalowali mikrofon w moim gabinecie i żeby wstawili dwie silne kolumny w pokojach sąsiednich. Zwrócone oczywiście na ten plac przed dyktando. No i jak dowiedziałem się, że oni przychodzą, poprosiłem tamtych radiowców, podłączyli mnie i byłem gotowy do rozmowy. Oczywiście okna otworzyłem i przemówiłem do tych ludzi. Nieskładnie, zdenerwowany, nieaamowicie zdenerwowany, ale żarliwie to chciałem powiedzieć... "Panowie, Polska jest krajem biednym. Potrzeba jest pieniędzy. Tylko wasze złote ręce mogą te pieniądze dostarczyć. Proszę was o to, żebyście zaczęli pracować". Prosiłem, że plan w tym roku będzie dobry, że dostaną trzynastą pensję, to wszystko polegało na prawdzie. Nigdy takiej pensji żeśmy nie wypracowali. Plan się rysował na przedterminowo wykonany. Skończymy go, będziemy mieli z czego się cieszyć... Tego typu historie... Ja nie jestem przywódcą narodowym, ja nie mam wpływu, ale gospodarczym jestem i jednym z tych elementów gospodarki jest również praca naszej Stoczni. Powinna być dobra. To nam może tylko pomóc. W tym czasie ci ludzie stali, oczywiście ałyzali, ale usłyszałem taką rzecz: "I ty jesteś

też winien!" - ktoś tam powiedział. "Jestem. Oczywiście, że jestem. No ale, no to wy też jesteście winni. Przecież musimy się tutaj nie do walki tylko do pracy wziąć. To jest droga wyjścia. Ja przyznaję się. Ja jestem działaczem, tak działałem. Chociaż w najlepszej intencji". "Zejdź na dół!" - "Zejdę, absolutnie zejdę, tylko mnie nie będziecie wszyscy tak, jak w tej chwili słyszeli". Te dwa głosy. Nikt więcej nic nie powiedział. "Ty jesteś też winien" i potem "Zejdź na dół". Ja mówię: "Zejdę". I rzeczywiście rozeszli się. Zaczęli się rozchodzić, to ja wtedy zszedłem, nawet gonilem, powiedziałbym. "No, panowie, chcielibście ze mną rozmawiać. No to proszę bardzo, porozmawiajmy".

Przemówił również i sekretarz. On też przyszedł do mnie na górę.

Cała grupa ludzi była naprzeciwko bramy do Stoczni Gdańskiej - Lenina. Cała masa stoczniowców stanęła i ja tam przyzedłem. I zacząłem z nimi rozmawiać. Bliko tej bramy. Rozmowa była... Byłem sam. Jeden jedyny. Nikt ze mną nie był. Poszedłem sam. Prosiłem, żeby ktoś tam poszedł, ale nie oglądałem się. "Chodźcie!" Nie poszli. No, trudno. Ale nie miałem najmniejszej obawy o nic. I rozmowa się zaczęła tak: "A panowie. A tam poaresztowali..." Ja powiadam: "Może. Nie wiem. Ja przeciwko wam nie wystąpię. Bo po co? Jestem z wami. Proszę was, żebyście rozpoczęli pracę". "No tak. Dobrze panu tak mówić, jak pan zarabia tyle tam a tyle". Ja mówię: "Ile pan myśli, że ja zarabiam?". No, wtedy tam padło chyba te 50 tysięcy. A drugi mi powiada: "Panie, gdybym ja tak zarabiał, jak pan, to bym też tak mówił". Ja mówię: "Proszę pana, przecenia mnie pan. Ja zarabiam...". Wtedy zarabiałem chyba 11 tysięcy razem z premią, za wszystkimi dodatkami,

ze wszystkimi premiami za wcześniejsze oddanie, statku i tak dalej. Tyle wynosiła moja pensja. Jedna kobieta przyszła /strasznie mi było żal tej kobiety/, mówi: "Panie dyrektorze, a co ja mam zrobić, jak ja mam tylko tyle pieniędzy /wymieniła tam jakąś sumę/ i mam troje dzieci na utrzymaniu?". Kobieta była bardzo ujmująca. Ja ją pocałowałem i mówię: "Tylko tyle mogę pani dać". To wpłynęło jakoś na tych ludzi, którzy tak stali, jakoś tak... No, nie wiem... Czuję coś, jakiś element, co powoduje wejście do tych ludzi. Zrobiłem to odruchowo. Ale rozmowa się wała. Ktoś z końca krzyczy: "Panie, ale nas tu połapią!". Ja mówię: "Ja będę przeciwko temu. Ale panowie, macie tyle różnych zastrzeżeń, a tam plany, a tam pieniądze gdzie się zapodziały... Weźcie, wybierzcie kogoś z was...". Mówię: "Pan tutaj, proszę". Potem żeśmy się poznali. W atyczniu. To był pracownik biurowy. "Niech pan idzie ze mną". Mówią: "Nie chodź, bo cię złapią!". Mówię: "Czy ja bym sobie pozwolił na to, żeby tutaj was wybrać, zaprowadzić do dyrekcji, zadzwonić na milicję, żeby po was przyjechali? No, niechże pan będzie trochę rozsądny. A jak pan sobie wyobraża rozmowę ze wszystkimi? Porozmawiamy sobie. Ja nie mam żadnych tajemnic. Proszę bardzo: co będziecie chcieli, to wam pokażę. Proszę bardzo". "Nie chodź! Nie chodź!" No, nie poszedł. Rozmowa trwała dalej. Coraz więcej się tych ludzi schodziło. To pomarańczowe - pomarańczowe nasi ludzie mieli kaski. Widziałem głównego kałęgowego, który obok przyszedł. Cudowski. On już nie żyje. Widziałem, że stanął. Było mi przyjemnie. W czasie tej rozmowy przychodzi do mnie jakiś facet /już teraz nie przypominę sobie kto to był/ i mówi: "Panie dyrekto-

rze. Ma pan pilny telefon". Ja mówię: "Panie. Powiedz pan, że ja rozmawiam z ludźmi". Poszedł. Za chwilę przychodzi znowu. "Panie dyrektorze. Jest pilny telefon do pana". Ja mówię: "Panowie, przepraszam was bardzo!". Proponuję: "No, chodźcie ze mną. Weźcie paru ludzi. No, tutaj wszyscy są atoczniovcami, możecie sobie upoważnić kogoś do rozmowy". Zanim skończę tanto, muszę jeszcze powiedzieć...

/Dalazy ciąg relacji zaginał. Red./

Relacja NN z października 1981 r.

Byłem wtedy /jestem zrealizacją nadal, to już 25 lat/ członkiem Stronnictwa Demokratycznego i z poręczenia SD byłem kolejno w różnych komisjach rad narodowych. W tym konkretnym czasie /w grudniu 1970 - przyp.red./ byłem w Komisji Bezpieczeństwa i Porządku Publicznego Wojewódzkiej Rady Narodowej. Byłem członkiem dokooptowanym, tzw. spoza rady, mającym głos w czasie posiedzeń komisji, natomiast na posiedzeniach sesji to już oczywiście nie, bo nie byłem radnym. Ta komisja miała dość specyficzny skład. Byli tam głównie przedstawiciele prokuratury, sędziowie, przedstawiciele Urzędu Spraw Wewnętrznych. Był tam - podpułkownik chyba wtedy - Wąsowski, jeśli się nie mylę, wówczas dowódca brygady WOP, oprócz niego zastępca komendanta KW wO Łuszczyński. Był również na tych posiedzeniach kierownik Wydziału Spraw Wewnętrznych Wojewódzkiej Rady Narodowej - Gromadzki, często

bywali też jego zastępcy, pierwszy - którego nazwiska nie pamiętam, drugi nazywał się Grys. Poza tym w komisji tej byli jeszcze - nie wiem czy stale, czy od czasu do czasu - prokurator Kajetanowski, sędzina sądu dla nieletnich - Brząkałowa, pani Petelczyc - chyba sędzina również, była przedstawicielka wsi, która chyba nigdy głosu nie zabrała w żadnej sprawie, no i jeszcze parę osób - ze straży pożarnych, ze ałużby ruchu drogowego - trudno mi dziś powiedzieć, jakie to były nazwiska. I ta komisja - wynikało to już chociażby z samej nazwy - powinna w tym czasie non stop zajmować się taką sprawą, jak wypadki grudniowe. Ale to tak tylko z nazwy wynikało, faktycznie rola tej komisji była ograniczona do zagadnień ruchu drogowego, przeciwpożarowych, historii, bezpieczeństwa ośrodków wypoczynkowych itd., itd. Z wyjątkiem posiedzenia z 29 stycznia 1971 roku wszystkie poświęcone były innym tematom. Do 29 stycznia, czyli przez półtora miesiąca po tak istotnych sprawach, jakimi były wypadki grudniowe, w ogóle komisja nie została zwołana, w ogóle nie było sprawy.

Dopiero 29 stycznia odbyło się posiedzenie, z tym, że takim wiodącym tematem jakby było spotkanie z Okoniewskim - to był sekretarz Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Miał on w pewnym sensie rozładować napięcie, ustawić w zasadniczej materii.

Wcześniej zawsze uważałem, że te grupy ludzi mają jednolite poglądy, tych sędziów, prokuratorów, przedstawicieli Urzędu Spraw Wewnętrznych uważałem za jedno, dopiero na tym spotkaniu się zorientowałem, że mają dość zasadnicze, dosyć istotne różnice w podejściu, w poglądach, w rozumieniu niektórych

spraw. Może to było jakieś oburzenie, może wcześniej faktycznie podejście było podobne, tego jednak dnia różnice były duże.

Wróćę na moment do 14 stycznia. Tego dnia było spotkanie trzech klubów radnych w Sali Herbowej WRN, na którym Jundziłł - jeden z sekretarzy Komitetu Wojewódzkiego PZPR - odpowiadał na pytania. Stwierdził on tam, że w różnych środowiskach Grudzień różnie był odbierany, np. w środowiskach inteligenckich podnoszona była głównie strona moralna, humanitarna, czy trzeba było strzelać; w środowisku prawniczym - czy to było zgodne z prawem itd. Ograniczył się do tego, że co środowisko to inne spojrzenie, natomiast na tym spotkaniu z Okoniewskim był ostra dyskusja. Byłem zaskoczony stanowiskiem sędziny Brząkałowej. W formie kategorycznej, zdenerwowanym głosem rzucała pytania typu: "Gdzie się znajdują nieletni? Brak informacji do tej pory. Całe kolejki rodziców zgłaszają się do sądu z pytaniami, gdzie oni są". Wspominała o przetrzymywaniu aresztowanych do ośmiu i więcej dni, zamiast zgodnie z konstytucją do 48 godzin. Miała zastrzeżenia do tego, że sądy nie były uprzedzane o takim czy innym postępowaniu, że sądy mogły co najwyżej dawać przyzwolenie temu, że stosowano niedozwolone metody, pobicia, nawet trwały. Że nie stosowano się do poleceń sędziów dotyczących zwolnień - przesłuchanie następowało, sędzia decydował, że delikwent ma być zwolniony i nie stosowano się do tego. W pewnym momencie mówi tak: "Stwierdzenie Szlachcics /to był ówczesnie ten nowy minister spraw wewnętrznych/, że nigdy nie wyda polecenia atszelania do klasy robotniczej świadczy, że ten, kto wydał takie polecenie, nie musiał tak działać". I w tym momencie komendant

Łuszczynski stwierdził: "My nie mamy sobie nic do zarzucenia". Gromadzki stwierdził, że to polecenie /chodziło o polecenie Gomułki/ "niestety zostało wykonane". Tyle tylko miał do powiedzenia i to takim tonem... Dla niego problem leżał tylko w tym, że można podyskutować, czy to było konieczne czy nie. I dalej mówił: "I stwierdzam kategorycznie: nikt więcej nie zginął i do dnia dzisiejszego nie zmarł. Płacimy wszystkim odszkodowania: zabitym 40 tys. plus pięć na każdego członka rodziny plus renta, jeżeli jedyny żywiciel to właśnie ta renta; ciężko rannym: 40 tys., lżej rannym - do 20 tys.". I w tym kontekście mówił, że nie ma sobie nic do zarzucenia, rzeczą dyskusyjną jest, czy trzeba było czy nie trzeba, teraz płacimy i z punktu widzenia Urzędu Spraw Wewnętrznych sprawa załatwiona. Tu mam jeszcze w notatkach z tego posiedzenia, że Gromadzki stwierdził, że ten z Gdyni niesiony na drzwiach był do uratowania, ale przez to, że go nosili zamiast udzielić pomocy, zmarł. Poza tym stwierdzenie, że doktor Żelichowski tylnymi drzwiami musiał wyprowadzić siedmiu milicjantów do izby wytrzeźwień czy jakiejś tam, żeby ich uratować, bo w szpitalu mogli się spotkać z linczem. Poza tym á propos pytań, ile zabitych kobiet mówił, że w ogóle nie było zabitych, że było tylko 7 rannych kobiet. Ogółem było 2300 zatrzymanych i wśród rannych było 150 poturbowanych funkcjonariuszy ze szkoły ślupskiej. No i jeszcze takie stwierdzenie, że Cyrankiewicz o niektórych decyzjach rządu dowiadywał się z prasy. To takie wypowiedzi, które sobie wtedy na żywo notowałem.

Ja wcześniej przygotowywałem się do tego posiedzenia, bo członkowie Stronnictwa i współpracownicy atakowali mnie: jesteś w komisji do spraw bezpie-

czefstwa, jak wy tam reagujecie, co robicie?! Fama głosiła, że zginęli nie tylko ci, których wymieniono w "Głosie Wybrzeża", próbowałem w związku z tym złapać gdzieś choć jedno nazwisko, żeby móc na tej komisji po prostu powiedzieć: No, a Iksiński jednak został zabity, a tu na liście go nie ma. Szukałem w ciemno i każdy trop mi się urywał. I pewien młody technolog mówi mi, że właśnie jego kolega, Witold Toczyński również został zabity. A na liście go nie ma. Jeszcze opisał obrazowo, jak zginął i że on prawie przy tym był.

Oczywiście przy pierwszej okazji na tym posiedzeniu /ogólne odczucie było takie, że zdecydowanie nie wszyscy są na liście, tym bardziej, że konkretnie na Wzgórzu Nowotki strzelano jak do kaczek, że trup ścieleł się gęsto/, gdy spytałem o to, Gromadzki spienił się niesamowicie, prawie że gorączki wtedy dostał. "Rozrabiaczy nam tu nie trzeba! Takich działaczy to... itd." To były stosunkowo delikatne określenia, -o i właśnie: nazwiska! Więc podałem mu to nazwisko. - "Sprawdzimy, wyjaśnimy. Według naszego rozeznania to poza tymi nazwiskami, które są wymienione, nie ma żadnych".

Na następnym spotkaniu, 27 lutego, gdyby nie to, że byłem w pewnym sensie chroniony jakimś - nazwijmy to w cudzysłowie - immunitetem poselskim, to prawdopodobnie nie wróciłbym do chaty tego dnia. Gromadzki podał, że nieprawdą jest, że Witold Toczyński jest zabity, że cały wywiad przeprowadził, że znaleźli go, on po prostu w tym czasie gdzieś tam z Gdyni przeszedł do Sopotu do swojej babci i w tych gorących dniach mógł się rodzinie zawieruszyć, ale w ogóle to

żyje, że wszystko w porządku. Ten jedyny argument został mi wytracony z ręki. Z tym że sformułowania Gromadzkiego były w stosunku do mnie jednoznacznie obraźliwe i ja nie mogłem jakoś inaczej cało wyjść z sytuacji, jak żądając przeproszenia od pana Gromadzkiego. Zachowanie kierownika WSW było niedopuszczalne, zwracał się do mnie jak do jakiegoś aresztanta, trudno mi to wprost przekazać. W każdym razie zażądałem tego przeproszenia.

Oczywiście, głupia sytuacja, w komisji jeszcze takiej scysji nie było. Sprawa ciągnęła się przez parę tygodni. Pułkownik Wąsowski, pani Petelczyc i prokurator Kajetanowski próbowali Gromadzkiego i Łuszczynskiego - bo Łuszczynski się podobnie zachowywał - zobligować, żeby członek komisji jakoś w ten czy inny sposób przeprosił. Nie w ich zwyczaju to było, ale wreszcie został umówiony jakiś termin - nie zgłosili się wtedy. Wraz z 23 kwietnia Gromadzki w towarzystwie kierownika - przewodniczącego komisji - formalnie przeprosił. I to był właśnie koniec sprawy Grudnia ns Komisji Bezpieczeństwa i Porządku Publicznego.

Natomiast pułkownik Wąsowski w grudniu 1980 roku, zapisał sobie zresztą: "Życie Warszawy" nr 303 z 27 grudnia 1980 roku, List pułkownika rezerwy magiatra B.Wąsowskiego, zamieszkałego w Nowym Sączu, który w latach 1966-1973 był dowódcą Kaszubskiej Brygady WOP-u w Gdańsku. To on był właśnie wtedy przewodniczącym Komiaji Bezpieczeństwa i Porządku Publicznego WRN w Gdańsku. Ten cały akapit, który ja sobie odpisałem jest istotny, bo on tutaj pisze, że w grudniu 70 roku brygada ta, której on był dowódcą, oprócz ochrony granic wykonywała inne zadania powierzone przez Sztab Lokalny, między innymi "zabezpieczenia portów

w Gdańsku i Gdyni oraz innych obiektów". Pułkownik Wąsowski otrzymał ze Sztabu Lokalnego polecenie, aby przy użyciu siły wyrzucić z rejonu Portu Gdańsk około 3500 robotników okupujących port. "Sugerowano przy tym, że WOP-owi udzieli pomocy jednostka piechoty sprowadzona z głębi kraju". Pułkownik Wąsowski udał się z propozycją przeprowadzenia rozmów z robotnikami do dowódcy WOP, generała Kamińskiego, który stacjonował w gmachu Wojewódzkiej Rady Narodowej. Ten nie mógł sam zdecydować, wobec czego udali się do wicepremiera Stanisława Kociołka, który wraz z wiceministrem spraw wewnętrznych, generałem Słabczykiem stacjonował w gmachu Komitetu Wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej. Stanisław Kociołek wyraził zgodę na działanie środkami politycznymi i polecił osobiście dyrektorowi Zarządu Portu towarzyszowi Wójdowi, aby udzielił dla WOP-u niezbędnej pomocy. Grupa oficerów z zastępcą do spraw politycznych, pułkownikiem Olekaiakiem na czele rozładowała sytuację drogą perswazji, unikając zbędnego rozlewu krwi.

Ten fragment wydaje mi się o tyle istotny, że jednak dowódca jednostki mógł mieć zastrzeżenia co do sposobu przeprowadzania akcji, mógł się zgłosić do generała stojącego wyżej. Okazało się, że tenże generał też nie jest władny, musieli się dopiero zwrócić do Kociołka, który - jak z tego widać - był władny decydować, był władny rozstrzygać o rozwiązaniu politycznym czy niepolitycznym. Tak, że te późniejsze opowiadania, że był zagubiony, że nie miał kontaktu, że był w innym gmachu... Okazuje się, że był w tym samym gmachu, gdzie te decyzje zapadały i zdecydował przynajmniej w tym wypadku, o którym pisze pułkownik Wąsowski. Jakoś to nie pasuje, nie zgadza się

z wywiadem udzielonym przez Kociołka, który twierdził, że nie miał dojścia do sztabu, rozminął się czy coś w tym rodzaju. Wydaje mi się, że należałoby przeprowadzić wywiad z pułkownikiem Wąsowskim, odniosłem wrażenie, kiedy byłem w tej komisji, że on był pozytywnym człowiekiem.

